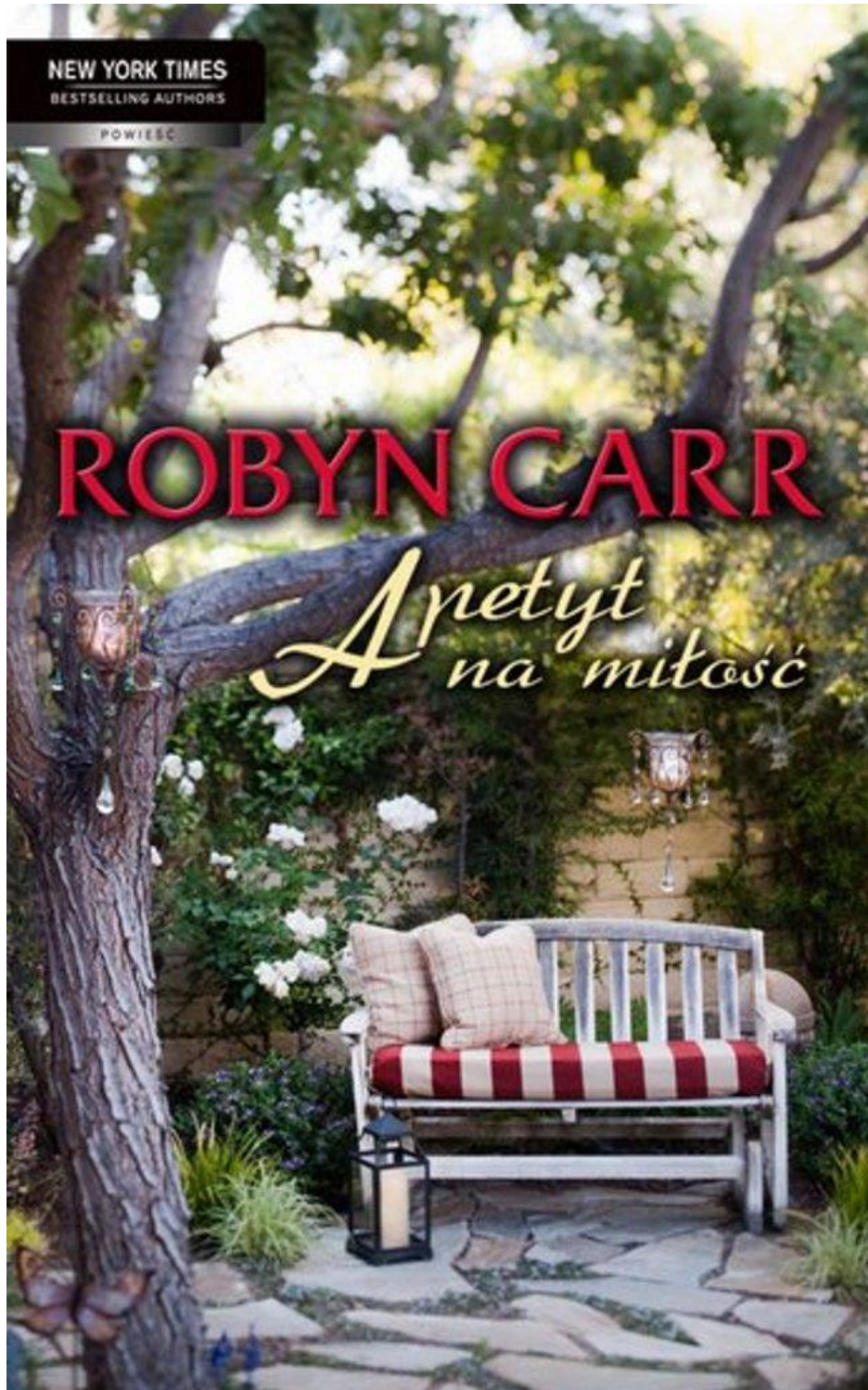


**Robyn Carr**

**Apetyt na miłość**

(Temptation Ridge) W cieniu sekwoi 06



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Shelby dzieliło od rancza wuja Walta nie więcej niż piętnaście kilometrów, kiedy musiała zjechać na pobocze drogi stanowej numer 36 na najbardziej zatłoczonym odcinku między Virgin River a Fortuna, i zatrzymać się za starym, wyglądającym znajomo pikapem. Droga numer 36 prawie na całej swej długości była dwupasmową szosą przecinającą górskie pasmo i łączącą Red Bluff z Fortuna. Shelby zatrzymała wiśniowego dżipa i wysiadła. Deszcz wreszcie ustał, pokazało się letnie słońce, lecz droga nadal była mokra. Stał na niej mężczyzna w jasnopomarańczowej kamizelce i lizakiem zatrzymywał samochody. Zjazd w kierunku domu wuja Walta znajdował się po drugiej stronie najbliższego wzgórza. Podeszła do zaparkowanego przed nią pikapu, omijając po drodze kałuże. Chciała zapytać kierowcę, czy wie, co się dzieje. Gdy znalazła się przy drzwiach od strony kierowcy, uśmiechnęła się szeroko.

- Cześć, doktorku. Doktor Mullins, powszechnie zwany Dokiem, wyjrzał przez otwarte okno.
- Cześć, mała. Przyjechałaś na weekend? – zapytał zrzędlawie, jak to on.
- Nie tym razem. Sprzedałam dom po matce w Bodega Bay. Spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i zamierzam zatrzymać się u wuja Walta.
- Na stałe?
- Nie, tylko na kilka miesięcy.
- Przyjmij moje kondolencje, Shelby. – Grymas Doka odrobinę złagodniał. – Mam nadzieję, że jakoś się trzymasz.
- Coraz lepiej. Dzięki. Mama była gotowa na odejście. – Kiwnęła głową w stronę drogi. – Wiesz, co jest grane?
- Osunęło się pobocze. Połowę pasa diabli wzięli.
- Barierki byłyby nie od parady – zauważyła.
- Tylko na ostrych zakrętach. Na prostej musimy radzić sobie sami. Cholerne szczęście, że żaden samochód nie poleciał razem z poboczem. Tylko jeden pas pozostał przejezdny. Tak będzie przez kilka dni.
- Jak już dotrę do wuja, będę mogła zapomnieć o tej drodze. – Wzruszyła ramionami.
- Jakie masz plany, jeśli mogę spytać? – powiedział Dok, unosząc krzaczaste brwi.

– Zamierzam odwiedzić rodzinę, a także porozysłać podania do szkół. Chcę zostać pielęgniarką – odparła z uśmiechem. – To oczywisty wybór po tych wszystkich latach opieki nad mamą.

– A niech to, następna pielęgniarka – rzucił gniewnie. – Od młodości zatruwacie mi życie. Przez was wpadnę w alkoholizm.

– Przynajmniej nie będziesz długo leciał – odparła ze śmiechem.

– Oho, następna bezczelna się znalazła.

Znów się roześmiała. Uwielbiała starego zgryźliwca. Jakiś mężczyzna wysiadł z auta, które zatrzymało się za dżipem Shelby. Włosy miał przystrzyżone jak wojskowy, do czego zdażyła się przyzwyczaić, bo jej wuj był emerytowanym generałem. Szerokie, umięśnione ramiona i płaski brzuch opinał czarny T-shirt. Shelby patrzyła zafascynowana, jak zbliżał się do nich taki zgrabny, silny i gibki, wykonując minimum ruchów. Nie śpieszył się, był pewny siebie, wręcz arogancki. Szedł wolnym krokiem, trzymając kciuki zatknięte za kieszenie spodni. Gdy się zbliżył, zauważyła jego lekki uśmiech, a także to, że się jej przyglądał, czy może raczej lustrował ją, mierzając błyszczącym spojrzeniem. Marzenie ściętej głowy, pomyślała, uśmiechając się do siebie. Mijając auto Shelby, zerknął do środka, zobaczył te wszystkie torby i pudła, po czym podszedł do niej.

– Twój? – zapytał, wskazując dżipa.

– Aha.

– Dokąd jedziesz?

– Do Virgin River. A ty?

– Tak samo. – Wyszczrzył zęby. – Wiesz, co się stało?

– Osunęła się ziemia – wtrącił się Dok. – Na czas naprawy zwięzili drogę do jednego pasa, choć na razie i na nim wstrzymano ruch. Co cię sprowadza do Virgin River?

– Mam nad rzeką parę starych domków kempingowych. – Popatrzył na nich, po czym spytał: – Mieszkacie w Virgin?

– Moja rodzina tam mieszka. Jestem Shelby.

– Luke. – Uścisnął jej małą dłoń. – Luke Riordan. – Spojrzał na Doka, wyciągając rękę. – Dzień dobry panu.

– Mullins. – Dok tylko skinał głową. Dłonie miał tak bardzo poskręcane przez artretyzm, że wolał nie ryzykować.

- Doktor Mullins od urodzenia mieszka w Virgin River. Prowadzi tam przychodnię – wyjaśniła Shelby.
- Miło mi pana poznać, doktorze – powiedział Luke.
- Kolejny marynarzyk? – zapytał Dok, unosząc siwe brwi.
- Pomyłka. – Luke wyprostował się. – Siły lądowe, proszę pana. – Spojrzał na Shelby. – Kolejny marines? O co chodzi?
- Kilku naszych znajomych z Virgin River służyło w Marine Corps. Czasami odwiedzają ich kumple, niektórzy nadal są w czynnej służbie. Ale mój wuj, u którego zamierzam na pewien czas się zatrzymać, obecnie emeryt, służył w siłach lądowych. – Błysnęła uśmiechem. – Z tą fryzurą nie będziesz się wyróżniał. Kompletnie nie pojmuję, co wy tak kochacie w tym języku na głowie. Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się wyrozumiale. Gdy czekali w sznurze samochodów, wreszcie otwarto jeden pas ruchu. Jako pierwszy ruszył autobus szkolny, by jednak rozładować korek, musiało minąć jeszcze sporo czasu. Nie spieszyli się do swoich aut. Stali na drodze, gawędząc leniwie, co dla Luke'a skończyło się pechowo, ponieważ w tej samej chwili zauważył zarówno toczący się autobus, jak i sporą kałużę. Błyskawicznie wskoczył między Shelby a autobus, przyciskając ją do drzwi pikapu Doka i biorąc na plecy solidny strumień niezbyt czystej wody. Ale macho, pomyślała rozbawiona Shelby. Luke usłyszał zgrzyt skrzyni biegów i pisk hamulców.
- Jezu – mruknął, odsuwając się od Shelby i patrząc na autobus. Z okna kierowcy wychyliła się na oko pięćdziesięcioletnia dama o okrągłej twarzy, różowych policzkach i z grzywą krótkich, czarnych włosów.
- Sorki – rzuciła z uśmiechem. – Nie dało się ominąć.
- Dałoby się, gdybyś nie pędziła jak szalona! – krzyknął rozeźlony.
- E tam, wcale nie gnałam jak wariatka – odparła pogodnie. – Szybko, i owszem, ale nie jak wariatka. Wiesz, trochę mi się śpieszy. Dam ci dobrą radę za pięć centów: jak jedzie na ciebie wielki żółty autobus, to schodź z drogi! Te słowa, i ten jej radosny uśmieszek... Luke'owi zagotowało się pod szczecina na głowie, miał ochotę zakląć. Jednak kiedy się odwrócił, zobaczył, że Shelby aż krztusi się ze śmiechu, zasłaniając usta.
- O, masz tu plamkę. – Uprzejmie wskazała jego T-shirt.
- Dok miał swoją dyżurną zrzedliwą minę, jednak z wyjątkiem oczu, w których wesoło połyskiwało.

– Molly śmiga tym wielkim żółtym ogórkiem po górach już trzydzieści lat. Nikt nie zna lepiej tych dróg. Widocznie tym razem zapomniała ominąć wybój.

– Ale przecież nie ma jeszcze września – marudził Luke.

– Jeździ przez cały rok. Letnia szkoła, specjalne programy, zawody sportowe. Wiecznie coś się dzieje. Święta kobieta, żywcem pójdzie do nieba. Za żadne skarby nie wziąłbym tej roboty. – Głośno wrzucił bieg. – Nasza kolej. Shelby pobiegła do dżipa. Luke ruszył w stronę swojego samochodu, którym ciągnął przyczepę kempingową. Usłyszał, jak Dok krzyczy za nim:

– Witaj w Virgin River, synu. Baw się dobrze. – I zarechotał.

Shelby McIntyre wiele miesięcy remontowała dom zmarłej matki, lecz mimo to latem udawało jej się w niemal każdy weekend wyrwać z Bodega Bay do Virgin River, żeby pojeździć konno. Dzięki temu trzymała formę, a jej oczy lśniły witalnością i zdrowiem. Ćwiczyła regularnie i intensywnie, co sprawiało jej ogromną radość. Ale teraz, w połowie sierpnia, kiedy zaparkowała przed domem Walta, czuła się zupełnie inaczej. Sprzedała dom, zapakowała dobytek do dżipa i w wieku dwudziestu pięciu lat zamierzała zacząć nowe życie. Nacisnęła klakson, wysiadła z auta i rozprostowała się. Po chwili uśmiechnięty wuj Walt zjawił się w drzwiach.

– Witaj – powiedział. – Albo raczej: witaj w domu.

– Cześć. – Przytuliła się do niego. Wuj miał metr osiemdziesiąt z hakiem, siwe włosy, ciemne, krzaczaste brwi i dłonie oraz ramiona jak zapaśnik. Okaz potężnie zbudowanego sześćdziesięciolatka.

– Właśnie miałem pójść do stajni i siodłać. – Mocno ją wyściskał. – Zmęczona? Głodna?

– Nie mogę się doczekać, żeby wskoczyć na konia, ale chyba sobie daruję. Od paru godzin siedzę za kółkiem.

– Odparzyłaś sobie tyłek, co? – skomentował wesoło.

– Mhm. – Pomasowała pupę.

– Wybieram się na godzinną przejażdżkę wzdłuż rzeki. Vanni pojechała na budowę przeszkadzać Paulowi w robocie, ale niedługo wróci i przygotuje powitalną kolację.

Shelby zerknęła na zegarek. Było wpół do czwartej.

– Wiesz co, skoro tak, to skoczę do miasta. Przywitam się z Mel Sheridan, może nawet namówię ją na piwo, by oblać moją przeprowadzkę. Wrócę na

tylko wcześniej, żeby pomóc przy koniach przed kolacją. Wypakować najpierw rzeczy z auta i zanieść do środka? – zapytała.

- Nie zwracaj sobie głowy. Potem pomożemy ci z Paułem. Rzuciła mu uśmiech.
- Umówmy się na jutro rano, co? Pogalopujemy razem?
- Ma się rozumieć. Jakies problemy ze sprzedażą domu?
- Nie sądziłam, że tak się rozczuję. Myślałam, że jestem gotowa.
- Żałujesz? Spojrzała na niego wielkimi orzechowymi oczami.
- Płakałam przez pierwszych sto kilometrów, a potem poczułam się podekscytowana nową sytuacją. Dobrze zrobiłam.
- No i świetnie, kochanie. Cieszę się, że przyjechałaś.
- Tylko na kilka miesięcy. Potem chcę trochę pozwiedzać, ułożyć plany na przyszłość, mentalnie nastawić się na naukę. Trochę minęło, od kiedy byłam studentką.
- Wiesz, nam się tutaj żyje spokojnie. Skorzystaj z tego.
- No jasne! – Roześmiała się. – Prawdziwa sielanka, tylko co jakiś czas strzelanina albo pożar lasu.
- Dziewczyno, przecież nie możemy się zanudzić! – Odprowadził ją do dżipa.
- Zaczekaj na mnie ze sprzątaniem boksu i karmieniem koni.
- Jedź do Virgin, poplotkuj z Mel, wypijcie po piwie. Musiało ci tego brakować przez ostatnie lata. Jeszcze zdążysz poprzerzucić końskie łajno.
- Dzięki, wujku – odparła ze śmiechem. – Niedługo będę z powrotem. Pocałował ją w czoło.
- Nie musisz się śpieszyć, ciesz się chwilą. Dobrze się opiekowałaś moją siostrą. Zasłużyłaś na relaks, bez troskę...
- Do zobaczenia za parę godzin. – Ruszyła w stronę miasta.

Luke Riordan wjechał do miasteczka. Na pace jego pikapu z przedłużoną kabiną stał przypięty pasami harley, ciągnął też niewielką przyczepę kempingową. Od ostatniej wizyty w Virgin River minęło siedem lat. Sporo tu się zmieniło. Zamknięto kościół, ale budynek w centrum, który niegdyś był starą, porzuconą rudera, został odnowiony. Parkowały przed nim auta

osobowe i pikapy, a w oknie wisiał wielki napis „Otwarte”. Z tyłu trwały prace budowlane, widać było szkielec pod przybudówkę. Ponieważ Luke też myślał o remoncie, postanowił przyjrzeć się, jak odnowiono starą chatę. Zaparkował na poboczu i wysiadł. Zniknął w przyczepie, zdjął ubrudzoną błotem koszulę i włożył czystą.

Sierpniowe popołudnie było ciepłe. Wiał miły wietrzyk, ale w górach noc będzie chłodna. Zanim się tu wybrał, nawet nie sprawdził, czy dom, w którym zamierzał zamieszkać, a który od roku stał pusty, nadaje się do tego. Ale gdyby się okazało, że niekoniecznie, zawsze miał do dyspozycji przyczepę. Odetchnął głęboko. Powietrze było tak diabelnie czyste, że aż kłuło w płucach. Ogromna różnica w porównaniu z pustyniami Iraku i El Paso. Tego właśnie potrzebował. Przekroczył próg drewnianego domku i znalazł się w przytulnej wiejskiej knajpce. Stał w drzwiach i rozejrzał się z podziwem. Podłoga z desek lśniła, w kominku trzaskały polana, a ściany zdobiły wędkarskie i łowieckie trofea. Było tu z tuzin stolików oraz długi lśniący bar, za którym ujrzał półki pełne trunków i szklanek. Butelki stały wokół wypchanego łososia, który musiał ważyć chyba ze dwadzieścia kilogramów. Zamocowany wysoko w rogu telewizor ze skreconym potencjometrem, pokazywał wiadomości. Dwóch rybaków, co zdradzały kamizelki i czapki w kolorze khaki, siedziało przy końcu baru i grało w cribbage. Przy stoliku obok kilku mężczyzn ubranych w stroje robocze popijało drinki. Luke spojrzał na zegarek. Była szesnasta. Podeszedł do baru.

– Co podać? – zapytał barman.

– Zimne z beczki proszę. Kiedy ostatni raz tu przyjechałem, tej knajpy nie było.

– No to dawno nie zaglądałeś. Prowadzę ten bar od ponad czterech lat. Kupiłem tę chatę i przerobiłem.

– Niezła robota. – Odebrał piwo. – Też planuję remont. – Wyciągnął rękę. – Luke Riordan.

– Jack Sheridan. Miło mi.

– Kupiłem kilka starych domków letniskowych nad rzeką. Od lat stały puste i niszczały.

– Stare domki Chapmana? – zapytał Jack. – Staruszek zmarł w zeszłym roku.

– Tak, wiem. Zobaczyłem je, kiedy przyjechałem zapolować z jednym z moich braci i przyjaciółmi. Uznaliśmy, że skoro domki leżą nad samą rzeką, to są

coś warte. Planowaliśmy je kupić, odnowić i urządzić, a potem sprzedać z zyskiem, ale stary Chapman nawet nie chciał o tym słyszeć...

– Nie miałby gdzie się podziać, gdyby sprzedał wszystko – powiedział Jack, przecierając bar.

– Zgadza się. – Luke upił lodowatego piwa. – Dlatego kupiliśmy całą posiadłość, łącznie z jego domem, i uzgodniliśmy, że może w nim mieszkać do końca życia, nie płacąc ani grosza. Okazało się, że przeżył jeszcze siedem lat.

– Ubił niezły interes. – Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale ty też. W okolicy nie tak często pojawia się posiadłość na sprzedaż.

– Od razu się zorientowaliśmy, że ziemia pod tymi domkami jest warta znacznie więcej niż same domki. Od tamtej pory nie miałem okazji przyjechać, a brat był tu tylko raz, żeby się rozejrzeć. Powiedział, że nic się nie zmieniło.

– Czemu nie przyjeżdżałeś?

– No cóż... – Podrapał się w podbródek. – Afganistan, Irak, Fort Bliss i parę innych miejsc.

– Siły lądowe?

– Zgadza się. Dwadzieścia lat.

– Ja odsłużyłem dwadzieścia w piechocie morskiej – rzucił Jack. – Uznałem, że przez następnych dwadzieścia będę podawał drinki, polował i łowił.

– Niezły plan!

– Wziął w łeb przez śliczną położną, niejaką Melinę. – Uśmiechnął się. – Złapała mnie i trzyma...

Miło, że ktoś jest zadowolony z życia, pomyślał Luke. Odwzajemnił uśmiech, a potem zapytał:

– Sam remontowałeś?

– Pomagali mi, ale wolę sam. Natomiast bar to robota na zamówienie, przywieźli i ustawili. Zamontowałem półki i położyłem podłogę. Kiepsko mi idzie hydraulika, a do tego sknocilem kable, więc zleciłem tę robotę, ale drewno to inna sprawa. Na tyłach dobudowałem sporą część mieszkalną, którą zajął mój kucharz, Proboszcz. Rozbudowuje ją, bo powiększyła mu się rodzina. A ty będziesz odnawiał te domki?



– Najpierw muszę zobaczyć, co i jak. Chapman miał już swoje lata, kiedy kupił posiadłość, więc dom zapewne wymaga pracy. Nie mam też pojęcia, w jakim stanie są domki, ale i tak nie mam nic lepszego do roboty. W najgorszym razie odremontuję dom i pomieszkam trochę. W najlepszym odnowię wszystko i wystawię na sprzedaż.

– A gdzie twój brat? – zapytał Jack.

– Nadal w służbie. Stacjonuje w Beale Air Force Base, lata na U-2. Na razie jestem sam.

– A ty na czym służyłeś?

– Latałem na Black Hawkach.

– No, no... – Jack pokręcił głową. – Na pierwszej linii.

– Żebyś wiedział. Przeżyłem swoje.

– Rozbiłeś się?

– Jeszcze czego! – oburzył się Luke. – Musieli mnie zestrzelić.

– No, ładnie. – Jack się roześmiał. – Ale przeżyłeś.

– To nie był pierwszy raz, i w przeblysku geniuszu uznałem, że ostatni.

– Coś mi mówi, że rzucało nas po tych samych miejscach. Może nawet w tym samym czasie.

– Powalczyło się, co?

– Afganistan, Somalia, Bośnia, dwa razy Irak.

– Mogadyszu... – Luke pokręcił głową.

– Taa... Zostawiliśmy wam niezły bałagan. Fatalnie się z tym czułem. Wielu waszych nie wróciło. Przykro mi, stary.

– Było źle. – Coś, co zaczęło się jako misja humanitarna pod auspicjami ONZ, zakończyło się okrutnym powstaniem po tym, jak wycofano siły piechoty morskiej, pozostawiając na miejscu jedynie oddziały lądowe. Somalijski watażka Aidid przypuścił atak, w wyniku którego zginęło osiemnastu amerykańskich żołnierzy, a ponad dziewięćdziesięciu zostało rannych. – Musimy się upić pewnego dnia i pogadać o tamtych czasach. Jack sięgnął przez bar, położył dłoń na ramieniu Luke'a i powiedział:

– Jasne. Witaj w mieście, bracie.

– Okej, to teraz mi powiedz, gdzie można tu się zabawić i poznać miłe dziewczyny, do kogo zadzwonić, gdybym potrzebował pomocy przy domu, i o której mogę tu dostać piwo.

– Stary, już od dawna nie rozglądam się za panienkami. Ale z tym to na wybrzeże, do Fortuny czy Eureka. W Ferndale jest Brookstone Inn, miła restauracja i bar. Stara Eureka też jest w porządku. Jeśli wolisz bliżej, to w Garberville masz knajpkę z szafą grającą. – Wzruszył ramionami. – Kiedyś widziałem tam niebrzydkie dziewczyny. A co do remontu, to znam kogoś odpowiedniego. Mój kumpel przeniósł tutaj z Oregonu część rodzinnej firmy budowlanej, właśnie teraz stawia Proboszczowi przybudówkę. Pomagał mi wykończyć dom. Solidny fachowiec. Czekaaj, znajdę wizytówkę.

Jack poszedł na zaplecze. Nie było go może minutę, kiedy do baru weszły dwie kobiety, przez które Luke niemal dostał zawału serca. Dwie śliczne blondynki, jedna trzydziestoparoletnia, z kręconymi złotymi lokami, a druga, znacznie młodsza, z niesamowicie grubym, złotym jak miód warkoczem, który sięgał do pasa. Shelby... To ją uratował przed kąpielą błotną. Obie były w obcisłych dżinsach i wysokich butach. Starsza miała na sobie luźny, robiony na drutach sweter, zaś Shelby tę samą śnieżnobiałą koszulę co przedtem, z podwiniętymi rękawami, postawionym kołnierzykiem i zawiązana w pasie. Usiłował się nie gapić, ale nie umiał się powstrzymać, tym bardziej że go nie zauważyły. Czyżby nie musiał jechać aż do Garberville? Usiadły na stołkach przy barze w tej samej chwili, w której Jack wyszedł z zaplecza.

– Cześć, kochanie. – Nachylił się przez bar do starszej z blondynek i pocałował, wyjaśniając tym samym Luke'owi sytuację. – Poznaj nowego sąsiada. Luke Riordan. To Mel, moja żona, a to Shelby McIntyre, która ma tu rodzinę.

– Miło mi – powiedział Luke.

– Jest właścicielem posiadłości po Chapmanie, w tym starych domków letniskowych, które chce wyremontować. To były żołnierz, więc chyba pozwolimy mu zostać.

– Witaj – rzuciła Mel.

Shelby uśmiechnęła się do niego, opuściwszy lekko powieki. Dawał jej jakieś osiemnaście lat, wyglądała jak młoda dziewczyna. Gdyby wydała mu się starsza, nie omieszkałby wziąć od niej numeru telefonu, kiedy spotkali się na błotnym szlaku. Ani Eureka, ani Brookstone nie mogły się z tym równać, choć obie panie były poza jego zasięgiem. Mel to kobieta Jacka, a Shelby wciąż jest nastolatką. Bardzo seksowną nastolatką, pomyślał. Niemniej jednak stanowiły obietnicę czegoś więcej, bo skoro w byle knajpce w Virgin

River znalazły się aż dwie tak piękne kobiety, to w tych górach musi ich być całe mrowie.

– Bardzo proszę – powiedział Jack, przesuwając po barze wizytówkę. – Mój kumpel, Paul. Obecnie buduje jeszcze dom dla Brie, mojej młodszej siostry, i jej męża, tuż obok naszego. Plus dom dla siebie i swojej żony.

– A mojej kuzynki – dodała Shelby. Luke uniósł pytająco brew.

– Vanessa, żona Paula, to moja kuzynka. Mieszkają u mojego wuja Walta. Właśnie tam się sprowadziłam.

– Mel, chcesz piwo? – spytał Jack. – Shelby?

– Wypiję coś zimnego z Shelby, a potem uciekam, bo muszę zwolnić Brie z opieki nad dziećmi, żeby mogła zjeść kolację z Mikiem – odparła Mel. – Wpadłam tylko, żeby ci powiedzieć, gdzie będę. Dam dzieciakom jeść i położę je do łóżka. Przyniesiesz wieczorem kolację od Proboszcza?

– Oczywiście.

– A ja wracam do domu pomóc przy koniach – powiedziała Shelby. – Ale najpierw poproszę o piwo.

Aha, czyli ma co najmniej dwadzieścia jeden lat, pomyślał Luke. Chyba że Jack pozwala sobie na drobne łamanie prawa w swoim małym, leżącym z dala od cywilizacji barze, pomyślał kpiąco.

– To ja już będę leciał... – zaczął Luke.

– Zaczekaj do piątej, jeśli ci się nie śpieszy – powiedział Jack. – Wtedy przychodzą stali bywalcy. Idealna okazja, żeby poznać nowych sąsiadów. Luke spojrział na zegarek.

– Mogę jeszcze trochę zostać.

Porozmawiał z Jackiem o remoncie baru, podczas gdy panie zajęły się własnymi tematami. Niespełna dziesięć minut później Jack oznajmił:

– Przepraszam cię, ale muszę odprowadzić żonę – i zostawił Luke'a przy barze w towarzystwie Shelby.

– Widzę, że się przebrałeś – zagadnęła.

– No tak, wypadało. Ładnie mnie urządziła.

– Nie podziękowałam ci za uratowanie ciuchów.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł, sącząc piwo.

- Widziałam te domki letniskowe. Lubię jeździć nad rzeką. Wyglądają naprawdę kiepsko.
  - Wcale mnie to nie dziwi. - Zachichotał. - Mam tylko nadzieję, że jeszcze się nie rozpadają.
  - Wiesz, to stare budynki, z czasów, kiedy jeszcze używano materiałów dobrej jakości. Tak twierdzi moja kuzynka. Niektóre z tych starych domów trzymają się, jakby postawiono je z cegły. No więc... twoja rodzina też tu przyjedzie? Zadane szybko i konkretnie pytanie zaskoczyło go. Podniósł wzrok znad piwa i z uśmiechem spojrzał na Shelby.
  - Nie. Matka i bracia mieszkają w różnych miejscach.
  - Żony brak? - Kącik jej ust podniósł się leciutko razem z jedną z pięknych brwi.
  - Żony brak - potwierdził.
  - O, szkoda.
  - Nie żałuj mnie tak bardzo. Lubię tak, jak jest.
  - Samotnik?
  - Nie. Facet bez żony. - Wiedział, że teraz jego kolej, by zapytać, czy ona kogoś ma, ale nie miało to dla niego znaczenia. Nie zamierzał brnąć w tym kierunku. To byłoby nierozsądne. A jednak spojrzał jej w oczy i spytał: - Przyjechałaś w odwiedziny?
  - Mhm. - Pociągnęła łyk.
  - Na jak długo?
  - Sama jeszcze nie wiem. - Odstawiła do połowy pełny kufel i położyła przed Jackiem, który właśnie wrócił, kilka dolarów. - Dzięki. Muszę pędzić do koni.
  - Shelby, czemu po prostu nie poprosiłaś o małe piwo? - zapytał Jack. Wzruszyła ramionami i posłała mu uśmiech, po czym wyciągnęła rękę do Luke'a.
  - Miło było cię znowu spotkać. Do następnego.
  - Jasne. - Ścisnął jej dłoń, a potem patrzył za nią, jak wychodziła. Wcale nie chciał śledzić jej wzrokiem, ale pokusa była nie do odparcia. Kiedy znów spojrzał na Jacka, ten uśmiechnął się pod nosem i zakrzętnął za barem.
- Przed siódmą Luke poznał Proboszcza, Johna dla żony i pasierba. Poznał Paige, żonę Proboszcza, Brie, młodszą siostrę Jacka, i jej męża, Mike'a,

a także ponownie ujrzał Doka Mullinsa. Spędził trochę czasu z nowymi sąsiadami. Posilił się najlepszym łososiem, jakiego w życiu jadł, wysłuchał plotek i powoli zaczął się czuć jak jeden ze „swoich”. Gdy tak siedział przy barze, ludzie wchodzili i wychodzili, zamawiali drinki i jedzenie, pozdrawiali Jacka i Proboszcza jak starych druhów. Do baru weszła kolejna para, a mianowicie budowlaniec Paul Haggerty i jego żona Vanessa.

– Jack do mnie przekreślił – oznajmił Paul – i powiadomił, że mamy nowego sąsiada.

– Za dużo powiedziane – odparł Luke. – Nawet jeszcze nie zajrzałem do domu.

– To twoja przyczepa? – zapytał Paul.

– Na wszelki wypadek – wyjaśnił Luke ze śmiechem. – Gdyby dom okazał się niezdatny do użytku, nie będę musiał spać w aucie.

– Daj znać, jeśli zechcesz, żebym go obejrzał.

Luke przesiedział w knajpie znacznie dłużej, niż początkowo zamierzał. Kiedy przyjaciele Jacka rozchodzili się, życząc mu dobrej nocy, Luke został, żeby wypić filiżankę kawy z właścicielem. Stwierdził, że w miasteczku mieszkają bardzo mili ludzie. Był zaszokowany kobietami. Mógł zrozumieć, że Jackowi udało się znaleźć taką piękność w Virgin River, ale miał wrażenie, że wspaniałe kobiety otaczają go zewsząd. Shelby, Paige, Brie i Vanessa, wszystkie były uderzająco atrakcyjne. Miał nadzieję, że w następnym miasteczku trafi przynajmniej na większą różnorodność.

– Pewnie będziesz chciał poznać teścia Paula, Walta – odezwał się Jack. – To emerytowany wojskowy.

– Tak? Shelby coś wspominała.

– Trzy gwiazdki. To ten Walt, wuj Shelby.

– O rany, ma generała za wuja...

– Naprawdę miły gość.

– Ile ona ma lat? Osiemnaście? Pewnie jeszcze nie skończyła szkoły. Jack zachichotał.

– Jest trochę starsza, szkołę też skończyła, ale fakt, wygląda bardzo młodo. Ładniutka, co? Trudno nie zauważyć, pomyślał Luke, po czym dodał:

– Wystarczyło jedno spojrzenie na nią i miałem wrażenie, że zaraz mnie aresztują. – Gdy Jack wybuchnął śmiechem, spytał: – Niebezpieczna panienka, nie? Młoda, słodka i mieszka z trzygwiazdkowym generałem.

- Niby tak, ale już nie jest małolată. Powiedziałbym nawet, że nieźle wyrosła.
- Dobra, dobra, nie wnikajmy.
- Jak sobie życzysz – podsumował Jack. Luke wstał, położył pieniądze na blacie i powiedział:
- Dzięki, Jack. Naprawdę nie spodziewałem się takiego powitania. Cieszę się, że zanim pojechałem do domu, wstąpiłem do miasteczka.
- Daj znać, jeśli będziesz potrzebował pomocy. Miło, że do nas przyjechałeś, żołnierzu. Spodoba ci się tutaj.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Sheridanowie zwykle jadali kolację w barze, nierzadko wspólnie z przyjaciółmi, po czym Jack wyprawiał rodzinę w drogę do domu, żeby Mel mogła położyć dzieci spać, a sam zostawał na posterunku i obsługiwał klientów aż do zamknięcia lokalu. Tego wieczoru Mel bardzo się śpieszyła, bo nie chciała nadużywać uprzejmości Brie, która była z dziećmi. Jack zamknął bar odrobinę wcześniej i zaniósł kolację do domu. Nadal zdumiewało go, jak wielką czuł satysfakcję, wracając do rodziny. Trzy lata wcześniej był jeszcze kawalerem, który mieszkał w pokoju przylegającym do baru, kompletnie niezainteresowanym zakładaniem podstawowej komórki społecznej. A teraz nawet nie wyobrażał sobie innego życia. Co dziwniejsze, na tym etapie jego uczucia do żony mogły przedzierzgnąć się w stan samozadowolenia, a mimo to namiętność i miłość do niej pogłębiały się z każdym dniem. Mel owinęła go sobie wokół palca, posiadała ciałem i duszą. Nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się tak długo bez tego przeżyć. Nie rozumiał, dlaczego inni mężczyźni tego unikali. I w końcu pojął przyjaciół, którzy od lat wiedli takie życie.

Ot, proza życia: posiłek przy kuchennym stole, rozmowa o budowie w barze, ktoś nowy pojawił się w miasteczku, Shelby zamieszkała u generała, ale myśli o studiach... Dla Jacka ta proza stanowiła najważniejszą część dnia, kiedy to miał Mel wyłącznie dla siebie, nie musiał się nią dzielić z dziećmi leżącymi już w łóżkach.

Sprzątnąwszy naczynia, Mel poszła wziąć prysznic, natomiast Jack rozpalil ogień w komiku w sypialni, bo noce zaczęły robić się chłodne. W górach jesień przychodziła wcześniej. Następnie obszedł budynek, zbierając śmieci, które rano wywiezie do miejskiego kontenera. Stanąwszy w kuchennych drzwiach, zdjął buty, a przechodząc przez pralnię, ściągnął koszulę i skarpetki i zostawił je na pralce. Zanim wrócił do sypialni, szum prysznica ucichł. Powiesił pasek w szafie i poszedł do łazienki. Gdy wszedł do środka, przyłapał Mel stojącą przed lustrem. Szybko opasała się ręcznikiem. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, dostrzegł w jej spojrzeniu poczucie winy.

– Melindo, co robisz? – zapytał, rozpinając spodnie, by zaraz wskoczyć pod prysznic.

– Nic. – Odwróciła wzrok. Zmarszczył brwi i podszedł do niej. Podniósł jej brodę i popatrzył w oczy.

– Zasłaniasz się? Przede mną? – zapytał zdziwiony.

– Jack, ja flaczeję. – Nerwowo poprawiła ręcznik.

– Słucham? – spytał rozbawiony. – O czym ty mówisz? Odetchnęła głęboko.

- Cycki mi opadają, tyłek osuwa się na uda, mam brzuch jak donica, a jakby tego było mało, przez te wszystkie rozstępy wyglądam jak balon, z którego zeszło powietrze. – Położyła dłoń na jego twardej jak skała klatce piersiowej. – Masz osiem lat więcej ode mnie, a jesteś w doskonałej formie.
- Myślałem, że zasłaniasz tatuaż albo co. Mel, pamiętaj, że urodziłaś dwójkę dzieci, i to rok po roku. Emma ma zaledwie kilka miesięcy. Daj sobie trochę czasu, dobrze?
- Nic nie poradzę, że tęsknię za moim dawnym ciałem.
- No, no... – Otoczył ją ramieniem. – Jeśli zaczynasz tak mówić, to znaczy, że kiepsko się staram.
- Ale to prawda – odparła, opierając głowę na jego piersi.
- Mel, przecież z każdym dniem piękniejesz. Uwielbiam twoje ciało.
- Nie jest takie, jakie...
- Aha, ale jest lepsze. – Pociągnął za ręcznik, ale nie puściła. – Daj spokój. – Wreszcie zabrała ręce. – Ach, niesamowite, niewiarygodne ciało. Każdego dnia coraz bujniejsze. Nie sposób mu się oprzeć.
- Nie mówisz serio...
- Ależ tak. – Pocałował ją, jedną dłoń kładąc na piersi, a drugą delikatnie przesuwając po plecach w kierunku pośladków. – To ciało dało mi tak wiele, po prostu je uwielbiam. – Podniósł lekko jej pierś. – Popatrz.
- Nie mogę patrzeć...
- Popatrz, Mel. Spójrz w lustro. Kiedy widzę cię naga, wprost zapiera mi dech w piersiach. Z każdą zmianą stajesz się lepsza, bardziej apetyczna. Jak mógłbym nie podziwiać ciała, które wydało na świat moje dzieci? Dałaś mi tak dużo rozkoszy, że aż czasem mi się zdaje, jakbym tracił zmysły. Kochanie, jesteś doskonała.
- Ważę dziesięć kilo więcej, niż kiedy się poznaliśmy.
- To co teraz nosisz? – spytał ze śmiechem. – Czwórkę?
- Co ty tam wiesz... Wyżej niż czwórkę. W rejonach dwucyfrowych...
- Boże, patrzysz na to z góry... – przewrócił oczami. – Dziesięć kilo więcej dla mnie do pieszczenia.
- A co, jeśli wciąż będę tyła?



- Czy te kilogramy to cała ty? Bo ja kocham ciebie, Mel. Kocham twoje ciało, bo ono jest tobą. Rozumiesz to, prawda?
- Ale...
- Gdybym stracił nogi w wypadku, czy przestałabyś mnie kochać i pragnąć?
- Oczywiście, że nie! To nie to samo!
- Nie jesteśmy tylko ciałem. Mieliśmy szczęście, że trafiło nam się takie, jakie się trafiło, ale to nie wszystko.
- To mój opięty dzinsami tyłek zwrócił twoją uwagę...
- Moja miłość do ciebie sięga znacznie głębiej, o czym przecież wiesz, kochanie. Ale – uśmiechnął się – nadal wyglądasz powalająco w tych dzinsach. Nawet jeśli faktycznie zyskałaś dziesięć kilo, to musiały się rozłożyć we właściwych miejscach.
- Zastanawiałam się, czy nie poprawić sobie brzucha.
- Co za bzdura. – Złożył na jej ustach namiętny pocałunek, błędząc dłońmi po jej nagich plecach. Aż wreszcie Mel całkiem mu się poddała. – Kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy, pomyślałem, że nigdy wcześniej nie było mi tak dobrze. Najwspanialsze doświadczenie w moim życiu. Nie sądziłem, że może być jeszcze lepiej, ale jest. Za każdym razem lepiej i mocniej niż poprzednio.
- Przystanę jeść te tłuste dania Proboszcza – powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. – Będę go namawiała, żeby zaczął robić sałatki. Wziął ją za rękę i położył sobie jej dłoń na brzuchu, zsuwając niżej.
- Już nie mam czasu na prysznic... – Przyłgął ustami do jej szyi. – Chyba że chcesz tam wrócić ze mną.
- Jack...
- Wiesz, jak bardzo cię pragnąłem tej pierwszej nocy? – wyszeptał z ustami wciąż przy jej szyi. – Od tamtej pory wciąż pragnę cię jeszcze bardziej. Chodź.
- Uniósł Mel. – Pokażę ci, jaka jesteś piękna. – Położył ją delikatnie na pościeli i ukląkł nad nią, otaczając ramionami. – Rozpalić w twoim kominku?
- zapytał ze śmiechem. Przesunęła dłońmi po jego biodrach, zsuwając mu spodnie.
- Jack, kiedy przestanę być dla ciebie atrakcyjna, powiesz mi o tym, prawda? Proszę. Żebym miała czas, by coś z tym zrobić. Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie, na pewno ci o tym powiem. - Pocałował ją raz jeszcze. - Boże, jak cudownie smakujesz.
- Ty też całkiem nieźle - szepnęła, zamykając powieki.
- Jakieś specjalne życzenia?
- Wszystko co robisz, jest specjalne.
- A więc pełny serwis...

Kiedy późną nocą Luke zajechał pod dom, musiał wygrzebać wielką latarkę, żeby sobie poświecić, jako że prąd odcięto rok wcześniej, zaraz po śmierci starego Chapmana. Luke dostrzegł zarys czarnego jak smoła budynku, a także paru domków z oknami zabitymi deskami i odpadającym gontem. Tyle pierwszych wrażeń, nim rano obejrzy wszystko dokładnie. Lecz szum rzeki był niesamowity. Cóż za wyśmienita lokalizacja. Tak bardzo spodobało mu się to miejsce, gdy zobaczył je po raz pierwszy. Rzeka, pohukiwanie sów, wiatr gwiżdżący między sosnami, od czasu do czasu gęganie gęsi i kwakanie kaczek. Chociaż było zimno, postanowił wyciągnąć dodatkowy koc i spać przy otwartym oknie w przyczepie kempingowej, żeby słyszeć rzekę i nocne leśne odgłosy.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca włożył dzinsy i buty i wyszedł, aby przywitać różowy, rzeński, wilgotny poranek. Spojrzawszy w dół skarpy, ujrzał wody rzeki przewalające się przez naturalne wodospady, gdzie jesienią łososie będą skakały pod prąd, składając ikrę. Na drugim brzegu cztery jelenie korzystały z wodopoju. A dom i domki letniskowe wyglądały jak z koszmaru. Jak pryszcz burzący piękno tego krajobrazu. Tego się spodziewał. Mnóstwo pracy do zrobienia, ale wielki potencjał. Oczywiście mógłby sprzedać posiadłość za cenę ziemi, ale to byłby kiepski interes. Natomiast jeśli wyremontuje budynki, negocjacje z potencjalnym nabywcą zaczną się od nieporównywalnie wyższych kwot. Musiał mądrze zaplanować kolejny ruch. Cały czas kołatał mu się w głowie inny pomysł na życie. Przecież ze swoimi kwalifikacjami łatwo znajdzie pracę jako pilot śmigłowca w stacji telewizyjnej, w pogotowiu czy w firmie transportowej. Tyle że położony nad rzeką skrawek ziemi jawił mu się niczym biblijny raj... czy też obietnica raj. Odetchnął głęboko i zabrał się do pracy. Najpierw dokonał inspekcji domu. Ganek okazał się duży i całkiem ładny, ale należało go wzmocnić, oszlifować i pomalować. Drzwi się zacięły, więc musiał otworzyć je siłą, przy okazji szczerbiąc kilka zbutwiałych desek przy ościeżnicy. W środku panował potworny brud, bo dom nie dość, że został zapuszczony przez starego Chapmana, to po jego śmierci zrobiły tu sobie legowisko dzikie zwierzęta. Luke usłyszał tupot i zobaczył odciski łap na zakurzonej podłodze.

Musiało być tu mnóstwo myszy i szopów, pewnie też oposów. Oby tylko w tym domu nie zamieszkał niedźwiedź. W każdym razie Luke już wiedział, że nadal przyjdzie mu nocować w przyczepie. Zapach również nie należał do najprzyjemniejszych. Wszystko zostawiono w takim stanie, w jakim znajdowało się w dniu śmierci Chapmana, nawet łóżko było wygniecione, jakby przed chwilą z niego wstał. Podłogę zaściełały brudne ubrania. W kuchni Luke znalazł zgniłe, stare jak świat jedzenie. Wszystkie meble stały na swoim miejscu, jednak były zniszczone, zatechłe i poplamione. Sprzęt kuchenny także był wiekowy, a przed odcięciem prądu lodówka pewnie ani razu nie widziała środków czyszczących. Nasiąkła smrodem, którego jakoś trzeba będzie się pozbyć. Przez drzwi frontowe wchodziło się prosto do obszernego salonu z nieźle zachowanym kamiennym kominkiem. Na lewo była duża pusta jadalnia, oddzielona od kuchni zapadniętym barkiem. Kuchnia była na tyle duża, że zmieściłby się w niej stół z czterema krzesłami lub też można by wydzielić duży aneks. Naprzeciwko wejścia znajdował się krótki korytarz, z którego wchodziło się po jednej stronie do dużej łazienki z ustawioną centralnie wanną, a po drugiej do pomieszczenia gospodarczego. Na wprost była sypialnia. Brakowało szafy w zabudowie, ale to przecież dom w starym stylu. Staruszek zostawił po sobie wielkie komody i szafy. Drewniane łóżko ozdobione czterema słupkami także imponowało rozmiarami. Luke'owi meble nie przypadły do gustu, ale stwierdził, że skoro zbudowano je z solidnego, ciężkiego, trwałego jesionu, to pewnie przedstawiały pewną wartość. Wrócił do salonu, skąd na piętro wiodły schody. Wszedł po nich ostrożnie, bojąc się spróchniałych stopni. Na górze było ciemno. O ile dobrze pamiętał, mieściły się tu dwie spore sypialnie, brakowało jednak łazienki. Gdy znów usłyszał tupot małych łapek, zbiegł na dół. Na pięterko zajrzy ponownie, kiedy deratyzator zrobi swoje. Stojąc pośrodku salonu, podsumował, co zobaczył. Dobra wiadomość była taka, że najpewniej nie trzeba będzie wybebeszać całego domu i całkiem go przebudowywać, by można było tu zamieszkać. Gorzej, że robota będzie nie tylko ciężka i czasochłonna, ale i wymagająca sporych nakładów finansowych. Żadne meble, poza jesionowymi z sypialni, nie nadawały się nawet na dar dla ubogich. Podłogę należało wyremontować, szafki w kuchni zdemontować i wymienić, zainstalować nowe blaty, zerwać tapetę i parapety, usunąć drzwi i framugi. Listwy przypodłogowe oszlifować i polakierować, a może po prostu wymienić na nowe. Do tego wywózka śmieci i walka z insektami oraz gryzoniami. Tym akurat może zająć się sam, oczywiście z pomocą deratyzatora. Później sprawdzi dach. Wyszedł z domu i otworzył drzwi prowadzące do pierwszego domku letniskowego. Ta sama historia. Spróchniałe meble, pobojuwisko na podłodze. Wszystkie domki składały się z jednej izby, od lat nieużywanej. Piecyki i lodówki były bardzo stare i zapewne już nie działały. Luke znał się na drewnie i malowaniu, ale wolał nie tykać gazu i elektryczności. Spojrzał na sześć pustych domków, z których

każdy wymagał bojlera, piecyka, lodówki i mebli. Będzie musiał sprawdzić, w jakim stanie są dachy, choć już z dołu widział, że brakowało wielu gontów. Ściany wymagały oszlifowania, polakierowania i pomalowania. Wszystkie okna nadawały się tylko do wymiany. Oszacował siły i zamiary. Był prawie wrzesień. Między styczniem a czerwcem, kiedy zjawiają się pierwsi wczasowicze, w tej części świata czas płynie powoli i w mokrej szarówce. Gdyby do wiosny udało się doprowadzić domki do porządku, mógłby wystawić je na sprzedaż lub wynająć letnikom. Gdyby zaś się okazało, że do tego czasu znudzą mu się góry, zwinie interes i ruszy albo do San Diego, gdzie stacjonował jego brat Aiden i gdzie było mnóstwo słonecznych plaż oraz dziewczyn w skąpych strojach kąpielowych, albo do Phoenix, gdzie mieszkała owdowiała matka, która z wdzięcznością powitałaby syna. Wszędzie znajdzie pracę jako pilot. Odczepił przyczepę kempingową, z pikapu zjął harleya i postawił go przed domem. Włożył rękawiczki robocze, chwycił za miotłę oraz szufłę i zaczął sprzątać dom. Postanowił wyładować samochód śmieciami, których pozbędzie się, gdy pojedzie do Eureka, gdzie zamierzał załatwić podłączenie mediów, umówić się z deratyzatorem i wynająć kontener.

Słońce mocno grzało, więc Luke pracował rozebrany do pasa. Właśnie wrzucał na pakę pikapu wielki trzynogi fotel, kiedy ją zobaczył. Zastygł z meblem nad głową. Przyjechała tu na pięknym, dorodnym srokaczu. Zatrzymała się na polanie, uśmiechając się do Luke'a. Czysta słodycz, czysta niewinność. Nie był w stanie się poruszyć. Miała na sobie szorty w kolorze khaki, kowbojki, białą koszulkę z krótkim rękawem i kamizelkę wędkarską w kolorze khaki. Stetson dodawał jej dziewczęcego uroku, a wymykający się spod niego gruby blond warkocz sprawiał, że wyglądała na piętnaście lat. Była drobna, lecz figurę miała bardzo kobiecą. Pomyślał, że gdyby odważył się wobec niej na... cokolwiek, będzie to wbrew prawu, zaraz też poczuł na karku ciężar swoich trzydziestu ośmiu lat. Koń tańczył, ubijał kopytami ziemię, parskał i przekrzywił łeb, ale mała kowbojka zdawała się tego nawet nie zauważać. Pewnie siedziała w siodle, sprawnie radziła sobie z wierzchowcem.

– Musiałam to zobaczyć na własne oczy – powiedziała z uśmiechem. – Naprawdę zaatakowałeś ten bałagan. Wow! Trochę się napracujesz. Wrzucił fotel na pakę i wyjął z kieszeni szmatę, żeby obetrzeć spocone czoło.

– Owszem, roboty jest mnóstwo, ale jak się rozejrzysz uważnie, to może zrozumiesz, jaki potencjał ma ta posiadłość. Jak tu wpadniesz za kilka miesięcy, sama się przekonasz.

– Już jestem pod wrażeniem. Potężna robota, ale widzę jej sens. Możesz tu zrobić kawałek turystycznego rajku, jeśli ktoś lubi spędzać urlop blisko natury. W moich stronach, na plaży, też były takie stare domki. Kiedy byłam

nastolatka, stały puste, więc dzieciaki włamywały się, żeby palić trawę i... robić inne rzeczy. A pewnego dnia zniknęły, po prostu zostały starte z powierzchni ziemi.

– Kiedy byłaś nastolatką... czyli w zeszłym tygodniu?

– Ej! – Roześmiała się. – Dziesięć lat temu.

– W takim razie w ogóle się nie starzejesz. – Czemu po prostu nie spytasz?  
– rzuciła wyzywająco.

– Okej. Więc ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć. A ty?

– Sto dziesięć. Znów się roześmiała. Odrzuciła do tyłu głowę, warkocz na jej plecach zafalował.

– Wiedziałam, że jesteś stary, ale żeby aż tak?

– Trzydzieści osiem. Nie twoja liga.

– To zależy. – Wzruszyła ramionami.

– Od czego?

– Od tego, czy akurat gram w jakiejś lidze. O Boże, pomyślał, spodobałem się jej. To nie było zwykle przekomarzanie, ale prawdziwy flirt. Nie powinien w to wchodzić, ale cóż... Luke nie należał do tych facetów, którzy twardo kroczą ścieżką cnoty, nie dręczyły go skrupuły. Do tego w pewnych sytuacjach dość słabo panował nad sobą. Cóż, Shelby nie powinna go tak kusić...

– Nieźle sobie radzisz z tym koniem. Ładny srokacz.

– Nazywa się Chico – wyjaśniła. – Ogier. Wuj Walt przygarnął go, kiedy Chico był źrebakiem. Po tej szkole, którą przeszedł, powinien być bardziej posłuszny, ale wiesz, jak to jest z końmi.

– Wiele razy przelatywałem nad stadami dzikich koni na pustyni. Niesamowite stworzenia.

– Jeździsz konno? – zapytała.

– Od lat nie siedziałem w siodle.

– Wędkujesz?

– Jeśli trafi się okazja. Polujesz?

– Nie. – Aż się wzdrygnęła. – Nie potrafiłabym zabić zwierzęcia, za to strzelam do rzutek i jestem w tym całkiem niezła. Ostatnio sporo pracuję w ogrodzie i niańczyę dzieci. No i dużo czytam.

– Co tu robisz? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Przyjechałam do Virgin, by spędzić trochę czasu z rodziną przed powrotem na studia. Wuj Walt, siostra cioteczna Vanessa, jej mąż Paul, ten budowlaniec, i brat cioteczny Tom, to cała moja rodzina. Tom jest na obozie przygotowawczym przed studiami w West Point, niedługo dostanie przepustkę.

– Nie chodzi mi o Virgin River – sprostował z uśmiechem. – Co robisz tutaj? Sprawdzasz mnie?

– Nie pochlebiaj sobie. Sprawdzam domki letniskowe. – Odwzajemniła uśmiech. – W zeszłym roku latem kilka razy tędy przejeżdżałam. Naprawdę sądziłam, że je wyburzą. Nie łatwiej wybudować nowe?

– Pewnie łatwiej, ale nie taniej. Poza tym potrzebuję jakiegoś zajęcia.

– Dlaczego? Wyrzucili cię z pracy?

– Odszedłem z wojska.

– Jak mój wuj! – Uniosła brwi.

– Nie, nie jak twój wuj. Jako chorąży, pilot śmigłowca. Jack mówił, że twój wuj jest emerytowanym generałem z trzema gwiazdkami. To zupełnie inna bajka.

– Pamiętaj, że przeszedł na emeryturę. – Znów uśmiechnęła się i zarumieniła przy tym. – Już nie dowodzi. Zauważył zaróżowione policzki. To jasne, że miała ochotę na flirt, ale nie była w tym naturalna. Mógłby ułatwić sprawę, przecież umiał sprawić, by kobieta poczuła się swobodnie. Lubił to. Zalała go fala czystego pożądania. Skarcił samego siebie, starając się zdusić ją w zarodku. Powiedziała, że ma dwadzieścia pięć lat, ale w każdym innym barze, nie u Jacka, poproszono by ją o okazanie dowodu tożsamości. Sięgnął po koszulę wiszącą na ganku.

– Nie musisz – powiedziała. – Już znikam. Byłam w okolicy, więc tylko wpadłam zobaczyć, jak posuwa się twoja robota.

– Fakt. Jesteśmy sąsiadami. – Włożył koszulę, choć jej nie zapiał. – Powinienem wracać do pracy, chyba że czegoś potrzebujesz.

– Nie... Na pewno spotkamy się u Jacka.

– Jedyne miejsce, gdzie dają piwo, więc jasna sprawa.

– No to powodzenia. – Gdy zebrała wodze, Chico stanął dęba, gotów wyrwać się galopem. – Na razie! – Pognała ku rzece. Patrzył za nią. Kiedy przedarła się przez gęsty zagajnik, pochyliła się i popędziła tak szybko, że jej warkocz unosił się w powietrzu. No to wpadłem, pomyślał Luke. Cudownie i seksownie zbudowana, czuła się w siodle zupełnie naturalnie, a jej zgrabny tyłeczek intrygująco poruszał się w takt biegu konia. Wielkie nieba, co mi chodzi po głowie? – ofuknął się w duchu. Shelby nie mogła wiedzieć, jak wielkie wrażenie wywarła na nim, piękna, drobna i pełna pokus, gdy zjawiała się na wielkim rumaku. Największy błąd, od którego popełnienia dzielił go zaledwie krok. Ale cóż, tak bardzo chciałby wziąć ją w ramiona. Zaczął się modlić o rozwagę i umiar przy tej wspaniałej kobiecie.

Shelby pędziła do domu, zastanawiając się, dlaczego Luke uznał, że z nim flirtowała. Przecież w ogóle nie był w jej typie. Poza tym miała swoje plany, i tylko one się liczyły. Oczekując informacji o przyjęciu na uczelnię, zamierzała wybrać się w podróż. Sama. Była tak cudownie podniecona, gdy pewnego lata wybrała się na Wschodnie Wybrzeże, do dziś też wspominała cudowną wyprawę do Europy na zaproszenie kuzynostwa. Ale nigdy nie była na Karaibach, w Meksyku, we Włoszech, Francji, Japonii... Marzył jej się długi rejs albo włóczęga po Włoszech i południowej Francji, lub też wyjazd do Cabo San Lucas. Kiedy już naładuje baterie, będzie gotowa wrócić na studia. Zatrudni się gdzieś na pół etatu i zapisze na kilka wakacyjnych kursów jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem roku akademickiego, by wczuć się w uczelniany klimat. Samotna podróż... A może pozwoli sobie na małą przygodę? Oczywiście, nie z takim facetem. Luke był zbyt dojrzały, to raz. Wiedział wszystko o życiu, o mężczyznach i kobietach, podczas gdy ona wiedziała tak mało. Był niebezpieczny, wyczuła to od razu, i kierował się zmysłowymi impulsami. Aż ciarki przechodziły jej po plecach. Wyglądał jak jakiś wojownik, nawet miał tatuaże. Aż zadrżała, gdy zobaczyła półnagiego Luke'a, szczęśliwie siedziała na ogromnym koniu, co dodało jej pewności siebie. Ramiona Luke'a były szerokie i mocno umięśnione, a na lewym bicepsie kazał wytatuować opaskę z drutu kolczastego. Brzuch miał gładki i twardy, pokryty meszkiem znikającym w dzinsach. Szczecina porastająca szczękę sprawiała, że uśmiech wydawał się kpiący, może nawet szyderczy, a już na pewno hultajski. Aż dostała gęsiej skórki. Otaczała go aura beztronski. Taki ktoś weźmie, na co ma ochotę, a potem porzuci, zapominając już następnego ranka. Lecz gdy Shelby tak go lustrowała, czuła ogarniające ją ciepło. Bo w Luke'u było coś takiego... coś zakazanego, co kusiło zapowiedzią niezwykłej przygody, tajemniczym smakiem. Czyżby, na przekór zdrowemu rozsądkowi, w tym mężczyźnie było coś aż tak wyjątkowego, że warto by zaryzykować przygodę? Chwilkę zapomnienia? Zaraz jednak uznała w duchu, że nie, absolutnie nie! Jej przygoda będzie ubrana w koszulkę polo,

będzie miała policzki gładkie jak pupcia niemowlaka, modną fryzurę, żadnych tatuaży i wyższe wykształcenie. Za nic nie chciała przerażającego pilota Black Hawka, który zdobył doktorat z numerków na jedną noc!

Gdy Mel wpadła do kuchni w barze, Proboszcz stał odwrócony tyłem z dłońmi zanurzonymi w zlewie.

– Ej, Prob. – Gdy się nie odwrócił, powtórzyła głośniejszym głosem: – Proboszcz! – Znów nic. – John! – wrzasnęła. Podskoczył zaskoczony, odwrócił się do niej i wyjął zatyczki z uszu.

– Mel, nie skradaj się tak – powiedział.

– Nie skradałam się. Musiałam na ciebie krzyknąć.

– Wiesz, od tego hałasu pęka mi głowa. Poszedłbym na ryby, ale mam jeszcze sporo roboty.

– Posłuchaj... – Usiadła na stolku. – Musimy pogadać.

– Jasne. Odetchnęła głęboko.

– Od kiedy tu przyjechaliśmy, przytyłam dziesięć kilo. Prawie pięć rocznie. Jak skończę czterdziestkę, będę ważyła sto kilo. Zmarszczył brwi. Nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć, aż w końcu odparł z uśmiechem:

– To chyba dobrze, nie?

– Dobrze?! Wcale nie jest dobrze! – Aż podskoczył na tę jej pełną złości odzywkę, a potem znowu zmarszczył czoło, spróbowała więc perswazyjnego tonu: – Słuchaj, Prob, musisz zacząć gotować mniej tuczaco. Rozumiesz?

– Nikt się nie skarżył na moją kuchnię, Mel. Smakuje dobrze...

– Sama tak uważam, ale pamiętaj, że gotujesz dla mężczyzn pracujących fizycznie. – Zlustrowała go wzrokiem. – Stoisz w kuchni cały dzień i na pewno wszystkiego próbujesz, ale nie tyjesz. Jakim cudem?

– Dużo sprzątam, a także podnoszę ciężary, chociaż z dwójką dzieciaków to już nie to samo.

– No tak, twoje kalorie idą w mięśnie. Ale wiesz, John, kobiety są inaczej zbudowane, nie mają takiej muskulatury. Musisz używać mniej śmietany i masła, no, tego typu produktów. Zresztą i tak nie są zdrowe, rozumiesz, waga, cholesterol, ciśnienie, źle działają na serce. Rób sałatki, więcej warzyw, ale niech nie pływają w maśle. Przecież nie mogę być jedyną osobą w tym mieście, która tyje na twojej kuchni.

– Sałatki? Nie robię sałatek.



– Wiem o tym. – To była trudna, męcząca rozmowa. – Ale musimy wprowadzić pewne zmiany, drobne, ale jednak. Kup na kanapki jakieś nietuczące, pełnoziarniste pieczywo. Nie gotuj tyle makaronu. Podawaj mniej chleba i ziemniaków. Rób sałatki, kupuj świeże owoce.

– Przecież mamy mnóstwo owoców – zaprotestował.

– Owszem, w plackach.

– Prawie codziennie jesz placki i co, jesteś przeciw? – Spojrzał na nią zdumiony. – Przecież je uwielbiasz, najbardziej ze wszystkich.

– Uwielbiam, to prawda. – Skrzywiła się. – Ale skończę z tym. To co, możesz przygotowywać lepsze posiłki? Proszę. Bo jeśli nie, to przestanę tu jadać. Będę zabierała lunch z domu i sama przyrządzała kolacje. To szaleństwo musi się skończyć. Nie mogę tak tyć. Nie będę gruba! Proboszcz dumiał przez chwilę, uważnie patrząc na Mel, wreszcie spytał niepewnie:

– Jack narzekał na twój wygląd?

– Jasne, że nie! – odparła, nie kryjąc frustracji. – Uważa, że wyglądam doskonale.

– Więc sama widzisz...

– John, ty mnie chyba nie słuchałeś. Muszę przejść na dietę. Chcesz, żebym ci zapisała, czego potrzebuję?

– Nie – odparł urażony. – Przecież wiem, co to dieta.

– Dzięki. Proszę cię tylko o pomoc, o nic więcej.

– Chcemy, żebyś była zadowolona – powiedział, ostrożnie dobierając słowa.

– Dzięki temu będę. – Zsunęła się ze stołka. – Dzięki, to wszystko.

Gdy poszła, Proboszcz dumiał przez dłuższą chwilę, a potem poszedł do pracujących przy budowie robotników. Jack też tam był, rozmawiał z Paulem. Obaj mieli na głowach kaski. Proboszcz nie chciał im przerywać, więc czekał cierpliwie, aż wreszcie go zauważyli. Paul westchnął, po czym podniósł leżący na ziemi kask i podał go Proboszczowi.

– Ile razy mam ci powtarzać, że nie wolno tu przebywać z gołą głową?

– Tak, jasne. – Proboszcz próbował włożyć kask, był jednak zbyt mały, więc zatrzymał się na czubku głowy.

– Stawiamy szkielet piętra. – Paul skrzywił się. – Przez ten swój wielki łeb sam się prosisz o wypadek.

- Spoko, rozumiem. – Proboszcz spojrział na Jacka. – Słuchaj, Mel była u mnie. Skarżyła się na jedzenie.
- Co? Mel?
- No tak. Mówi, że tyje od mojego gotowania.
- Ach, to... – Jack był wyraźnie rozbawiony. – W domu też coś marudziła. Nie przejmuj się tym.
- Hm... To nie zabrzmiało tak, żebym miał się tym nie przejąć. Wręcz przeciwnie, ona mówiła serio.
- W krótkim czasie urodziła dwoje dzieci, potem wycięto jej macicę. Poza tym, choć nie cierpi, gdy się jej o tym przypomina, starzeje się. Wszyscy się starzejemy, ale kobiety stają się wtedy bardziej upierdliwe.
- Skąd o tym wiesz?
- Cztery siostry – odparł Jack. – Kobiety wciąż się martwią rozmiarami cycków i tyłka. I udami, o nich też często marudzą.
- Nawrzeszczała na mnie – powiedział Proboszcz jakby trochę wystraszony, czym jeszcze bardziej rozbawił Jacka. – Powiedziałaś jej to? No, że kobiety z wiekiem stają się upierdliwe?
- Czy ja wyglądam na kogoś, kto chciałby wydać na siebie wyrok śmierci? Poza tym moim zdaniem ona wcale nie tyje, choć moje zdanie niewiele się liczy.
- Chce sałatek. I świeżych owoców.
- To takie trudne do zrobienia?
- Nie – Proboszcz wzruszył ramionami. – Ale czy ja jej każę, by codziennie zżerała mój placek? I nie zawsze zadowala się tylko jedną porcją. – Paul parsknął śmiechem, Jack też był daleki od powagi, jednak Proboszcz jakby tego nie widział, tylko mówił dalej: – Mel mówi, bym używał mniej śmietany i masła, bo wtedy jedzenie jest mniej kaloryczne. Ale Jack, to już nie będzie ten sam smak. Nie da się zrobić sosu bez mąki, masła, tłuszczu, śmietany. Ludzie to uwielbiają. Łosoś w sosie koperkowym, makaron z serem, faszerowany pstrąg, żeberka z czosnkiem. Potrawki z sosem. Ludzie przyjeżdżają z daleka, żeby zjeść, co ugotuję.
- Wiem, Prob. Nie musisz wszystkiego zmieniać, ale zrób coś, żeby Mel była zadowolona, okej? Jakaś sałatkę, grillowaną pierś kurczaka, rybę bez sosu, coś w tym guście. Wiesz, co robić. Zgoda?

– Oczywiście. Myślisz, że ona chce, żeby wszyscy w mieście przeszli na dietę? Bo powiedziała, że nie gotuję zdrowo.

– Co ty, tak się tylko mówi, ale jak chcesz, żeby przestała ci suszyć głowę, daj jej sałatę. – Uśmiechnął się. – I jabłko zamiast placka. Proboszcz pokręcił głową.

– A ja myślę, że cokolwiek zrobię, i tak będzie marudziła.

– Przecież mówiła, że tego chce, tak?

– No tak.

– Niech więc moc będzie z tobą – odparł Jack, szczerząc zęby.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Przez pierwsze dwa tygodnie pobytu w Virgin River Shelby przyzwyczajała się do nowej sytuacji. Stała się piątym członkiem zapracowanej, otwartej rodziny, więc jej życie odmieniło się radykalnie. Kiedy Tom, po obozie przygotowawczym do West Point, przyjechał na dziesięciodniową przepustkę, rodzina znów się rozrosła, dlatego konieczna była roszada z pomieszczeniami. Vanni i Paul zabrali do siebie synka, zwalniając pokój gościnny służący za dziecięcą. Przeniosła się do niego Shelby, by swój dawny pokój mógł odzyskać Tom. A jak tylko Tom wrócił pod rodzinny dach, pojawiła się jego dziewczyna Brenda, z którą stanowili nierozłączną parę. Dom Boothów był przestronny, ale Shelby miała wrażenie, że mieszkają w nim ściśnięci jak sardynki w puszcze. W Bodega Bay, gdzie żyła tylko z matką, miała mnóstwo miejsca, a gdy tego chciała, ciszę i nieraz tak bardzo upragnioną samotność, na którą tutaj mogła liczyć tylko podczas przejazdów konnych. A i to tylko przy wyjątkowych okazjach, bo prawie zawsze ktoś chciał jej towarzyszyć.

Dowiedziała się o czymś, co kompletnie ją zaskoczyło. Jakim cudem nie wyczuła pisma nosem? Pewnego wieczoru, kiedy Tommy był z Brenda, a Walt oznajmił, że wybiera się na piwo i też opuścił dom, Vanni powiedziała do Shelby:

– Mhm, na piwo.... Musi być dobre, bo jakoś za każdym razem bardzo długo je pije. Założę się, że nie wróci na kolację. – Puściła do niej oko. – Piwo marki Muriel. Innymi słowy, tata ma nową kobietę.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Shelby.

– Serio – z uśmiechem potwierdziła Vanni. – Tak mi się zdawało, że stają się dla siebie kimś więcej niż tylko sąsiadami, a jak ty przyjechałaś i pojawił się Tommy, tata korzysta z zamieszania i ciągle do niej się urywa.

– Znasz ją?

– Widziałaś „Nigdy nie jest za późno”?

– Uwielbiam ten film! – odparła podekscytowana Shelby.

– Muriel St. Claire. Pamiętasz, grała świeżo upieczoną rozwódkę.

– O rany... Ona tu jest?

– Kupiła ranczo, w linii prostej to będzie z półtora kilometra stąd w dół rzeki. Przeszła na emeryturę i osiadła w Virgin River. Skończyła z aktorstwem, sama remontuje dom. Tylko trzy razy widziałam tatę i Muriel razem. Cóż, nieźle się kryją, ale wystarczy raz zobaczyć, jak im się do siebie świecą oczy...

Zaproponowałam ojcu, żeby zaprosił Muriel na kolację, a on że nie, że to, że siamto... Innymi słowy, splawił ukochaną córeczkę! – Roześmiała się pogodnie. – Generał i gwiazda... Dam sobie rękę uciąć, że coś ich łączy, ale żadne się nie przyzna. Jak nic, tata chce ją mieć tylko dla siebie.

– Wuj Walt ma kobietę? – powtórzyła zdumiona Shelby. – I to słynną aktorkę?

– Długo zwlekał... Myślę, że po śmierci matki nic takiego nawet nie przeszło mu przez głowę. Ale minęło już pięć lat, więc najwyższa pora. Każdy kogoś potrzebuje. Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Chciałabym tylko, żeby trochę wyluzowali, otworzyli się na innych. Tak chciałabym posłuchać o tych wszystkich gwiazdach, które Muriel знаła.

Shelby była typową nastolatką, może tylko trochę zbyt nieśmiałą. Dostawała dobre stopnie, miała przyjaciółki, udzielała się w szkole. Po lekcjach pracowała dorywczo w bibliotece, umawiała się też na randki, gdy coś tam w sercu piknęło, lecz nic poważnego się nie zdarzyło. Chodziła na zawody sportowe i na różne imprezy. Jej znajomi raczej trzymali się całą paczką, niż tworzyli pary. Owszem, kilka dziewczyn zakochało się na zabój, ale większość miała to dopiero przed sobą, w dorosłym życiu. Na imprezy czy szkolne bale chodziło się z kolegami, partnerami na jeden wieczór. Była ostrożniejsza niż dziewczyny w jej wieku, ale tak wychowała ją matka, która otwarcie rozmawiała z córką o przypadkowej ciąży. Midge urodziła ją, gdy miała osiemnaście lat. Wymuszone ciążą małżeństwo rozpadło się, nim Shelby skończyła roczek. Pamiętając o tym, nie zamierzała powtórzyć błędu matki. Wiedziała, że w tych sprawach nie będzie się śpieszyć. Ale nie sądziła, że czekanie przeciągnie się aż tak bardzo... Shelby miała zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy skończyło się dla niej życie nastolatki, a do drzwi zapukały obowiązki. Wuj Walt zaproponował, że pokryje koszty pobytu siostry w domu spokojnej starości, ale Shelby oznajmiła:

– To nie potrwa długo. Mama odejdzie znacznie szybciej, niż sądzimy, choć to straszna myśl. Poświęciła mi całe swoje życie, zawsze byłam na pierwszym miejscu. Jeśli teraz ja nie oddam jej kilku lat własnego życia, to wszystkie następne nie będą nic warte.

A potem nastąpił koniec i nadszedł czas, by zastanowić się, co dalej. Jeszcze zanim Vanni wspomniała o związku wuja Walta, Shelby wiedziała już, czego pragnie. Chce odnowić stare przyjaźnie i nawiązać nowe. Chce być taka jak inne kobiety w jej wieku. Żyć w prawdziwym związku, pełnym szczerzej miłości, namiętności i seksu, a nawet codziennych zmagania z życiem. Pragnęła tego wszystkiego. Należało jej się to. Musiała wreszcie poczuć się spełniona. Potrzebowała mężczyzny.

Walt zastukał do domku Muriel i otworzył drzwi. Na czas prac nad głównym budynkiem Muriel zaadaptowała stary barak. Zwykle gdy przychodził, czekała na niego w roboczym ubraniu, dopiero potem ogarniała się. Dziś była nie tylko po kąpieli i przebrana, ale zdążyła jeszcze rozłożyć talerze i sztuce na niedużym stoliku, pośrodku stawiając świeczkę. Z uśmiechem podał jej paczkę z daniami na wynos z baru Jacka, a potem podrapał za uchem dwa podekscytowane labradory, Luce i Buffa.

– Jakies święto? – zapytał, wskazując stół.

– Owszem. Skończyłam podłogi na piętrze. Jeszcze tylko jedna warstwa farby w sypialni i korytarzu i będę mogła tam zamieszkać, jeśli tylko zechcę. Wczoraj kupiłam gablotkę do jadalni. Znalazłam ją niedaleko Arcaty, wiesz, w tym sklepiku z antykami. Jest spora, nie jestem w stanie zdjąć jej z paki, więc zaparkowałam auto w stodole. Może mi jutro pomożesz?

– Jasne. Otworzyła paczkę.

– Co to?

– Mostek, czerwone ziemniaki ugotowane na parze, fasolka szparagowa. Wciągnęła zapach.

– Placek?

– Oczywiście.

– Córce i siostrzenicy powiedziałaś, gdzie idziesz? – zapytała z uśmiechem.

– Na piwo. – Też się uśmiechnął.

– Walt, nie sądzisz, że to już przestaje być zabawne? – skarciła go. – Nie łudź się, już nikt nie daje się na to nabrać, poza tym coraz mniej mi się podoba to całe ukrywanie.

– Muriel, ja cię nie ukrywam. – Jednak po minie było widać, że trochę się wystraszył. – No skąd! A piwo wypilem, jak czekałem na jedzenie.

– To czemu nie zaprosiłeś mnie na kolację z rodziną?

– Chcesz przyjść na kolację?

– Walt, nie pozwolę ci się z tego wywinąć. Pamiętaj, że ja wiem, co robię, znam się na mężczyznach. Ty ani nie chcesz zrobić następnego kroku, ani nie chcesz się wycofać. Bardzo mnie cieszy nasza przyjaźń, zależy mi na niej, ale pod warunkiem, że wszystko jest w porządku. Umknął wzrokiem, dumiał przez chwilę, wreszcie powiedział trochę niepewnie:

– No dobrze, niech ci będzie. Muriel, naprawdę lubię to, co jest między nami. Konne przejażdżki, kolacje we dwoje, a nawet jak zapędzasz mnie do malowania, szlifowania czy przestawiania mebli. Ale... cały czas czekam, że powiesz coś w hollywoodzkim stylu... no wiesz, że romantyczny związek to nie dla ciebie, bo jesteś ponad to. Boję się tego.

– Co to ma być? To, co jest między nami? Walt, czy to nie jest związek? Zrozum, mnie też to się podoba. Poza tym – dodała z uśmiechem – w Hollywood wcale tak nie mówią.

– A jak mówią?

– Raczej piszą. Wielkimi literami, na pierwszej stronie brukowca, który widzisz na stojaku w supermarkecie. Wiesz, coś w stylu: „St. Claire przyłapana na perwersyjnym romansie”. Albo: „Mąż St. Claire widziany w towarzystwie modelki”. Inny wariant mówi o dziwce. – Wzruszyła ramionami. – Albo coś równie prostackiego. – Zamilkła, zapatrzona w Walta. Czytała w jego oczach, w jego twarzy, starając się zrozumieć, i nagle gwałtownie odstawiła paczuszkę z jedzeniem na stół. – Dobry Boże! Walt, myślisz, że pozwalam ci tu przychodzić i męczyć mnie przez cały czas tylko dlatego, że jesteś jedynym w okolicy wolnym facetem w odpowiednim wieku! Podniósł czarne krzaczaste brwi.

– A nie jestem?

– Nieważne! Zawsze się oglądałam za przystojnymi trzydziestolatkami! Teraz to on się roześmiał.

– Nie dziwię się. Niestety, w okolicy kiepski wybór.

– Walt, na miłość boską, jeśli Virgin River przestanie mnie bawić, mam czym stąd odjechać. – Podeszła bliżej, położyła mu dłonie na ramionach i pocałowała... nie, po prostu wpiła się w niego i nie puszczała tak długo, aż w końcu objął ją, przyciągnął mocno do siebie i równie żarliwie zareagował. To był fantastyczny, długi, doskonały pocałunek. Kiedy w końcu poluzował uścisk, Muriel odsunęła się od Walta i zdzieliła go w klatkę piersiową. – Przestań zachowywać się jak dureń, bo wszystko zepsujesz. Przyjdę na kolację w piątek. Ty gotujesz. Przyniosę wino.

– Okej, w porządku. – Odrobinę brakowało mu tchu. – Kolacja. Z rodziną.

– Nie dlatego, że chcę, żebyś mi się oświadczył, ale po prostu pragnę poznać twoich najbliższych. A co ważniejsze, to oni chcą poznać mnie i upewnić się, że jesteś w dobrych rękach. – Zaczęła wyjmować jedzenie z paczki.

– Hm... powtórzymy to jeszcze? No wiesz, taki pocałunek.

- Bije na głowę chodzenie za rączkę, co?
- Owszem, bije. - Trzeba było dopiero podstarzałej gwiazdy filmowej, żeby generał twardej padł na kolana. Zaczęły też nachodzić go pragnienia, które, jak myślał, powoli już w nim wygasają. Otóż nie wygasają.
- Może po kolacji. Na razie jestem na ciebie trochę zła.
- Szkoda, bo dla odmiany ja czuję się z tobą doskonale.
- To nie ja powinnam była zrobić pierwszy ruch - narzekała. - Jezu, ci mężczyźni. Albo zbyt ambitni, albo za mało. - Zadzwoił jej telefon. - Wybacz, Walt... - Po odebraniu połączenia przez chwilę kogoś słuchała, a potem powiedziała: - Miło, że o mnie pamiętałeś, dziękuję, ale potrzeba czegoś naprawdę wielkiego, żeby skusić mnie do zagrania w filmie... Za rok? Zobaczmy, co będziesz dla mnie miał za rok, Mason. Ale poważnie, nie wracam do Los Angeles, a już na pewno nie dla jakiejś głównianej drugoplanowej roli w filmie klasy B. Dobrze się tutaj bawię. Mam konie i psy, a tego się tak łatwo nie przewozi. Nie, jasne, że nie chodzi o konie i psy, tylko o przejście na emeryturę. Nie jestem przekonana, czy masz coś, czym mógłbyś mnie skusić. Dobrze, okej, przyślij scenariusz, zerknę, ale wątpię, żebym zmieniła zdanie, miej to na uwadze. Tak, Mason. Ty też. - Rozłączyła się. Walt nie miał zbyt przyjaznego wyrazu twarzy, gdy zaczął:
  - Czy mogę zapytać...
  - Mason - weszła mu w słowo. - Mój agent.
  - I były mąż. Piętnaście lat starszy od ciebie. Czy sam nie powinien pomyśleć o emeryturze? Ma ile... siedemdziesiąt jeden lat?
  - Nigdy nie wiadomo. Ten facet jeszcze zatańczy na moim grobie.
  - Chce, żebyś wróciła?
  - Tak, do pracy, tyle że nie mam takiego zamiaru. - Spojrzała na posepnego Walta i wybuchła śmiechem. - Hej, czy ty się martwisz? Spokojnie. On do mnie dzwoni prawie codziennie, wysyła też scenariusze, zresztą same śmieci. Ale Mason zawsze podrzucał mi, co popadnie, licząc, że coś mi się spodoba. - Podeszła do niego i pomasaowała go po piersi. - Musiałby mi zaproponować coś na miarę „Kotki na gorącym blaszanym dachu” albo „Przeminęło z wiatrem”, żeby w ogóle zwrócić moją uwagę. - Uśmiechnęła się do niego. - Czy możemy wreszcie spróbować specjałów Proboszcza? Strasznie dziś jesteś nerwowy. Jak nie ty. A ja umieram z głodu! Przeczesał palcami jej miękkie blond włosy.
  - Jesteś głodna? Kiedy się poznaliśmy, jadałaś tylko selery i humus.



- No tak, wiem. Znajomość z tobą odkłada mi się w biodrach.
- Mnie to nie przeszkadza, Muriel. Zapal tę świeczkę i nałóż sobie porcję. – Wreszcie się uśmiechnął.

Na wieść o zbliżającej się wizycie słynnego gościa Vanessa i Shelby wpadły w szal sprzątania. Zamierzały wziąć Muriel St. Clair w krzyżowy ogień pytań. Wypytały o wszystkie gwiazdy, jakie przyjdą im do głowy. Teraz testowały te pytania na sobie. Chciały zajrzeć słynnym ludziom pod łóżko, jednak w taki sposób, by nie ładować się tam z butami, jak brukowce. Jasne, że chciały wiedzieć na przykład, kim był najseksowniejszy facet, z którym Muriel spała.

- Nie możesz o to zapytać! – przeraziła się Shelby.
- Pewnie, że nie – zgodziła się Vanessa. – To wymyśl sposób, jak zapytać, który z hollywoodzkich byczków okazał się największym niewypałem. Wybuchnęły śmiechem.

Walt słuchał tego, krzątając się w kuchni. Uparł się, że sam wszystko ugotuje, w końcu obiecał to Muriel. Zaintrygowały go te pytania. To oczywiście, że Shelby i Vanessa nie mogą ich zadać, on jednak, za jakiś czas, i owszem. Tom, któremu z przepustki zostały raptem dwa dni, przyprowadził Brendę. Zjawili się kilka minut przed przybyciem Muriel. Kiedy Brenda dołączyła do Vanni i Shelby, poziom ekscytacji wzrósł.

Muriel przekroczyła próg domu, wręczyła gospodarzowi dwie butelki wina i dostrzegła, że wpatrują się w nią trzy podekscytowane młode i urodziwe kobiety.

- No cóż, zanim się rozkręcicie – powiedziała z figlarnym błyskiem w oku – od razu uprzedzam, że nie plotkuję o sprawach łóżkowych.

Vanni, Shelby i Brenda zaczerwieniły się jeszcze bardziej, ale za chwilę wybuchły śmiechem. Potem wszystko poszło jak z płatka. Zasiedli przy dużym stole w jadalni, raczyli się winem, posiłkiem i opowieściami o Hollywood. Vanni, Brenda i Shelby zrewanżowały się Muriel plotkami z Virgin River. Gdyby jednak naprawdę śledziły losy gwiazd, wiedziałyby, że Muriel dzieli się z nimi tylko powszechnie znanymi historiami, o których pisano w gazetach. Zachowała się ostrożnie, a także z klasą. Zresztą ten numer zastosowała nie pierwszy już raz podczas spotkania z ludźmi spoza branży. Cóż, dzieje jej życia przeciętnym ludziom kojarzyły się z baśniową opowieścią, nie szczędziła więc barwnych szczegółów, tyle że opisanych już w prasie i zawsze zgodnych z prawdą, jednak skrupulatnie omijała łóżkowe rejon. Oczywiście znała sekrety największych gwiazd i najbardziej

wpływowych producentów, za które „Enquirer” zapłaciłby fortunę, pozostawały jednak zamknięte na głucho w skarbcu jej pamięci. Była też pewna, że wszystkie historie rodem z Virgin River – gorące romanse, bójki, śmierci, załamania, triumfy – były prawdziwe. Wysłuchiwała ich z zaciekawieniem, przecież te okolice stały się jej domem.

– Oj, dzieje się u nas, dzieje – powiedziała w pewnym momencie Vanni. – A plotka goni plotkę. Na przykład od jakiegoś czasu najbardziej obgadywanym romansem... – zawiesiła głos, unosząc brwi – jest gorący związek między pewną prymuską kończącą liceum a kadetem z West Point.

– Nie! – krzyknęła Brenda. – Ludzie o nas gadają? Wszyscy wybuchli śmiechem.

– A jakże, gadają... – powtórzyła z tajemniczą miną okrutna Vanessa.

– Mówią coś złego? – dopytywała nie na żarty wystraszona Brenda. Śmiech niósł się już po całym domu. Wreszcie odezwała się Muriel:

– Kochanie, oczywiście, że nie. Jesteście miłą, słodką parą, nikt złego słowa o was nie powie. Wszyscy dobrze wam życzą, trzymają kciuki, żebyście przetrwali college i West Point Toma. Wydajecie się dla siebie stworzeni.

– Naprawdę? – Podniosła z dumą głowę. To nie byle co w wieku siedemnastu lat usłyszeć komplement z ust Muriel St. Claire.

Po kawie i serniku siedzieli jeszcze długo, jednak wieczór kiedyś musiał się skończyć. Walt i Muriel uparli się, że sami pozmywają.

– Muriel obiecała. Bo powiedziała, że prędzej odda nerkę, niż zacznie gotować – wyjaśnił Walt. Kiedy znaleźli się w kuchni sami, dodał:

– Pięknie sobie poradziłaś z przesłuchaniem. – Pocałował ją w szyję. – Klasyczne rozpoznanie: unik, opór, ucieczka. Zrobiłabyś karierę w armii. Odwróciła się w jego ramionach.

– Moja praca była znacznie bardziej niebezpieczna, ale zgadzam się. Tak, jestem dobra.

– Uwińmy się z tym zmywaniem. Pojedziemy do ciebie i pobędziemy trochę z dala od dzieciaków.

– Podoba mi się ten pomysł – odparła z uśmiechem.

W drugim końcu domu Tom przytulił Brendę i obsypał gorącymi pocałunkami.

– Jak się czujesz jako piękniejsza połówka najśłodszego pary w mieście?

– Nie chcę o tym myśleć, bo mi to przypomina, że zostały nam jeszcze tylko dwa dni.

– Więc może lepiej znajdziemy jakieś ustronne miejsce. Co ty na to?

– Mhm. Im prędzej, tym lepiej.

W salonie, przed kominkiem, Paul usiadł w głębokim skórzanym fotelu, a Vanessa wskoczyła mu na kolana. Powiodła palcami po jego uchu i pocałowała go w skroń. Słyszeli, jak w kuchni Walt i Muriel śmieją się, a spod wejścia z piskiem opon odjeżdża auto Toma, który zabiera gdzieś swoją dziewczynę.

– Jak dom? Długo jeszcze? – szepnęła.

– Pracuję najszybciej, jak się da. Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy mieli własny kąt. – Pocałował ją delikatnie w usta. – Jak tylko nadgonię na budowie, proponuję, żebyśmy wymknęli się do Grants Pass, nie mówiąc o tym nikomu. Zachichotała.

– Paul, wystarczy, że zostawimy małego u twojej matki. Nikt nam nie będzie przeszkadzał, kiedy zajmie się Mattem. Będziemy mogli robić, na co tylko przyjdzie nam ochota. Przejechał nosem po jej szyi.

– Jak myślisz, czego teraz chcę? Wtuliła się w niego.

Na tarasie Shelby, słysząc śmiech dobiegający z kuchni, silnik wozu Toma i obściskiwanie się przed kominkiem, popatrzyła na chłodne, wczesnojesienne niebo. Próbowała wyobrazić sobie twarz matki na tle gwiazd, to, jak wyglądała, zanim dopadła ją choroba. Pełna energii, piękna, tryskająca humorem i pewna siebie kobieta. Powędrowała myślami do mamy, jak to miała w zwyczaju, to szepcząc, to mówiąc w duchu:

– Szkoda, że nie było cię dzisiaj z nami przy stole, bo było świetnie. Wszyscy się śmiali, wygłupiali, opowiadali dowcipy i plotkowali. Zachowywali się tak głośno. A wuj Walt z kobietą u boku... Było zupełnie inaczej niż z ciotką Peg. Zabawniej. Wiesz, mamo, on jest szczęśliwy. Nie przypuszczałam, że potrafi się tak dobrze bawić. A Muriel, jak na gwiazdę, jest taka zabawna i radosna. Powinnaś zobaczyć Vanni i Paula razem. Były chwile, kiedy bardzo się martwiłam o Vanesę, najpierw jak straciła matkę, a potem męża. Bałam się, że już nigdy nie będzie naprawdę szczęśliwa. Paul jest dla niej jak dar, zresztą dla całej rodziny. Wiem, że Tom i Brenda myślą tylko o tym, jak ciężko im będzie przeżyć rozstanie, ale to, jak na siebie patrzą... Ach, przypominają mi się wszystkie te babskie filmy, które razem oglądałyśmy. O rany, ile tu miłości w powietrzu. Naprawdę nie sądziłam, że takie miasteczko może pomieścić tyle życia, tyle uczucia. Mam szczęście, że tu

jestem, z rodziną... Długo patrzyła w gwiazdy, jakby szukając na niebie matki, a może odpowiedzi na niezadane pytanie. – Wiesz, mam – szepnęła – choć otacza mnie tylu ludzi, wciąż mocno za tobą tęsknię... Jednak niebo milczało. – Mam, czasami czuję się taka samotna... Shelby przymknęła oczy i spytała: – Mam, jak ci się zdaje? Czy i na mnie przyjdzie kolej? Cały czas o tym myślę...

Mel Sheridan pracowała z Dokiem Mullinsem od ponad dwóch lat. Przez ten czas wzięła ślub z Jackiem i urodziła dwójkę dzieci. Praca nie należała do lekkich, zwłaszcza że Dok był starym zrzęda, jednak wytworzyła się między nimi bliska zawodowa więź, która przerodziła się w przyjaźń. Nie we wszystkim się zgadzali, a tak po prawdzie w większości, ale doskonale się rozumieli. Mel była zwolenniczką literalnego przestrzegania prawa, podczas gdy Dok w pierwszym rządzie kierował się tym, by jego ludziom, jego miastu żyło się jak najlepiej, a jeśli przeszkadzały temu jakieś tam bzdurne paragrafy, tym gorzej dla nich. Innymi słowy, Dok Mullins był gotów do największego ryzyka, byle tylko wykonać swoją pracę, i to wykonać ją dobrze. Mel uświadomiła sobie, że Dok musiał przyjmować na świat niemal całe miasteczko, w każdym razie tych jego mieszkańców, którzy mieli poniżej czterdziestki. W Virgin River był kimś więcej niż tylko lekarzem. Był filarem, ostoją i opoką, spowiednikiem, przyjacielem i uzdrowicielem. Nie miał innej rodziny. To Virgin River było jego rodziną. Mel i Dok, choć do sentymentalnych nie należeli, pokochali się. On utrzymywał, że nie potrzebuje zadzierającej nosa pielęgniarzki z Los Angeles, ona zaś ogłosiła publicznie, to znaczy w barze Jacka, że wprawdzie z wieloma starymi upierdliwcami zdarzyło się jej już pracować, ale z Dokiem żaden nie może się równać. Gdy uznał to za komplement, poszło już z górki, jak to w prawdziwej miłości. Pracowali razem, darzyli się szacunkiem i zaufaniem, choć zdarzało się, że działali sobie na nerwy. Wtedy dochodziło do pyskówek, które oczyszczały atmosferę. Dok nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci. Zdradził Mel, że w ogóle nie ma żadnej rodziny. Nie traktował jej jak córki, ona nie widziała w nim ojca, lecz do jej dzieci odnosił się jak dziadek. Nigdy się do tego nie przyznał, ale wystarczyło zobaczyć błysk w jego oczach, gdy brał któreś w ramiona. Napęniało to jej serce dumą i miłością.

Mel zjawiała się w przychodni z samego rana. Oparła się o kuchenny zlew, sącząc kawę, kiedy Dok przykuśtykał do środka.

– Dobry – mruknął.

– Dobry, słońce – odparła z uśmiechem. – Jak tam dzisiaj artretyzm?

- Gorzej być nie może, cholera. – Sięgnął do szafki nad zlewem i wyjął fiolkę ze środkiem przeciwzapalnym.
- Gorzej niż wczoraj, kiedy było gorzej niż przedwczoraj? – zapytała. Łypnął na nią, unosząc siwe brwi.
- Tak. – Połknął kapsułki bez popitki.
- A, to przepraszam. Współczuję. Słuchaj, dogadałam się z Shelby. Posiedzi trochę z małymi. Niebo mi ją zesłało. Brie mocno urósł brzuch i chociaż uwielbia w każdą środę zastępować mnie przy dzieciakach, to lepiej dać jej wolne. Poza tym Shelby lubi się udzielać. Więc jej na to pozwólmy. Będzie doglądała dzieci, asystowała przy badaniach, poznawała tajniki pracy prowincjonalnej przychodni. Przekona się, że medycyna nie ogranicza się do opieki nad śmiertelnie chorymi. Już się nie może doczekać. Niech się wdroży, co? Jak myślisz?
- Pomoc przy dzieciach na pewno ci się przyda, ale czy znajdzie się tu aż tyle pracy, żeby mogła się „wdrożyć”?
- Tak, tak, ale Shelby ma mnóstwo wolnego czasu i dużo zapału, więc dobrze by było, gdyby zobaczyła, że pielęgniarstwo to co innego niż domowa opieka nad chorym. Wróci na studia, tam zdobędzie wiedzę, ale takie doświadczenie to też coś. A nawet więcej niż coś, bo w szkole medycznej tego się nie nauczy. Możesz nawet trochę poluzować krawat i opowiedzieć jej jakieś historie z życia wiejskiego doktora, na pewno jej się spodoba. Przyda mi się przy pacjentach. Poza tym lubię jej towarzystwo. Jest miła i bystra. Myślę o niej jak o mojej protegowanej. Nigdy kogoś takiego nie miałam.
- Melindo, zanudzisz ją na śmierć.
- Zawsze możesz ją nauczyć grać w gina. Może wreszcie znajdziesz dziewczynę, którą pokonasz.
- Czuję zgagę, kiedy myślę, że musiałbym tu znieść kolejną dziewczynę.
- Za często masz zgagę, zwłaszcza że wycięli ci pęcherzyk żółciowy. Może to refluks żołądka? Coś cię boli?
- Przeżyte lata i artretyzm.
- A jednak powinniśmy to sprawdzić.
- Czepiasz się. Jestem stary i tyle. Swoje przeżyłem. Roześmiała się. Dok nic się nie zmienił przez te dwa lata, które razem przepracowali, może tylko częściej używał laski, bo artretyzm dawał mu w kość. Miał siedemdziesiąt dwa lata i niełatwe życie. Skończył college i akademię medyczną bez wsparcia

rodziny, a potem przez czterdzieści pięć lat w pojedynkę dbał o zdrowie mieszkańców Virgin River, mając tylko podstawowy sprzęt, za to nie mając ubezpieczenia OC. Kiedy Mel, dowiedziawszy się o tym, nie kryła zdumienia, Dok najpierw wzruszył ramionami, a potem powiedział, że tutaj nikt nikogo nie pozywa, a już na pewno nie za udzielenie pomocy lekarskiej.

– Nawet jeśli to refluks, to teraz już są na to bardzo dobre lekarstwa – nalegała.

– Melindo, wiem o tym, jestem lekarzem.

– I to nie byle jakim – rzuciła z uśmiechem. – Największym upierdliwcem w hrabstwie. Rób, jak chcesz. – Zadumała się na moment. – Mógłbyś poprosić Proboszcza, żeby przygotowywał takie posiłki, które nie podrażniają żołądka.

– Niby czemu? Przecież to kucharz jak marzenie.

– Poprosiłam go, żeby gotował mniej tłuste dania. Był bardzo zgodny jak na niego. Trochę przytyłam, od kiedy się tu sprowadziłam. Przesunął okulary na czoło i zlustrował jej dolną połowę.

– Mhm...

– No nie! Chyba tego nie zrobiłeś!

– Czy ja coś mówię? – Okulary opadły mu na nos.

– A niech cię... – prychnęła gniewnie.

– Przestań narzekać na wagę – powiedział, masując swój wielki brzuch. – Ty przynajmniej urodziłaś dzieci.

– Mógłbyś sobie darować tę wieczorną whisky. Pomogłoby na zgagę.

– Melindo – odparł ze śmiertelną powagą – wolałbym, żeby mi wbili szpilę w oko.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Luke szybko uporał się ze wstępnym remontem domu, dzięki czemu wreszcie spał w prawdziwym łóżku i mógł korzystać z prysznic. Najpierw deratyzator pozatykał wszystkie dziury i porozkładał pułapki. Luke opróżnił budynek ze śmieci i solidnie go posprzątał. Potem sprowadził łóżko i materac na sprężynach, a także lodówkę. W ciągu dwóch tygodni stary dom Chapmana zmienił się nie do poznania, lecz by to osiągnąć, Luke musiał solidnie się napracować. Bolały go mięśnie, marzył o odpoczynku, wiedział jednak, że ma jeszcze przed sobą mnóstwo roboty. Była dopiero piąta, ale już wziął prysznic i pojechał do Virgin na piwo i wyborne jedzenie do knajpy Jacka. Zdażył wejść do baru, kiedy w drzwiach stanęła Mel z niemowlakiem w nosidełku, torbą na pieluchy na ramieniu i drugim, ciut starszym dzieckiem u jej boku. Znalazłszy się w środku, starszy malec potknął się, palnął kolanem o podłogę i zawył.

– Och, kochanie... – Mel na widok Luke'a uśmiechnęła się. – Trzymaj. – Wcisnęła mu do rąk niemowlę, a sama nachyliła się, żeby pomóc chłopcu wstać. – Wszystko w porządku – stwierdziła, otrzepując mu spodni. – Nie płacz już, zobacz, nawet nie przebiłeś podłogi. Już dobrze. Właśnie miała wstać, kiedy jej mąż powiedział:

– Mel, już jesteś.

Spojrzała w górę. Jack stał za barem i rozbawiony kiwnął głową Luke'owi, który z wystraszoną miną trzymał dziecko przed sobą na wyciągnięcie ramion. Emma wiała się i kopała maleńkimi nóżkami. Mel wybuchła śmiechem, po czym wstała, podeszła do niego i zabrała małą.

– Przepraszam, Luke – powiedziała. – Dawno nie spotkałam faceta, który nie wie, co zrobić z dzieckiem.

– Wybacz, ale naprawdę nie mam doświadczenia.

– Nie szkodzi. To mój błąd – odparła pogodnie. – Jak poznałam Jacka, akurat w przychodni mieliśmy noworodka, no i podniósł go jak stary wyga.

– Bo byłem starym wygą. – Jack wyszedł zza baru. – Cztery siostry, osiem siostrzenic plus jedna w drodze.

– Spora rodzinka – skomentował Luke. – Niespecjalnie znam się na dzieciach.

– Jeśli chciałbyś się czegoś o nich nauczyć, to wybrałaś doskonale miejsce – powiedziała Mel. – Nie wiem, czy w Virgin River zostały jeszcze jakieś dziewice. Wskaźnik urodzeń szaleje.

– Dzieci to nie moja bajka. I dobrze mi z tym. Jack kucnął przed barem.

– No chodź, kowboju – powiedział, wyciągając wielkie ramiona do Davida. – Chodź do taty.

– Tata! – krzyknął David, machając pulchnymi rączkami i pędząc do Jacka chwiejnym krokiem. Jack oparł sobie chłopca na biodrze, wrócił za bar i spytał Luke'a:

– Co podać?

– Zimne piwo z beczki.

– Robi się. – Napełnił kufel. – Jak dom? Luke odebrał piwo, trzymając je z większą przyjemnością niż niemowlaka.

– Rudera. Katastrofa. Powinienem puścić go z dymem. – Upił łyk. – Ale wyniosłem śmieci i uprzątnąłem na tyle, żeby przespać się jak człowiek i wziąć prysznic. Zacząłem porządkować domki letniskowe. Będę musiał poprosić Paula o poradę.

– Pewnie już zauważyłeś, że skoro większość pracy zamierzasz wykonać sam, świetnie się dogadasz z Paulem. Zrobi to wszystko, co przekracza twoje możliwości. Żałuję, że go nie było, kiedy remontowałem bar.

Jak na zawołanie na piwo wpadł Paul. Nawet nie przebrał się z roboczych ciuchów. Zaraz za nim przykuśtykał Dok Mullins i też usiadł przy barze, unosząc palec. Jack wiedział, co ten gest oznacza: jedną whisky. Przyszło jeszcze kilku sąsiadów i rozsiadło się przy stolikach. Knajpa zamieniła się w przytulny piwo i whiskopój. Wszyscy nasączali się drinkami, czekając, aż nastanie czas kolacji. Gdy Paul spytał o dom i domki letniskowe, Luke odpowiedział:

– Bardzo bym chciał, żebyś rzucił okiem, jak już wyniosę śmieci z domków. Zamówiłem kontener w Eurece i wynająłem deratyzatora. Gdybyś teraz je zobaczył, uciekłbyś, gdzie pieprz rośnie.

– Nie tak łatwo mnie wystraszyć. To kiedy mam przyjechać?

Luke starał się nie patrzeć na drzwi. Przez dwa tygodnie powtarzał sobie w duchu, że wcale nie przychodził tutaj, żeby ją spotkać. Przychodził, ponieważ ci ludzie i ta atmosfera to było właśnie to, czego szukał w małym wiejskim barze. Świetni i zawsze skorzy do pomocy mężczyźni, piękne kobiety... To, że w myślach wyobrażał ją sobie na tym wielkim koniu, z podskakującym na plecach warkoczem... cóż, faceci już tak mają. Nie mógł się powstrzymać.

Jack pochylił się nad barem i szepnął:



- Za parę dni przyjeżdżają moi kumple. Rozumiesz, sezon.
- Jack - rzuciła Mel z drugiego końca sali. - Znowu? Zignorował ją, natomiast Paul roześmiał się.
- Ona uważa, że łowy polegają na dręczeniu jeleni - wyjaśnił Jack. - Uwielbia moich kumpli, ale nie znosi, kiedy polujemy. Kup sobie licencję i załatw identyfikator, dołącz do nas.
- Brzmi nieźle.
- Luke, a tak na ciebie liczyłam! - awanturowała się Mel.
- Leć do banku i wypłać kasę - poradził mu Paul. - Będzie poker.
- Wchodzę. - Luke wyszczerzył zęby.

Do baru weszła starsza kobieta w uwalanych błotem gumowych butach, o sterczących jak miotła siwych włosach i w wielkich okularach w grubej czarnej oprawce. Wskoczyła na stołek obok Doka.

- Luke, poznaj Hope McCrea, miejscową intrygantkę - powiedział Jack.
- Miło mi.
- Następny marynarzyk? - zapytała Jacka.
- Nie, Hope. Wpuszczamy też żołnierzy sił lądowych, byle nie za wielu.
- Robisz coś specjalnego? - zapytała Luke'a.
- Hm... specjalnego? To znaczy?
- Szukam nauczyciela i kaznodziei, bo w mieście brakuje. Mało godzin, niska płaca. - Wyciągnęła palec do Jacka, który podał jej drinka. - Wymarzona robota.
- Raczej nie zapełnię tych wakatów - odparł ze śmiechem.

A potem weszła ona. Luke przełknął ślinę. Miała rozpuszczone włosy, miękkie, sprężyste, takie, w które mężczyzna chciałby wpleść palce. Wyobraził sobie swoje wielkie dłonie na jej szczupłych biodrach. Była taka promienna, taka niewinna. Poza czymś błyszczącym na ustach w ogóle nie nosiła makijażu, ale nie potrzebowała go. Kiedy zobaczyła Luke'a, na moment przymknęła oczy, po czym się uśmiechnęła. Skromna, bezbronna. Potrzebuje silnego faceta, pomyślał. O cholera... Zaraz za Shelby do baru wszedł wysoki, barczysty, siwowłosy sześćdziesięciolatek. Nie w typie tatuśka, ale blisko. Luke poczuł ból w brzuchu. Odruchowo zsunął się ze stołka. Od razu potrafił rozpoznać generała, w mundurze czy bez.

Walt wyciągnął rękę do Luke'a.

– To musi być ten nowy. Walt Booth. Jak się masz, synu?

– Sir. – Luke ujął jego dłoń. – Luke Riordan. Miło mi pana poznać.

– Spocznij – rzucił Walt z uśmiechem. – Witaj. Jack, mogę prosić piwo?

– Tak jest.

Shelby delikatnie odsunęła Paula, żeby usiąść obok Luke'a. Paul z zainteresowaniem uniósł brwi. Luke jednak stał, czekał, aż pierwszy usiądzie generał. Odszedł do cywila na tyle niedawno, by wciąż pamiętać o wojskowej hierarchii. Gdy zerknął na Shelby, uśmiechnęła się, a jej oczy błyszczały. Czyżby rozbawiło ją nerwowe zachowanie Luke'a przy jej wuju generale? Zauważył, jak zmysłowe były jej orzechowe oczy. O rany, jaki jestem płytki, pomyślał. Potrafił znaleźć pięćdziesiąt powodów, dla których to mrowienie, które czuł, gdy ją widział, było czymś niedobrym. Nie kręciły go sytuacje typu: opiekuńczy, wysoki rangą wojskowy wuj i niewinna, młoda dama, która wyraźnie szuka księcia z bajki.

Luke nie zakochał się w Shelby. Przed wielu laty coś takiego go dopadło, i ta miłość zostawiła w jego sercu dziurę, w której zmieściłby się czołg. Stracił zdolność do zaangażowania się, został graczem, to tu, to tam, krótkie wyzwania, epizody. Nie potrafił się ustatkować, nie umiał usiedzieć na miejscu, nie był w stanie związać się na dłużej z kobietą. Łatwo było poznać po Shelby, czego pragnie i potrzebuje, zupełnie jakby oznajmiała to całą sobą. Mianowicie chciała omotać mężczyznę swoimi uczuciami, uwiązać go na postronku przy swym sercu, złamać go na pół. Jednak efekt byłby taki, że na koniec, uwalniając się od niej, zraniłby ją, może nawet unicestwił. Porozrywałby jej młode, wrażliwe serce na kawałki i uczynił z niej emocjonalny wrak. I ten, kto by się po nim zjawił i próbował uratować ją, uleczyć, nie miałby łatwo.

Generał w końcu usiadł i wdał się z Lukiem w pogawędkę o wojsku, o przydziałach i misjach, on jednak cały czas czuł słodki zapach Shelby. Rozpraszało go to, wyczyniało harce z jego umysłem. Kiedy Walt wreszcie przeniósł zainteresowanie na Doka i Hope, Luke poczuł na swoim policzku ciepły oddech Shelby, gdy nachyliła się ku niemu i spytała:

– Jak idzie remont? Chciał udawać twardziela, nie zwracać na nią uwagi, nawet grać okrutnego i obojętnego, ale kiedy odwrócił się do niej, od razu zmiękł.

– Jakoś się posuwa. Wreszcie mam gdzie mieszkać, w końcu nie w przyczepie. Czeka mnie więcej pracy, niż sądziłem. A ty co porabiasz?

– Kiedy Mel idzie do pracy, zajmuję się jej dziećmi, czasami pomagam też przy pacjentach. Jeżdżę konno, niańczy synka Vanni i Paula, pilnuję wuja Walta... Czyli właściwie nic takiego. Powinnam zjawić się u ciebie i pomóc ci sprzątać.

– Nie, naprawdę. To niewdzięczna robota. Tylko byś się ubrudziła.

– No to mogłabym popatrzeć, jak ty się brudzisz. Uśmiechnęła się tak pięknie, że serce niemal wyskoczyło mu z piersi.

– Shelby, w taki sposób nic nie zrobię, bo będziesz mnie rozpraszała.

– Miło, że to mówisz – rzuciła po chwili, gdy już otrząsnęła się z zaskoczenia, i na moment położyła dłoń na dłoni Luke'a.

– Bo to prawda. – Jej niewinny dotyk podziałał na niego piorunująco. Cholera, pomyślał Luke, no to wpadłem. Czuł straszny chaos w głowie. Nie wiedział już, czego bardziej powinien się bać: reakcji generała, gdyby udało mu się zdobyć Shelby, czy też tego, że nigdy jej nie zdobędzie.

– Czy tu nie jest wspaniale? – zapytała.

– W Virgin River?

– Też, ale chodzi mi o bar Jacka. Zawsze gdy tu wpadam, spotykam kogoś znajomego. Uwielbiam to.

– Ciekawe, bo w czasie ostatnich dwóch tygodni byłem tu kilka razy i jakoś nie zobaczyłem twojej znajomej twarzy. – I zaraz upomniał się w duchu: nie przeginaj, Luke.

– No tak – powiedziała z uśmiechem. – Mój brat cioteczny Tom był na przepustce, pojawiła się też jego dziewczyna, do tego wuj, Vanni i Paul, zrobiło się bardzo rodzinie i rzadko opuszczałam dom. Ale Tom już wyjechał do West Point, więc będę tu częściej zaglądać.

– Mówiłaś, że bardzo ci się podoba u Jacka.

– Wychowałam się na wybrzeżu, nasze miasteczko jest większe od Virgin, ale też bardzo przytulne. Jest tam taka stara spelunka Sea Shack, wiesz, sieci i muszle na ścianach, miejscowi plus motocykliści i turyści. Zawsze można było liczyć, że spotka się tam te same osoby. Nie trzeba było się obawiać samotności.

– Gdzie to jest?

– W Bodega Bay, na południe stąd. Virgin River to sekwoje, jelenie i niedźwiedzie, a Bodega Bay to ocean, łodzie rybackie, klify, wieloryby

i delfiny. Oparł głowę na dłoni, zahipnotyzowany głosem Shelby. Wyobraził ją sobie na plaży w skąpym, bardzo skąpym kostiumie.

– Brzmi świetnie – powiedział. – Tam jest twój dom?

– Już nie. Zeszłej wiosny zmarła moja matka. Zostawiła mi dom, a ja go sprzedałam.

– Och... – Gwałtownie otrzeźwiał. – Moje kondolencje.

– Dziękuję. Dobrze mi w Virgin River, ale nie zamierzam zostawać tu na stałe. Wybieram się do college'u. Wreszcie... Teraz jestem na wakacjach. Potem złożę papiery na studia.

– Jak długo potrwać te twoje wakacje? – Wiedział, że nie powinno go to interesować, jednak nie zdołał powstrzymać pytania.

– Pewnie parę miesięcy. Najpierw chcę się wybrać w podróż, przeglądałam sieć w poszukiwaniu rozsądnych ofert. Potem wybiorę college, poszukam jakiegoś mieszkania, znajdę pracę na pół etatu, pochodzę na wykłady, żeby złapać rytm. Ale jeszcze trochę tu posiedzę, choćby po to, żeby znów zobaczyć Toma. Na święta dostanie przepustkę.

Walt przerwał im rozmowę, zwracając się do Luke'a:

– Co ten Jack mówi? Twój brat też lata na Black Hawkach? Cała twoja rodzina postradała rozum? Luke odwrócił się do generała, modląc się w duchu, żeby z oczu nie wylewało mu się pożądanie do jego siostrzenicy.

– Niech się pan rozchmurzy, sir – powiedział. – Przynajmniej nie jeździmy na czołgach.

– Synu, tak się składa, że bardzo lubię czołgi.

Luke prosto z baru pojechał do Garberville, choć tak naprawdę potrzebował snu. Ciało padało ze zmęczenia, ale mózg pracował na najwyższych obrotach, no i był strasznie pobudzony. Od dawna nie zaobserwował u siebie takiej reakcji. Ostatnim razem, co za zbieg okoliczności, przyczyną podniety też okazała się panna generałówna. Miało to miejsce przed wieloma laty, ale wtedy wykazał się mądrością i odszedł bez oglądania się za siebie. Usiłował wyrzucić z myśli tę młodą, słodką osóbkę; chciał przestać czuć gorące dreszcze emocji. Bez trudu namierzył miejscowy bar, a raczej parszywą dziurę w ścianie, w której, parując w świeżo wyprasowanej koszuli i z króciutko przyciętymi włosami, poczuł się jak wystrojony żołdak. Przed wejściem stał zastęp pikapów, a w środku siedział tłum mężczyzn

w koszulach w kratę, z długimi włosami, kucykami i zarostem na twarzy. Była dziewiąta, a speluna już pękała w szwach. Przeprowadził się do wypełnionego zgiełkiem środka, znalazł wolny stół przy obleganym barze i zamówił whisky oraz piwo. Czas wszystko sobie poukładać i przestać myśleć o tej pannie. Zanim wyszedł od Jacka, zaczął fantazjować, że obmacuje ją, a potem jej wuj strzela mu w łeb. Wychylił whisky i łyknął piwo. Dobry ruch, Riordan, zganił się w myślach. Przeprowadź się do miasteczka, w którym ci sami bywalcy spotykają się kilka razy w tygodniu w tej samej knajpie, i migiem zabujaj się akurat w tej pannie, której za wszelką cenę powinienesz unikać. Boże, jak bardzo pragnął tej dziewczyny! Doskonale rozumiał, że łatwo mógłby się do niej zbliżyć, przecież byli dorosłymi ludźmi, a nie nastolatkami. Mógł uwieść Shelby, zaciągnąć ją do łóżka, zabawić się z nią, i nie byłoby sprawy. Miał wrażenie, że generał i Paul polubili go. Lecz co potem? W tym właśnie sęk. Nie zaangażowałby się, zostawiłby ją, doprowadził do płaczu. Wziąłby ją bez miłości, choć ta młoda kobieta wyraźnie szukała prawdziwego, stałego uczucia. Źle by się to skończyło. Tak podpowiadała mu nie intuicja, on to po prostu wiedział. Nawet za sto lat nie poczułby do Shelby tego, czego by oczekiwał od niego Walt Booth. Dwadzieścia minut później zobaczył, że barman stawia przed nim drugie piwo.

– Od tamtych pań – powiedział.

Luke nawet nie zauważył innych gości. Umysł miał skupiony wyłącznie na jednej, słodkiej istocie. Łypnął okiem i poczuł, jak kąciki jego ust wędrują w górę w uśmiechu.

– Proszę im podziękować.

– Panie chciałyby wiedzieć, czy przyłączy się pan do nich na drinka.

– Ech, niedługo muszę iść – skłamał, bo przecież nigdzie się nie śpieszył. Staroświecka Ameryka pełną gębą. Prowincjonalne puszczałskie, które przesiadują w barze i stawiają drinki obcym facetom, pomyślał.

– Ja bym się zastanowił – odpowiedział barman, unosząc brwi.

– Tak? – Uśmiechnął się. – Czemu nie? – Zapłacił za drinki i z kuflem w dłoni ruszył w kierunku dam.

Było ich trzy, po jednej w każdym smaku: blondynka, brunetka i ruda. Miały po dwadzieścia kilka lat i ewidentnie nie wylewały za kołnierz.

– Szanowne panie – zaczął – dziękuję za piwo. Babska impreza?

– Już nie – powiedziała rozchichotanym głosem jedna z nich.

Przesunęły się, żeby mógł usiąść między nimi.

– Jesteście stąd? – zapytał.

– No, z Garberville. A ty?

– Tylko przejazdem – skłamał. – Mam posiadłość nad rzeką. Wpadłem, żeby zapolować i powędkować.

Nazywały się Luanne, Tiffany i Susie, wszystkie sekretarki. Zasiadły w barze o szczęśliwej godzinie, w której zaczęły obowiązywać promocyjne ceny na drinki, i zapomniały wyznaczyć tę, która potem usiadzie za kółkiem. Dwie były rozwódkami, a jedna, Luanne, panną. Miały na sobie barowe ciuchy, takie pod tytułem: „nie możesz mnie nie zauważyć”, to znaczy króciutkie džinsowe spódniczki, szpilki i zuchwale uwypuklające biust topy. Do tego odpowiedni makijaż i puszyste włosy. Wbrew sobie pomyślał, że Shelby, w swoich džinsach, botkach i białych koszulach z podwiniętymi rękawami, bez makijażu, wyglądała znacznie seksowniej niż te trzy, które nie zostawiały pola dla wyobraźni. Dowiedział się, że chętne damy wychowały się w okolicy, zapytał więc o ich ulubione knajpy. Przyznał, że odszedł z armii po tym, jak przez dłuższy czas latał na śmigłowcach, ale nie rozwodził się na ten temat. Zresztą nie były zainteresowane wydarzeniami międzynarodowymi, a kiedy powiedział, że ostatnio stacjonował w Teksasie, zignorowały to, bo ciekawiły je naprawdę ważne informacje: czy jest żonaty? Czy na długo się zatrzymał? W niespełna dziesięć minut dłoń Luanne wylądowała pod barem na jego kolanie. Prawie podskoczył zdumiony. Potem przesunęła ją po wewnętrznej stronie jego uda. Złapał ją za nadgarstek.

– Luanne, bo nie będę mógł wstać od baru – powiedział.

Uznała to za wyjątkowo zabawne. Gdyby chciał sobie ulżyć, to tylko hulaj dusza. Cóż, nie byłby to pierwszy raz.

Nawet się zastanawiał nad taką ewentualnością, zaraz jednak poczuł się dziwnie. Po pierwsze, nie byłby w stanie wykonać szybkiego numerku z którąś z nich, a po drugie... poczuł wstyd za takie włochate myśli. Tiffany i Susie, jak gdyby wcześniej się zmówiły, odeszły od baru rzekomo przypudrować noski, tyle że, jak zauważył Luke, przysiadły przy stoliku i już nie wróciły. Zostawiły Luke'owi i Luanne wolną rękę. Próbował podtrzymać rozmowę, lecz głównie paplała Luanne, a to o swojej pracy, a to o ciuchach czy koleżankach. Miała irytujący zwyczaj odgarniania włosów; co kilka chwil rzucała napuszoną grzywą. Musiał pozbyć się jej dłoni ze swojego uda. Nachylił się i szepnął:

– Słuchaj, chyba nie chcesz, żebym się podniósł? A ona, nachylając się zdecydowanie zbyt mocno, przyklejając się do niego policzkiem, odparła:

– Bo co?

– To byłby błąd. Wiesz, nie jestem wolny. – Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, dlaczego, u diabła, to powiedział. Był nie tylko wolny. Gorzej: był zdesperowany.

– Niespecjalnie mnie to obchodzi – wyszeptała.

Ponieważ nie był w nastroju na zabawę, przeprosił ją i zostawił przy barze, obiecując, że niedługo wróci. A niech to, pomyślał, zmierzając do toalety. Przy Shelby nie był bezpieczny, przy tej tutaj też, chociaż akurat Luanne była bardziej w jego typie, bo miała do zaoferowania tylko bezduszny seks bez zobowiązań. Problem w tym, że w ogóle go nie ruszyła, a im mocniej napierała, tym mniej wydawała mu się atrakcyjna. Przez tę słodką, prostolinijną siostrzenicę generała już nawet nie mógł wyskoczyć na łatwy szybki numer. Uznał, że wymknie się tylnym wyjściem, za nic nie wróci do baru. Gdy wyszedł z łazienki, ktoś przygniótł go do ściany w wąskim, skąpanym w półmroku korytarzu. To Luanne go przyszpiliła.

– Hej. – Podniósł ręce, jakby go aresztowano.

Spojrzała na niego zmysłowym, przyćmionym alkoholem wzrokiem, uśmiechnęła się półgębkiem i wcisnęła coś do przedniej kieszeni jego spodni. Popatrzył w dół i zobaczył imponujący dekolt, z którego wylewały się jędrne piersi. Rozkojarzył się, bo uwielbiał takie atrakcje. Kiedyś powiedział żartem w męskim gronie, że gdyby Bóg obdarzył go kobiecym biustem, nie mógłby oderwać od siebie rąk. Objęła go, gdy tak stali przyciśnięci do ściany w mrocznym korytarzu. Minał ich mężczyzna, lekko się uśmiechnął i poszedł dalej. Luanne stanęła na palcach i przycisnęła usta do ust Luke'a. Jasna cholera, pomyślał, a w spodniach zrobiło mu się ciasniej. Zaciągnęła go do damskiej toalety i pchnęła na umywalkę, po omacku szukając zamknięcia w drzwiach. Znalazła je tak szybko i sprawnie, że bez wątplenia musiała mieć w tym wprawę. Zresztą dla niego to też nie pierwszozna. Przez długie lata lubił takie zabawy. Powinien wyjąć z kieszeni prezerwatywę i przejść do rzeczy, a ponieważ od dawna nie był z kobietą, nie potrwa to długo. Była chętna, wulgarna w tym podnieceniu. Wsunął dłoń do kieszeni, żeby zobaczyć, co tam włożyła. Wyjął coś miękkiego i koronkowego. Czerwonoczarne majteczki.

– No chyba, kurwa, żartujesz – mruknął, wkładając je z powrotem do kieszeni.

– A wyglądam, jakbym żartowała? Położył dłoń na jej czarnej czuprynie.

– Luanne, nic z tego nie będzie. Nie tutaj.

- Chcesz pójść gdzie indziej?
- Nie, mała. Nigdzie nie idziemy. Dzisiaj nic z tego. – Lekko klepnął ją w pupę.
- Założę się, że zaraz zmienisz zdanie.
- Nie ma szans. Wypuść mnie, proszę.
- Ale czemu nie? Nikt mi nie odmawia. Piękna rekomendacja, pomyślał. Zdusił śmiech.
- Wiele powodów, mała. Jesteś pijana, nie kontrolujesz się, nie znasz mnie, a ja nie wiem, gdzie wcześniej byłaś. Pewnie w niejednym miejscu. – Położył dłoń na jej ramionach i odsunął ją od siebie. – Nie powinnaś tego robić. Coś ci się może stać. Minał ją, otworzył drzwi i zobaczył korpulentną kobietę czekającą w kolejce.
- Dobry wieczór pani – rzucił, przeciskając się obok niej i ruszył szybkim krokiem.

Po chwili wskoczył do auta, mając nadzieję, że uda mu się odjechać z parkingu, zanim Luanne bez majtek skoczy na niego w mroku nocy. Cóż, gdyby tak się stało, wbrew postanowieniu mógłby ulec chwilowemu zamroczeniu i dobrać się do niej. Hm... Nigdy wcześniej nie bał się takich akcji. Gdy znalazł się na drodze, wyrzucił przez okno czerwono-czarne majteczki. Po drodze kupił sześciopak piwa. Będzie musiał przez czas jakiś unikać knajpy Jacka, dopóki mózg nie odzyska kontroli nad mającymi tendencje do samowolnego i niesforenego działania częściami jego ciała.

Kolacja u Boothów tuż przed wyjazdem Tommy'ego wypadła tak dobrze, że w następnym tygodniu Muriel została ponownie zaproszona. Po cichu miała nadzieję, że stanie się tam stałym gościem. Cudownie. Gdy w nocy zaparkowała auto pod swoim barakiem, przywitały ją głośnym szczekaniem psy. Oto rodzina, do jakiej wracam, pomyślała. Kilkumiesięczny Buff na czas jej nieobecności był zamknięty w kojcu, bo wciąż kierowała nim szczenięca destrukcyjna żądza, która w przypadku labradorów urasta do miana sztuki. Luce biegła swobodnie, ale i tak większość czasu warowała przy Buffie. Muriel wypuściła szczeniaka i nachyliła się, żeby go pościskać i podrapać. Spędziła wspaniałe chwile z Waltem i jego najbliższymi. Napelniali ją energią, byli pełni życia i radości, choć każde z nich miało za sobą ciężkie chwile. Walt cenił rodzinę ponad wszystko, to nie ulegało wątpliwości. Świetnie się z nimi bawił, ale czy wie, jak bardzo są niezwykli? – pomyślała. Zapytali ją, jak zaczęła się jej przygoda z filmami.



– Śmieszny przypadek – powiedziała. – Miałam czternaście lat, chodziłam do pierwszej klasy. Wybrano mnie do udziału w reklamówce organizacji rządowej, a potem przyszedł agent i namówił moich rodziców, żeby pozwolili mi wziąć udział w castingu do filmu. Jak na czternastolatkę bez żadnego doświadczenia i przygotowania, to muszę powiedzieć, że poszło mi całkiem nieźle. Potem dostałam trochę większą rolę, i jeszcze większą, i tak to już poszło. Gdy miałam siedemnaście lat, pędem kończyłam ostatnią klasę i zaliczałam wszystkie zajęcia, żeby móc nakręcić kolejny film.

– Twoi rodzice nie stracili głowy? – zapytała Vanessa.

– Nie, zachowali przytomność umysłu, choć byli zdumieni, że coś takiego mi się przytrafiło. Zarabiałam pieniądze, wzbudzałam zainteresowanie. Hollywood zawsze kręciło się wokół świeżego narybku, wokół młodych kandydatów na gwiazdy. Ale cóż, mając dwadzieścia jeden lat, wyszłam za mojego agenta, starszego ode mnie o piętnaście lat. Ojciec prawie zwariował, ale ponieważ był twardym ranczerem, szybko doszedł do siebie. Jak byłam młodsza, życie w górach wyglądało trochę inaczej. W tamtych czasach jeśli piętnastoletnią dziewczynę widywano w towarzystwie trzydziestoletniego faceta, ojciec panny nalegał na ślub. Dzisiaj dzwoni po policję.

– Długo byliście małżeństwem?

– Pięć lat. Nadal jest moim agentem. I przyjacielem.

– A dlaczego się rozwiedliście? – zapytała Shelby. Muriel wzruszyła ramionami.

– Nie kochał mnie tak, jak chciałam być kochana. Pragnęłam domu, rodziny, życia. Korzeni. A on chciał Oscara.

– Przepraszam, że jestem taka niedoinformowana – powiedziała Vanessa – ale czy ty nie dostałaś Oscara?

– Trzykrotnie byłam nominowana, ale bez sukcesu.

Ani nie założyła rodziny, nie została matką. Nie była też w związku, który by przetrwał dzięki zaangażowaniu i poświęceniu, stanowił solidną opokę dla dwojga bliskich sobie ludzi. A dzieci... Poznawszy rodzinę Walta, uznała, że nawet gdyby miała szansę założyć własną, w żaden sposób nie wychowałaby tak silnych, niezależnych dzieci. Nie przy jej pracy. Zmierzyła sierść psiaków, całując je i powtarzając, jak bardzo je kocha. Raptem na posesję zajechał samochód, trzasnęły drzwi, ktoś w ciężkich butach wkroczył na ganek. Znajome dźwięki. Pukanie do drzwi. Czy nie tego się spodziewała?

– Wejdz, Walt.

Stał w drzwiach w zamszowej marynarce, dżinsach i kapeluszu. Spojrzał na nią, gdy tak siedziała na podłodze z psami, i uśmiechnął się. Zwierzaki podbiegły do niego, witając się radośnie. Buff na niego wskoczył. Trzeba go będzie tego oduczyć, pomyślała. Na razie jest mały, ale gdy podrośnie i nie zmieni nawyków...

– Jest szansa, że przywiozłeś jeszcze trochę tego pysznego deseru? – zapytała, wstając.

– Przykro mi, ale nie. Wszystko pożarli.

– Napijesz się kawy?

– Chętnie. – Rzucił kapelusz na krzesło i podał jej rękę. – Chodź do mnie. – Przyciągnął ją do siebie. – Gdzie śpią psy?

– Na łóżku, ze mną – odparła ze śmiechem, zastanawiając przy tym, czy Walt wie, jak bardzo jest przystojny. I jak dobrze zbudowany. Mężczyzna, który mógł być oparciem, prawdziwą opoką, skałą, dosłownie i w przenośni.

– Myślisz, że tej nocy wystarczy im podłoga?

– Czyżbyś chciał zrobić kolejny krok, Walt?

Pocałował ją tak, że już nie miała wątpliwości.

– Muriel, mam sześćdziesiąt dwa lata. Nie mogłem tego przewidzieć.

– Nie obawiasz się, że staniemy się tematem numer jeden?

– Kobieto, mnie opieprzał sam prezydent. Nie straszne mi plotki. Boję się tylko, że uznasz mnie za zbyt starego. Roześmiała się.

– Ejże, masz tylko parę lat więcej ode mnie. I jesteś powalająco przystojny.

– Hm... Uważasz, że jestem przystojny?

– I do tego seksowny.

– A niech mnie. Muriel, chcę cię całą wycalować. A potem chciałbym, żebyśmy razem obejrzelili wschód słońca. – Psy krążyły wokół nich, ocierały się, próbowały zwrócić na siebie ich uwagę. – Zróbże coś z tymi natrętami.

– Zaraz się uspokoją. Ale ty... ani mi się waż.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Typowe popołudnie Shelby, Mel i Doka ostatnio wyglądało tak, że siedzieli przy kuchennym stole w przychodni i grali w gina, podczas gdy maluchy ucinały sobie poobiednią drzemkę. Dok radził sobie wcale nie lepiej, grając przeciwko Shelby, niż szło mu przez ostatnie lata z Mel. Po prostu rozkładaly go na łopatki.

– Właśnie przegrałem emeryturę, wy chciwe samice.

– O ile dobrze pamiętam, w zeszłym tygodniu wygrałeś parę rozdań – obłudnie pocieszyła go Mel.

– Ba – mruknał, dźwigając się na nogi, po czym podparł się laską i pokuśtykał z kuchni.

– Czy mogę wam pomóc w czymś jeszcze prócz tego, że służę za trzecią do gry? – zapytała Shelby. – Może trzeba poukładać karty pacjentów? Umyć szafkę z lekami albo wysprzątać gabinet zabiegowy? Remanent? Porządek w laboratorium albo magazynie?

– Juro mam trzy badania prenatalne i cztery cytologie. Możesz asystować, skoro już tu pracujesz. Co ty na to? – zapytała Mel.

– Zapowiada się dzień jak flaki z olejem.

– Wiesz, na wsi sytuacja potrafi się zmienić bez uprzedzenia. Virgin River jest tak małe, że całe dni i tygodnie upływają w spokoju, a potem nagle wszystkich dopada jakiś wirus, aż wypluwają sobie płuca, i oczywiście akurat wtedy zdarza się najwięcej wypadków i najwięcej kobiet zaczyna rodzić. Trzeba być gotowym na wszystko. I na nic.

Shelby wciąż nie miała dość opowieści Mel o jej karierze pielęgniarki, od szalonych czasów, kiedy pracowała w pogotowiu w wielkim mieście, po przenosiny do prowincjonalnej przychodni. Dzikie tempo panujące w miejskim pogotowiu ekscytowało Shelby, choć nie była pewna, czy faktycznie polubiłaby takie życie, ale zarazem to, co czekało pielęgniarkę w małym miasteczku, wydawało się nudne, wręcz bezbarwne. Im więcej się nad tym zastanawiała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że wolałaby znaleźć etat w pogotowiu albo na sali operacyjnej w Santa Rosa czy w Eurece, bo ani to duże, ani przesadnie małe miasta.

– Ponieważ miałam do czynienia z dużym szpitalem, nim przeniosłam się tutaj, szczególnie jedno mnie zaskoczyło – powiedziała Mel. – Ledwie się obejrzyś, a już wszyscy pacjenci są twoimi dobrymi znajomymi. Jeśli z jakichś powodów nie dotrzesz do któregoś na czas, masz poczucie, że zawiodłaś nie tylko pacjenta, ale i przyjaciela. Na przykład tutaj niewiele

kobiet robiło sobie regularnie mammografię, a kiedy w końcu namówiłam pewną fundację, żeby przyjechała do Virgin River ze sprzętem i przebadala panie, które przekroczyły czterdziestkę, u jednej z moich najlepszych przyjaciółek zdiagnozowano złośliwego raka w zaawansowanym stadium. Umarła, a ja obwiniałam się, że tak późno o tym pomyślałam.

– Pewnie czujesz, że wszystkiego nie dasz rady zrobić, wszystkiemu nie zapobiegiesz.

– Przeciwnie, uważam, że właśnie muszę o wszystkim myśleć i ze wszystkim dać sobie radę. Wiele kobiet ze wsi nie jest ubezpieczonych, więc poza mną i Dokiem nie mają nikogo. Ot, choćby cytologia. Praktycznie każdą z nich musiałam namawiać, naciskać, wydzwaniać. Liczę im tylko koszty laboratorium.

– Łatwo zaniedbać – powiedziała Shelby.

– Owszem, łatwo, tyle że nie wolno.

– No cóż, w ostatnim czasie nie zaprzętałam sobie tym głowy. – Uśmiechnęła się nerwowo. – Ale chciałabym z tobą o tym porozmawiać...

– Kiedy miałaś ostatnie badanie? – spytała zaniepokojona Mel.

– W ogóle nie miałam.

– Słucham?

– Jestem w grupie wyjątkowo niskiego ryzyka. – Umknęła wzrokiem. – Nie uprawiałam jeszcze seksu.

– Co? Jak na twój wiek, to niespotykane.

– Nie miałam chłopaka – wyjaśniła Shelby. – Jasne, spotykałam się z paroma w liceum, ale nic poważnego. Jestem na świecie w wyniku przypadkowej ciąży, a mama wychowywała mnie samotnie. Gdybyśmy nie miały wuja Walta, byłoby nam ciężko. Mama zawsze czuła się winna, przyjmując od niego całą tę pomoc. Śmiertelnie się bałam, że to, co przydarzyło się jej, przytrafi się również mnie. Bałam się, że zawiodę mamę i wuja.

– Byłaś bardzo ostrożna...

– Tak. I nieśmiała. A potem żyłam niemal jak zakonnica, opiekując się matką. Jedyne mężczyźni, z którymi miałam kontakt, byli lekarze, pielęgniarze i wolontariusze z hospicjum. No i proszę, pewnie nigdy wcześniej nie widziałaś dwudziestopięcioletniej dziewczyny. Tylko błagam, nie chcę, by całe miasto się dowiedziało, że jestem bezradną, dochodzącą do siebie introwertyczką, która ćwierć wieku mieszkała z matką.

– Shelby, wiesz, że wszystko, co dzieje się w przychodni, jest objęte tajemnicą. Złożyłaś przysięgę, kiedy zaczęłaś tu pracować. To, co zrobiłaś dla matki, zasługuje jedynie na podziw. Poza tym, jeśli wolno mi zauważyć, wydajesz się dość pewna siebie.

– Och, wiesz, opiekując się matką, przeszłam pewną metamorfozę. Musiałam stać się asertywna, by mieć pewność, że z medycznego punktu widzenia mama dostaje wszystko, czego jej trzeba. Kiedy nauczysz się stawiać czoło napuszonemu neurologowi, kasjerowi w supermarkecie też dasz radę. Nieśmiałość już mnie nie dławi. Chcę wejść w wielki świat. Wolałabym być przygotowana...

– Cóż, zanim ktoś inny pozna, za twoją oczywiście zgodą, twoje ciało – powiedziała pogodnie Mel – najpierw powinnaś poddać się badaniu. I od tej pory będziesz już dbać, by regularnie to powtarzać. Obiecujesz? Rak szyjki macicy, rak macicy, jajnika... Wczesne wykrywanie to podstawa, przecież sama wiesz. No i powinnaś się zabezpieczyć, by mieć spokojną głowę, gdy już nadejdzie ten czas.

– Czy to się kiedykolwiek zdarzy? – smętnie spytała Shelby.

– Uwierz, zdarzy się – z uśmiechem odparła Mel. – No to do dzieła.

– Teraz? – zapytała pobladła Shelby.

– Mhm. Przebierz się do badania.

Gdy kilka minut później Mel weszła do gabinetu, Shelby wciąż była zdenerwowana.

– Odetchnij głęboko – powiedziała Mel z uśmiechem. – Będzie dobrze. – Pomogła jej ułożyć się w odpowiedniej pozycji, przysunęła stół, włożyła rękawiczki i wybrała wziernik.

– I hop – powiedziała, wsuwając go do środka. – Sprawdzimy co i jak, a potem dobiore ci pigułkę, żeby nie było niespodzianek.

– Dwudziestopięcioletnia dziewica. Jak często poza zakonem można spotkać takiego dziwoląga?

– Nie przesadzaj. To twoje życie, sama decydujesz.

– Jasne...

Po badaniu Mel powiedziała:

– Ponieważ nie widzę nic podejrzanego, a ty na nic się nie skarżysz, poprzestańmy na tym. Miesiączki masz regularnie?

- Jak w szwajcarskim zegarku.
- Żadnego bólu pomiędzy nimi?
- Nie.
- Wszystko gra, Shelby. - Zdjęła rękawiczki. - Tylko jeszcze sprawdzimy piersi. - Szczęśliwie też nie wykryła nic niepokojącego.
- Chętnie skorzystam z tych pigułek, chociaż właściwie teraz się nie przydadzą - powiedziała Shelby, gdy już badanie się skończyło.

Mel ani okiem nie mrugnęła. Shelby była jej pacjentką, więc nie miała prawa do żadnych osobistych aluzji, ale przecież mieszkały w tym samym miasteczku, a tu się nic nie ukryje. Wiadomo na przykład, kto z kim wymienia namiętne spojrzenia. Cóż, z radością wyciągnęłaby z Shelby jakieś plotki o pewnym nowym mieszkańcu Virgin River, ale cóż, etyka zawodowa na to nie pozwalała. Znasz wszystkich, widzisz wszystko, słyszysz wszystko, lecz musisz milczeć jak grób. To wielki minus, gdy się jest medykiem w takiej dziurze.

- Seks to wspaniała sprawa - powiedziała w końcu - byle partner był nie tylko wyśniony i wymarzony, ale i odpowiedzialny. Natomiast niechciana ciąża... no cóż, sama mi mówiłaś o swojej matce. A ja, jako starsza i bardziej doświadczona, powiem ci tyle: przemyśl swój wybór, bądź przygotowana, rozegraj to dobrze. Aha, i jeszcze jedno. Chyba nie powinnam cię o tym instruować, ale...
- Prezerwatywy. - Shelby uśmiechnęła się i załapała rumieńcem. - Powinnam je zawsze mieć przy sobie, tak na wszelki...

Mel pogłaskała ją po dłoni.

- Uwielbiam bystre pacjentki. Ubierz się, a ja wypiszę receptę.

Shelby właśnie odjeżdżała spod przychodni po całym dniu asystowania, kiedy coś ją zaintrygowało, dlatego wróciła do budynku i zawołała Mel, która oderwała wzrok od komputera i spytała:

- Co jest?
- Czy w kościele ktoś mieszka? Okna zabite deskami, ale...
- Co się dzieje?
- Sama zobacz.

Mel wyszła na zewnątrz i zobaczyła po drugiej stronie ulicy ubraną w znoszone palto, workowate męskie spodnie i ciężkie buciory Cheryl Chreighton.

– O mój Boże...

– Kto to? – zapytała Shelby.

– Ona wróciła.

– Kto?

– Poznałam Cheryl, kiedy tylko tu przyjechałam. To młoda kobieta, ma koło trzydziestki, ale jest alkoholiczką. Próbowałam namówić ją na terapię, lecz zniknęła. Od roku jej nie widzieliśmy. Mogłam bardziej się postarać, lepiej jej szukać, ale zaniechałam, bo nie była moją pacjentką. No i byłam w ciąży, i znów w ciąży, a potem... – A potem dwoje dzieci i wycięcie macicy. I wystarczająco dużo pracy z zarejestrowanymi pacjentami. A jednak często myślała o Cheryl. Co z tego, że nie była jej pacjentką? Mieszkała w Virgin River i potrzebowała pomocy. Mel dobijała świadomość, że trzydziestoletnia kobieta robi za miejscowego pijacznę, stacza się coraz bardziej, zmierza tam, skąd być może nie ma już powrotu. Mel zawsze uważała, że Cheryl Chreighton powinna dostać drugą szansę. I właśnie Cheryl Chreighton wróciła do Virgin River.

Luke przez jakiś czas postanowił trzymać się z daleka od baru Jacka. I od Shelby. Miał nadzieję o niej zapomnieć, ale pożądanie żyło własnym życiem. Myślał o niej, a potem przeklinał, jakim jest idiotą. Jednocześnie wykańczał dom i domki letniskowe, zapijając to piwem. Wojsko dostarczyło rzeczy, które Luke oddał do magazynu, jako że głównie większość czasu spędzał w koszarach lub odbywał zagraniczne misje. Luke był właścicielem bliźniaka w El Paso, którego połowę wynajmował innemu żołnierzowi, jednak tuż po odejściu ze służby sprzedał dom. Nie miał dużo mebli, co akurat wyszło na dobre, ale za to porządnej jakości. Postanowił, że masywne jesionowe meble po starym Chapmanie wstawi do jednej z sypialni na piętrze. Ponadto miał welurowy narożnik, duży fotel i obity tapicerką mebel, który mógł służyć za stolik albo podnózek. Wstawił wszystko do salonu i przykrył do czasu, aż skończy szlifowanie i malowanie.

Do jadalni pasował zestaw ze sklepu Pottery Barn, to znaczy ciemny kwadratowy stolik i osiem krzeseł. Innymi słowy, w sam raz do pokera. Powinien do tego dokupić stołki barowe, ale odkładał to na później, kiedy przebuduje barek i będzie mógł dobrać stołki do kompletu. Z nowym wyposażeniem kuchnia wyglądała o niebo lepiej, ale nabierze właściwego

kształtu, dopiero kiedy wymieni się blaty i szafki. Wybrał się do sklepu Home Depot w Redding, żeby złożyć zamówienie, kupił też bejcę, lakier i chodniki do przykrycia podłogi.

Wśród jego rzeczy znalazły się zastawa stołowa, pościel, wieża, telewizor z dużym ekranem, do którego zamówił antenę satelitarną, stopy taśm, płyt DVD i CD, książki. Mało ubrań, bo przecież nosił głównie mundury. Zawartość jego szafy zawsze była schludna i funkcjonalna, tak jak lubił. Wreszcie gotów był na wyprawę do Jacka. W głębi duszy miał nadzieję, że nie spotka tam Shelby, bo wtedy będzie miał czyste sumienie. Ale z drugiej strony chciał ją zobaczyć, mieć na wyciągnięcie ręki, bo jeszcze nic nie było przesądzone. Namieszała mu w głowie. Początkowo wydawało mu się, że pożąda jej, bo trafił do małego miasteczka, w którym jest niewielki wybór, jednak po incydencie z Luanne wiedział już z całą pewnością, że chodzi o coś innego. Przecież był mistrzem szybkich numerków, potrafił się zabawić, a tu... Co takiego było w Shelby, że nie mógł się od niej uwolnić?

Pracowity dzień dobiegał końca. Gdy Luke wyszedł spod prysznica, dojrzał kogoś, kto przechodził obok domu w zbyt bliskiej odległości. Rzeka znajdowała się na tyle daleko, że spacerowicze czy wędkarze nie powinni tu podchodzić. Owinąwszy się w pasie ręcznikiem, Luke wyrzwał przez okno w sypialni, lecz niczego nie zauważył. Jednak z jadalni zobaczył, jak jakiś mężczyzna grzebie w jego kontenerze na śmieci. Był zwałisty i lekko zgarbiony. Luke słyszał, że w lesie ktoś mieszka. Mógł na niego krzyknąć, żeby stąd spadał, ale co to szkodzi, że ktoś sobie pogrzebie w śmieciach? Nie robił bałaganu. Luke, w obawie przed niedźwiedziami, nie wyrzucał do kontenera odpadków z jedzenia. Mężczyzna odwrócił się, czym zaskoczył Luke'a. Zdołał jednak wreszcie lepiej przyjrzeć się intruzowi. Wiek trudno było ustalić, pewne jednak było to, że nieznajomy miał zespół Downa i paskudne limo pod okiem. Luke schował się. Nie chciał go przestraszyć. Godzinę później, gdy wybierał się na kolację do knajpy Jacka, zauważył, jak drzwi najdalszego domku letniskowego powoli się zamykają. Miał lokatora.

Luke miał za sobą długie samotne dni. Nic go lepiej nie uleczy niż zimne piwo i towarzyska pogawędka. Kiedy wszedł do baru, Jack powitał go jak starego kumpla.

- Cześć. Jesteś wreszcie. Dawno cię nie widziałem. Jak leci?
- Syf i malaria - z uśmiechem odparł Luke. - Ale widać postępy.
- Piwo?
- Rozumie się. Co dziś serwuje Proboszcz?
- Gulasz z sarniny. Najlepszy, jaki jadłem. Zostaniesz na kolację?



– Teraz już będę musiał.

Zanim Luke do połowy opróżnił kufel, zjawił się Paul w brudnych ciuchach roboczych. Spojrzał na swoje ubłocone buty, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Dało się słyszeć głośne tupanie. Po chwili wrócił i usiadł przy barze.

– Jak się masz, Luke? – zagadnął.

– Nieźle. Zamierzałem do ciebie zadzwonić. Mógłbyś do mnie kogoś przysłać? Chciałbym, żeby ktoś obejrzał dach na domu i domkach, a także sprawdził okablowanie.

– Jasna sprawa. Sam to zrobię. – Podniósł palec i natychmiast stanęło przed nim zimne piwo. – Może jutro po południu? Powiedzmy, że o piątej, na fajrant, ale jeszcze przy świetle.

– Doskonale. – Luke kilka razy zerknął przez ramię. Zbyt długo jej nie widział. Zarazem miał nadzieję, że dziś nie przyjdzie, i modlił się żarliwie, by jednak przysłała. – Zostajesz na kolację?

– Nie. – Paul pociągnął piwa. – Dziś gotuje dla mnie piękna rudowłosa. A jeśli Bóg istnieje, generał ma inne plany.

Bar wypełnił się ludźmi, w większości miejscowymi, było też kilku wędkarzy oraz grupka młodych myśliwych. Luke zamówił drugie piwo, postanowiwszy zaczekać na gulasz. I wtedy to się stało. Wreszcie się pojawiła. Już prawie zdołał się przekonać, że dziś wieczorem nie dopadnie go pożądanie. Nic z tego, będzie jeszcze gorzej. Obcisłe dżinsy, jedwabna bluzeczka pod dżinsową kamizelką, rozpuszczone włosy, chód jak lot, ciało, które prosiło się o pieszczoty. Podeszła od razu do baru. Paul objął ją ramieniem.

– Co tam, mała?

– Nic specjalnego – odparła. – Cześć, Luke.

– Cześć.

– Jak ci idzie praca nad domkami letniskowymi?

– Dzięki. Całkiem dobrze.

– Uciekam do domu – rzucił Paul, kończąc piwo. – Wracasz na kolację? – zapytał Shelby.

– Wuj Walt wychodzi wieczorem, więc może zjem tutaj. Myślę, że Luke'owi przydałoby się towarzystwo – oznajmiła z szelmowskim uśmiechem. – Wrócę później.

– Niech Bóg ci to wynagrodzi. – Paul cmoknął ją w czoło. – I Muriel też. – Zmył się niczym porywisty wiatr.

– Wiadomo, o co chodzi – skomentowała Shelby ze śmiechem.

– Muriel? – zapytał Luke.

– Od niedawna mamy nową sąsiadkę. Mieszka po drugiej stronie łąki. Piękna kobieta. Od kiedy tu zamieszkała, wuj ma bardzo zajęte wieczory.

– Serio? – zdumiał się Luke. Generał ugania się za kiecką?

Oparła łokieć na barze i wsparła głowę na dłoni.

– Chyba nie masz nic przeciwko, że ci przez chwilę potowarzyszę?

– Wiesz co, właściwie to chyba będę leciał...

Obok nich natychmiast wyrósł Jack.

– Hej, przecież szykowałeś się na gulasz. Shelby, piwa?

– Dzięki... Zamierzałeś wyjść, kiedy się pojawię? – zapytała, gdy Jack podał jej piwo i oddalił się. – Niezbyt to dla mnie pochlebne.

– No to chyba jednak zostanę na kolacji – bąknął speszony Luke.

– Nie musisz się poświęcać. Znajdę sobie kompana.

– Spokojnie, dam radę.

– Nie przychodzę tu codziennie, więc myślałam, że po prostu się mijaliśmy, ale spytałam Jacka i okazało się, że w ogóle nie wpadasz do baru. Nie było cię ze dwa tygodnie...

– Mhm... – Jedenaście dni, pomyślał ponuro.

– A teraz chciałeś się ulotnić, jak tylko się zjawiłam. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mógłbyś mnie unikać. Drażnię cię czymś? Denerwuję? Co jest grane? – dociekała niespokojnie.

– Wiesz, Shelby, niedawno wyszedłem z wojska i wciąż siedzi we mnie respekt dla rangi. Twój wuj...

– Do diabła, nie ma go tutaj! – Zmarszczyła brwi. – Naprawdę chodzi o niego? Nie wierzę...

– Shelby, jesteś ładną dziewczyną. Dziewczyną – powtórzył z naciskiem. – Trochę się przy tobie spinam, to fakt.

– No to jesteście kwita. Też się spinam, to fakt – przedrzeźniała go, ale nie była już taka urażona. – Jesteś przystojnym facetem. Wiesz więcej o życiu niż ja, to oczywiste. I jesteś starszy. Straszne.

– No proszę. – Rozbawiła go jej szczerość. – Jak woda na płonący olej. Gramy bezpiecznie, tak? Okej, opowiedz mi o swoim dniu.

– Nie ma o czym. Ale wiesz, to ciekawe. Chciałabym się dowiedzieć, co tu jest grane. Chodzi o to, że jestem od ciebie dużo młodsza, tak? Albo po prostu mnie nie lubisz. – Zaczerwieniła się.

Wyczuł, że ta rozmowa wymagała od niej dużo odwagi. Tyle że Shelby, choć taka delikatna, do tchórzliwych nie należała i powiedziała, co chciała powiedzieć, więc teraz jego kolej.

– Na pewno wiesz, o co chodzi – odezwał się ostrożnie. – Jesteś młoda i delikatna. Słodka, młoda dziewczyna. A ja źle działałam na słodkie młode dziewczyny – zakończył z całkowitą szczerością.

– Założę się o wszystko, że zwykle się tym nie przejmujesz – skomentowała z kpiącym uśmiechem.

Cóż, nie było łatwo jej wystraszyć, uświadomił sobie z podziwem. Nie dawało mu spokoju to, że tylko raz rzucił na nią okiem i poczuł znajome ukłucie pożądania. A jeśli u niej nastąpi reakcja zwrotna? Problem w tym, że w jej emocjach można utonąć, tak były głębokie, jego zaś płytkie, powierzchowne, czysto fizyczne. Kiedy już zaspokoi żądzę, niewiele w nim zostanie dla Shelby. Skrzywdzi ją... Zawsze udawało mu się unikać takich sytuacji, jednak tym razem... jak to nazwać? Drażniła go, wabiła przez samo to, że po prostu była. Co za tortura, tak się powstrzymywać, a jeśli przegra walkę ze sobą, to jakby dokonał zbrodni na niewinności, zaszargał swoją duszę, popełnił samobójstwo.

– Po prostu żałuję, że twój wuj Walt nie jest emerytowanym sierżantem. – Luke zwykle działał ostrożnie pod względem terytorialnym, preferował spore miasta, żeby po wypaleniu się romansu nie wpadać wciąż na ekskochankę. Albo na jej wuja... Poza tym, zanim wskoczyli do łóżka, zawsze oznajmiał jednoznacznie, że się nie zakochał, nie interesują go długotrwałe związki i tak dalej. Cóż, miał swoje powody, by wierzyć, że poważny związek nie jest mu pisany.

Zastanawiał się, jak Shelby odebrałaby taki wykład. Pewnie by się rozpląkała, wzięwszy pod uwagę jej brak doświadczenia. Usilnie starał się jej nie dotykać, ale siedząc tuż obok, popijając piwo, czując jej słodki zapach i wpatrując się w jej wielkie orzechowe oczy, coraz bardziej uświadamiał sobie, że stara się na próżno. To była kwestia czasu, może nawet godzin.

– Cóż, przyznaję, że ty też odbiegasz od moich wyobrażeń. Myślałam raczej o facecie przed trzydziestką z bujną czupryną, w koszulce polo albo śnieżnobiałej koszuli – powiedziała z uśmiechem.

Był w szoku. Tak długo walczył z pokusą po to tylko, by się dowiedzieć, że nie jest w jej typie?

– Jestem dla ciebie za stary, to proste jak drut – oznajmił cicho.

– Może i tak, ale niewielu tu samotnych facetów. Wyróżniasz się.

– Szukaj dalej

– Dobrze, ale bez przesady. Jest piwo, zaraz podadzą kolację. To, ile mamy lat i kim jest mój wuj, naprawdę się nie liczy.

Uśmiechnął się. Czasami sprawiała wrażenie starszej niż tych dwadzieścia pięć lat. No i była bystra. Zwykle młode kobiety, które do tej pory poznał, nie grzeszyły mądrością, pływały w płytkiej wodzie, wyszczekane i owszem, dyżurne tekściki jak na zawołanie, ale w głowie pusto. Ona zaś nie tylko była inteligentna, ale i refleksyjna, jak wyczuwał, a do tego szczerą i bezpośrednią. Luke to szanował.

– Znowu jeździłaś konno – powiedział. – Masz opalone policzki.

– Jeżdżę codziennie. Czasami nawet dwa razy.

– Od jak dawna to robisz?

– Od zawsze. Jestem jedynym dzieckiem jedynej siostry wuja Walta. Moi rodzice rozwiedli się, kiedy byłem niemowlakiem, więc wuj zaopiekował się mną. Wiele mu zawdzięczam. Między innymi nauczył mnie siedzieć w siodle. Często powtarzał, że zdolność panowania nad zwierzęciem wzmocni moją pewność siebie. Niby racja, tyle że pewnie czułam się tylko przy zwierzętach.

– Wzruszyła ramionami. – Kiedyś byłam strasznie nieśmiała.

Przypomniał sobie, jak ją ujrzał na grzbiecie tego wielkiego rumaka.

– Na koniu nie wyglądasz na taką. Przy mnie też nie – dodał cicho.

– Wiem. Dużo nad tym pracowałam. Niewiele o tobie wiem, no, byłeś pilotem śmigłowca, ale to właściwie wszystko. A twoja rodzina? Wiem, że masz brata, który lata na Black Hawkach na Bliskim Wschodzie.

Jego ojciec harował jako kierowca ciężarówki i elektryk. Chociaż nie żyli w biedzie, nie na wszystko starczało, na przykład na dobre wykształcenie. Ojciec musiał wychować i wykształcić piątkę chłopców.

– Byłem najstarszy, więc zaciągnąłem się jako pierwszy. To była łatwa decyzja, bo zawsze lubiłem wojsko. Jako żołnierz mogłem pokazać, co potrafię. Uwielbiałem wyzwania, szło mi nieźle. Colin poszedł jako drugi, po liceum do szkoły chorążych, a potem do kabiny Black Hawka. Aiden podbił stawkę, bo poszedł do szkoły oficerów rezerwy, a później dostał stypendium i trafił na uczelnię medyczną. Nie pytaj mnie jak, ale Dean trafił na akademię lotniczą i lata U-2. Sean to ten brat, z którym wypatrzyłem domki letniskowe. Paddy, czyli Patrick, dostał się do szkoły marynarki wojennej i lata na F-18. – Uśmiechnął się, widząc oszołomienie na jej twarzy.

– O rany, jest was pięciu! – zawołała.

– Dobrze policzyłaś. Tradycyjna irlandzka rodzina, największe bogactwo to liczne potomstwo. – Uśmiechnął się. – A jeśli znasz choć trochę historię Irlandii, to wiesz, że jesteśmy wojowniczym narodem. Pewnie stąd te nasze wojskowe kariery. Choć Sean i Patrick ze swoimi odrzutowcami... – rzucił kpiąco. – Uważają, że szybciej znaczy lepiej, ale tylko dlatego, że nigdy nie latali Black Hawkami.

– Szybciej, wyżej i bezpieczniej, co?

– Jasne, że bezpieczniej. Tacy z nich wojacy – podkpiwał, jakby bracia siedzieli tuż obok, a on drażnił się z nimi.

– Ile razy się rozbiłeś?

– Nigdy! – Wyprężył dumnie pierś. – Za to trzy razy okazałem się świetnym celem. Mogadiszu, Afganistan i Irak. Ale skończyłem z tym, już mnie nie zestrzela. Teraz największe zagrożenie, które czyha na mnie, to zdradliwy młotek, który wybierze inną trajektorię i zamiast w łeppek gwoźdźcia trafi mnie w palec.

Przez chwilę rozmawiali o remoncie domu i planach dotyczących domków letniskowych. Póki pogoda była ładna, Luke zamierzał skupić się na ścianach zewnętrznych, a kiedy się ochłodzi i wiatr od Pacyfiku przyniesie zimną i mokłą aurę, popracuje w środku.

– Chapman zrujnował dom, ale ściany nośne są nienaruszone. Oczywiście wymaga pracy, a właśnie po to tu przyjechałem. Jest mały, ale dla mnie w sam raz. Starczy miejsca, nawet jeśli któryś z braci mnie odwiedzi. To jednak tylko czasowe zajęcie. Jeszcze przed końcem robót zamierzam poszukać pracy jako pilot śmigłowca w ratownictwie lub w mediach, może nawet jako pilot prezesa jakiejś korporacji. Wprawdzie w tej branży nie jest łatwo o pracę, jednak niewielu pilotów ma takie doświadczenie jak ja, więc jestem optymistą.

– Dokąd pojedziesz?

– Jestem otwarty na propozycje. – Wzruszył ramionami.

Shelby dowiedziała się jeszcze, że między braćmi jest silna więź i gdy tylko zdarzy się okazja, spotykają się. Ojciec nie żył, natomiast matka mieszkała w Phoenix. Regularnie się z nią widywali. Kiedy zapytała go o bratanków i bratanice, odparł:

– Wszyscy kawalerowie. Zero dzieci.

Nie powiedziała mu o sobie wszystkiego, tylko tyle, że wreszcie była gotowa kontynuować naukę i już złożyła papiery na studia.

– Ze sprzedaży domu odłożyłam na chesne. Chciałabym się najpierw wybrać w podróż, może jakiś rejs, ponieważ i tak mogę zacząć studia dopiero w następnej jesieni. Trochę się denerwuję, bo minęło już sporo czasu, odkąd chodziłam na zajęcia.

– Świetnie dasz sobie radę – powiedział zaskoczony, że jej ambicje napawają go dumą.

– Jak na razie tylko się obijam.

– Do kiedy?

– Przynajmniej do początku roku, w każdym razie taki mam plan. Niewiele mam tu do roboty, pomogę temu i owemu. Trochę już się nudzę.

Doprowadził ją do śmiechu, rozluźniła się przy nim. Wypiła drugie piwo, on też zamówił kolejne.

– Gotowa, żeby coś zjeść? – zapytał w końcu.

– Umieram z głodu.

Zanim Jack postawił przed nimi talerze, wielu miejscowych zdążyło już wyjść z baru, ale ponieważ zostało jeszcze kilku wędkarzy, Luke i Shelby nie musieli się śpieszyć.

Poprosili Jacka o kawę i przegadali następną godzinę, aż w końcu Shelby zerknęła na zegarek i powiedziała:

– Myślisz, że dałam zakochanym ptaszkom wystarczająco dużo czasu?

– Sądząc po minie Paula, nigdy nie będzie miał dość.

– Święte słowa. – Wstała i wsunęła dłoń do kieszeni spodni.

– Nie, Shelby. Pozwól, że ja to załatwię. – Wyjął portfel i położył kilka banknotów na barze.

– Uważaj, Luke. Jak postawisz mi kolację, pomyślę, że mnie lubisz. Dotknął dolnej części jej pleców, po czym powiedział:

– Sęk w tym, że tak jest. – Minęły nerwy związane z jej wiekiem i wujem. Zrobił kolejny krok. Kiedy będzie po wszystkim, będzie i po nim. Złapała go w sidła. Miał nadzieję, że śmierć będzie szybka i bezbolesna.

Przebiegła ją dreszcz podniecenia, gdy szła przed nim w stronę drzwi. Wyszedłszy na zewnątrz, podniosła głowę i spojrzała w czyste, usiane milionem gwiazd niebo. Wiatr gwizdał i tańczył między sosnami, od czasu do czasu zahuczała sowa. Luke stanął za Shelby i otoczywszy rękami jej talie, przyciągnął ją do siebie. Przymknęła oczy, rozkoszując się jego bliskością. Poczula, jak odsuwa włosy i raptem jego usta i język znalazły się na jej szyi.

– Mmm – mruknął. – Smaczne. Naprawdę smaczne.

Instynktownie przekrzywiła głowę, by mocniej do niej przywarł. Ten gest, ta zachęta... Przeszli dalej, w zacieniony zakątek. Delikatny, słodki zapach Shelby zawładnął Lukiem, który zapragnął zabrać ją gdzieś i pójść na całość. Odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.

– Jestem przekonany, że popełniamy wielki błąd – szepnął.

Przesunęła dłońmi po jego ramionach i posłała mu ten swój słodki, urzekający uśmiech.

– Nie sposób ci się oprzeć, Shelby, a ja zawsze miałem słabą wolę.

– Flirtowanie z niebezpiecznymi starszymi facetami to dla mnie coś nowego – odparła. – Powinnam teraz przeprosić?

– Coś nowego? Jesteś bardzo pewna siebie.

– Widać lepiej sobie radzę z ludźmi, niż mi się zdawało – odparła ze śmiechem. Nie było co do tego wątpliwości. Podjęła szybką, szaloną decyzję: nie będzie czekała na młodszego, bardziej „stylowego” faceta. Stwierdziła, że to, co do tej pory nakazywało zachowywać jej ostrożność, teraz zadziało na jej korzyść. Luke był doświadczony. Wiedział, co robi. Potrzebowała tego. Jego ramiona wokół niej, jego usta na jej szyi... Po prostu cudownie. Świetnie się nada.

– Czy wiesz, co oznacza zadawać się z kimś takim jak ja? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Niebezpieczeństwo? Złamane serce? – Odetchnęła głęboko. – Przygoda? Luke, nie boję się ciebie tak bardzo, jak ty boisz się mnie.

Jego usta znalazły się tuż obok jej ust.

– Jesteś pewna? Bo myślę, że wiesz, dokąd prowadzi ten flirt. Tam, gdzie rządzą... nagie uczucia. Nagie, Shelby.

– Nie tak prędko, Luke... Nie zdejmę ubrania.

– Jeszcze nie?

Trzymał usta tak blisko, że czuła jego ciepły oddech.

– Może nigdy – wyszeptała.

– Może... Co za piękne słówko. – Delikatnie dotknął jej ust swoimi. Objął mocno Shelby, całując coraz mocniej. Czuł dotyk jej twardych piersi, tak bardzo chciałby je obnażyć, pieścić, tyle że z Shelby nie wolno się śpieszyć, nie wolno być gwałtownikiem. Trzeba ją umiejętnie poprowadzić, oswajać, delikatnie przełamywać zahamowania. A do tego potrzebowali więcej prywatności.

Shelby przytuliła się do niego jeszcze mocniej, coraz bardziej chętna i żarliwa w pocałunkach, w pieszczotach. Dotarło do niego, że cudownie się dopasowuje, stają się jakby jednością, a to oznaczało, że kiedy wreszcie pójda na całość, obojgu będzie cudownie.

– Mam wrażenie, że nie tego się po mnie spodziewałeś – szepnęła. – Nie mam wielkiego doświadczenia.

– Za to ja mam. – Pocałował ją znowu. – Masz rację, Shelby. Zaskakujesz na każdym froncie.

Prychnęła lekko, po czym rzuciła z uśmiechem:

– Nawet nie masz pojęcia.

Przeczesał jej włosy na skroniach.

– Shelby, jak to możliwe, że młoda i piękna kobieta wciąż jest sama? Rzuciła mu spojrzenie.

– Nie miałam czasu – wyznała cicho, nagle dziwnie zadumana. – Moja mama... Musiałam się nią opiekować. – Spojrzała mu w oczy. – Nie miałam swojego życia, bo na nic innego nie starczało czasu. Póki nie umarła.

Przez chwilę milczał, tak bardzo poraziła go ta informacja, wreszcie spytał:

– Jak długo?



- Jakieś pięć lat.
- Shelby...
- To był mój wybór. Chciałam tego.

Delikatnie złożył pocałunek na jej czole.

- Nie każdy by tak postąpił.
- Tak ci się tylko wydaje.

Był zaskoczony, jak mocno go to poruszyło. Uniósł jej podbródek i raz jeszcze pocałował, potem zasypał pocałunkami skronie, oczy, usta.

- Nie – powiedział. – Tylko ktoś wyjątkowy potrafi wziąć na barki taki ciężar i nieść go przez długie lata. Jesteś wyjątkowa, Shelby. – Była dla niego uosobieniem piękna, zarówno jej ciało, jak i dusza. – Chodź, odprowadzę cię do samochodu.

- Zmieniłeś zdanie co do tego... flirtu...

Pokręcił głową. Nic z tego. Powinien, ale nic z tego. Kiedy nadejdzie właściwa pora, Shelby sama do niego przyjdzie, czuła i chętna. Dopiero wtedy... i tylko wtedy będzie się z nią kochał... długo, powoli, namiętnie. Do diabła z konsekwencjami. Zyska pewność, że nie będzie tego żałowała. To nie może nastąpić ani zbyt prędko, ani zbyt późno, po prostu we właściwym czasie. I będzie wyjątkowo. Tak to sobie ułożył w głowie. Cóż, nic lepszego nie potrafił wymyślić.

- Nie – odparł. – Ja myślę tylko o jednym.
- To ci niespodzianka – skomentowała ze śmiechem.
- Zanim to zajdzie za daleko, będziemy musieli porozmawiać – zaznaczył.
- O czym?
- O oczekiwaniach, o potrzebach. Musisz wiedzieć, w co się pakujesz, dopóki masz jeszcze czas, by oprzytomnieć.

Dotknęła jego policzka.

- Nie mogę się doczekać.
- Chodź... – Pocałował ją czule.
- Odstawię cię do domu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Shelby chciała jeszcze. Była w nastroju na coś więcej niż tylko pocałunki i dotyk. Ale tylko w nastroju, bo wiedziała doskonale, że tak naprawdę nie jest jeszcze gotowa. Dlatego choć z bólem, ale jednak z wdzięcznością zaakceptowała zachowywany przez Luke'a dystans i pozwoliła zaprowadzić się do swojego auta.

Po niedługim czasie weszła do ciemnego, cichego domu. Światło paliło się tylko w salonie, zostawione dla niej. Na podjeździe brakowało suwa wuja Walta. Była dopiero dziesiąta, ale wiedziała, że Vanni i Paul położyli się spać, jak tylko zasnęło ich maleństwo.

Natomiast Shelby była zbyt poruszona, by zasnąć. Zdjęła buty, rozpałała w kominku, owinęła się narzutą z kanapy i skuliła się w wielkim skórzanym fotelu. Kwadrans później zjawiała się Vanni ubrana w szlafrok i futrzaste kapcie. Uśmiechnęła się do Shelby, usiadła w drugim fotelu przed kominkiem, zsunęła kapcie i owinęła nogi szlafrokiem.

– Obudziłam cię? – spytała Shelby.

– Nie spałam.

– To może w czymś przeszkodziłam?

– Nic z tych rzeczy. Myślałam o tobie, zastanawiałam się, kiedy wrócisz do domu.

– Nie spałaś przeze mnie?

– Co ty! – odparła ze śmiechem. – A właściwie to tak. Paul powiedział, że zostałam w barze na kolacji z Lukiem.

– Nie ma to jak rodzinka. Paul od razu przyleciał i na mnie doniósł. Każdy, kto wychodzi od Jacka, gapił się na nas. Cholera, może ta mała coś kombinuje? Jak to dobrze, że już nie mam piętnastu lat...

– Wydaje mi się, że Luke jest dla ciebie ciut za stary.

– Bo jest. W dodatku dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jestem dla niego za młoda. – Roześmiała się cicho. – Co on tam wie.

– Wiesz, dorastałam w otoczeniu żołnierzy. Bywają prości, mówiąc delikatnie. A mniej delikatnie... cóż, taka już ich natura bestii. Przez życie, które wiodą, przez to, czego się od nich wymaga, stają się twardzi i szorstcy, nieczuli i bezczelni. Uczą się, jak żyć chwilą, nie oglądając się za siebie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Powiedziałaś to o wuju Walcie? Albo o Jacku? Paulu?

– Nie, skądże, ale to wyjątkowi mężczyźni. – Przez chwilę milczała. – Tak długo tkwiłaś w zamknięciu z matką, że przegapiłaś moment, w którym obudziła się w tobie kobieta. A teraz, kiedy przydałaby ci się rozmowa z matką, jej już nie ma. Może ty i ja powinniśmy o tym porozmawiać. O facetach, o związkach.

– Vanni, ty się o mnie martwisz?

– Nic na to nie poradzę. Wiem, ile masz lat, ale wiem też, jak mało zdobyłaś doświadczenia.

Za to on ma doświadczenia za nas oboje, chciała powiedzieć.

– Słuchaj, nie możesz ze mną rozmawiać, jakbym była nastolatką. Fakt, nie udzielałam się towarzysko, ale nie jestem ignorantką. Owszem, byłam uwiązana w domu, ale miałam telewizję i książki. Może nie mam doświadczenia z pierwszej ręki, ale jako patrząca z boku, i owszem. Byłam świadkiem miłosnych rozterek kobiet od Scarlett O'Hary po Annę Kareninę. A w telewizji cały ich tłum. Ale proszę cię bardzo, Vanni – powiedziała z uśmiechem – mów, co powinnam wiedzieć.

– On ci się podoba.

– Nawet bardzo. Nie spodziewałam się tego, ale co na to poradzę?

– I dobrze wiesz, co robisz, tak?

– Nie. – Roześmiała się. – Wiem, co chciałabym zrobić, ale jestem tak bardzo nieporadną nowicjuską... Cud prawdziwy, że jeszcze się mną nie znudził. Mam dwadzieścia pięć lat, ale dopiero teraz przechodzę okres dojrzewania. Jasne, powinnam się wiele nauczyć w szkole, ale byłam zbyt nieśmiała. Bałam się flirtować, lękałam się reakcji chłopców. Niewinne randki, och, nawet nie randki, sympatyczne spacerki, wypadki do kina, zbiorowe imprezy, to wszystko. Po szkole, gdy już byłam trochę starsza i odważniejsza, mogłam posunąć się dalej, ale wiesz, jak to się potoczyło. Brak czasu, brak życia prywatnego. – Wzruszyła ramionami. – No i tak wyszło, że teraz próbuję po raz pierwszy. Z facetem, którego pierwszy raz pewnie był przed moimi narodzinami.

– Nie chcę, żeby cię skrzywdził – powiedziała zatroskana Vanni. – Jesteś mi bliska, zależy mi na tobie.

– Wiem, Vanni, czuję to samo do ciebie – szepnęła wzruszona, po czym dumiała przez chwilę. – Co o tym myślę? Prawie nie znam Luke'a Riordana, nie mam jednak złudzeń, że jest moim księciem z bajki. Nie, nic z tych

rzeczy. Mówiąc szczerze, Luke zrobił wszystko, by mnie zniechęcić, za to ja napierałam. Unikał mnie ze względu na mój wiek, sam tak powiedział. Tak postępuje książę z bajki? Zwykły tchórz! – Gdy Vanni wybuchnęła śmiechem, obruszyła się: – To wcale nie jest śmieszne! Wyobrażałam sobie kogoś w moim wieku, kogoś, kto dopiero startuje w życiu, a nie faceta po przejściach, kolekcjonera kobiet i wojennych konfliktów w najdalszych krańcach świata, kogoś mniej... cynicznego. Nie faceta, który jest aż tak... bezpośredni, że ledwie mnie poznał, a już wali prosto z mostu, że chce mnie przelecieć.

Vanni wyprostowała plecy i otworzyła szeroko oczy.

– Tak powiedział?

– Nie dosłownie, ale przekaz był oczywisty. – Przeszedł ją dreszcz. – Mimo wszystko trochę o nim wiem. Owszem, bywa nieokrzesany, ale jednocześnie jest czuły, delikatny i cierpliwy. – Jej oczy rozbliły się. – Pocałował mnie... Nigdy nikt mnie tak nie całował. To było niewiarygodne.

– Wow. Serio?

– Mhm. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jest w tym dobry. Spokojna głowa, powiedziałam mu, że się nie rozbiore. Chociaż chciałam, jak rany, chciałam.

– Shelby! – Vanni nie kryła zdumienia.

– Chciałam, ale tak przed barem? No i było dość chłodno. To znaczy wiesz, nie czułam zimna, bo Luke mnie obejmował. Było dobrze, bezpiecznie, ciepłutko... – Gdy Vanni zachichotała, też się uśmiechnęła. – Podobam mu się, co denerwuje Luke'a, bo wuj Walt go strasznie deprymuje. Rozumiesz, pilot śmigłowca i generał. I wiesz co? Podoba mi się, że mimo to nie może mi się oprzeć. Masz pojęcie, co to znaczy dla kogoś takiego jak ja?

Vanni milczała przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała:

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Porozmawiajmy. Chciałabym o tym pogadać, zastanowić się, dokąd to zmierza, chociaż chyba dobrze wiem dokąd. Czy możesz oszczędzić Paulowi szczegółów?

– Jasne – odparła Vanni z uśmiechem. – Facetów to i tak nie obchodzi. Od czego chcesz zacząć?

– Może na początek opowiedz o swoich pierwszych doświadczeniach – zaproponowała Shelby.

– Okej... – Vanni zadumała się na moment. – Po pierwsze, w liceum nie należałam do nieśmiałych. Tym bardziej w college’u. A już kiedy pracowałam w liniach lotniczych...

– O Jezusie, nieźle się zapowiada! – Shelby zachichotała. – Zamieniam się w słuch!

Następnego ranka Luke wstał jak zwykle o wczesnej porze. Na ten dzień zaplanował odwiedzinę w domku numer sześć. Wyjął chleb, majonez, musztardę, mortadelę i ser, po czym zrobił sześć kanapek. Zawinał je i włożył do torby, dorzucił duże opakowanie czipsów i dwa napoje w puszcze. Słońce właśnie wstawało, kiedy pchnął drzwi domku letniskowego. Mężczyzna leżał zwinięty w kącie na zniszczonej sofie. Był przykryty kurtką, trzymał rękę pod głową. Luke kucnął obok niego, ale nieznanemu nawet nie drgnął mięsień. Oblepiał go brud. Luke zastanowił się, jak długo był już bezdomny. Gdy potrząsnął nim lekko, powoli otworzył oczy, przetarł twarz i usiadł na posłaniu.

– Od jak dawna tu nocujesz? – spytał Luke.

– Parę dni. – Ziewnął. – Pójdę.

– Przyniosłem ci coś do jedzenia. – Podał mu torbę.

– Nie mam kasy.

– To za darmo. Jak się nazywasz?

– Art. – Wyjął kanapkę i pochłoniął ją niemal w całości.

– Powoli – przyjaźnie powiedział Luke. – Kto cię tak załatwił?

– Nie chciał. Mówił, że nie chciał. – Już przeżuwał następną kanapkę.

– Kto nie chciał?

– Stan. – Przełknął głośno i sięgnął po kolejną kanapkę. Był strasznie wygłodzony. – Szef spożywczaka.

– Hm. Skąd jesteś?

– Eureka. Przeszedłem wielkie drzewa. Lubię je, te wielkie drzewa.

– Sekwoje. Pokonałeś tę drogę na piechotę?

– Trochę na stopa. – Wzruszył ramionami. – Nie wolno jeździć stopem, wiesz? A potem poszedłem przez wielkie drzewa.

- Przez zagajnik, tak? Fakt, ładne są. Ile masz lat?
- Trzy dychy. To znaczy będą w listopadzie. - Jego dłoń zanurkowała po następną kanapkę.
- Twoi rodzice mieszkają w Eurece?
- Mamy nie ma. - Pokręcił przecząco głową. - Mieszkam w domu opieki, ale muszę pracować w spożywcza. Dla Stana.

Jako dziecko Luke znał tylko jedną osobę z zespołem Downa, pewnego chłopaka z sąsiedztwa. Był młodszy, w wieku Seana, i Luke oraz jego bracia opiekowali się nim. Nikt nie ośmielił się zrobić mu krzywdy, bo w przeciwnym razie miałby do czynienia z wojowniczym irlandzkim klanem Riordanów. Był przemiłym chłopakiem. Luke z czasem dowiedział się, że chorzy na zespół Downa to najłagodniejsi ludzie pod słońcem. Tymczasem szef uderzył w twarz Arta, który uciekł przed swoim prześladowcą. Co to musi być za człowiek? No i czy opiekun Arta nie powinien się tym zająć? Chyba że też nie przebierał w środkach... Luke pomyślał, że powinien do kogoś zadzwonić, sprowadzić pomoc. Lecz po chwili zrezygnował, bo przecież nie mógł pozwolić, żeby Art wrócił tam, gdzie był tak okropnie traktowany.

- Słuchaj, stary, potrzebujesz pracy, w której nikt nie będzie cię bił? Art tylko wzruszył ramionami, z mlaskaniem przelkując kolejną kanapkę. - Jest tu sporo do roboty. Mogę ci zapewnić dach nad głową na czas remontu, dostaniesz jakieś ciuchy i jedzenie, a ty odpłacisz pracą. Co ty na to? - Art skinął głową, nawet nie podniósłszy wzroku. - Umiesz liczyć?

Spojrzał na Luke'a, przełknął i odparł:

- Jasne, że umiem. Nie jestem głupi.
- Pewnie, że nie jesteś - z uśmiechem odparł Luke. - Okej. Kilka nocy prześpisz w przyczepie, a jak już wyszukujemy domek, przeniesiesz się do niego. Znajdę ci śpiwór i czyste ciuchy. W porządku?
- Jak się nazywasz? - zapytał Art, przełknąwszy ostatni kęs.
- Luke.
- Okej, Luke.
- Kiedy skończysz jeść, przyjdź do przyczepy i umyj się. Woda nie jest przesadnie gorąca, ale wystarczy. Przyniosę ci mydło i ręcznik. To co, umowa stoi?
- Okej, Luke.

– Zawsze to jakiś dach nad głową i miejsce do spania. Pamiętaj, po remoncie zamieszkas w domku, ale w przyczepie też nie jest źle.

– Dzięki, Luke.

– Proszę bardzo, Art.

Wrócił do domu i przejrzał swoje rzeczy. Był wysokim i szczupłym w talii mężczyzną, więc nic z jego garderoby nie pasowało na Artę. W końcu wybrał szlafrok, którego nigdy nie nosił, wziął ręczniki, mydło, poduszki i śpiwór i wrócił do domku numer sześć. Był pusty. Miał nadzieję, że Art nie spanikował i nie uciekł, bo naprawdę potrzebował pomocy.

Art, jak Luke mu nakazał, poszedł do przyczepy. Pysznic, ciasny i ledwie ciepły, był odkręcony. Luke zapukał do drzwi.

– Art?

– No?

– Podam ci mydło i zostawię szlafrok i ręczniki, dobrze?

– Okej. Ale nie patrz na mnie.

– Nie będę patrzył. Włóż szlafrok, a ja spróbuję uprać twoje ubranie. Wygląda nieciekawie.

– Bo jest brudne.

Mało powiedziane. Ostrożnie podniósł ciuchy z podłogi i zaniósł je do domu. W połowie drogi rozmyślił się. Stwierdził, że są tak uświnione i pewnie zawszone, że wolałby nie wkładać ich do pralki. Ubranie było powycierane, a bielizna szara, jednak oko zostało podbite niedawno. Luke uświadomił sobie, że Art ubierał się tak w domu opieki. Wyjął ze skrzynki z narzędziami miarkę i wrócił do przyczepy. Art, ubrany w niebieski frotowy szlafrok, aż podskoczył.

– Spokojnie. Obejrzałem twoje ubranie. Jest w fatalnym stanie, a ja nie mam nic, co by na ciebie pasowało. Ponieważ będziesz dla mnie pracował, kupię ci coś w twoim rozmiarze. Wiesz, jaki nosisz rozmiar?

– Sto dwa.

– Jakie sto dwa? – Gdy Art tylko wzruszył ramionami, powiedział: – Okej, nie ma sprawy. Wezmę twoje wymiary. Najpierw w talii, bo pewnie o to chodzi. – Przypomniał sobie, że Art prosił, by na niego nie patrzeć, pewnie więc ukrywał brzydkie znamię lub ślady po pobiciu. Nie będzie więc mógł wymierzyć długości nogawek. W takim razie zmierzy brudne spodnie. Art stał

nieruchomo, gdy Luke mierzył go w talii. Sto dwa centymetry. Dokładny skubaniec, pomyślał Luke. Ciekawe, czy tak samo dokładny w robocie. Zamierzał dać mu szansę, a nad szczegółami zastanowi się później.

– Jaki masz rozmiar buta?

– Dziesięć. Szerokie. Bardzo szerokie.

– Posłuchaj, Art. Skoczę po jakieś ubranie dla ciebie, bo to nadaje się tylko do wyrzucenia. Potem zjemy lunch, a jutro porozmawiamy o twojej pracy. Poczekasz na mnie w przyczepie? To zajmie ponad godzinę.

Art spojrzał na zwinięty śpiwór leżący na łóżku.

– Mogę rozłożyć?

– Jasne. Zdrzemnij się, jeśli chcesz. Jak się umyłeś, to całkiem nieźle wyglądasz. Dawno jesteś w drodze?

Art swoim zwyczajem wzruszył ramionami, ale Luke już znał odpowiedź, bo siniak był świeży. Miał jednak nadzieję, że pozna więcej szczegółów, ale nic z tego. W każdym razie Art uciekł niedawno, ale musiał przeżyć ciężkie chwile, skoro tak się wybrudził.

– Wróć. Nie ruszaj się stąd. Nie chcę, żebyś kogoś wystraszył w tym szlafroku.

– To twój szlafrok – zauważył Art.

– Daję ci go. Ani razu nie miałem go na sobie. Dostałem go od matki, jak każdego roku. Pewnie nie chce, żebym ganiał na golasa.

– Mojej mamy nie ma.

– Tak, mówiłeś. Przykro mi, stary.

– Mieszkam w domu opieki, ale już nie chcę tej pracy, już nie.

– Rozumiem to, Art. Nie musisz tam pracować. U mnie nikt cię nie będzie bił. Czy to dla ciebie jasne? Art uśmiechnął się nieśmiało. Zmęczony, wystraszony, sponiewierany człowiek.

– Jasne, Luke.

Dwie godziny później Art miał już nowe i bardzo praktyczne ubranie: luźne niebieskie dżinsy, dżinsowe koszule, slipy, skarpetki, tenisówki, oczywiście czarne, bo podczas pracy się ubrudzą. Art dostał też szczoteczkę do zębów, pastę, grzebień, maszynkę do golenia i krem. Wieczorem Luke zrobił mu



hamburgera, pokazał, jak korzystać z przyczepy, a na koniec upewnił się, że Art goli się w bezpieczny sposób.

– Dasz sobie radę sam? – zapytał.

– Podoba mi się – odparł Art, unosząc maszynkę. – Jak ją zobaczyłem, od razu chciałem ją mieć.

– To dobrze. Nie uciekniesz?

– Teraz ci pomagam, Luke.

– Masz tu wodę i batoniki, gdybyś zgłodniał w nocy. Wiesz, gdzie mnie szukać. Okej?

– Okej. – Art usiadł na łóżku i oplótłszy pulchne kolana dłońmi, zaczął się kołysać.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś?

– Nie.

– A zatem do zobaczenia rano. Zjemy razem śniadanie.

– Dzięki, Luke.

Wrócił do domu. Tego wieczoru nigdzie się nie wybierał, ponieważ chciał być na miejscu, gdyby Art czegoś potrzebował. To oznaczało, że nie zobaczy się z Shelby. Przez chwilę poczuł zawód. Ominęły go kolejne, pełne pocałunków chwile. Ale pojawiło się coś, czego nie przewidział. Jeśli Art okaże się dobrym pracownikiem, będzie to z korzyścią dla nich obydwu. Jeżeli opieka nad Artem będzie wymagała więcej zachodu, załatwi pomoc. Teraz przynajmniej znalazł zastosowanie dla jednego z licznych szlafroków, które dostał od matki.

Dwa dni później Shelby osiodłała dwa konie. Wskoczyła na Chico, Plenty ruszyła obok jako luzak. Szybko dotarła na polanę przed domkami Luke'a i zatrzymała się w pewnej odległości. Wrześniowe popołudnie było ładne i słoneczne. Widziała, jak Luke siedzi okrakiem na dachu domku letniskowego i zrywa zniszczony gont. Choć było na tyle chłodno, że sama musiała włożyć kurtkę, widziała przed sobą szerokie, opalone, nagie plecy Luke'a. Miły widok, którym rozkoszowała się w ciszy. Jednak gdy Plenty zarżała, Luke zerknął przez ramię, po czym wstał, łapiąc równowagę na szczycie dachu. Uśmiechnęła się pod nosem. Cóż za widok: naga klatka, szczecina na policzkach i brodzie, dzinsy i pas z narzędziami. Co takiego

mówiła o wymarzonej twarzy? Gładko ogolony, wykrochmalony, ułożony, koszulka polo... E tam.

– Zgubiłaś po drodze jeźdźca? – krzyknął.

– Właśnie go szukam. Masz ochotę na przerwę? Ciekawe, czy potrafisz się utrzymać w siodle.

– Robisz mi test na kowboja?

– Być może. – Roześmiała się. – Ale nie przejmuj się, będę cię lubiła, nawet jeśli spadniesz.

Zszedł po drabinie. Narzucił na siebie koszulę. Shelby nie odrywała wzroku od pasa na narzędzia. Luke dotknął sprzączki i zamarł. Kiedy podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, wyszczerzył zęby, jakby chciał powiedzieć: „Mam cię”.

Co u diabła? – pomyślała, odwzajemniając uśmiech.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Dawno cię nie widziałam. Znowu mnie unikasz?

– Nie, choć powinienem. Mam trochę pracy. Czy generał wiedział, że tu się wybierasz?

– Oczywiście. To jego konie.

– Co powiedział? – spytał ponuro, zdejmując pas.

– Cytuję: Uważaj na tego pilota śmigłowca. Tacy lubią wykorzystywać kobiety.

– Boże... Znikaj stąd jak najprędzej, zanim zarobię kulkę.

– Skłamałam! – krzyknęła rozbawiona. – Tak naprawdę kazał mi cię uprzedzić, że Plenty wali z zada, gryzie i uwielbia uciekać. Więc musisz uważać.

– Wali z zada? Gryzie? Ucieka? – spytał nerwowo. – To klaczka czy dzika bestia?

– Z jeźdźcem zwykle tego nie robi. Jeśli już coś się zdarzy, trzymaj mocno wodzie, bo bywa narowista.

– O rany. Czuję, że to będzie jedna wielka żenada. Dokąd jedziemy?

– Może w górę rzeki? Dasz radę?

– Spróbuję. Tylko zaczekaj, zaraz wracam. – Podeszedł do pierwszego domku i zajrzał do środka. Art robił to, o co Luke go poprosił, czyli zmiatał śmieci na zgrabną kupkę pośrodku pomieszczenia, z którego wyniesiono wszystkie meble.

– Hej, Art – odezwał się Luke. – Wychodzę na chwilę. Dasz sobie radę?

– Tak.

– Dam ci znać, kiedy wrócę.

– Okej.

Luke podeszedł do Shelby i koni, ostrożnie gładząc Plenty po grzbiecie. Odsloniła zęby, jakby miała zamiar go ugryźć, ale jakoś jej się odechciało.

– Masz jakąś broń? – zapytał Luke.

– Po co?

– Na niedźwiedzie. Polują na ryby.

– E tam, szybko biegam.

– Jasne... Widziałem ostatnim razem. Ze mną gorzej. Mam nadzieję, że utrzymam się w siodle. – Wrócił do auta i zabrał z niego remingtona kaliber 38. – Będę się lepiej czuł, polegając nie tylko na twojej ochronie.

– Głupek – odparła. – Ładna strzelba, ale czy nie za duża?

– Sprawia, że czuję się bardziej męsko.

Kiedy przymocowywał karabin do uchwytów przy siodle, w drzwiach domku stanął Art z miotłą w dłoni.

– Kto to taki? – zapytała Shelby.

– Zaraz ci opowiem. – Wskoczył na konia. – Ty prowadzisz.

– Nazywa się Art – zaczął Luke, gdy dotarli do rzeki. – Znalazłem go, jak spał w jednym z domków. Był brudny, ranny, przed czymś uciekał. Teraz pracuje dla mnie w zamian za jedzenie i dach nad głową.

– Mieszka u ciebie?

– W przyczepie, potem przeniesie się do jednego z domków, gdy już go wyremontujemy. To dlatego nie bywałem ostatnio w barze. Artowi niewiele trzeba: gorący prysznic, płatki na śniadanie, kanapki z mortadela na lunch, jakaś kolacja i miękkie posłanie. Jest niesamowity. Pracuje wolno, ale za to dokładnie. Bardzo mi pomaga. Gdybyś tylko mogła nikomu o nim nie

wspominać, dopóki nie wymyślę co dalej, okej? Nie wiem jeszcze, przed kim ucieka, ale na pewno nie chce tam wracać. Ktoś mu podbił oko. Nie ma rodziny.

– Chronisz go. – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Grzebał w moich śmieciach. Był w potrzebie. – Wzruszył ramionami.

– Mogłeś mu powiedzieć, żeby spadał.

– Ale po co? Ma zespół Downa, to prosta, dobra dusza, ale jeśli Arta szuka jakiś dupek, który go pobił, to nie chcę, żeby się wydało, gdzie się ukrywa, póki nie wymyślę, jak to rozegrać.

– Próbujesz ukryć fakt, że jesteś dobry – stwierdziła Shelby. – Myślę, że to dla ciebie naturalne.

– Uważaj, bo zniszczysz moją reputację.

– Jeszcze sobie na nią nie zasłużyłeś. Nie wiadomo, co o tobie myśleć. – Podniosła głowę, spojrzała na sosny i gigantyczne sekwoje strzelające w czyste, jasne niebo. Między nimi rosły dęby i poziomkowce, których liście zmieniały barwę na żółtą i pomarańczową. – Niesamowite, co?

– Tak, niesamowite. Jak wypada w porównaniu z wybrzeżem?

– Wspaniała odmiana, jak na razie. – Spojrzała na niego z błyskiem w oku. – Widzę tu wielki potencjał.

– Znowu ze mną pogrywasz. Nie obawiasz się, maleńka, że porywasz się z motyką na słońce?

– A ty?

– Ja o tym wiem...

Przemierzali wzgórze wzdłuż rzeki. Luke stwierdził, że jazda konna to ciekawa rozrywka i całkiem przyjemne doświadczenie. Tak długo jak Plenty kłusowała obok Chico, zachowywała się grzecznie. Shelby i Luke prawie nie rozmawiali, kontemplując cudowną przyrodę. Po dwudziestu minutach Shelby zatrzymała się przy wejściu na trasę, która wiała się stromo w górę zbocza. Obok była inna, częściej wykorzystywana, wiodąca po bardziej płaskim terenie.

– Dasz radę? – zapytała. – Widok z góry zapiera dech.

– Spróbuję. Pozwól, że pojedę pierwszy, żeby Plenty nie gryzła Chico w tyłek. Trasa była dość szeroka, ale trudna, bo miała mnóstwo zakrętów. Dotarcie na szczyt zajęło dwadzieścia minut, ale kiedy już się tam znaleźli, otworzyła

się przed nimi dolina. Za plecami mieli rzekę, a poniżej winnicę. Luke odetchnął głęboko. Widział liczne ścieżki wspinaczkowe i kilka starych, porzuconych szlaków, prawdopodobnie przed laty wykorzystywanych przez drwali.

Shelby zjawiała się tuż za nim i podobnie jak on wciągnęła do płuc powietrze, ciesząc oczy widokiem. Ponad wierzchołkami jodeł i sosen rozciągał się widok na wiele kilometrów. Shelby zdjęła kapelusz i rozpuściła warkocz. Siedzieli tak dłuższą chwilę w milczeniu. Mijały minuty. Nagle Luke usłyszał szelest, a po nim cichy skowyt. Spojrzał w prawo i zobaczył, że pomiędzy drzew wytoczył się spragniony zabawy młody niedźwiadek. Choć miał nie więcej niż cztery miesiące, był już znacznych rozmiarów.

– Cholera – powiedział Luke. – Jasna cholera. Tam gdzie młode, tam i matka. Ledwie to pomyślał, z lewej strony ukazała się niedźwiedzica. A oni byli między nią a młodym. Do diabła, ogromna sztuka, przemknęło Luke'owi przez głowę. – Zjeżdżamy, i to już – rzucił do Shelby. – Ty przodem.

Pognała szlakiem wiodącym w dół zbocza, a Luke deptał jej po piętach. Niedźwiedzie mają przednie łapy krótsze niż tylne, więc ucieczka przed nimi pod górkę, po płaskim terenie, albo – broń Boże! – wspinanie się na drzewo, to fatalny pomysł, ale jeśli ucieka się w dół, ma się nad nimi przewagę. Goniący niedźwiedź przebiegnie parę metrów i zaraz się potknie. W górę potrafią prześcignąć nie tylko człowieka, ale i konia. Shelby popędzała Chico wodzami, a Luke tłukł obcasami Plenty. Miał nadzieję, że utrzyma się w siodle, bo od jeździeckiej perfekcji Shelby dzieliły go lata świetlne. W dodatku droga nie prowadziła prosto w dół, ale zakosami. Za ich plecami niedźwiedzica gnała, rycząc wściekle. Luke miał nadzieję, że jeśli zanadto się zbliży, zdąży na czas wyjąć strzelbę. Podczas gdy oni jechali wytyczoną trasą, meandrując i lawirując, niedźwiedzica pędziła na przelaj, przez krzaki i zarośla. Shelby prowadziła Chico jedną ręką, a drugą sięgała po puszkę z aerozolem odstraszającym zwierzęta. Luke pomyślał, że w razie gdyby zdecydowała się użyć straszaka, powinien trochę zwolnić, bo jechał z wiatrem. Ucieczka była jednak najważniejsza. Przecież nie chciał strzelać do niedźwiedzicy chroniącej małe! Gdy zbliżali się już do końca trasy, wreszcie to się stało. Niedźwiedzica potknęła się, zwinęła w futrzastą kulę i zaczęła staczać się po zboczu. Shelby i Luke ściągnęli wodze, gdy zwierzę przewaliło się tuż obok nich.

– Poczekaj – powiedział cicho Luke, trzymając broń gotową do strzału.

– Nie zabijaj jej! – zaprotestowała Shelby.

– Tylko jeśli będę musiał. Niedźwiedzica zatrzymała się, potrząsnęła łbem, stanęła na tylnych łapach, wydała z siebie potworny ryk, a potem pomknęła z powrotem pod górę, do małego. – Wynośmy się stąd – powiedział Luke.

Shelby przywaliła Chico w zad i wystrzeliła do przodu. Ku swemu zaskoczeniu Luke usłyszał jej śmiech. Zaraz do niej dołączył, całkiem niezłe trzymając tempo jak na kogoś, kto nie chciał się rozstać z długą strzelbą. Kiedy dotarli na sam dół, Shelby nie zwolniła, tylko śmignęła ku rzece. Nawet arabski rodowód Plenty nie pomógł Luke'owi dogonić szybkiego jak wiatr srokacza. Szczęśliwie nad rzeką nie było żywej duszy, mimo to pomyślał z rozbawieniem, co mógłby sobie ktoś pomyśleć, gdyby zobaczył taki oto obrazek: na koniu pędzi dziewczyna, a za nią gna facet ze strzelbą w rękę. Shelby pochyliła się w siodle i pokazała, co potrafi. A potrafiła dużo. Drobną, nieuleknioną, wspaniałą amazonką. Gdy dotarła do domków letniskowych, zatrzymała się z triumfującym uśmiechem i błyszczącymi oczami czekała na Luke'a, który dopiero po chwili wjechał na polankę. Właśnie czegoś się o niej dowiedział: lubiła przygody, uwielbiała dziki pęd, a groźne spotkanie z niedźwiedzicą tylko dodało jej skrzydeł. Zastanawiając się nad tym, Luke doszedł do wniosku, że musi zweryfikować swoje poglądy o kobietach, jako że Shelby była zaprzeczeniem tego wszystkiego, z czym do tej pory się zetknął.

– Fajnie było – powiedziała.

– Owszem, jak już niedźwiedzica sobie poszła. Lubisz się popisywać.

– Mało jest takich miejsc, gdzie mogę to zrobić. Po prostu niezłe trzymam się w siodle.

– To widać. – Podjechał do niej, znaleźli się bardzo blisko siebie. Nie było zbyt wygodnie, ale pocałunek, choć krótki, wyszedł namiętny. Luke wiedział, że nieuchronnie zbliżają się to tego, czego wolałby uniknąć, ale na co był skazany. – To mnie dobija. Shelby, urwiemy się na kilka godzin?

– Nie. Jeszcze nie. – Wzruszyła ramionami. – Przykro mi, jeśli tak na ciebie działam. Zeskoczył z konia, popatrzył na nią w górę i powiedział z uśmiechem:

– Wcale ci nie jest przykro. To ty kontrolujesz sytuację i chcesz, żeby mnie było przykro.

– Do zobaczenia wieczorem. Na piwie.

– Może.

– Daj spokój – skontrowała ze śmiechem. – Na pewno nie jestem odważniejsza niż ty. Ile razy byłeś na froncie?

– To co innego. To mała miścina, a ty jesteś jedyną siostrzenicą generała.

– No tak. – Ujęła wodze Plenty i posłała Luke'owi szelmowski uśmiech. – Odwagi.

Luke znalazł w sobie aż tak wiele odwagi, by wpadać do baru przez pięć wieczorów z rzędu. Kiedy z Shelby zjawiał się jej wuj, Luke wychodził przed kolacją, biorąc jedzenie na wynos z podwójną porcją uwielbianego przez Artę placka. Gdy jednak Shelby przychodziła sama, zostawał. Już nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio kontentował się takim rodzajem znajomości z kobietą: pogawędki, niewinne flirtowanie, czasami skradziony pocałunek, i nic więcej. Jednak z Shelby jakoś wydawało mu się to właściwe. Oczywiście w duchu się niecierpliwił, czekał, kiedy wreszcie nadejdzie odpowiedni moment. Mówił sobie, że Shelby niedługo coś zasugeruje, a potem przejdzie do czynów. Ta wizja bardzo na niego działała. Cały czas ciężko pracował, a także dbał, żeby Art porządnie się odżywiał. Na śniadanie były płatki i owoce, na lunch kanapki, a na kolację, jeśli Luke jechał do baru, porządne danie z mikrofalówki. Od przygody z niedźwiedziem minął prawie tydzień. W tym czasie Luke przeniósł do jadalni wszystkie meble i wziął się do szlifowania podłogi w salonie. Zaczął właśnie myśleć o odświeżającym prysznicu i piwie w towarzystwie Shelby, oby w połączeniu z buziakami, kiedy usłyszał klakson. Wyłączył szlifierkę i wyszedł na ganek. Z suwa zaparkowanego przed wejściem wyskoczył Sean. Luke kochał brata, jednak nie jego miał nadzieję ujrzeć.

– Czołem, stary – zawołał Sean. – Jak tam?

– Co tu robisz?

– Urwałem się na parę dni i pomyślałem, że zaszczycę cię swoim towarzystwem i zobaczę, co porabiasz.

– Dobrze – powiedział bez entuzjazmu, marząc o sam na sam z Shelby. – Czemu nie zadzwoniłeś?

– A od kiedy to dzwonię? Wyjeżdżasz czy jak?

– Nie. Tylko miałem ciężki dzień...

– Doprowadź się do porządku. Jedziemy na wybrzeże. Wypijemy coś, może poderwiemy...

– Droga wolna, stary. Ja odpadam.

– Co z tobą? Dajże spokój.

– Wybieram się do Virgin River na piwo. Mamy tu małą knajpkę, rodzinny interes. Możesz pojechać ze mną albo skoczyć na wybrzeże, ale sam. Bliżej będziesz miał do Garberville. Widziałem tam jakieś chętne dziewczyny.

– Brzmi niezłe, ale co z tobą? Starzejesz się?

Luke zmarszczył czoło. Co za kiepskie wyczucie czasu. Właśnie miał domknąć układ z dwudziestopięcioletnią pięknnością, a zjawia się kto? Trzydziestodwuletni młodszy brat. Przebojowy pilot samolotu szpiegowskiego. Młodszy, przystojniejszy, bogatszy, wiodący ciekawsze życie. Oficer na progu dużej kariery. Generał bez wątpienia wybierze jego. Obrzucił Seana spojrzeniem: opalony ciemny blondyn, uśmiech cwaniaka, z dołeczkami, arsenał odzywek do podrywania lasek. Dobrych odzywek. Luke kilka pozwolił sobie pożyczyć.

– Wcale się nie cieszysz, że mnie widzisz – stwierdził Sean. – Co się dzieje?

– Chcesz trochę popracować? – cierpko spytał Luke.

– W ciągu dnia. Kiedy zajdzie słońce, zamierzam się zabawić, choć rozumiem, że akurat z tym będzie tutaj problem.

– Dzisiaj jadę do Jacka. O jutrzejszym wieczorze pogadamy jutro – powiedział Luke, wracając do domu.

– Świetnie – mruknął poirytowany Sean i zobaczył, że w drzwiach domku numer trzy pojawił się Art z miotłą. – A to kto?

– Art, chodź tu – przywołał go Luke, a po chwili dodał: – Poznaj Seana, mojego brata. Sean, to jest Art. Pomaga mi. Śpi w jednym z domków.

– Cześć. – Sean wyciągnął rękę.

– Cześć. Sean. – Art podał mu dłoń i odszedł, by dalej sprzątać.

– Luke, co tu się wyrabia?

– Robię, co miałem robić. Art szukał dachu nad głową, pracuje za wikt i opierunek. Tylko na razie nikomu ani słowa, bo on nie może zwracać na siebie uwagi. Uciekł ze złego domu.

– Jezus Maria – mruknął Sean. Czterdzieści minut później bracia ruszyli do Virgin River. Kiedy Luke zajechał przed bar Jacka, zobaczył samochód generała Bootha. Miał nadzieję, że przyjechała z nim Shelby. Zaparkował, ale zanim wyłączył silnik, z naciskiem powiedział do brata:

– Jeśli poczujesz tam coś, co ma mój zapach, odpuść sobie. Jeśli ją tkniesz, już nie żyjesz.

Sean wyszczerzył zęby.

– Okej, załapałem. Jak widzę, będzie niezły ubaw. – Wyskoczył z wozu i nie kryjąc ogromnego zaciekawienia, wbiegł po schodkach.



Luke deptał mu po piętach. Sean zatrzymał się w drzwiach. Walt i Shelby, którzy siedzieli przy barze, odwrócili się, słysząc, że ktoś wchodzi do środka. Luke w geście twardego przypomnienia położył na ramieniu brata ciężką dłoń.

– Jasny gwint – szepnął Sean.

– Generał Booth, Shelby McIntyre – dokonał prezentacji Luke. – Poznajcie mojego brata, Seana.

– Sir – odezwał się Sean. – Dobry wieczór pani.

Stojąc za jego plecami, Luke nie mógł widzieć uśmiechu brata, ale wiedział, że jest od ucha do ucha. Zmarszczył brwi. Boże, pomyślał, dlaczego nie mam sióstr? Jack postawił na barze dwa piwa i Sean zaczął zabawę na koszt Luke'a.

– Zaprosiłem brata na wypad na wybrzeże, na piwko, może poznać jakieś dziewczyny, a on co na to? Że nie ma ochoty, że woli pójść do małego baru w Virgin River, takie tam... Nie powiedział mi dlaczego. Cóż za niesamowity zbieg okoliczności, że pani się tu znalazła, panno McIntyre. Roześmiała się. Był uroczy i wesoły, całkiem inaczej niż Luke, skonstatowała w duchu.

– Mów mi Shelby. Wiedział, że tu będę.

– Aha... Masz może siostrę?

– Niestety, ale za to ty masz braci.

– Tego tu oraz Aidena, Colina i Paddy'ego. Ale to ja jestem najbogatszy i najprzystojniejszy.

– I najbardziej upierdliwy – wtrącił Luke.

– Który masz numer? – zapytała Shelby.

– Cztery. Luke jest najstarszy. – Zerknął przez ramię. – Stary jak świat. Twoja rodzina i moja rodzina od tysiącleci toczyły wojnę. – Upił piwa. – Tak, wojna McIntyre'ów z Riordanami, dwa zwaśnione irlandzkie klany. Cieszę się, że to już koniec.

– Żaden z was się nie ożenił?

– Według ostatnich doniesień dwóch próbowało, ale schrzaniło sprawę. Upierają się, że nie z ich winy.

Luke miał ochotę zawieźć go do domu i sprać na kwaśne jabłko, jednak widział, że Shelby się podobało. Chytrego uśmiešku generała nie sposób było pomylić z czym innym, a zmarszczka w kącikach oczu Jacka

świadczyła, że też nieźle się bawi. Jak na zawołanie bar zapełnił się gośćmi. Luke sumiennie przedstawiał brata każdemu, kto wchodził. Po kilku minutach Sean nachylił się nad barem i powiedział do Jacka:

– Człowieku, spójrz na te kobiety. Co to za miasto? Stepford? – nawiązał do filmu z Nicole Kidman.

– Wszystkie zajęte, stary, chyba że zdołasz wyrwać tę małą z objęć brata. Generał i Sean ucieli sobie długą pogawędkę o Riordanach.

– Jak wam się wszystkim udało zaciągnąć do wojska? – zapytał Walt.

– Nie mam pojęcia, sir – odparł Sean. – Luke zgłosił się jako pierwszy zaraz po liceum, a potem skończył szkołę chorążych i zaczął latać. Jesteśmy dużą irlandzką katolicką rodziną. Nasz ojciec, elektryk, nie mógł opłacić nam studiów, więc nie mieliśmy wyboru, pozostał plan B, to znaczy szkoła wojskowa, stypendium, służba. Ale ja lubię takie życie.

Potem Shelby opowiedziała Seanowi, że przyjechała tu tylko na trochę. I wtedy Luke'owi przysłała do głowy porażająca myśl: kiedy ona wyjedzie, czy będzie na to gotowy? Tak bardzo przejął się katastrofą, która ją dotknie, kiedy on z nią skończy, że nie wziął pod uwagę odwrotnego scenariusza. Milczenie brata nadrabiał Sean, gadając jak najęty. Luke'a pożerała obawa, że właśnie traci u Shelby szanse na rzecz tego młokosa, który wyjedzie za kilka dni. Kilka długich dni. Złączono stoły do kolacji. Sean zajął miejsce obok Shelby, zabawiając ją i rozśmieszając. Przy Luke'u tak się nie śmiała. Nie miał tej swady, nie błyszczał dowcipem, był zamknięty w sobie, taki trochę ponurak. Kiedy po kolacji pozbierano talerze, Luke wyszedł odetchnąć chłodnym powietrzem. Wkrótce do niego dołączyła i kręcąc głową, zagadnęła rozbawiona:

– Ale jesteś smutny.

– Nie znoszę go – oznajmił z czarną powagą Luke.

– Daj spokój. Nie bądź zrzęda. Lubię twojego brata. – Przysunęła się bliżej. – Zazdrośnik, co?

– No... tak. – Czuł się dziwnie. Czuł swoje lata. Miał wrażenie, że jest nudnym, gorzej od Seana wykształconym zgreдем.

– Dziwne, że jesteś zazdrosny, a z drugiej strony wciąż mówisz, że robię błąd, flirtując z tobą.

– Właśnie zamierzałem przestać to powtarzać.

- Nie dałam się zwieść. Mówisz to, a potem całujesz tak, że przechodzą ciarki. To dość oczywiste, Luke. - Zrobiła coś, czego rok, a nawet jeszcze miesiąc temu nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Ale wypila kilka kieliszków wina, a Sean... nie Luke, ale co tam... ją rozbawił. Po prostu objęła go. - Dawno mnie nie całowałeś. Całe dwa dni.
- Wiem. - Wreszcie się uśmiechnął.
- Jesteś w złym humorze.
- To nie ma nic wspólnego z całowaniem. To akurat jest dobre, świetne.
- W takim razie może sprawdzisz, czy nadal jest takie świetne.
- Co na to general? Roześmiała się.
- Bardzo by się ucieszył - odparła wesoło. - Martwi się o mnie, że źle się rozwijam i tak dalej. Na pewno myśli, że jestem żalosna i bez faceta.
- Nie jesteś.
- Żalosna?
- I bez faceta. - Pocałował ją mocno, żarliwie. Mignęła mu myśl, że mógłby ją wziąć tutaj, w tej chwili, ale najpierw należało jej przypomnieć, że nie ma mowy o poważnym związku. Co najwyżej możliwy jest przelotny romans. Niesamowity romans. Ale zamiast porozmawiać z nią o tym, całował jak szaleniec. Przeciągał to nie tylko dlatego, że było cudownie. Chciał, żeby ktoś ich nakrył, chciał, by wszyscy zobaczyli, że to jego dziewczyna. Jego kobieta.
- Twój brat jest bardzo fajny - szepnęła, gdy wreszcie oderwali się od siebie.
- Zabiorę go do domu i spuszczę mu łomot. Zachichotała.
- Łomot? Po co łomot? - Znów zachichotała. - Może lepiej bracia Riordanowie wybiorą się ze mną jutro na przejażdżkę? Mamy jeszcze jednego konia, Shastę, piękną appaloosę. Jest łagodna i cała w cętki.
- Wolałbym, żeby nigdzie z nami nie jeździł.
- Luke.
- Poważnie. Niech się stąd wynosi. Mam co do ciebie plany. - Wzruszył ramionami. - Jeżdżenie, piwo, kolacje i inne takie...
- Bądź cierpliwy.
- Jak bardzo? Cmoknęła go w usta.
- A jak długo zabawi Sean?

- Niedługo. Zabiję go i zakopię trupa.
- Jak długo? – powtórzyła z uśmiechem.
- Mówi, że kilka dni, ale jeszcze nie wie o morderstwie.
- To może jutro rano? Jak się trochę ociepli. Wpadnijcie do mnie, pojeździmy wzdłuż rzeki.
- Naprawdę tego chcesz?
- Myślę, że tak wypada. W końcu jestem sąsiadką.
- W porządku. – Westchnął ponuro. – Ale nie śmiej się z jego dowcipów, bo oszaleje.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Shelby i Luke wyszli przed bar, Walt dał im trochę czasu. Nie za dużo. Głośno otworzył drzwi. Łypnął na Luke'a, żeby się przekonać, czy wywoła w nim strach i poczucie winy. Nie wywołał. Za to Luke, wprawdzie z pewnym ociąganiem, ale objął Shelby ramieniem. A więc to tak. Cóż, działo się tak, jak Walt przypuszczał.

– Jadę do domu – powiedział. – Jedziesz ze mną czy zostajesz, Shelby?

– Pojadę z tobą, wujku.

W drodze do domu rzucił:

– Założę się, że nie było łatwo wychować takich Riordanów.

Gdy Shelby tylko westchnęła, Walt już wiedział wszystko, bo było to marzycielskie westchnienie. Wysadziwszy Shelby przed domem, stwierdził, że wpadnie jeszcze do Muriel na kieliszek czegoś mocniejszego przed snem.

W aucie miał dla niej kilka niespodzianek. Podobało mu się, że Muriel rozpoznawała dźwięk silnika jego wozu, odgłos kroków na ganku, i zawsze wiedziała, że to on puka do drzwi.

– Wejdz, Walt.

Po chwili witał się z szalejącymi psami. Muriel miała na sobie wygodny dres, siedziała na łóżku, trzymając w dłoni coś, co niebezpiecznie przypominało scenariusz. Na jej nosie spoczywały okulary do czytania.

– Witaj, Muriel.

– Cóż cię sprowadza?

– Trochę rozrywki, której nie chciałem się oddawać w samotności. – Postawił na łóżku przenośny odtwarzacz DVD i cztery płyty, których znalezienie zajęło mu trochę czasu. Nie tak wiele spośród jej filmów było dostępnych na DVD. Przejrzała stosik.

– Walt! – wykrzyknęła. – Coś ty narobił? – Odrzuciła jedną płytę. – Ten nie, bo w nim jestem gołą.

– Muriel, przecież widziałem cię nago. To wspaniały widok.

– Wiem, ale widziałeś mnie w ciemności, kiedy wyrzucaliśmy psy z łóżka. A tutaj jestem nago z aktorem, reżyserem i całą ekipą, łącznie z dozorcami. Przysiadł na brzegu łóżka.

– Czy to trudne? No wiesz, rozebrać się?

– Trudno to wytłumaczyć. – Zadumała się na moment. – Pewnie tego nie zrozumiesz, ale było mi łatwiej, niż rozebrać się przed tobą. Nie zależało mi na opinii tych ludzi, przecież to tylko praca. Rozbierana scena wynikała z akcji, była wręcz konieczna, w przeciwnym razie bym się nie zgodziła. Poza tym moi rodzice już nie żyli. – Wzruszyła ramionami. Złożył na jej ustach pocałunek.

– Trudno było zdjąć dla mnie ubranie?

– Owszem, Walt. Chciałam sprostać twoim oczekiwaniom, choć muszę przyznać, że idzie mi coraz lepiej, od kiedy zdystansowany dżentelmen generał przemienił się w dzikiego, nienasyconego samca – powiedziała z błyskiem w oku. – Jesteś pewien, że już skończyłeś sześćdziesiąt dwa lata? Masz energię młodego żołnierza, który wreszcie dostał przepustkę i wygłodzony puścił się na miasto.

– Przy tobie ubyłoby mi co najmniej dwadzieścia lat. Nie tylko sprostałaś moim marzeniom, ale rzuciłaś mnie na kolana. – Wziął odtrącone DVD. – Obejrzyjmy najpierw ten. – Gdy się roześmiała, zerknął na plik kartek w jej dłoni. – Czy to scenariusz?

– Tak. Spokojnie, jest do niczego.

– To dobrze. Muriel, musisz zacząć chodzić z nami na kolację do Jacka. Robi się coraz ciekawiej. Byłoby szkoda, gdyby coś cię ominęło.

– Naprawdę? – Usiadła po turecku.

– Moja mała, niewinna Shelby poderwała faceta. Postąpiła nierozważnie, bo to ktoś z innej ligi, trzydziestoosmioletni twardziel, który przez dwadzieścia lat latał na Black Hawkach. Znałem takich. W szale bitewnym potrafią rozszarpać gołymi rękami równych sobie desperatów, a kiedy patrzy na nią, widzę w jego oczach grzeszne myśli. No i ten nieustraszony wojownik bardzo się mnie boi. Piękne, co? Dzisiaj przyszedł z młodszym bratem, przystojniejszym, zabawniejszym, bardziej towarzyskim, bardziej pewnym siebie przy Shelby. – Roześmiał się. – Twardziel prawie skoczył z mostu. Musisz to zobaczyć.

– Shelby poderwała tego faceta? Tego starszego?

– Bez dwóch zdań. Przypuszczam, że wpadł jej w oko, jak tylko go zobaczyła.

– Ale skoro to taki twardziel, to co o tym myślisz? Walt nachylił się i zdjął buty. Ot, taka domowa scenka. Gdy jednak spojrział na Muriel, aż się wzdrygnęła od jego wzroku. Generał...

- Jeśli ją skrzywdzi, zabiję go – oznajmił. Z uśmiechem pokręciła głową, po czym włożyła płytę do odtwarzacza.
- Shelby musi się to podobać, skoro pakuje się w taki układ – rzuciła. Usiadł obok niej, opierając się o ścianę i wyciągając długie nogi. Przegonił z łóżka najpierw Buffa, a potem Luce.
- Pewnie polubiła takie emocje. Groźny, ponury wojak i mała kobietka... Nie mogę się doczekać filmu.
- Babskie kino.
- Ale gra w nim Clint Eastwood. Lubię go.
- Tu ci się nie spodoba. Gra romantyczną rolę. Nie rozwała nikomu łba jak Brudny Harry.
- Rozebrałaś się przed nim. Chcę zobaczyć jego minę.
- No cóż, jeśli dobrze się przyjrzyysz, to zobaczysz obojętność. Widział już mnóstwo nagich aktorek, więc świetnie panuje nad emocjami. To dla niego żadna pokusa.
- Biedny głupiec. – Nacisnął „play”.
- Naprawdę chcesz to oglądać?
- No jasne.
- Zanudzę cię na śmierć – mruknęła, opierając się o poduszkę.
- Mam cię obudzić, jak będziesz goła?
- Obudź mnie, kiedy sam wyskoczysz z ciuchów. – Ziewnęła przeciągle.

Mel w przychodni odebrała bardzo ważny telefon. Odłożyła słuchawkę, odetchnęła głęboko i spojrzała na zegarek. Była dziesiąta. Wykręciła numer Shelby, jednak nikt nie odbierał. Pewnie pojechali na konie, pomyślała i zadzwoniła do Brie.

- Cześć. Potrzebuję niańki. Poszukam Jacka, jeśli ty...
- Właśnie widziałam, jak odjeżdżał spod baru – przerwała jej Brie. – Zaraz przyjadę po dzieciaki.
- Dzięki. Mam coś do załatwienia. To może zająć parę godzin. – Poszła do gabinetu Doka i oznajmiła: – Udało się. Załatwiłam dla Cheryl Chreighton miejsce w finansowanym przez hrabstwo ośrodka resocjalizacji.

- Jakim cudem? - Nie krył, że jest pod wrażeniem.
- Nie było łatwo. Musiałam zadzwonić co najmniej w sto miejsc. Poszłoby znacznie łatwiej, gdyby popełniła jakieś przestępstwo pod wpływem alkoholu. Wtedy sędzia by ją skazał na pobyt w takim ośrodku.
- Ona wie, że to zrobiłaś?
- Nie. Wolałam, żeby nie miała czasu się nad tym zastanowić. Mogłaby się upić i zmienić zdanie. Jeśli ją tam zaciągnę, a oni ją przemaglują, ma szansę z tego wyjść.
- Tylko jedną - powiedział z naciskiem.
- No tak, drugi raz się nie uda. No więc... jadę tam. Wezmę twój wóz.
- Byłoby lepiej, gdybyś wzięła auto Jacka.
- Nie mogę. - Jacka i Cheryl kiedyś, na długo przed Mel, coś łączyło. Cheryl zakochała się w nim na zabój, aż musiał ją ostro utemperować. - Ani Jack, ani jego samochód nie mogą mieć z tym nic wspólnego. Mogłaby źle to zrozumieć. Wezmę twój. - Sięgnęła po kluczyki.
- Powodzenia.

Kiedy Brie odebrała dzieci, Mel podjechała pod dom, w którym mieszkała Cheryl. Budynek był w opłakanym stanie, podobnie zresztą jak inne w pobliżu. Mieszkańcy widać przyzwyczaili się do odchodzącej farby i zapadniętego dachu, ale z drugiej strony Chreightonowie nie byli najbogatszą rodziną. Pracował jedynie ojciec, i to tylko dorywczo. Zapukała do drzwi i musiała odczekać długą chwilę, zanim otworzyła jej chorobliwie otyła kobieta. Mel nigdy wcześniej nie widziała matki Cheryl, co w tak małym miasteczku było bardzo dziwne, ale już wiedziała, dlaczego. Ta kobieta najpewniej od wielu miesięcy, może nawet lat nie wychodziła z domu. W poślódkach trzymała papierosa. Skrzypieniu drzwi towarzyszył suchy kaszel.

- Zastałam Cheryl? - spytała Mel.
- A ty to kto?
- Nazywam się Mel Sheridan. Jestem dyplomowaną pielęgniarką i położną. Pracuję z Dokiem Mullinsem.
- A, to ty. - Zmierzyła ją wzrokiem. - Kobiątka Jacka.
- Tak, to ja. Czy jest Cheryl?
- Śpi. - Odwróciła się i ruszyła do środka, zostawiając otwarte drzwi.



– Czy może ją pani obudzić? – zapytała Mel, mimo braku zaproszenia przekraczając próg.

– Spróbuję.

Mel weszła za nią do niewielkiej kuchni, gdzie zobaczyła stos gazet i czasopism, brudne kubki po kawie, puste puszki po coli, przepelniony kosz na śmieci, otwarte opakowanie pączków i stojący na blacie mały telewizor. Pani Chreighton przeszła do pokoju, który był tak naprawdę prymitywną dobudówką na tyłach domu. Drzwi nie zamykały się, a tam, gdzie powinna znajdować się klamka, ziała dziura. Mel usłyszała jej krzyk:

– Cheryl! Cheryl! Jakaś kobieta chce z tobą gadać. Cheryl!

Po chwili padły stłumione słowa protestu. Pani Chreighton wróciła do kuchni i usiadła na krześle, które ugięło się pod jej ciężarem. Dom uzależnień, pomyślała Mel. Matka ma problem z jedzeniem i papierosami, Cheryl z alkoholem, a ojciec? Kto wie, zapewne z tymi dwiema kobietami i ich uzależnieniami. Cheryl pojawiła się wreszcie w progu. Miała na sobie wczorajsze ubranie, potargane włosy i zapuchnięte, ledwie otwarte oczy.

– Masz chwilę? – zapytała Mel.

– Na co?

– Chodźmy na zewnątrz. Porozmawiamy. – Wyszła szybkim krokiem przed dom i zaczekała, aż Cheryl się wygrzebie i stanie na najwyższym schodku. – Jak bardzo jesteś w tej chwili pijana?

– Średniawo. – Cheryl przeczesowała tłuste kudły.

– Czy chciałabyś wytrzeźwieć? Raz, a porządnie?

– Czasami tak. Wcale nie piję cały czas...

– Cheryl, mogę ci załatwić leczenie. Pójdiesz na odtrucie i na terapię. Będziesz miała dwadzieścia osiem dni na to, żeby uwolnić się od picia i wyjść na prostą. Ale musisz podjąć decyzję w tej chwili.

– No nie wiem...

– Cheryl, to jedna szansa na milion. Hrabstwo płaci. Jeśli się nie zgodzisz, nie będzie drugiej takiej okazji. Tyle mogę dla ciebie zrobić.

– A kto ci kazał?

– Nikt mi nie kazał. Pomyślałam, że przydałaby ci się pomoc, więc ją znalazłam. Sama. I nie, nie mówiłam o tym Jackowi. Spróbuj. Wiesz, że sama nie dasz rady.

– Pytałaś moją mamę?

– Nikogo nie pytałam. Skończyłaś dwadzieścia jeden lat i potrzebujesz pomocy, prawda? Jeśli tak, to weź prysznic i spakuj się. Weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Na miejscu mają suszarki, pościel, ręczniki, no wiesz. I zdrowe jedzenie. Spotkasz tam wiele osób podobnych do siebie, które starają się wytrzeźwieć. Nie jest łatwo, ale tam pracują eksperci i jeśli ktoś może ci pomóc, to właśnie oni. Spojrzała na jej stopy, na brudne, rozwiązane buty.

– Czasami nieźle mną trzęsie – powiedziała Cheryl.

– Jak każdym. Mają leki, które pomogą ci przetrwać pierwsze dni. – Mel zerknęła na zegarek. – Słuchaj, nie mogę czekać.

– Gdzie to jest?

– W Eurece. Cheryl przestąpiła z nogi na nogę. W końcu podniosła głowę i powiedziała:

– Okej.

– Świetnie. Wrócę po ciebie za pół godziny.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Cheryl spakowała się do brązowej torby na zakupy. Doprowadziła się do ładu, umyła włosy, ale nie wysuszyła ich, tylko wytarła ręcznikiem. Najpewniej po prostu nie miała suszarki. Pachniała mydłem, a także alkoholem. Pewnie wychyliła na odwagę, pomyślała Mel.

– Powiedziałaś rodzicom, dokąd jedziesz? – spytała Mel.

– Powiedziałam mamie. – Wzruszyła ramionami.

– Ucieszyła się? Umknęła wzrokiem, po czym bąknęła, znów wzruszając ramionami:

– Powiedziała, że to strata czasu i kasy.

– Wcale nie – odparła Mel, kiedy Cheryl znów na nią popatrzyła. – No, zbieramy się.

Nie rozmawiały dużo po drodze do Eureka, ale Mel dowiedziała się, że rok, zanim ojciec sprowadził ją z powrotem, Cheryl spędziła u kuzynki w jakimś górskim miasteczku. Cheryl łudziła się ambitnymi planami. Chciała wstąpić do Korpusu Pokoju, podróżować, zostać pielęgniarką, nauczycielką, weterynarzem, tyle że przepiła swoje marzenia. W Virgin River nie miała już żadnych przyjaciół, tylko matkę i ojca.

– Nie musisz mi niczego mówić, jeśli nie chcesz – oznajmiła Mel – ale jestem ciekawa. Wiem, że nie chodzisz do Jacka. Skąd więc bierzesz alkohol?

– W Garberville jest monopolowy, ale najczęściej ojciec coś przynosi, żebym nie jeździła jego autem.

– Aha, rozumiem.

– Ciągle próbuję przestać, ale jak zaczynam się trząść i mi odbija, tata się mną zajmuje. W sam raz, żebym się uspokoiła. Czyli to sprawka ojca, pomyślała Mel, uświadamiając sobie, że po terapii Cheryl nie powinna wracać do domu. Tyle że nie miała dokąd pójść, musiała wrócić do rodziców, którzy nie pomogą jej wyzdrowieć. Może jednak uda się znaleźć dla niej kątek w Eurece, by podjęła jakąś pracę, chodziła na spotkania, przyzwyczaiła się do trzeźwości, zanim znów wyląduje w swoim piekle w Virgin River.

Mel wróciła do miasta dopiero późnym popołudniem. Weszła do przychodni, żeby oddać Dokowi kluczyki do samochodu.

– Misja wykonana? – zapytał.

– Wszystkim się zajęłam.

– Mąż o ciebie pytał.

– Super. Co mu powiedziałaś?

– Że masz misję. Medyczną misję.

– Na pewno się ucieszył. Jakoś się wykręcę. Muszę już lecieć, odbiorę dzieci od Brie.

– Zadzwoń, jeśli wypadnie coś ciekawego. – Gdy była już w progu, dodał: – Zrobiłaś coś dobrego. Szanse ma marne, ale to był z twojej strony dobry uczynek.

– Dzięki.

– Przez te wszystkie lata, kiedy patrzyłem, jak się stacza, nie wiązałem z nią wielkich nadziei. Cieszę się, że ktoś o niej pomyślał. Że ty to zrobiłaś. Poczula, jak na ustach rośnie jej uśmiech.

Przez trzy dni Luke zabierał Seana na poranne przejażdżki z domu Boothów. Oczywiście nie robił tego dla brata, ale dla Shelby, ponieważ cieszyła się, że ma z kim jeździć i uważała Seana za zabawnego, nie przejmując się irytacją Luke'a. Resztę dnia bracia wypełnili wspólną pracą. Dokończyli remont

podłogi w domu, a potem skupili się na domku numer jeden z myślą o nowym lokatorze Luke'a.

– Art, za dwa dni uporamy się z robotą – oznajmił Luke ku wielkiej radości swojego pracownika. – Miałeś kiedyś swój dom?

– Swój? Nie, swój nie.

– Myślisz, że jesteś na niego gotowy?

– Jestem – odparł uszczęśliwiony.

– To duży krok do samodzielności. Art, kto w domu opieki robił pranie?

– Trzeba się było zapisywać.

– Zapisywać? Nie rozumiem.

– Na tablicy – niecierpliwie wyjaśnił Art. – Trzeba było pisać na tablicy, kiedy się chciało używać pralki i suszarki.

– No co ty. Sam prałeś?

– Tak, sam.

– Miałeś jeszcze jakieś inne obowiązki? – Ścielić łóżko, składać ubrania, sprzątać. Naczynia. Odkurzacz. Szorowanie łazienki. Luke uniósł brew.

– Świetnie. Wygląda więc na to, że jesteś gotów, by mieć własny dom. Sean klepnął w plecy Arta i powiedział:

– Chodź, pokażę ci, jak zeszkrobać starą farbę ze ściany zewnętrznej, żeby móc ją zagruntować.

– Dobrze. Idziemy. Gdy Sean wrócił do środka, spytał Luke'a:

– Słuchaj, co ty zamierzasz z nim zrobić?

– Jest tu od niedawna. Najpierw musi się poczuć bezpieczny.

– Przywiąże się do ciebie.

– Może. – Luke wzruszył ramionami. – Posłuchaj, on miał pracę. Z tego, co mówi, potrafi o siebie zadbać. Jasne, trzeba trochę nim pokierować, ale skoro nigdzie się nie wybieram, co szkodzi, że pobędzie tu ze mną?

– Mówię ci, że się do ciebie przywiąże. Nie do tego miejsca, ale do ciebie.

– Oby nie, bo nie zagrzeję tu długo miejsca.

We trzech zrobili niemało. Pod koniec dnia Luke przygotował Artowi kolację, a potem, mimo jego oporów, ponownie zabrał Seana do Jacka. Byli tam Shelby i jej wuj, a także Muriel, nowa sąsiadka Boothów. Przed wyjściem krótko, ale namiętnie posmakował ust Shelby. Sean, cóż zrobić, nie znalazł dla swoich ust innego zajęcia poza mówieniem. Następnego dnia powiedział:

– Dzisiaj jedziemy na wybrzeże albo chociaż do Fortuny. Został mi jeszcze jeden dzień, a mam już dość zabawiania w twoim imieniu twojej dziewczyny.

– Raz, ona nie jest moją dziewczyną. Dwa, ja też mam tego dość, uwierz mi.

– Założę się, że poznałeś już inne dziewczyny, i to takie, które mają koleżanki. Zrób bratu przysługę i przekreśl do nich.

– Zapomnij. Sam jedź. Zaszalej.

– Luke, o co ci chodzi? Odetchnął głęboko. Wcześniej udało im się uniknąć rozmowy na ten oczywisty temat. – Wiesz, o co mi chodzi. Wolałbym, żebyś mnie nie rozpraszał.

– Przestań, proszę cię. Jak wyjadę, wrócisz do swojej roli.

– Odpada. Mam pewne plany.

– No tak... Nie plany, a plan, i nazywa się Shelby. Skoro nie możemy się podzielić panną, chodźmy się zabawić. Poza tym wuj generał strzeże jej jak oka w głowie.

– Pracuję nad tym – stwierdził Luke. – Braciszku, musisz mi się usunąć z drogi.

– Uwierz mi, z tego nie będzie nic dobrego. Shelby jest młoda i niewinna, każdy to widzi. Tak słodka, ma to spojrzenie... Łatwo ją zranić. Zastanów się nad tym.

– Kontroluję sytuację. – Cóż, skłamał. Był tak daleki od panowania nad sytuacją jak nigdy dotąd. Żadnym sposobem nie potrafiłby teraz zatrzymać biegu zdarzeń.

– Ona jest wrażliwa – podkreślił Sean.

Luke o tym wiedział. Współczesne młode kobiety są inne, jednak Shelby zdawała się wyjątkowo delikatna. Tyle że w jakimś sensie była jeszcze dziewczyną, bo ostatnich pięć lat, kiedy przekroczyła dwudziestkę i powinna poznawać życie, poświęciła matce i tak naprawdę przebywała w zamknięciu. Wiedział, jak bardzo była wrażliwa, wiedział też, że przez swoją niefrasobliwość łatwo może zniszczyć Shelby. Ale nawet z całą tą wiedzą nie potrafił się opanować.

– Jadę na zakupy – powiedział nagle. – Po termę i zlew do domku Arta. Rób, co uważasz. Wieczorem idziemy na kolację, nie do Jacka. – Nie był w nastoju na oglądanie Shelby u boku Seana. – Nie mam ochoty na kobiety. Pojedziemy dwoma samochodami.

– To się nazywa plan – podsumował Sean. – Żalony, ale zawsze jakiś.

Na kolację zjedli po steku w knajpie Brookstone w Ferndale. Potem Sean skierował się do baru, a Luke wrócił do domu. Sean zjawiał się nad ranem. Był wyluzowany, pogodny, całe napięcie zniknęło bez śladu. Za to Luke... Po prostu szkoda słów.

– Braciszku, jeszcze nigdy cię takiego nie widziałem – powiedział Sean.

– Jakiego?

– Uganiaasz się za panną i z tego wszystkiego jesteś strasznie spięty. Idzie jak po grudzie, co? Coś mi się zdaje, że nie tylko ona nie jest dla ciebie, ale i ty nie jesteś dla niej. Mógłby spróbować wytłumaczyć Seanowi, że od wielu tygodni myśli tylko o Shelby, a kiedy bierze ją w ramiona, kompletnie traci głowę. I że rodzą się w nim dziwne marzenia, nie tylko te związane z seksem. Tylko czy Sean cokolwiek by z tego zrozumiał? Luke doskonale znał swoich braci i wiedział, jak traktują kobiety, zaliczyć i zapomnieć. To, co teraz czuł z powodu Shelby, było absolutnie wyjątkowe i zdarzyło mu się pierwszy raz w życiu. Sean położył Luke'owi dłoń na ramieniu i rzekł w zadumie:

– No cóż, powodzenia, stary.

– To nie to, co myślisz.

– Nie? Daj spokój, Luke. Zadurzyłeś się, to oczywiste. Już nie mogę się doczekać, by zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Ja też...

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W ostatnim tygodniu września bar był zamknięty, ponieważ Jack, Proboszcz, Paul, Mike i ich żony wybrali się do Grants Pass w Oregonie na ślub kolegi z wojska. Joe Benson, żołnierz piechoty morskiej i architekt, który im wszystkim zaprojektował domy, a także przez wiele lat pracował z Paulem, właśnie się żenił. To, że robił to z jedną z najlepszych przyjaciółek Vanni z czasów, gdy pracowały jako stewardesy, nie stało się przypadkiem. Po prostu poznali się dzięki Vanessie, u której Nikki była z wizytą, a Paul przyjechał do Virgin River w sprawach zawodowych. Ich ślub stał się okazją do spotkania kumpli z wojska, jak również koleżanek z linii lotniczych. Jak na ceremonię, której przygotowanie zajęło zaledwie miesiąc z małym okładem, ta była naprawdę piękna i z klasą. W przeciwieństwie do typowych dla Virgin River kameralnych ślubów, ten odbył się w uroczej kapliczce w śródmieściu, a potem gości zaproszono na przyjęcie do sali balowej prestiżowego hotelu Davenport. Fraki, limuzyny, piękne kwiatowe dekoracje i również bardzo imponujące menu zrobiły wrażenie nawet na Proboszczu. Nikki dwukrotnie była druhną Vanessy, więc teraz Vanni z wielką radością wcieliła się w tę rolę. Nie zawiodły też dwie inne serdeczne przyjaciółki z linii lotniczych. Abby i Addison wspólnie wynajmowały mieszkanie w Los Angeles, natomiast Nikki i Vanni w San Francisco. Cztery przyjaciółki tak starały się układać grafiki, by w tym samym czasie mieć przerwy w podróży i spotykać się w tym samym mieście. Razem latały po sklepach i imprezowały, wspierały się, gdy była taka potrzeba, szczególnie po przejściach z niewłaściwymi facetami, plotkowały. Po prostu lubiły swoje towarzystwo. Teraz, po ślubie Nikki, wszystkie będą już mężatkami. W pewnym momencie Vanessa spytała Addison:

– Dlaczego Abby jest taka milcząca?

– Nie będzie chciała o tym rozmawiać, ale jej mąż pojechał z zespołem w trasę tuż po ślubie... czyli jakiś rok temu.

– No tak... Widać po niej, że coś jest na rzeczy. Czy on w ogóle zagląda do domu? Albo ona jeździ do niego?

– Raczej nie, choć tylko tak myślę, bo trudno cokolwiek z niej wydobyć. Oczywiście Abby przyjechała sama. Krótka znała przyszłego męża, gdy stawała przed ołtarzem, a zaraz potem Ross zniknął, niszcząc romantyczne marzenia i nadzieję na „żyli długo i szczęśliwie” Od tamtej pory jakby schowała się w sobie, próbowała zachować dystans, unikała szczerych rozmów.

– Abby, wszystko gra? Co się dzieje z Rossem? – szepnęła Addison.

– Cii... To dzień Nikki. Nie chcę o tym rozmawiać. – Abby trzymała się całkiem niezłe, uśmiechała się do zdjęć, wznosiła kieliszek do toastu, ale ulotniła się z przyjęcia, gdy zaczęły się tańce. Addison i Vanessa od razu to zauważyły. W pierwszym odruchu chciały pobiec za nią i zmusić do zwierzeń, w końcu jednak uznały, że lepiej zostawić ją w spokoju. Skoro nie miała ochoty rozmawiać o małżeńskim kryzysie czy wręcz rozpadzie, należało to uszanować. Pewnie wolała wypłakać się w samotności, bez wścibskich, namolnych przyjaciółek.

Steak House w hotelu Davenport miało opinię jednej z najlepszych restauracji w Grants Pass, było też ulubionym lokalem doktora Camerona Michaela. Raz w miesiącu jadł kolację ze swoimi partnerami, dwoma lekarzami i lekarką, a także z ich współmałżonkami, i często wybierał właśnie to miejsce. Podobnie jak Cameron, jego partnerzy byli pediatrami, lecz tylko on wciąż pozostawał w stanie wolnym. Wpadał do tego lokalu również sam. Owszem, bez trudu mógłby znaleźć sobie kogoś do towarzystwa, bo miał duże powodzenie. Ileż to atrakcyjnych kobiet do niego wzdychało! Do tego przyjaciele wciąż próbowali go swatać. Jakoś jednak z nikim się nie umawiał od pewnego czasu. Miał trzydzieści sześć lat i wielki cierń w duszy. Od dawna szukał odpowiedniej kobiety i wciąż nie mógł jej znaleźć. Kilka miesięcy temu zaczął się nawet zakochiwać w pięknej Vanessie, ale złamała mu serce, jako że swoje oddała innemu. Co więcej, błyskawicznie za niego wyszła. Stało się to zeszłej wiosny. Nie wzdychał do niej, a nawet podziwiał jej męża, Paula Haggerty'ego. Był silnym, porządnym i dobrym człowiekiem. Właściwie to serce Cama było nie tyle złamane, co sterane, choć na pozór powinien cieszyć się życiem. Przystojny brunet z niebieskimi oczami, dolki w policzkach, promienny uśmiech, męski i czuły. Do tego odnosił sukcesy jako lekarz. Nic dziwnego, że kobiety do niego lgnęły. Co z tego, skoro do tej pory nie zakochał się z wzajemnością? Marzył o szczęśliwym związku małżeńskim, o żonie i dzieciach, tym bardziej że był lekarzem rodzinnym i pediatrą, lecz nic z tego nie wychodziło. Kobiety, które przyciągał jego urok, zawsze okazywały się tymi niewłaściwymi. Niejedna matka, która przyprowadziła do niego swoje dziecko, wysyłała jednoznaczne sygnały, lecz on szukał żony, a nie zemsty wściekłego męża. W przeszłości miał kilka poważnych związków, które jednak nie przetrwały. Czas wypełniał sobie krótkimi, pozbawionymi prawdziwego uczucia romansami. Kobiety mógł mieć, kiedy tego zapragnął, ale miał już dość bezsensownych przygód. Męczyły go też żarciki pielęgniarek o doktorze playboyu. Wciąż więc był sam, odrzucając kolejne propozycje randek w ciemno i ignorując mniej lub bardziej zawołane propozycje często naprawdę pięknych kobiet. Znudziło go to wszystko, miał szczerze dość głupich flirtów i seksu bez emocjonalnego zaangażowania. Wiedział, że poniósł uczuciową porażkę, był w środku pusty,



wyjałowiony. Zniechęcenie, depresyjne nastroje... W takim stanie ducha unikał towarzystwa, bo najlepiej czuł się sam. Choć samotność bolała. Po skończonej kolacji z partnerami obserwował, jak wychodzą razem, wracają do domów, do dzieci, małżeńskich sypialni. On zaś zaraz pojedzie do zbyt dużego i rozpaczliwie pustego domu. Ta myśl jeszcze bardziej pogorszyła jego nastrój. Dla takich jak on wymyślono długie barowe blaty i wysokie stołki. Najlepszy azyl dla ponuraków, którzy pragną utopić swe smutki na dnie szklaneczki whisky. Było późno i pustawo. Wyglądało na to, że większość gości hotelu bawiła się na głośnym i irytująco radosnym przyjęciu weselnym w sali balowej. Poprosił o whisky bez lodu. Patrzył w szklanke, z rzadka popijając. Minęło pół godziny, a on ledwie trochę wysączył. Takie siedzenie nie ma sensu, pomyślał. Może lepiej męczyć się swoją samotnością w domu? Gdy wstał i zamierzał zapłacić, zauważył ją. Siedziała przy stoliku w ciemnym kącie. Też wbijała wzrok w drinka. Też była samotna. Cam pomyślał, że mógłby podejść i zacząć rozmowę, ale przypomniał sobie, jak zwykle kończą się takie spotkania. Nie miał chęci na kolejne puste zbliżenie albo gorzej – poznanie kogoś, kto przypadnie mu do gustu, a potem zrobi zawód. Ale była ładna i wyglądała na smutną... Podszedł do niego barman.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Nie, dzięki. Od dawna tu siedzi? – Dyskretnie wskazał kobietę.

– Dłużej od pana.

– Cały czas sama?

– Nie jestem pewien. – Barman wzruszył ramionami. – Ale chyba tak. Co mi tam, pomyślał Cameron. Uregulował rachunek, zabrał drinka i podszedł do nieznanym. Kiedy stanął nad nią, spojrzała na niego brązowymi oczami. Miała klasyczną, wyrafinowaną urodę. Lekko popielate blond włosy podwijały się na wysokości ramion. Wysokie kości policzkowe, owalna twarz, łukowate brwi tego samego koloru co włosy i słodkie, różowe usta. Które się nie uśmiechały.

– Cześć, mogę postawić ci drinka? – zapytał.

– Piję wodę sodową – odparła. – Poza tym kiepski ze mnie towarzysz.

– U mnie nie lepiej. Dlatego zabijam czas w barze. Założę się, że już po pięciu minutach będziemy wiedzieli, jak bardzo jesteśmy nieszczęśliwi.

– No tak... – Roześmiała się cicho, wzruszając przy tym ramionami.

– Mogę usiąść?

– Cóż... Mówiąc prawdę, wolałabym być sama. Mimo to usiadł.

- Na pewno nie chcesz niczego mocniejszego? – spytał. – Mam wrażenie, że przydałoby się.
- Nie. Będzie lepiej, jeśli sobie pójdiesz.
- Rany, a myślałem, że to ja jestem w paskudnym nastroju – skomentował z uśmiechem. – Co się stało?
- Darujmy sobie, dobrze? – Westchnęła. – Naprawdę nie jestem w nastroju na podryw albo rozmowę o moich problemach.
- Okej, więc nie będę cię podrywał ani naciągał na zwierzenia. – Dokończył drinka, wrócił do baru, zamówił następną whisky oraz koktajl z szampanem, ponownie podszedł do stolika, postawił przed nieznajomą kieliszek i usiadł na krześle.
- Co to jest? – zapytała.
- Koktajl z szampanem. Pomyślałem, że masz ochotę na coś słodkiego i seksownego.
- Niezły tekst. – Uśmiechnęła się drwiąco.
- Dzięki. – Popatrzył na nią przeciągle. – Potrzebujesz paru lekcji, jak należy się nad sobą użalać. Zaczniemy od tego, że nie robi się tego przy wodzie sodowej. – Gdy podniosła kieliszek i trochę upiła, dodał aprobująco: – Tak, właśnie tak. – Nakrył jej dłoń swoją dłonią. – Na pewno nie chcesz o tym pogadać?
- Na pewno – odparła, cofając dłoń. – Chcesz pogadać? Pogadajmy o tobie. Mówiłeś, że masz kiepski nastrój.
- Zgadza się. Poszedłem na kolację z przyjaciółmi, a kiedy wyszli, dotarło do mnie, że nie jestem gotów na powrót do domu. Bo widzisz, dałem ciała. Kupiłem dom, bo ładny i wygodny, ale nie jest mi w nim dobrze. Za duży, za cichy, za pusty.
- Kup sobie meble. Wyszczrzył zęby.
- Zła rada! – Roześmiał się. – Mam pełno mebli. Słuchaj... jak się właściwie nazywasz? Abby uznała, że są pewne granice. Pogadać można, ale zdradzanie imienia, to już pewna poufalość. Rzuciła okiem na bar i powiedziała:
- Brandy.
- Miło mi cię poznać, Brandy. Ja się nazywam Cameron. Dla przyjaciół Cam. O czym to mówiliśmy? Aha, więc mam mnóstwo mebli. Akurat tego mi nie brakuje.

- Rozumiem. Szukasz kobiety. Spróbuj w książce telefonicznej...
- Nie, Brandy. - Upił łyk. - To ostatnie, czego dziś mi trzeba. - Odchylił się na krześle. - Cofam to. Może jednak właśnie tego mi trzeba. Choć nie w taki sposób, jak myślisz. Sprawa jest głębszej natury. Nie mam ochoty na randkę, mam ich już powyżej uszu. Po prostu nagle do mnie dotarło z całą mocą, że skończyłem trzydzieści sześć lat i wciąż jestem kawalerem.
- Nigdy się nie ożeniłeś? - Gdy pokręcił głową, spojrzała mu w oczy. - Co z tobą nie tak?
- Sam nie wiem. Mam dobrą pracę, przyjaciół, duży dom, myję zęby...
- Jesteś... - przyglądała mu się bacznie przez chwilę - no tak, bez dwóch zdań jesteś całkiem przystojny. Nie powinieneś mieć kłopotu ze znalezieniem kobiety, która zechciałaby za ciebie wyjść. I powydawać twoje pieniądze. - Uśmiechnęła się leciutko, w jej oczach zaigrały chochliki.
- Niesamowite. Nie przypominasz mojej matki, a mówisz jak ona.
- Uciekłeś z więzienia? Jesteś seryjnym zabójcą?
- W Grants Pass? - Roześmiał się. - W tym mieście nie upiecze ci się nawet mandat. Nie, jestem strasznie nudny, rozumiesz, przestrzegam prawa, nawet nie przekraczam dozwolonej prędkości i takie tam.
- Chyba miałeś rację co do wody sodowej. - Podniosła koktajl do ust. - Kiepska na doła. Ile czasu minęło, od kiedy byłeś z kimś związany? Przesiadł się na krzesło stojące obok niej, po czym odparł:
  - Dużo. Przed kilkoma miesiącami mocno się zadurzyłem, kołowałem, zabiegałem, układałem genialne strategie, a ona rach-ciach i wyszła za innego. Niezłe tempo. Myślała o nim przez cały ten czas, kiedy się na nią szykowałem.
- Aha. Złamane serce.
- Nie, właśnie nie. Nic nas nie łączyło poza znajomością i swoistym rodzajem przyjaźni. Miałem nadzieję na związek, ale kiedy było już po wszystkim, zorientowałem się, że na dobrą sprawę nic się nawet nie zaczęło. W ogóle ją to nie interesowało. A ty? Jak długo?
- Boże... - Pokręciła głową, umykając wzrokiem. - Ciężko mi się to mówi, ale mamy coś wspólnego. Tyle że to ja zaangażowałam się w związek, a on nie. Gdy znów dotknął jej dłoni, tym razem się nie wycofała.
- Właśnie się rozstaliście? - zapytał.

– Nie. Już dawno jest po wszystkim. On od przynajmniej pół roku spotyka się z inną.

– Mimo to nadal cierpisz? Odetchnęła głęboko.

– Cóż, przyjechałam na ślub, na wesele, a takich okazji powinny unikać samotne kobiety. Chociaż w babskich filmach się sprawdza, bo jest w tym tragiczny komizm.

– Wyglądasz jak ktoś, kto właśnie uciekł ze ślubu.

– Wiesz, jak to jest. Panna młoda rzuca bukietem, ja się ustawiam z innymi pannami... Gdy o tym pomyślałam, od razu zwałam do baru.

– By zalać się wodą sodową? Dzięki Bogu, że przyszedłem ci na ratunek. – Spojrzał na barmana i pokazał dwa palce. – Opowiedz mi o tym ślubie.

– Boże, nie pytaj. – Wsparła głowę dłonią.

– Czemu?

– Bo aż się rzygać chciało od tej całej prawdziwej miłości. Roześmiał się.

– Tak? Stoisz po stronie panny młodej czy przyprawiającego o mdłości pana młodego?

– Panny młodej. – Roześmiała się wbrew sobie. Gdy barman przyniósł dwa kolejne drinki, spytała: – Próbujesz mnie upić?

– Nie, próbuję cię wyciągnąć z dołka. Jesteś smutna, a kobieta tak piękna jak ty nie powinna być smutna. Wypij. Poczujesz się lepiej. Albo przynajmniej złapiesz głupawkę.

– Jasne... I co jeszcze?

– Miałem setki kiepskich wieczorów. Masz wrażenie, że wszystkim innym się udało, tylko nie tobie. Gdybym chciał cię upić, piłabyś whisky, a ja szampana. To tylko soczek. Nic ci nie będzie. – Uśmiechnął się ciepło. – Czuję, że powoli mi przechodzi. Opowiedz mi o tym ślubie. Rozbaw mnie. Opróżniła pierwszy drink, po czym zaczęła mówić:

– Dawno, dawno temu, czyli przed pięcioma miesiącami, poznali się i spędzili namiętne chwile. I rozstali się na całe strasznie długie dwa miesiące, ale znów zaczęli się spotykać. Stali się prawdziwą parą i tak to trwało trzy miesiące, aż do ślubu, kiedy stali się jeszcze bardziej prawdziwą parą. Solidarnie twierdzą, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Nie potrafią się od siebie oderwać. – Wzdrygnęła się. – Jakby tego było mało, na przyjęciu ślubnym zjawily się moje najlepsze przyjaciółki, wszystkie po uszy zakochane

w swoich wspaniałych, kochających, seksownych facetach, których poznały w zupełnie nieoczekiwanych sytuacjach. A ja... Cóż, ja mam pecha do tych wszystkich koleśków już gdzieś tak od czwartej klasy, o ile nie wcześniej. To był początek. Rozgadali się o najgorszych randkach, śmiali z nieudanych związków. Bezlitośnie obgadali fatalne drugie połówki, a już szczególnie te, od których trudno było się uwolnić, gdy stało się jasne, że jest całkiem do bani. Licytowali się, które z nich ma bardziej spażane życie, walka była naprawdę zajadła, i tak się jakoś stało, że mówiąc o pechu, porażkach i w ogóle o tym wszystkim, co najgorsze, wpadali w coraz lepszy nastrój. Wreszcie zaczęli świetnie się bawić, wyszukując komiczne aspekty w najbardziej okropnych sytuacjach. A potem zgodnie doszli do wniosku, że ich pech brał się z tego, że nigdy nie udało im się trafić na prawdziwą drugą połówkę, choć on miał już trzydzieści sześć lat, a ona trzydzieści jeden. Nim się obejrzel, minęło półtorej godziny. Abby, dla Cama Brandy, była zdumiona zarówno błyskawicznym upływem czasu, jak i tym, że bawiła się świetnie i zaśmiewała aż do łez. Cameron zerknął na kelnera, znów unosząc dwa palce, po czym spytał:

– Jak im dajesz szansę? No wiesz, młodym?

– Jestem ostatnią osobą, którą powinieneś pytać o coś takiego. Kiepski ze mnie sędzia.

– Witaj w klubie. Życzę im wszystkiego najlepszego. – Uśmiechnął się. – I tobie też, Brandy. To, przez co przechodzisz... to minie. Patrząc na ciebie, no i po tym, jak pogadaliśmy ze sobą, wiem, że staniesz na nogi i znajdziesz odpowiedniego faceta. – Urwał na moment. – Słuchaj... Możesz nie odpowiadać, ale proszę, zdradź mi, czego szuka w mężczyźnie kobieta taka jak ty?

– Mówimy o randce? Czy o czymś więcej?

– Jedno i drugie. Zaczniemy od randki.

– Warunek wstępny, bym umówiła się na randkę, jest taki, że facet musi mieć dobre maniery. Warunek pierwszy i jedyny, poza tym całkiem oczywistym i elementarnym, że ten ktoś da się lubić i choć trochę mnie pociąga. Założmy, że randka się udała, no, kilka randek, więc można zacząć się zastanawiać, czy jakoś to rokuje na dłuższą metę. Jeśli tak, zaczyna być ważna cała reszta. No i ja tę resztę spisałam, to znaczy ułożyłam listę, dziesięć pozycji, od najważniejszej począwszy.

– Żartujesz sobie.- Wybuchnął śmiechem.

– Ależ skąd! – odparła oburzona. – Dawno temu ciocia Kate poradziła mi, bym ułożyła taką listę, a ponieważ ciocia nigdy się nie myli, więc jej

posłuchałam. Naprawdę niezła jest ta lista, uwierz. Niestety czasami okłamuję sama siebie, że facet ma to, co jest na liście. Głupie, nie? Bo potem za to płacę, i to słono.

– Brandy, muszę, po prostu muszę poznać tę listę.

– Nie ma mowy – odparła twardo. – Jest bardzo osobista.

– Rozumiem, to zresztą oczywiste, ale proszę, spróbuj zrozumieć mnie. Być może moim problemem jest właśnie brak takiej listy. Proszę, zdradź mi ją. Obiecuję, że nikomu nie powiem.

– No dobrze – odparła niechętnie. – Mogę trochę pomylić kolejność, tym bardziej że pozycje od czwartej do siódmej są w zasadzie wymienne. I nie powiem ci, co jest numerem jeden. Będziesz musiał się bez tego obejść.

– Okej. Dawaj.

– Numer dwa to poczucie humoru. Potem szczerłość. Musi być oddany. Musi umieć zaufać. Musi być porządny, nie może grymasić, nie może być fleją. Przystojny, dla mnie, znaczy się. Niekoniecznie od razu ciacho do schrupania, ale muszę go uważać za atrakcyjnego, rozumiesz? Zauważ, że dla mnie Liam Neeson jest pociągający – dodała, rozśmieszając Cama. – Musi lubić dzieci. Wiem, że powiedzieć to nowemu facetowi to jak pocałunek śmierci, więc raczej zachowuję to dla siebie, ale chcę mieć dzieci. Mam trzydzieści jeden lat, więc nie zostało mi dużo czasu. Powinien rozsądnie zarabiać. I w jego oczach mam być taka, że nie można mi się oprzeć.

– To bardzo dobra lista – powiedział zaskoczony, prostując się. – Bardzo przemyślana.

– Dziękuję. Poświęciłam jej dużo czasu. Pokręcił głową. Gdyby miał przygotować własną listę, skopiowałby listę Brandy. Tak naprawdę, gdy się nad tym zastanowić, spełniał każdy warunek, oczywiście o ile kobieta uważała go za atrakcyjnego. Lecz mimo to nadal był sam.

– Doskonała lista.

– Dla mnie to podstawowe sprawy.

– No dobrze, a na którym punkcie wykładali się mężczyźni, których dotąd poznałaś? W zamyśleniu upiła drinka, po czym zaczęła:

– Hm... Mówiąc szczerze, to przeważnie chodziło o dzieci, a także o mnie, o tę wyśnioną kobietę, której nie sposób się oprzeć. Czasami o kwestię flejowatości. No i jak do tej pory mężczyźni, o których myślałam, że mi ufają, a także są godni zaufania, po prostu mieli wszystko gdzieś. I jeszcze oddanie.

Jak jest się komuś oddanym, to jest się mu wiernym, prawda? A mnie dotykała zdrada. A jak się kogoś zdradza, to gdzie tu miejsce na szczerłość? – Uśmiechnęła się, patrząc na Cama. – Ej, to nie jest soczek. Kręci mi się w głowie.

– To dobrze. Przystaniesz myśleć o ślubie. Słuchaj, Brandy, a porównałaś obie listy? To znaczy listę porażek i listę wymagań? Wychodzi na to, że masz słabość do przystojnych, zabawnych facetów, którzy zarabiają niezłą kasę i są dobrzy w numerze jeden. – Uśmiechnął się, widząc jej zdumioną minę. Oczywisty znak, że trafił w dziesiątkę. – Jestem bystrzejszy, niż na to wyglądam.

– W ogóle nie jesteś pijany. To było niezłe. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Cieszę się, że nie zaczekałaś na bukiet.

– Ja też.

– Jesteś piękna, kiedy się śmiejesz.

– Robisz się namolny. Przedtem było subtelniej.

– Brandy, wypilem co najmniej trzy drinki. Moja subtelność poszła na spacer.

– Co najmniej?

– Do kolacji było wino. – Podniósł jej dłoń, obrócił i delikatnie ucałował nadgarstek. Po jej minie poznał, że nie tylko jest zaskoczona, ale i poczuła pewną obawę. Chciała cofnąć dłoń, ale nie pozwolił na to, tylko poczynął sobie coraz śmieiej, całując zgięcie łokcia. Kiedy podniósł głowę i napotkał wzrok Brandy, przekonał się, że jej ciepłe, brązowe oczy zrobiły się jeszcze ciemniejsze. Położył dłoń na jej talii i dotknął ustami nagiego ramienia. Usłyszał, jak cicho nabrała powietrze. Nachylił się nieco bardziej, prawie dotykając ustami jej ust. Czuł na sobie jej oddech. – Brandy – szepnął, a ona przymknęła powieki i dotknęła jego ust. Cała drżała, przycisnął więc mocniej, ale nie na długo. Kiedy się cofnął, powiedział: – Mam wyśmienite maniery.

– Najwyraźniej – zgodziła się. – A ja muszę być pijana, bo całuję nieznajomego w barze.

– Już trochę się poznaliśmy. Znamy swoje najmroczniejsze, najbardziej krępujące tajemnice.

– Ale nie znamy się na tyle dobrze, żeby się całować w barze.

– Nie powinienem prowadzić. Wynajmę pokój w tym hotelu i wrócę do ciebie. Napijemy się drinka lub wody sodowej, a jeśli zechcesz, zabiorę cię na górę. Obejrzymy jakiś film, porozmawiamy, nie przejmując się niczym. Będziemy mniej samotni.

– To wariactwo... Często tak robisz?

– Uwierz, nigdy. To znaczy z młodych lat mam cały rejestr popełnionych głupot, ale człowiek w końcu dorasta. Wcale tego nie planowałem, gdy do ciebie podszedłem i postawiłem drinka. Co o tym myślisz?

– Myślę, że kłamiesz. To zły pomysł.

– Mówię prawdę. Nie jestem pijany, ale nie powinienem prowadzić. Wezmę pokój.

– A jeśli wrócisz i mnie tu nie będzie?

– Cóż, będę musiał to jakoś przeboleć. Ale proszę, zostań, zaczekaj na mnie. Jeśli nie będziesz chciała pójść na górę, posiedzimy tu, dopóki bar będzie otwarty. Potem wezwę dla ciebie taksówkę, tak dla pewności. Podobasz mi się. Posiedzimy, pogadamy. Pośmiejemy się. Może jakieś buzi?

– W barze? – zapytała z uśmiechem.

– Rozejrzyj się. Pusto. – Uścisnął jej dłoń, wstał i nachylił się, by musnąć ustami jej policzek. – Zaraz wracam. Zaczekaj na mnie. Naprawdę nie będę cię zmuszał, żebyś poszła ze mną na górę. – Kiwnął głową na barmana. – On mnie zna. Na pewno cię tam nie zaciągnę siłą. – Uśmiechnął się. – W końcu, jak mówiłem, mam dobre maniery.

Wyszedł z baru i zrobił, jak zapowiedział. O tak późnej porze przy recepcji nie było ruchu, więc zameldował się błyskawicznie. Dostał pokój dla niepalących z dużym łóżkiem, jacuzzi i barkiem. Poprosił o zestaw do golenia, a kiedy otworzył pudełko, znalazł w nim najpotrzebniejsze rzeczy: jednorazową maszynkę do golenia i krem, pastę do zębów i szczoteczkę, grzebień oraz prezerwatywy. Wrócił do baru i zajrzał do środka. Brandy oczywiście zniknęła, jak każda, która ma odrobinę zdrowego rozsądku. Był rozczarowany, mógł się jednak tego spodziewać, bo już po pięciu minutach rozmowy wiedział, że ma do czynienia z inteligentną kobietą z klasą, a taka z pewnością nie idzie z nieznajomym do hotelowego pokoju. Cóż, stało się. Ponieważ nieporadna próba zwabienia zabawnej, seksownej, pięknej nieznajomej do pokoju hotelowego spełzała na niczym, mógł odwołać rezerwację i pojechać do siebie, skoro jednak następnego dnia miał w pracy wolne, uznał, że jednak zostanie, włączy jakiś film i zaśnie. Lepsze to, niż słuchanie ogłuszającej ciszy panującej w jego domu. Poszedł w kierunku



windy, a tam ujrzał piękną Brandy w miękkiej, złotej, jedwabnej sukni wieczorowej. Gdy dostrzegł jej delikatny uśmiech, wokół stało się jakby cieplej, przyjaźniej, a chłód samotności wyparował. Podszedł do niej, ujął jej rękę, pocałował w czoło. Kiedy otworzyły się drzwi windy, objął delikatnie Brandy i wprowadził do środka.

– Drżysz – szepnął. – Boisz się?

– Śmiertelnie. Wcale nie zamierzałam tego zrobić.

– Nie musisz się bać. Chciałem, i to bardzo, żebyś ze mną poszła, ale nie musisz tego robić.

– To może być najgłupszy, największy błąd mojego życia – rzuciła z nerwowym uśmieszkiem. – No, prawie.

– Będzie dobrze. Nie potrzebuję kobiety, która mnie nie pragnie. Już wiemy, że mamy o czym rozmawiać. – Podniósł jej brodę i złożył na jej ustach delikatny pocałunek. – Możesz zmienić zdanie i w każdej chwili wyjść. Nie przeszkodzę ci.

– A co, jeśli to jest największa pomyłka twojego życia?

– Jesteś piękna, podobasz mi się. O resztę nie dbam. – Pocałował ją raz jeszcze, tym razem głębiej. Potem otworzył drzwi i zaprowadził ją do pokoju. Gdy znaleźli się w środku, wplótł palce we włosy Brandy, szukając jej ust. Połączyli się w zmysłowym pocałunku.

– Szkocka – mruknęła po chwili Abby.

– Drażni cię? Nie lubisz?

– Och, uwielbiam szkocką. – Znów go pocałowała. – Nieźle smakujesz.

– Boże... – Otoczył ją ramionami. – Już mi lepiej. Jak ty się czujesz?

– Czuję, że to szaleństwo. Czyste szaleństwo.

– Zgadza się, ale to czyste szaleństwo bardzo mi się podoba.

Gdy objęła go za szyję, mocno przyciągnął Brandy do siebie. Nie było w tym jednak dominacji, z łatwością mogłaby się uwolnić, gdyby tylko chciała. Dlatego zamiast strachu poczuła bezpieczeństwo. Miłość. Oczywiście wiedziała, że to nie jest prawdziwa miłość, a zaledwie trudna do zrozumienia więź z drugim człowiekiem. Ale podczas gdy jej życie wymykało się spod kontroli, ten przystojny nieznajomy podziałał jak kotwica. Nagle uderzyło ją coś, co natychmiast powinno przywrócić jej przytomność umysłu, zmusić do wyrwania się z objęć i ucieczki z tego pokoju. Przecież jest mężatką!

I ślubowała wierność. Do tego, gdyby zdrada wyszła na jaw, sąd, orzekając rozwód, nie przyznałby jej alimentów. Ross miał to gdzieś, od pół roku mieszkał z inną kobietą. Przed dziewięcioma miesiącami wystąpił o rozwód, ale Abby do tej pory ani nie podpisała papierów, ani nie powiedziała o niczym przyjaciółom. Nie dbała o alimenty, gdy pękało jej serce. Żadne pieniądze nie posklejają go w całość.

– To jest złe – powiedziała, odsuwając się nieco.

– O tym, co robimy, można wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że to jest złe. Jesteśmy dorosłymi, samotnymi ludźmi, którzy wspólnie czegoś pragną...

– Ja nie.

– Aha... – Milczał przez chwilę. – Na pewno tego pragniesz, oznajmiasz to całą sobą, zapewne więc chodzi o to, że nie jesteś samotna. – Gdy skinęła głową, syknął cicho, nadal jednak trzymał Brandy. – O rany. Mam nadzieję, że nie stoi za drzwiami z gnatem w dłoni...

– Od pół roku mieszka z inną. Dostałam papiery rozwodowe. Wygląda na to, że odsuwam od siebie to, co nieuniknione. Nie dlatego, że chcę, by do mnie wrócił, ale... – Spojrzała w podłogę. – W ogóle nie powinnam była za niego wychodzić, a potem nie docierało do mnie, że to małżeństwo przetrwało zaledwie kilka miesięcy. Nie, bo tak naprawdę porzucił mnie już po paru tygodniach...

– O Jezu... – Popatrzył na nią ze współczuciem. – Nic dziwnego, że jesteś załamana. Przykro mi, kochanie. Zauważyłem, że nie nosisz obrączki.

– Miałam ją na ślubie, żeby koleżanki widziały, ale zanim weszłam do baru, uznałam, że już dość, i schowałam obrączkę do torebki. Mam potąd tego całego udawania. Przepraszam, że wprowadziłam cię w błąd. To nie jest twój problem. Powinnam już pójść...

– Spokojnie. W normalnych okolicznościach zwałbym jak poparzony przed zamezną kobietą, ale to, co robimy, tak naprawdę nie jest przyprawianiem rogów temu sukinsynowi. Zapomnij o tym na chwilę. – Ponownie ją pocałował.

Zatraciła się w głębokim pocałunku. Już wiedziała, że przekroczy tę granicę, pozwoli, by to się stało. Tak bardzo pragnęła poczuć coś innego niż ból odrzucenia, świadomość życiowej porażki, odrętwienie. Zniknie stąd przed świtem, pojedzie do domu, podpisze papiery rozwodowe i ostro weźmie się z życiem za bary. Czas ruszyć do przodu. Odpowiedziała pocałunkiem tak prawdziwym i gorącym, że niemal zapomniała o tym wszystkim, co sprawiło, że pełna żalu i smutku umknęła z weselnego przyjęcia do baru. A teraz znów zaczęła czuć coś dobrego. Usiedli na łóżku mocno spleceni z sobą. Cameron

znalazł suwak i zaczął powoli rozpinąć sukienkę, w czym Abby mu pomogła, ruszając ramionami, by jedwab łagodnie się z niej zsunął. Pod spodem miała tylko mały koronkowy stanik.

– Boże, jaka ty jesteś piękna... – Obsypał pocałunkami jej gładką skórę.

– Chyba zwariowałam – szepnęła, pieszcząc go i rozpinając mu koszulę. – Kompletnie oszalałam.

– Mogę przestać. Wystarczy, że powiesz.

– Nie przerywaj. – Myślała tylko o tym, by znów poczuć się kochaną, jedyną, spełnioną. W oczekiwaniu na to, co zaraz się stanie, obdarzali się coraz śmielszymi pieszczotami. Cameron zsunął z niej majteczki i sięgnął dłonią między uda.

– Od dawna tego nie czułaś, prawda, kochanie? – szepnął.

– Tylko niczego nie zepsuj.

– Nie obawiaj się. – Pieścił palcami delikatnie, aż dotarł do najwrażliwszego miejsca. Brandy zareagowała gwałtownie, ponagłajaco. Uwielbiał to. Zataczał palcem nieśpieszne kółka, zbliżył się ustami...

– O Boże! – Niecierpliwie wspomogła jego dłoń.

– Jesteś doskonała – szepnął. – Śmiało, poczuj się lepiej. Po chwili jej biodra wystrzeliły w górę, oddech uwiązł w piersi, zacisnęła nogi, uwięziwszy jego dłoń w najpiękniejszym ze spazmów. Przeżyła cudowny orgazm, pierwszy od tak dawna. Wyczerpana opadła na Camerona. Pocałował ją delikatnie, czekał, aż się całkiem uspokoi. Dopiero gdy tak się stało, cofnął rękę.

– Tego ci było trzeba – powiedział.

– Mhm...

– Lepiej? – spytał z uśmiechem.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Mam pojęcie, mam.

– Czemu to zrobiłeś?

– Bo tego potrzebowałaś. Jeśli ma być coś więcej, musisz tego chcieć. Nie zamierzam cię wykorzystywać.

– Nie wykorzystujesz.

– To jak? Jesteś gotowa wypuścić mnie z klatki? – Gdy sama już naga, zaczęła rozbierać go do końca, szepnął: – Wielkie dzięki... Brandy, musimy się zabezpieczyć. Daj mi chwilę. – I tyle tylko to trwało. – Wszystko, czego zapragniesz – powiedział cicho, żarliwie. – Ty tu rządzisz.

– Chodź do mnie. – Całą sobą zapraszała go na miłosną ucztę.

Cameron, który od jakiegoś czasu narzucił sobie erotyczną ascezę, poczuł się nagle trochę spięty. Czuł się trochę tak, jakby był to jego pierwszy raz. Zarazem jednak wiedział, jak wiele zależy od tej nocy. Brandy musi wyzwolić się ze złej przeszłości, uwierzyć w siebie, w swoją kobiecość. Połączyli się. I od razu stali się jednością w ruchach, w potrzebach, w dzikim pędzie ku spełnieniu. Była to ich pierwsza wspólna noc, a odnosił wrażenie, jakby już od dawna trwali w cudownym, pełnym erotycznych emocji związku. Cameron wiedział, że nigdy nie było mu tak dobrze. Dlaczego? Przecież ledwie się poznali... Czyżby więc było coś z prawdy w tym micie o dwóch połówkach jabłka? Czyżby mężczyzna miał na całym bożym świecie tylko jedną prawdziwą, idealnie dopasowaną partnerkę, swoją połówkę? A każda kobieta swoją? Szukasz latami, nie znajdujesz, starzejesz się, umierasz... lub nagle, dziwnym splotem okoliczności, znajdujesz, i wtedy wszystko staje się inne. Brandy, cudowna, doskonała Brandy... Wspaniale było być w niej, wspaniale było czuć ją całą. Nim doszedł, Abby znów miała orgazm, i dalej gnała ku wymarzonemu wspólnemu finałowi. Aż wreszcie to się stało. Ostatecznie połączyli się w szaleńczym, pełnym erotycznej furii wybuchu. Leżeli wtuleni w siebie, syci, wyczerpani, szczęśliwi. Cisza była cudownie kojąca, dobra. Wreszcie Cameron spytał:

– W porządku?

– Mhm.

– Jak wypadłem w pierwszym punkcie listy? Zachichotała.

– Jednego się nauczyłam: chwalić faceta w łóżku to błąd.

– Byłaś wspaniała, Brandy. Fenomenalna. Gorąca i silna. Boże. Myślałem, że zemdleję.

– Ty też byłeś niezły – odparła z uśmiechem.

– Dzięki. A tak z ciekawości, dlaczego to jest numer jeden?

– Pewnie dlatego, że nie uznaję kompromisów. – Wzruszyła ramionami. – Punkt pierwszy jest diabelnie ważny w związku.

– Racja. – Pocałował ją w policzek. – Przepraszam na chwilę. – Wyszedł do łazienki. Kiedy wrócił, miał zmarszczone czoło, a wokół bioder ręcznik. Usiadł na łóżku. – Brandy, muszę ci coś powiedzieć. Prezerwatywa... pękła.

– O Jezu...

– Nie szkodzi. Słuchaj, jestem lekarzem. Istnieje sposób zapobiegania ciąży w takich sytuacjach. Jak pójdziesz w poniedziałek do swojego doktora, wypisze ci receptę. Jeśli nie, to zgłoś się do mnie.

– Biorę pigułki.

– A, to ulga. Cholera, przepraszam. Powinniśmy pozwać hotel.

– Spokojnie, będzie dobrze.

– Nic ci nie będzie. Dbam o siebie, więc na pewno niczego nie złapiesz. – Odgarnął jej włosy z czoła. – Strasznie cię przepraszam. Ostatnie, czego pragnę, to przysporzyć ci zmartwień, zwłaszcza gdy wiem, przez co przesłaś. Uśmiechnęła się do niego.

– A ty? Nie martwisz się, że coś złapiesz? Przecież mnie nie znasz.

– Bez obaw, potrafię o siebie zadbać.

– Nie masz powodu, żeby mi wierzyć, ale powinieneś wiedzieć, że kiedy on... kiedy się wyprowadził, gruntownie się przebrałam. To było jakiś czas temu.

– Dzięki, że mi o tym mówisz, Brandy. – Wziął ją w ramiona. – Teraz obchodzi mnie tylko to, żebyś dobrze się czuła. Zauważ, że zaliczyłem wszystkie pozycje na liście. Miło, co?

– To nie powinno się skończyć – powiedziała.

– Nie musi. – Pocałował ją. – Wcale nie musi.

– Ale się skończy – stwierdziła ze smutkiem.

– To zależy tylko od ciebie. Chciałbym cię lepiej poznać.

– Muszę się zastanowić.

– To ty myśl, a ja zadbam o argumenty. – Poruszył dłońmi, aż jęknęła, momentalnie reagując na jego dotyk.

– Myślisz, że druga gumka wytrzyma? – spytała.

– Czy to ważne? Minęło dużo czasu, zanim w końcu zasnęli. Kochali się wiele razy, coraz lepiej, coraz namiętniej. To było tak naturalne, tak dobre. Jeszcze niedawno Abby była spięta, a nawet wystraszona, lecz przełamała się

i pozwoliła dojść do głosu swojej namiętnej naturze. Cameron też przeżył coś nadzwyczajnego. Mówiąc wprost, były to najwspanialsze doznania w całym jego życiu. Owszem, wyglądało to na krótką przygodę, lecz pragnął więcej i więcej, i to nie tylko w łóżku.

Wczesnym rankiem, gdy słońce ledwie wstało, Abby obudziła się, potrasnęła ramieniem Camerona i powiedziała:

– Muszę już iść.

– Jeszcze nie. – Wyciągnął do niej rękę.

– To była piękna noc, ale muszę iść. – Przesunęła palcami po jego skroni.

– Brandy, nie kończmy tak, spotkajmy się niedługo. Jak mogę się z tobą skontaktować?

– W moim życiu jest straszny bałagan – odparła po chwili. – Na pewno to rozumiesz, w przeciwnym razie nie zdarzyłoby się to, co się zdarzyło.

– Nie boję się bałaganu...

– Pozwól mi teraz odejść. Posprzątam w swoim życiu i wtedy się odezwę. Możesz to dla mnie zrobić? Pocałował ją głęboko.

– Myślę, że gdybyśmy spędzili ze sobą więcej czasu, mogłaby narodzić się między nami prawdziwa miłość. Przekonajmy się, czy to możliwe. Czuję, że tak.

– Cameronie – odparła ze śmiechem – poderwałeś mnie w barze...

– Wiem. To dopiero fart, co? Jak często zdarza się coś tak wspaniałego? Nie chcę, żeby się skończyło.

– Chyba nie będziesz próbował mnie zatrzymać.

– Jasne, że nie, ale zamierzam zamówić śniadanie. Jeśli nie zostaniesz, żeby ze mną zjeść, to proszę, spotkajmy się za jakiś czas, gdzieś cię zabiorę, porozmawiamy...

– Podyktuj swój numer. A może masz wizytówkę.

– Jak się nazywasz? Brandy, a dalej? Daj mi swój numer, bo o adres nawet nie proszę. Wiesz, że nie musisz się mnie bać. Pocałowała go w policzek, po czym rzekła:

– Dla mnie teraz jest najważniejsze, bym miała poczucie, że panuję nad sytuacją. Zrozum to, proszę. Uśmiechnął się. Cóż, miała rację. Pocałował ją i wstał z łóżka. Znalazł stanik i majteczki, które jej podał. Potem ubrał się,

na koniec pomógł Abby włożyć miękka, złotą suknię i zapiał suwak na plecach. Na koniec wyjął z portfela wizytówkę.

– Zależy mi, żebyś czuła się bezpieczna, tak jak tej nocy. Proszę, sprawdź mnie.

– Może ty też chcesz mnie sprawdzić – powiedziała z lekkim uśmiechem.

– Nie, nie. Mów mi to wszystko, co chcesz, bym o tobie wiedział, a ja to przyjmę na wiarę. To będzie najlepszy początek.

– Dziękuję – szepnęła.

– Tylko nie każ mi na siebie czekać zbyt długo, Brandy. Jeśli mam cię nie zobaczyć, dopóki nie poukładasz sobie życia, chciałbym chociaż z tobą porozmawiać. Daj mi znać, że wszystko gra. Obiecuję, że cierpliwie zaczekam.

– Jasne – powiedziała z uśmiechem. – Jakżeby inaczej?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nastał październik, malując paletą barw górski pejzaż okolic Virgin River. Strzeliste sosny oczywiście pozostały zielone, lecz inne drzewa zachwyciły zmieniającymi się kolorami. Mel, Jack i reszta wrócili z wesela w Grants Pass. Jesienne powietrze stało się chłodniejsze, nocą bywało wręcz zimno. Dok właśnie siedział przy biurku, wpatrując się w ekran komputera, gdy z kuchni weszła Mel.

– Dzieciaki śpią – powiedziała. – Co robisz?

– Bawię się. Jakies wieści o Cheryl Chreighton?

– Tajemnica lekarska. Zadzwoiłam, żeby zapytać, jak się czuje, ale usłyszałam, że Cheryl nie umieściła mnie na liście osób uprawnionych do otrzymywania informacji. Nic więc nie wiem, poza tym, że nadal tam przebywa. Mogłabym porozmawiać z jej matką, tyle że ona jest...

– ...niezbyt miła – dokończył Dok. – A mówiąc całkiem szczerze, wredna. Na miejscu Cheryl nie umieściłbym jej na liście.

– Właśnie to chciałam powiedzieć, tylko łagodniej. – Uśmiechnęła się. Sama starała zachowywać się dyplomatycznie, jednak Dok zupełnie się nie patyczkował. – Będiesz tu przez jakąś godzinę, dwie?

– Chcesz się wyrwać? – Spojrzał na nią znad szkieł okularów.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu, ale dzieci śpią w kuchni... Dok przeniósł wzrok na ekran.

– Nigdy mi nie przeszkadzały. Udały ci się. Roześmiała się.

– Nawet w połowie tak nie doceniasz mojej pracy w przychodni.

– Ależ masz mniemanie o sobie – rzucił zgryźliwie. – No już, znikaj. Zrób sobie wolne. Zawołam, jak się obudzą.

– Na pewno? Bo jeśli przeszkadza ci artretyzm albo refluks...

– Ty mi przeszkadzasz – warknął. – Powiedz Jackowi, że czas wybrać się nad rzekę.

– Siedzi na schodkach przed barem i wiąże muchy. Wyprzedza cię.

Kiedy w przychodni nie wypadał dzień przyjęć, Mel zabierała dzieci do pracy. Ponieważ David stawał się coraz szybszy, a jego wymagania wzrastały, spędzał znacznie więcej czasu z tatą niż z mamą. Jack zabierał go na zakupy, gdy jechał uzupełnić zapasy w barze, bywało też, że trzymał go w nosidełku na plecach, gdy obsługiwał klientów. Ale wczesnym popołudniem David



wędrował do przychodni i dostawał od mamy butelkę, po czym kładł się spać w kojcu ustawionym w kuchni. Emma ucinała sobie drzemkę w tym samym czasie i miejscu co jej brat, tyle że w przenośnym łóżeczku. Dok z radością opiekował się maluchami, bawił się z nimi, a jak trzeba, to zmieniał pieluchy. Uwielbiał je. Oczywiście marudził, że jest lekarzem, a nie niańką, lecz nigdy nie odmówił Mel, a gdy powierzała dzieci Brie lub Shelby, był zawiedziony, a nawet urażony, że traktuje się go jak zgrzybiałego starca, który nie może zająć się maluchami.

Był zwyczajny dzień, piękne październikowe popołudnie. Mel zostawiła śpiące dzieci pod opieką Doka mniej więcej o wpół do drugiej i poszła do Jacka, który wiązał piękne, pierzaste muchy. Sezon wędkarski trwał w najlepsze, o tej porze roku doskonale brały łososie, jesiotry i pstrągi. Jack był pierwszorzędnym wędkarzem.

– Ciekawe rzeczy się dzieją w twoim barze – powiedziała Mel.

– Gorąco i namiętnie – ze śmiechem odparł Jack. – Myślisz, że ktoś powinien przestrzec Luke’a przed tym miejscem?

– Sądziłam, że w końcu się nauczysz. Wygląda na to, że masz swój udział w każdym romansie, który rozegrał się w tym mieście...

– No, ale tym razem jest inaczej. Jak tylko Shelby go zobaczyła, od razu było wiadomo, że go pragnie. Widzisz, jak on się męczy?

– Niby czemu? Ona jest cudowna. Powinien się raczej cieszyć.

– Pierwszego wieczoru, kiedy ją zobaczył, powiedział, że trafi za kratki. Ma kompleks wieku, uważa, że ona jest młodziutka, a on za stary.

– Phi! Między nami też jest spora różnica wieku. Ale już cię doganiam.

– No i jest jeszcze generał – mówił dalej Jack. – To peszy Jacka.

– Niepotrzebnie, przecież Walt jest łagodny jak baranek. Zresztą wygląda na to, że lubi Luke’a. W końcu łączy ich armia.

– Luke albo się podda, albo eksploduje – uznał Jack.

– A skąd wiesz, że tego nie zrobił? To znaczy że się nie poddał?

– Przyjrzałaś mu się? Widziałaś jego postawę, wyraz oczu? Uwierz mi, jest strasznie spięty, jakby natychmiast musiał... no wiesz... ulżyć sobie.

– Jack!

– A najzabawniejsze, że Shelby jest zupełnie spokojna. Niezwykła kobieta.

– Co masz na myśli?

– Widziałaś siebie w lustrze, kiedy dawno tego nie robiliśmy? Od razu widać, kiedy trzeba się tobą zająć. – Wyszczrzył zęby.

– Nieprawda! – Roześmiała się, bo wiedziała, że ma rację. Wiedziała też, dlaczego nie widać było tego po Shelby. Była nieświadomą pewnych spraw dziewczyną, nierozbudzoną jeszcze, więc nie tęskniła za kochankiem. – Rzadko kiedy mamy dłuższe przerwy – mruknęła.

– I bardzo dobrze. A weź takiego generała. To dopiero zadowolony facet...

– Skąd możesz wiedzieć? Walt wygląda i zachowuje się zawsze tak samo – zaoponowała.

– Coś ty. General tak się zachowuje, jakby zyskał piękną sąsiadkę, której stara się być potrzebny na wszelkie możliwe sposoby. Ma błysk w oku i chytry uśmieszek. Mel zmrużyła oczy.

– Naprawdę jesteś przekonany, że po minie potrafisz poznać, czy jakiś mężczyzna właśnie przespał się z kobietą?

– Owszem – odparł z uśmiechem. – Można powiedzieć, że jestem ekspertem. Przesiedziała z nim godzinę, rozmawiając głównie o rozkwitających romansach. Nie oni jedni zachodzili w głowę, w czym rzecz, nikt nie wiedział, co dzieje się poza barem, ale Shelby i Luke często wpadali na piwo, czasami zostawali na kolację, i byli nierozłączni. Patrzyli na siebie, jakby całymi dniami wyczekiwali, kiedy wreszcie spotkają się choćby na parę chwil. Jakby dla odmiany generała prawie nie widywano. Ludzie zastanawiali się, czy spędza cały ten czas u gwiazdy filmowej. O trzeciej pusty autobus szkolny przejechał przez miasto – to Molly pędziła po pasażerów. Podobnie jak w większości okolicznych miasteczek, pod koniec dnia autobus zbierał uczniów z podstawówek, gimnazjów i liceów i rozwoził do domów. To był długi dzień dla mieszkających na farmach i ranczach dzieci, których rodzice rano odwozili je do miasta, żeby zdążyły na autobus, a potem odbierali wieczorem. Mijając bar, Molly zatrąbiła i pomachała do Mel i Jacka.

– Ta kobieta pójdzie do nieba – stwierdziła Mel. – Piekło to dla mnie autobus pełen rozwydrzonych, wrzeszczących dzieciaków i ja między nimi, i to dwa razy dziennie. Jak ona to robi? – Zerknęła na zegarek, który można było nastawiać według przejazdów Molly. Dzieci zaraz się obudzą z drzemki, musiała więc wracać do przychodni. Kiedy dotarła do budynku, usłyszała płacz dzieci. Nic strasznego, pewnie właśnie się obudziły, ale przecież Dok powinien dać znać, wiedząc, że Mel jest w pobliżu. No i tak czy inaczej, sam utuliłby maluchy. Coś tu nie grało. Wiedziała od razu, poczuła w dołku. Gdy wpadła do środka, zobaczyła coś, co wywołało w niej atak paniki. Dok leżał

na podłodze twarzą do dołu. Mała Emma, zaledwie pięciomiesięczna, leżała obok niego na plecach z buzią czerwoną z bólu lub strachu. David, nadal w kojcu, darł się jak opętany. Nie wiedziała, do kogo najpierw podejść, do Doka czy do Emmy. Emma płakała, więc przynajmniej wiadomo, że jest przytomna, ale Dok się nie ruszał. Mel odwróciła się w stronę otwartych drzwi i wrzasnęła:

– Jaaaaaaack! Ponieważ widział, jak zerwała się do biegu, więc ruszył za nią, wyczuwając, że dzieje się coś złego, i błyskawicznie znalazł się przy Mel. Kiedy go zobaczyła, wzięła Emmę na ręce i podała mu ją. Potem podeszła do Doka i w fachowy sposób ułożyła go na wznak.

– Sprawdź, czy z Emmą wszystko w porządku – poleciła Jackowi. – Mógł ją upuścić, kiedy się przewrócił. Oczy Doka były otwarte, ale pozbawione życia. Mel błyskawicznie sprawdziła: brak pulsu, brak oddechu.

– Jasna cholera. – Zaczęła reanimację sercowo-płucną. Odchyliła do tyłu głowę Doka, żeby oczyścić drogi oddechowe, i dwukrotnie wtłoczyła mu powietrze do płuc, a następnie ucisnęła mostek skrzyżowanymi dłońmi i zapytała Jacka: – Co z nią?

– Chyba okej – odparł niepewnie. – Zdenerwowała się, ale nie widzę krwi ani siniaków. Mel znów wtłoczyła powietrze w Doka, a po chwili, wykonując kolejną partię ucisków na serce, zapytała:

– Jakies guzki na głowie? Jack przejechał dłonią po gładkiej główce.

– Nie, nic takiego. Mel powróciła do wtłaczania powietrza, po czym ledwie dysząc, powiedziała:

– Zobacz, co u Davida. Jeśli w porządku, zadzwoń po kogoś. Potrzebny mi defibrylator. I moja torba.

Jack wybiegł do kuchni. David stał w kojcu i wrzeszczał. Jak tylko ujrzał ojca, płacz zamienił się w spazmatyczne łapanie powietrza.

– Tata! – Malec wyciągnął do niego rączki.

– Trzymaj się, Dave. – Jack położył Emmę do łóżeczka i biegiem wrócił do recepcji, znalazł torbę, otworzył ją w biegu i postawił obok żony. Potem pognął do zabiegowego, złapał walizkę z defibrylatorem i przyniósł. Mel rozdarła koszulę Doka.

– Jezu – szepnęła. Jack właśnie podnosił słuchawkę telefonu, kiedy usłyszał czyjeś kroki. Proboszcz zatrzymał się w otwartych drzwiach, spojrzął wokół, oceniając sytuację, wbiegł do środka i ukląkł przy Mel.

– Pomogę. – Przejął od niej uciskanie klatki piersiowej. Mel otworzyła walizkę z defibrylatorem AED i włączyła go. Takich urządzeń używały linie lotnicze. Zamiast typowych „łyżek” były przyklejane elektrody. Mel umieściła je na piersi Doka i powiedziała:

– Uważaj na impuls, Prob. – Gdy urządzenie powiedziało mechanicznym głosem: „Ocena pacjenta. Uwaga. Impuls”, Mel krzyknęła: – Już! – Proboszcz zabrał dłonie, a Mel wcisnęła guzik, uwalniając energię. Sprawdziła puls. Brak reakcji. – Dok, do ciężkiej cholery. Proboszcz znów zaczął tłoczyć powietrze do płuc i uciskać klatkę piersiową, natomiast Mel założyła Dokowi kroplówkę i podłączyła woreczek z roztworem Ringera, trzymając go wysoko w górze. Przejął go Jack. Mel wyjęła z torby dwie fiolki i dwie strzykawki. Dodała adrenalinę do kroplówki, potem jeszcze atropinę.

– Są w drodze – powiedział Jack. – Zadzwoń do Shelby po pomoc. I do June Hudson w Grace Valley.

– Przynieś mi stojak do kroplówki z zabiegowego – powiedziała, przejmując od niego woreczek. – Zajmij się dziećmi. – Kiedy wrócił, Mel ponownie włączyła defibrylator. – Prob, impuls. – Mechaniczny głos ponownie ich ostrzegł. – Już! – Prąd wygiął ciało Doka w łuk. Mel użyła stetoskopu. – Dok, błagam, nie rób tego – powiedziała. – Boże, potrzebuję cię! – Odtrąciła dłonie Proboszcza i sama wróciła do uciskania. – Na trzydzieści dwa duże wdechy – poinstruowała. – Dziesięć, jedenaście... Mel nie zdawała sobie nawet sprawy, że dzieci przestały płakać. Jack stał za nią, tuląc obydwójce do siebie. Mel raz jeszcze użyła defibrylatora, jednak Dok nie reagował. Kiedy usłyszała łopaty śmigłowca, łzy płynęły jej po policzkach, spadając na pierś Doka. Mimo to nie przestawała uciskać. Proboszcz usiadł na piętach. – Nie przerywaj! – warknęła, więc znów wtłoczył powietrze do płuc Doka. – Jak możesz? – krzyczała Mel do pozbawionego życia ciała. Sanitariusze wbiegli do przychodni i uklękli przy Doku, odsuwając Proboszcza i Mel. Szybko zapoznali się z sytuacją, a Mel przekazała im, jak przebiegała akcja reanimacyjna. Mel wycofała się i przytuliła do Jacka i dzieci. Przecież nie może tak umrzeć, pomyślała zdesperowana. David wypłakał się tak bardzo, że teraz męczyła go czkawka. Wtulił mokrą twarz w ramię ojca. Mel wzięła Emmę na ręce, szybko ją obejrzała, a potem ponownie skupiła się na akcji ratowniczej. Mijały minuty, wreszcie zjawiała się Shelby.

– Weź Emmę – powiedział Jack. – Znaleźliśmy ją na podłodze obok Doka. Musiał ją upuścić. Nie mieliśmy czasu jej rozebrać i obejrzeć, ale chyba nic jej nie jest. Shelby zabrała małą z recepcji i wróciła po kilku minutach, trzymając na rękach uspokojoną dziewczynkę.

– Obejrzałam ją. Nie zauważyłam żadnych stłuczeń ani innych śladów.

– Może przeczuwał, co się dzieje, i położył ją na podłodze – powiedziała Mel. – Nie leżał na niej. – Popatrzyła zażalonym wzrokiem na Jacka. – Gdyby tak było, mogłaby umrzeć. Jack ścisnął jej ramię. Dwadzieścia minut później jeden z sanitariuszy powiedział do Mel:

– Wiadomo, czy podpisywał DNR? – Chodziło o deklarację „Nie reanimować”.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Będziemy musieli stwierdzić zgon.

– Nie! – krzyknęła. Jack położył dłoń na jej ramieniu.

– Mel, on umarł. Nasz Dok nie żyje.

– Nie... – powtórzyła ciszej.

– Twoja reanimacja się nie powiodła. Nasza też nie – powiedział sanitariusz. – Kto jest u was koronerem?

– Właśnie go ratujecie. – Pociągnęła nosem. – Jeśli śmierć nie nastąpiła wskutek morderstwa, to Dok podpisuje akt zgonu.

– Proszę pani, to koniec. Nic więcej już nie zrobimy. Dostał leki przez kroplówkę, impulsy – powiedział drugi sanitariusz. – Mamy go zabrać?

– Tak, do Redding na sekcję. Muszę wiedzieć, co się stało.

– Dobrze. Ale chyba wiemy, co to było.

– Nie miał problemów z sercem. – Pokręciła głową. Sanitariusz wstał.

– W tym rzecz, że serce można leczyć, ale nie wygra się z zawałem, udarem albo tętniakiem, jeśli się o nich nie wie. Mam trochę roboty papierkowej. Proszę zaczekać.

Pierwszy sanitariusz wrócił do śmigłowca, a drugi zaczął zbierać rzeczy. Mel podeszła do Doka, klękła i delikatnie zamknęła mu powieki. Odkleiła mu od piersi elektrody defibrylatora, a potem czule wygładziła przeredzone włosy na klatce piersiowej. Przesunęła palcem po gęstych, białych brwiach. Nachyliła się i pocałowała go w czoło, zalewając się łzami.

– Jesteś wredny jak cholera – szepnęła. – Jak możesz mnie tak zostawiać? – Oparła policzek na jego głowie. Jego ciało robiło się już zimne. Kiedy sanitariusze go wynosili, szła za nimi. Na zewnątrz zebrał się tłumek gapiów. Paige i Brie, Connie i Ron, Lydie Sudder i inni czekali na jakieś informacje. Spojrzała na nich i rozplakała się.

– Przepraszam – powiedziała. – Próbowałam. Naprawdę próbowałam. Jack przytulił ją do piersi.

Tego samego wieczoru, gdy Jack już położył dzieci spać, poszedł do kuchni, nalał dwa kieliszki brandy i wrócił do salonu, gdzie Mel siedziała skulona na sofie przed kominkiem. Postawił drinki na ławie i usiadł w wielkim skórzanym fotelu naprzeciwko żony.

– Chodź do mnie. – Wyciągnął do niej dłoń. Zsunęła się z sofy i usiadła mu na kolanach. Podał jej brandy, potem sięgnął po swój kieliszek.

– Był gotów – powiedział cicho. – Pożegnamy go godnie, żeby z wysokości mógł mieć oko na miasteczko.

– Nie jest mi łatwo, Jack...

– Wiem. Ale od czego mamy siebie? – Upił łyk. – Musimy pamiętać, kim był Dok i czego by od nas oczekiwał. Chciałby, żebyśmy wzniesli toast, podziękowali mu za dobrą pracę i pożegnali się z nim bez ostentacji, bez płaczu. To był twardy facet, nie cierpiał ckliwego sentymentalizmu.

– Żałuję, że nie powiedziałam mu, że go kochałam.

– Ależ on o tym wiedział. – Jack zachichotał. – Jednak gdybyś choćby pisnęła na ten temat, nie zostawiłby na tobie suchej nitki.

– Trudno będzie się z nim pożegnać.

– Tak, ale coś się skończyło, coś się zaczyna. – Pocałował ją w skroń. – Zadzwoń jutro do szpitala i powiedz, że autopsja nie będzie potrzebna. Zostawmy go. Wszystko już wiemy.

– Muszę się dowiedzieć, czy mogłam go uratować – niemal szepnęła.

– A co on by powiedział?

– Daj sobie spokój, Melindo. – Popatrzyła na Jacka i wielka łza popłynęła jej po policzku. – Tak by powiedział. – Przymknęła na moment oczy. – Okej, jest dużo do zrobienia. Trzeba przejrzeć jego rzeczy. I najważniejsze, Jack. Co my pocniemy bez lekarza?

– Na razie masz Shelby do pomocy. Będziemy szukali. Jutro rano pójde z tobą do przychodni, przejrzemy rzeczy Doka, zobaczymy, czy nie zostawił ostatniej woli albo dziennika. Postaramy się, żeby miasto jak najprędzej mogło pożegnać swojego starego przyjaciela.

– Masz rację. Dok by chciał, żebyśmy po prostu żyli dalej.

– Zgadza się.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Byłabyś nieszczęśliwa. – Uśmiechnął się, stukając w jej kieliszek. – Za Doka.

– Za Doka. Największego upierdliwca w hrabstwie. Boże, jak mi go będzie brakowało...

Chociaż Dok nigdy nie rozmawiał z Mel o tym, co stanie się z przychodnią, gdyby już nie mógł jej prowadzić, sumienny doktor nie zostawił ani miasta, ani swojej położnej na lodzie. W dokumencie datowanym dwa lata wstecz, wkrótce po ślubie Mel z Jackiem, Dok zapisał Mel przychodnię. Była to wolna od wszelkich obciążeń darowizna w formie funduszu powierniczego. Zabawne, że stary Dok zrobił coś tak przemyślanego i nowoczesnego, a już zupełnie zdumiewające, że zwrócił się do prawnika. W górnej szufladzie biurka, na wierzchu, żeby przypadkiem jej nie przeoczyć, leżała stara, sfatygowana książeczka czekowa. Dok przez ponad czterdzieści pięć lat ciułał drobne kwoty, a na niecały rok przed śmiercią przepisał wszystko na Mel. Podczas gdy jej się wydawało, że podpisała dokumenty związane z zatrudnieniem, w rzeczywistości złożyła podpis na bankowym dokumencie. Powinien był zamiast tego pojechać na Alaskę na wielką wyprawę wędkarską, pomyślała Mel. Ale Dok nie opuszczał miasteczka dłużej niż na dzień, dwa. Była bardzo wzruszona. Nie pisnąwszy na ten temat ani słowa i skapiąc jej pochwał, Dok już po pół roku jej pobytu w Virgin River uznał Mel za pełnoprawną partnerkę w przychodni. Zostawił też prośbę. Nie był to nawet list, a tylko kilka ręcznie napisanych zdań wciśniętych do książeczki czekowej. Chodziło o kremację i rozsypanie prochów w Virgin River. Mel zadzwoniła do Harry'ego Shiptona, pastora z Grace Valley, i poprosiła o powiedzenie kilku słów podczas uroczystego rozsypania prochów nad rzeką, przy jej najszerszym zakręcie. Zawiadomienia o ceremonii umieszczono w barze i w szpitalu Valley. Cztery dni po śmierci Doka Jack i Mel zamknęli bar i przychodnię i pojechali nad rzekę. Nie zdziwiło ich, że z trudem przebili się przez tłum. Zjawili się setki ludzi z Virgin River i okolicznych miasteczek, a także personel szpitala Valley. Przy zejściu nad rzekę stał pikap z paką pełną kwiatów – mieczyków, goździków, róż, margerytek i chryzantem. Jakiś mężczyzna wręczył Mel i Jackowi bukiet. June Hudson z przychodni w Grace Valley, jej mąż Jim Post, jej ojciec Elmer Hudson, również lekarz, który przechodząc na emeryturę, przekazał córce swoją praktykę, stali nad brzegiem rzeki obok Johna Stone'a, biznesowego partnera June, i Susan, jego żony. Mel zatrzymała się przy nich, przyjmując kondolencje. Traktowano ją, jakby była rodziną starego Doka.

– Mel, jeśli będziesz potrzebowała pomocy w przychodni, daj znać mnie albo Johnowi – powiedziała June.

– Dzięki. Będę musiała odsyłać do was pacjentów, póki nie znajdziemy lekarza.

– Wiele miasteczek radzi sobie bez niego, po prostu pacjenci muszą pojechać trochę dalej. Ale i tak mają ciebie.

– Spójrz na nich – powiedziała Mel łamiącym się głosem. – Jak taka zarządca mogła przyciągnąć takie tłumy?

– Zawsze był gderliwy – wtrącił Elmer Hudson. – U mnie to przyszło z wiekiem, ale Mullins już taki był, kiedy poznaliśmy się przed czterdziestu laty. Mel poczuła, jak uśmiecha się na przekór łzom.

– A ja go poznałam, gdy nawet jeszcze nie dojechałam do Virgin River. Nieprzyjazna aura, nieznana górzysta okolica, a ja wpadam do rowu. Szczęśliwie zatrzymał się jakiś starszy facet. Wyciągnął mój nowiutki kabriolet BMW, a pierwsze czułe słowa Doka skierowane do mnie brzmiały: „To gówno się tu nie przyda”. – Pokręciła głową. – Cholera, będę za nim tęskniła. Dla moich dzieciaków był jak dziadek.

– Kiedy umrę, chcę, żeby na moim pogrzebie też zjawili się tyłu ludzi. Plus dwadzieścia, żeby go przebić. – Elmer Hudson spojrzał na córkę. – June, jak nie da się inaczej, opłać ich ze spadkowych pieniędzy.

– Jasne, tato. Harry Shipton ruszył nad brzeg rzeki. Tłum rozstąpił się przed nim. Ubrany w prostą, jasnoniebieską batystową koszulę i spodnie koloru khaki, trzymając w dłoniach Biblię, powiedział:

– Zebraliśmy się, aby pożegnać serdecznego przyjaciela. Dok Mullins przez ponad czterdzieści lat zaspokajał potrzeby medyczne Virgin River i okolic i z tego, co wiem od tych, którzy znali go najdłużej, nigdy nie dbał o słowa podziękowania i zapłatę. Liczyło się dla niego jedynie to, by tutejsi mieszkańcy, jego jedyna rodzina, mieli opiekę medyczną. Ratował życie, troszczył się o chorych, przyjmował na świat nowe życie i zamykał oczy tym, którzy odeszli z tego świata. Módlmy się. – Z pochyloną głową wyrecytował modlitwę świętego Franciszka z Asyżu, a potem Psalm 23, a na koniec Modlitwę Pańską. – O naszym przyjacielu Doku można by powiedzieć znacznie więcej, ale obawiam się, że gdybyśmy zechcieli zanadto się rozdrabniać, strzeliłby w nas piorun. Dok lubił szczere, proste słowa, ciężką pracę, przyjaciół i kieliszek dobrej whisky na koniec dnia. – Przyjął urnę i rozsypał prochy Doka nad wodą. Do rzeki powędrowała jeszcze szklaneczka bursztynowego płynu, łyczek Jacka Daniel’sa. – Z Bogiem, przyjacielu. W ślad za prochami, które odpłynęły w dół rzeki, ludzie wrzucili do wody



kwiaty, a potem nieśpiesznie zaczęli się rozchodzić. Jack otworzył bar dla każdego, kto chciał wypić za pamięć zmarłego przyjaciela.

Przy całym smutku, który ogarnął miasteczko po śmierci starego doktora, dwa tygodnie później wszyscy z ulgą powitali przyjazd kumpli Jacka z wojska. Zawsze załapywali się na końcówkę sezonu polowań na jelenie. Oddział nie zjawił się w komplecie, zwłaszcza że pełen zestaw był w Virgin River całkiem niedawno, w lipcu, pomagając przy pożarze lasu, który zagroził miasteczku. Byli Josh i Tom z Reno, a także Joe Benson z żoną Nikki, którzy przyjechali z Grants Pass i zatrzymali się u generała, Vanni i Paula. Przybył też Mike Valenzuela, a na miejscu byli Proboszcz i Jack. Brakowało więc tylko Corny'ego i Zeke'a.

Mel oczekiwała przyjaciół z niecierpliwością, ale zbyt była zajęta, aby w pełni cieszyć się z odwiedzin. Z pomocą Shelby prowadziła przychodnię, jeździła z wizytami domowymi i robiła porządek w papierach Doka. Było to nie lada zadanie, bo chodziło o gromadzone przez ponad czterdzieści lat papierzyska. Sprzątała jego pokój, rozdawała ubrania, książki i meble, i przygotowywała sypialnię, która miała służyć albo za pokój gościnny, albo za kwaterę dla nowego lekarza. O ile taki się znajdzie. Bardzo tęskniła. Początki były trudne, ale kiedy już dogadali się z Dokiem, szybko stał się dla niej kimś bardzo bliskim. I ona dla niego. Jego sposób bycia powinien ją drażnić, ale o dziwo, z czasem polubiła zgryźliwe uwagi i nieustające zrzęczenie Doka, a nawet uznała za zabawne. Gdy rozległ się klakson, podniosła głowę znad papierów.

– Są – rzuciła do Shelby.

– Kto?

– Chłopcy. Oddział Jacka. Na dzisiaj koniec. Przyda nam się rozrywka, zaufaj mi. – Zabrzmiało to jak rozkaz. Mel wzięła Emmę, a Shelby Davida, i poszły do baru. Ledwie zdążyły przekroczyć próg, kiedy Tom Stephens objął Mel w pasie, a Josh wysupłał Davida z rąk Shelby i podniósł go wysoko, oceniając wagę malca.

– Shelby, poznaj Josha Philipa – dokonała prezentacji Mel. – Jest sanitariuszem w Reno. A ten dzikus to Tom Stephens, lata na śmigłowcu telewizji, również w Reno.

– Wiem, że te dwa tygodnie były dla ciebie trudne – powiedział Tom, nadal ją obejmując. – Jak mogę pomóc? Poklepała go po klatce piersiowej i odparła:

– Tęsknij za nim razem ze mną. Tylko tyle nam pozostało.

– Każdy życzył mu jak najdłuższego życia. Oby ryby dobrze brały, gdziekolwiek teraz jest.

– Znając jego gderliwość, ryby mają go już dość. Cieszę się, że przyjechaliście. Potrzebujemy was, chłopcy. W barze ostatnio cicho, no, poza tym waleniem na budowie.

– Cisza nie jest naszą mocną stroną. – Odebrał jej Emmę. – Jaka śliczna panienka! Oho, przytyła. Dzięki Bogu, jest podobna do ciebie, Mel. Nie zdzierzyłbym, gdyby miała facjatę twojego starego.

– Moim zdaniem jest bardzo przystojny. Jack powiadomił innych o przyjeździe Toma i Josha, więc wkrótce przybyli Walt, Joe i Paul, a chwilę po nich Mike i Proboszcz. O piątej zebrała się już cała paczka, a do baru zaczęli zaglądać miejscowi: Carpenterowie, Connie i Ron ze sklepiku na rogu, Joy i Bruce, monter Harv, Hope McCrea i na koniec Muriel St. Claire. Mel też bardzo by się cieszyła, gdyby wizyta wypadła w innych okolicznościach, ale teraz szczególnie była rada, bo jej nastrój znacznie się poprawił. Po piątej zjawił się Luke Riordan, a Mel od razu zauważyła błysk w oku Shelby. Ich popołudniowe spotkania przy barze wydawały się mocno przygaszone od śmierci Doka, bo Shelby, która bardzo go lubiła, też pograżyła się w żałobie. Jednak dzięki marines do baru zawitał promień słońca. Luke'a, weterana wojennego, od razu wciągnięto do paczki. Rozmowa zeszła na misje i akcje, korygowano różne szczegóły, przerzucano się nazwiskami, szukano wspólnych znajomych. Zjawiło się więcej kobiet. Luke z zaciekawieniem obserwował, że marines witali się z każdą z nich, jakby była ich siostrą lub dziewczyną. Kiedy przyszła Paige z córeczką, mała powędrowała z rąk do rąk, a każdy zachwalał jej urodę i bawił się z nią jak dobry wujek. Wkrótce do obściskiwanej przez mężczyzn Paige dołączył jej syn, Christopher, którego zaraz ktoś wziął na barana. Brie wyszła z przyczepy ustawionej za barem, tymczasowego domu, póki budowa nie zostanie zakończona, i od razu jej wielki brzuch stał się obiektem przyjaznych komentarzy. Oczywiście komplementowano też potencję Mike'a.

– Ładny brzuch zmalowałaś, stary! – rzucił Josh.

– Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek, kochanie – dodał Tom, zwracając się do Brie. Kiedy w drzwiach stanęły Vanessa i Nikki, zaczęło się od nowa – uściski i całusy, uściski i całusy. Dla Luke'a to było coś nowego. W swojej rodzinie nigdy nie spotkał się z czymś takim. Intrygowało go, jak ci mężczyźni zachowywali się wobec swoich kobiet i jak odnosili się do innych. Ubóstwiali żony kolegów, traktowali je z naturalną czułością, z intymnością, zarazem głęboką, jak i pełną szacunku. Widać było, że sobie ufają. Luke nigdy nie miał z czymś takim do czynienia.

Proboszcz przygotowywał rybę, ugotował ryż i warzywa, a na dobry apetyt podał przekąski. Zwykle poważną twarz kucharza rozświecilał uśmiech od ucha do ucha. Krażyły napoje i jedzenie, wieczór się starzał, a hałas wzrastał. Kobiety powoli zaczęły się wykruszać, wracając do domów, aby zająć się dziećmi. Luke z radością dał się wciągnąć do paczki. Przez chwilę zatęsknił za swoimi kumplami z wojska, ale kiedy zauważył, że kobiety zaczynają się rozchodzić, zerknął na Shelby. Mel z pomocą Jacka zabrała dzieci i wyszła z baru, zostawiając Shelby samą. Akurat kiedy Dok zmarł, związek Luke'a i Shelby zaczął się rozkręcać, jednak przez ostatnie dwa tygodnie widywali się tylko od czasu do czasu. Shelby obejmowała go, kładła głowę na jego piersi i wzdychała ciężko, zmęczona i smutna. Po śmierci starego doktora dotarło do niej, że nie tylko go bardzo lubiła, ale i kochała jak kogoś bardzo bliskiego, dlatego ciężko przeżywała żalobę. A zarazem miała znacznie więcej pracy. I tak się jakoś stało, że pożądanie gdzieś się rozmyło. Luke podszedł do niej jak najprędzej, bał się bowiem, że zaraz wyjdzie lub zacznie z kimś rozmawiać. Na jego widok uśmiechnęła się, on zaś powiedział:

- Szkoda, że ostatnio widujemy się tak rzadko.
- Ostatnio było ciężko. Co u ciebie?
- Pracowicie. Wziąłem się ostro do roboty, żeby nie myśleć cały czas tylko o tobie. A ty?
- Przeglądamy rzeczy Doka. To takie smutne, a już Mel bardzo to przeżywa. Dok był jej przyjacielem i dziadkiem dla dzieci. Ma pęknięte serce, ale jest silna, jakoś sobie radzi.
- A twoje serce? - spytał cicho, myśląc nie tylko o Doku.
- Nie byłam z nim tak blisko jak Mel. Wiesz, oni fukali na siebie, nieraz się ścięli, ale to była bardzo głęboka przyjaźń. Z boku patrząc, wyglądało to nawet zabawnie, dwa silne charaktery, te różne konflikty, działali sobie na nerwy, ale uwielbiali się nawzajem, darzyli bezgranicznym zaufaniem, i kochali się, jakby byli rodziną. Mel wciąż opowiada mi o nim przeróżne historie. W tych górach czasami koczują dziwni ludzie, zakładają obozowiska, i Dok do nich jeździł z jedzeniem, ubraniami i pomocą medyczną, zupełnie nie troszcząc się o własne zdrowie i bezpieczeństwo. Zdarzało się też, że naginał albo wręcz łamał prawo, jeśli było to korzystne dla miasta i jego mieszkańców. Już za życia stał się prawdziwą legendą, był kimś naprawdę ważnym, kto niesie z sobą dobro, a przy tym warczy na ludzi, zgryźliwie wszystko komentuje. Był kimś jedynym w swoim rodzaju. Dużo się o nim dowiaduję.
- Jesteś zmęczona. - Delikatnie przesunął palcem po jej policzku.

– Bo to ciężka praca. Nie wiem, jak Mel poradziłaby sobie beze mnie. Dobrze, że zostałam. Jak tam dom?

– Dach przecieka. Paul ma przyjechać i pomóc – odparł z uśmiechem. – Wyszlifowałem i polakierowałem podłogi, pomalowałem ściany, wstawiłem drzwi i okna, zamontowałem listwy. Mam nowe szafki i blaty. Ganek został wzmocniony, a domki letniskowe, dzięki pracownikom Paula, mają nowe dachy. – Uśmiechnął się szerzej. – Mogę już palić w kominku. W łazience wszystko działa, chociaż muszę jeszcze dopracować parę rzeczy. Art mieszka obok i jest strasznie dumny. Po raz pierwszy ma własny dom.

– Przyjadę obejrzeć, jak się uporamy z rzeczami Doka.

– Moglibyśmy spędzić trochę czasu tylko we dwoje...

– Byłoby miło. Ale teraz to polowanie...

– No tak, polowanie. Niedługo się skończy i wtedy coś wymyślimy.

– W tygodniu jestem zajęta w przychodni.

– Przykro mi z powodu waszej straty.

– Dzięki. Jakoś dam sobie radę.

– Shelby, chodźmy na zewnątrz. Chcę cię wziąć w ramiona, zanim sobie pójdziesz.

– To najlepsza część dnia – stwierdziła, wychodząc z Lukiem.

Gdy knajpa opustoszała z kobiet, stoliki zsunięto i pojawiły się karty, zaraz też zrobiło się szaro od dymu. Luke rozsiadł się w krześle i z chęcią przyjął grube cygaro. Do gry usiedli wszyscy z wyjątkiem Jacka.

– Chłopaki, idę do domu – powiedział. – Mel powiedziała, że mogę zostać, ale sami rozumiecie, że od śmierci Doka...

– Tak – rzucił ktoś.

– Cierpi dziewczyna – ktoś inny dodał.

– Ucałuj ją od nas – dorzucił trzeci. – Ciężko jej.

– Sami rozumiecie. Trzyma się dzielnie, ale czasem to pomaga, że jestem blisko niej. Czwarta rano? – spytał na koniec Jack.

– Czwarta – potwierdził Proboszcz.

- Słuchajcie, jeśli nie przyjdę...
- Nie musisz się tłumaczyć, stary - powiedział Paul. - Mel przede wszystkim.
- Ona nie znosi, kiedy strzelam do zwierząt.
- Wszystko jasne, sierżancie.
- Tylko nie spalcie mi budy. - Sięgnął po kurtkę.

Minęło kilka pełnych napięcia i rozczarowujących tygodni, ale Cameron, po nocy spędzonej z Brandy, nie miał od niej żadnych wiadomości. Tak już ze mną jest, pomyślał. Za każdym razem, kiedy spotykam kobietę, w której mogę się zakochać, ona znika, zanim cokolwiek z tego wyniknie. Wrócił do hotelu Davenport. W barze zastał tego samego barmana, który obsługiwał tamtego wieczoru. Nie znał jego imienia, ale to barman zaczął rozmowę.

- Co słyhać, panie doktorze? Co podać?
- Imię kobiety, którą spotkałem tutaj przed paroma tygodniami. Pamiętasz ją?
- Jak przez mgłę. - Wymownie wzruszył ramionami. Jednak Cameron był przekonany, że barman pamiętał, bo bar był wtedy pusty, tyle że jego praca polegała na tym, by nie widzieć i nie słyszeć.
- Próbuję ją znaleźć. Nie znam jej imienia.
- Przykro mi, ale ja też nie.
- Jak zapłaciła za drinka, którego piła, zanim przyszedłem?
- Doliczyła do rachunku. Była gościem hotelu.
- Dzięki Bogu! Możesz przejrzeć paragony?
- Za coś takiego - odparł z powagą - wyleciałbym z pracy.
- Powiedziała, że przyjechała na ślub. Jakie są szanse, żebym się dowiedział, co to był za ślub?
- Kierownik może panu podać nazwisko umieszczone na fakturze. W holu wisiała markiza. Nic to panu nie powie, ale jeśli pan zadzwoni do gazet, okaże się, czy zamieścili ogłoszenie. Zadanie okazało się dość łatwe. Co prawda nie dowiedział się niczego o kobiecie, której szukał, ale przynajmniej zdobył informację, że ślub brali Jorgensen i Benson. Joe Benson był

architektem z Grants Pass. Pojechał do firmy Joego, wręczył mu wizytówkę i powiedział:

- W dzień twojego ślubu poznałem w hotelowym barze kobietę, która była gościem na twoim ślubie. Przedstawiła się jako Brandy, ale nie podała nazwiska. Chciałbym się z nią umówić. Czy możesz mi pomóc?
- Brandy? Nie znam nikogo takiego.
- Na pewno? Piękna kobieta, jakieś metr sześćdziesiąt, włosy ciemny blond albo jasny brąz, duże, ciemne oczy. Trzydzieści jeden lat. Miała na sobie złotą sukienkę.
- Człowieku – odparł ze śmiechem Joe – właśnie opisałeś połowę kobiet na ślubie. Druhny były ubrane na złoto. Moja żona była stewardesą i zaprosiła mnóstwo piękności w tym wieku. Jak ją zgubiłeś?
- Nie chcesz wiedzieć. – Cameron umknął wzrokiem. – Okazuje się, że z kobietami to już nie to samo co kiedyś.
- Przykro mi, doktorze. Zatrzymam wizytówkę i zapytam żonę. Czy to pomoże?
- Pewnie nie, ale spróbuj. Czy większość gości obecnych na ślubie pochodziła z Grants Pass?
- Nie, prawdę mówiąc, większość była przyjezdna. Moja rodzina mieszka tutaj, ale rodzina Nikki pochodzi z San Francisco, a jej koleżanki zjechały z całego kraju. Cameron milczał przez chwilę.
- Naprawdę dobrze nam się rozmawiało – powiedział wreszcie.
- Ale mimo to nie masz ani jej nazwiska, ani telefonu? Cameron roześmiał się ponuro.
- Powiedziała, że to ona się ze mną skontaktuje. Nie zrobiła tego. Nie wiem czemu. To było... – Przełknął ślinę. – Nie wiem czemu – powtórzył.
- Stary, naprawdę ci współczuję, uwierz mi. Tylko nie wiem, czy potrafię pomóc.
- Ale zapytasz żonę?
- Jasne.
- Zdzwonimy się.

Kilka dni później zadzwonił do Joego, żeby usłyszeć tylko, że jego żona nie ma przyjaciółki o imieniu Brandy. Opis mógł za to pasować do trzech jej

znajomych, ale wszystkie były zameżne. Możliwości było wiele. Mogła zmyślić imię. Wspomniała, że jej małżeństwo się rozpada, więc może była w trakcie skomplikowanego rozwodu. Albo zastanawia się, czy jednak nie ratować tego związku. I pewnie jej się powiedzie, bo co za idiota chciałby wypuścić ją z rąk? Tak czy owak, nie chciała się z nim skontaktować. Dość tego, pomyślał Cameron. Koniec z tym. Koniec z zagadywaniem pięknych, samotnych kobiet w barze. Lecz wcale nie poprawiło mu to nastroju. Jeden ze współpracowników zauważył, że ostatnio wydaje się przybity. Zbył go, bagatelizując sprawę, ale wiedział, w czym rzecz. Brandy, czy jak tam jej na imię, rozplynęła się we mgle. Tylko dlaczego? Wciąż zadawał sobie to pytanie, lecz nie znał odpowiedzi. Wszystko, co zapamiętał z tamtej nocy, mówiło mu, że mieli szansę. To niesamowite, ale ledwie poznana kobieta stała się dla niego najważniejszą osobą na świecie. A on kim był dla niej w tamtych godzinach?

Pewnego wieczoru, kiedy jako ostatni wychodził z gabinetu, postanowił posprzątać poczekalnię. Wszędzie walały się zabawki i czasopisma, a recepcjonistka niespecjalnie się przykładała do porządków pod koniec pracowitego dnia. W kwadrans uporał się z tym, dzięki czemu sprzątaczką będzie miała łatwiej. Odłożył zabawki do pudła i zaczął układać książki i magazyny, kiedy nagle ją zobaczył. Patrzyła na niego z maleńkiego zdjęcia na okładce „People”. Opadł ciężko na dziecięce krzeselko, gapiąc się z otwartymi ustami. Jeśli to nie ona, to doskonały sobowtór. Nagłówek ogłaszał całemu światu: Kid Crawford rozwodzi się z trzecią żoną. Przeczytał cały artykuł. Jasne, że to ona. Kid Crawford, osławiona gwiazda rocka, wybrał sobie na żonę stewardesę, którą poznał podczas jednej ze swoich licznych podróży. Byli małżeństwem niecały rok. No tak, pomyślał Cameron, Brandy powiedziała, że wysłał papiery rozwodowe przed dziewięcioma miesiącami, czyli małżeństwo tak naprawdę trwało niecałe trzy miesiące. A niech to... Nic dziwnego, że była załamana. W tekście znalazł więcej fotografii, w tym zdjęcia pierwszej i drugiej żony muzyka, a także nowej dziewczyny, z którą ponoć mieszkał przez pół roku przed rozwodem. Najgorsze do zaakceptowania było to, że pełna klasy, czysta i słodka kobieta była żoną ohydneho, zarośniętego, zatłuszczonego kolesia w podartych dżinsach, ciemnych okularach, obwieszzonego łańcuchami i pokrytego tatuażami. To by tłumaczyło jej ból i samotność. Cameron wziął pismo i pojechał z nim do Joego Bensona. Joe wstał i wyciągnął rękę.

– Cześć. Słuchaj, przykro mi, ale nie wiem nic więcej o tajemniczym gościu.

– Znasz ją? – Cameron pokazał mu zdjęcie. Odpowiedzią była sama mina Joego, który powiedział po chwili milczenia:

– Abby... Przykro mi. Czuję, że może o nią chodzić.

- Ale nie powiedziałaś mi o tym.
- Nie mogłem tego zrobić. - Wzruszył ramionami. - Współczuję ci, naprawdę, ale nie można w ten sposób wystawiać kobiet facetom. Na pewno jesteś bez skazy, ale wiesz, nie znam cię aż tak dobrze.
- Rozumiem.
- Żona powiedziała, że Abby ma za sobą paskudny rok, więc sam rozumiesz, że nie chciałbym dodatkowo komplikować jej życia. - Wskazał pismo. - To było okropne.
- Co ją połączyło z takim obleśnym wycirusem? - Cameron zmarszczył brwi.
- Och, to tylko na pokaz. Wcale tak nie wygląda. Połowa fanów nie poznałaby go bez tych ciuchów. Nazywa się Ross. Nie znam go osobiście, ale żona była na ich cichym ślubie i mówi, że to przystojny, sympatyczny facet. Tyle że, jak widać, nie na długo.
- No tak, rozumiem. - Cameron zwiesił głowę. - Masz moją wizytówkę?
- Mam.
- Słuchaj, gdybyś mógł przekazać jej wiadomość, że chciałbym się z nią skontaktować...
- Mogę spróbować.
- Zacytuj mnie dosłownie: „Jeśli się nie odezwiesz, temat zamknięty”.
- Jasne. Poproszę żonę, żeby się z nią skontaktowała.

Minęły dwa dni i cisza. Wiedział, że nie zadzwoni. Gdyby chciała, to była idealna chwila, żeby wyciągnąć rękę do kogoś, komu na niej zależało, kto chciał dać jej coś, czego nie dał jej ten szajbnięty gwiazdor. Cameron pogodził się ze świadomością, że to była tylko przygoda na jedną noc. Koniec.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Abby MacCall-Crawford, vel Brandy na jedną okazję, miała w głowie jasny plan, kiedy po ślubie w Grants Pass wróciła do Los Angeles. Zamierzała podpisać papiery rozwodowe, uwolnić się i popracować nad własnym życiem. Jej małżeństwo z Rossem Crawfordem skończyło się wkrótce po tym, jak się zaczęło, i chociaż formalnie wciąż była panią Crawford, mąż od ponad pół roku mieszkał z inną i nie spotykał się ani nie rozmawiał z żoną. To powinna



być prosta sprawa. Abby nie będzie miała jednak lekko. Przede wszystkim musiała wynająć prawnika, ponieważ w ofercie ugody Rossa pojawiły się pewne „warunki”. Jej mąż poszalał z kartami kredytowymi, zwłaszcza kiedy byli w separacji, a teraz ona musiała zapłacić połowę należności, chociaż nie zarabiała nawet dziesiątej części tego co on. Samo wynegocjowanie zmniejszenia kwoty do jednej trzeciej tego, czego Ross zażądał, kosztowało ją słone honorarium dla prawnika, a mimo to wciąż miała do uregulowania rachunek, na który nie było jej stać. Po raz milionowy pytała samą siebie, jak dała się w to wciągnąć. Ross omotał ją wypróbowanymi sztuczkami, a ona poddała mu się szybko i do końca. Był muzykiem, basistą w kapeli, która wydała kilka popularnych albumów. Poznali się w samolocie. Gdy leciał pierwszą klasą, wyglądał zupełnie inaczej, niż ten typek na scenie. Przede wszystkim był schludny, miał na sobie spodenki w kolorze khaki i świeżą białą koszulę, do tego elegancko przycięte włosy, ogolona twarz, porażający uśmiech. Miał charyzmę i ogromne poczucie humoru. Na scenie nosił podarte dżinsy, łańcuchy, trzydniową szczecinę, którą zapuszczał przed koncertem, i długie kudły, czyli perukę. Abby знаła jego kapelę i chciało jej się śmiać, kiedy pomyślała, że to ten sam gość. Cóż, zakochała się w słynnej gwiazdce rocka i wiele razy widziała swoją twarz na okładce brukowca. Gdy się poznali, Ross właśnie wracał do Los Angeles po kuracji odwykowej, skwapliwie trzymanej w tajemnicy przed opinią publiczną. Sekretem nie było wszakże to, że Ross brał narkotyki, lecz to, że przestał. Terapia nie zniechęciła Abby, przeciwnie – była z niego dumna. Codziennie chodził na spotkania i nie potrafił mówić o niczym innym. Powtarzał, że reszta zespołu nie bierze i zażądała od niego zmiany trybu życia, bo inaczej wyleci. Mówił prawdę, był czysty jak łąza, czego dowodziły regularne testy. Pragnął spokoju, żony, rodziny, żeby mieć dokąd wracać. Abby zgodziła się na ślub zbyt prędko, ale cóż, i tak spędzała z nim całe dni i noce, więc taka decyzja wydawała się oczywista. Nie minęło parę tygodni małżeńskiej idylli, a Ross wrócił do koncertowania. Tylko przez pierwsze dwa tygodnie pamiętał, żeby codziennie dzwonić. Choć Abby łatwo mogłaby dostosować się do trasy zespołu i przylatywać do niego, Ross stwierdził, że jest zbyt zajęty próbami, podróżami i wyczerpującymi koncertami. Ale ona już wiedziała, że znowu zaczął brać. Słyszała to w jego głosie: najpierw alkoholowe mamrotanie, a potem kokainowa euforia. Wreszcie przestał odbierać jej telefony, mogła sobie porozmawiać tylko z automatyczną sekretarką. Była tak bardzo zażenowana swoją naiwnością, że przez długie tygodnie, które zamieniły się w miesiące, próbowała udawać, że wszystko gra, po prostu Ross źle znosi rozłąkę. Wtedy w mediach zaczęły pojawiać się zdjęcia męża z innymi kobietami, aż wreszcie skontaktował się z nią jego prawnik i przekazał papiery rozwodowe. Ross ani razu nawet nie zadzwonił. Kiedy spotkała się z przyjaciółkami na ślubie Nikki, wszyscy już wiedzieli o rozpadzie jej małżeństwa i litowali się nad nią. Wymknęła się więc z przyjęcia, a z samego

rana wyjechała z miasta. Punktem zwrotnym okazała się noc, cudowna noc pełna seksu w ramionach nieznajomego. Zupełnie przez przypadek. Kiedy Cameron zostawił ją w barze i poszedł zameldować się w pokoju, wcale nie myślała o tym, żeby spędzić z nim noc. Wstała od stolika i poszła do windy, by udać się do swojego pokoju. Ale kiedy ją zobaczył i uznał, że ona na niego czeka, miał takie słodkie i seksowne spojrzenie... Po prostu nogi się pod nią ugięły. Gdy ją objął, zrozumiała, jak bardzo pragnie być kochaną, pieszczoną. I straciła resztki zdrowego rozsądku. Wtedy cieszyła się z tej nocy. Przekonała się, że to jeszcze nie koniec świata i nawet po rozwodzie będzie w stanie znaleźć szczęście. Miała zamiar wrócić do pracy, unikać flirtów z pasażerami i lizać rany zadane przez potrzaskane marzenia o miłości. Potem chciała zacząć wszystko od nowa. Po rozwodzie i rekonwalescencji odnalazłaby pięknego nieznajomego i być może poznała go lepiej. Ale nadszedł chłodny październik. Rozwód się przeciągał. A Abby siedziała właśnie w gabinecie lekarza i łzy płynęły jej po policzkach.

– Nie rozumiem, jak to się stało. Przecież od zawsze biorę pigułki... Doktor Pollock wziął ją za rękę i powiedział:

– Brała pani antybiotyki w związku z infekcją ucha, co spowodowało, że pigułki antykoncepcyjne przestały działać. Lekarz nie uprzedził pani, kiedy przepisywał antybiotyki?

– No, może uprzedzał... – Pociągnęła nosem. Kto tam pamięta, co mówił. Musiała wziąć coś na piekielnie bolące ucho, bo przecież miała loty, trzy dni służby. Poszła więc do ambulatorium. Nawet jeśli ktoś wspomniał coś o konflikcie antybiotyków z pigułkami, puściła to – nomen omen – mimo uszu, skoro i tak żyła w celibacie. Mąż odszedł, a jego prawnicy co tydzień wydzwaniali w sprawie rozwodu. Potem, gdy smutna i samotna siedziała w barze, zobaczył ją przystojny lekarz, postawił jej dwa koktajle z szampanem, zaprowadził na górę i uprawiał z nią niesamowity, niezapomniany seks. Zupełnie obca osoba. Zapłodnił ją nieznajomy.

– Dobry Boże – szepnęła. – Co ja teraz zrobię?

– Ma pani kilka możliwości – powiedział doktor Pollock – jednak decyzję o kontynuowaniu ciąży należy podjąć jak najszybciej. Im dłużej będzie pani zwlekała, tym więcej pojawi się komplikacji. Przeszło jej przez myśl, żeby skontaktować się z Cameronem Michaelsem. Nikki dzwoniła z pytaniem, czy go zna, bo, jak się okazało, Cameron zjawił się w biurze Joego i szukał kobiety, której opis do niej pasował. Abby udała głupią, bo przecież nie zamierzała powiedzieć nawet najbliższemu przyjaciółkom o tym, co się wydarzyło.

– Rany – odparła. – Rzeczywiście wpadłam na takich dwóch fajnych facetów w barze, ale nie kojarzę tego nazwiska. Teraz już było za późno. Gdyby się spotkali, od razu wiedziałby, że jest ojcem jej dziecka, a wtedy byłiby na siebie skazani. A co, jeśli doszłoby do wniosku, że nie chce budować z nim związku? Nie mogła tak ryzykować. To, że tamtej nocy sprawdził się doskonale, o niczym jeszcze nie świadczy. Nawet Ross przez pewien czas wydawał się ideałem. Potem jej życie zamieniło się w horror. Rozwód, kamery, głodni najpaskudniejszych szczegółów paparazzi. Ross był wymarzoną pożywką dla kanibali z brukowców. No i jeszcze ta intercyza. Prawnik Rossa co miesiąc przysyłał jej należną kwotę, czyli dziesięć tysięcy dolarów, za wierność Abby w czasie trwania małżeństwa. Kiedy podpisywała umowę, ten zapis wydał jej się nawet zabawny. W zamian za przyrzeczenie całkowitej wierności w małżeństwie, w przypadku rozwodu Ross miał wypłacać jej co miesiąc wspomnianą kwotę aż do dnia, w którym Abby ponownie wyjdzie za mąż. Bogacze musieli wprowadzać takie zapisy, żeby „tymczasowe” żony nie odchodziły z milionami w kieszeni. Abby nie spodziewała się, że też będzie „tymczasowa”. Kiedy jej ciąża stanie się widoczna, Ross albo jego prawnicze sępy dowiodą, że uprawiała seks z innym mężczyzną przynajmniej na miesiąc przed ostatecznym orzeczeniem o rozwodzie. Rezygnacja z alimentów jej nie przerażała, ale rachunki, które zostawił po sobie Ross, i owszem. Nie miała zamiaru go oszukiwać na alimentach, ale należności, które musiała uregulować, opiewające na ponad czterdzieści tysięcy dolarów, to były jego długi, nie jej. Dziecko... Mogła je urodzić, musiała jednak ukryć ciążę, i tak wszystko rozegrać, by nie można było ustalić prawdziwej daty poczęcia. Abby wyjechała z Grants Pass, wróciła do Los Angeles, zadzwoniła do prawnika i w ciągu dwóch tygodni podpisała papiery rozwodowe. Będzie wolna dopiero za miesiąc. Wiedziała, że kompetentny lekarz z pomocą USG z dużą dokładnością potrafi ustalić datę porodu. Gdyby dotarło to do Rossa, sprawa trafiłaby do sądu, co wiąże się z następnymi kosztami. Abby nie była gwiazdą rocka i milionerką, tylko zwyczajną stewardesą, która wydawała na życie lwią część swoich zarobków. Miała pewne oszczędności, akurat starczyłoby na honorarium dla prawnika. Musi się więc gdzieś zaszyć. Nie może nawet wrócić do rodzinnego Seattle i tam przeczekać. Podjęła decyzję. Urodzi, ale nikt się o tym nie dowie, dopóki dziecko nie będzie miało przynajmniej kilku miesięcy.

Kiedy Paul Haggerty postanowił stworzyć w Virgin River filię rodzinnej firmy mającej siedzibę w Grants Pass, matka miała tylko jedno życzenie, a mianowicie by raz w miesiącu odwiedzał ją z wnukami. Jak na razie jedynym dzieckiem był mały Mattie, syn Vanessy z pierwszego małżeństwa, ale Marianne Haggerty pokochała go jak rodzzonego wnuczka. Dla Vanessy wypady do rodziny Paula były cudownym wytchnieniem. Pilnowała, żeby przy

okazji wyjazdu Mattie spędził też chociaż popołudnie z prawdziwymi dziadkami, Carol i Lance'em Rutledge'ami. Odwiedzin, które wypadły w weekend na początku listopada, Matt nie znosił zbyt dobrze. Właśnie ząbkował, do tego miał biegunkę i był przeziębiony. Kiedy w sobotę rano usłyszeli, że okropnie kaszle, Vanni postanowiła wezwać pogotowie, jednak Paul uznał, że małego powinien obejrzeć znany i godny zaufania lekarz. Gdy tylko tak pomyślał, spontanicznie wybrał numer Camerona.

– Cześć, mówi Paul Haggerty. Strasznie cię przepraszam, że dzwonię do domu i zawracam ci głowę, ale jesteśmy w mieście z wizytą u moich rodziców i mały się rozchorował. Ma gorączkę, biegunkę i okropnie kaszle. Dyżurujesz może pod telefonem? Albo możesz kogoś polecić?

– Mam wolny dzień i nic ważnego na głowie. Przywieźcie dziecko do gabinetu. Zobaczymy, co mu dolega – odparł Cameron. – Będę za pół godziny.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem wdzięczny. Vanni wychodzi z siebie. Cholera, nawet ja się denerwuję. Cameron na nich czekał, kiedy się zjawili. Vanni była kłębkiem nerwów.

– No już. – Objął ją ramieniem. – Spróbuj się uspokoić. Być może to nic wielkiego, najpierw musimy sprawdzić, co się dzieje. Jak tam, mały? – Wziął od niej Mattiego. – Ależ urosłeś!

– Cameron, nie wiem, jak ci dziękować – powiedziała Vanessa. – Było znośnie, dopóki nie zaczął kasłać. – Jak na zawołanie Mattie zakaszał chrapliwie, cały się czerwieniąc z wysiłku. Cameron położył malca na stole i najpierw go osłuchał. Zmierzył temperaturę, zajrzał do uszu i do gardła i zbadał tłuste ciało.

– Nadal karmisz go piersią? – zapytał.

– Rano, w porze popołudniowej drzemki i przed snem.

– Okej, zrobimy tak, choć może protestować. Myślę, że to jest krup, a przynajmniej zapalenie oskrzeli. Ciało ma właściwy kolor, Matt nie ma kłopotów z oddychaniem, ale zdradza go ten paskudny kaszel. Trzeba zrobić prześwietlenie. Zadzwoń, bo nie chcę, żeby siedział w pomieszczeniu pełnym chorych ludzi albo zaraził wszystkich, którzy przyszli ze zwicznęną kostką. Dostanie antybiotyki, podam trochę tlenu. Na gorączkę porządną dawkę paracetamolu dla dzieci. No i płyn nawadniający. Żadnego mleka ani z piersi, ani w proszku, zero soków i jedzenia. Antybiotyki same z siebie mogą wywołać biegunkę, a ponieważ już ją ma, to nie chcemy, żeby było gorzej. Kiedy wrócicie do domu, wejdźcie pod gorący prysznic, ale naprawdę gorący, żeby buchała para. Matt musi rozluźnić mięśnie klatki piersiowej. Powtarzajcie to tak często, jak się da.

– Dobrze.

– Obserwujcie, co się będzie działo. Jeśli będzie miał problemy z oddychaniem albo jeżeli skóra nabierze niebieskawego odcienia, zadzwońcie do mnie i natychmiast jedźcie na pogotowie. Dam wam numer komórki, choć myślę, że będzie dobrze. Vanni, pamiętaj, dużo czystych płynów. Paracetamol co cztery godziny. Wiesz, co robić przy wysokiej gorączce?

– Chłodna kąpiel?

– Ani zimna, ani ciepła, tylko letnia. I nie za długo. Zanurzyć, owinać ręcznikiem i wysuszyć skórę. Ma trzydzieści osiem i sześć, to jeszcze nic strasznego jak na ten wiek. Jeśli wzrośnie do trzydziestu dziewięciu, natychmiast dzwońcie. Paracetamol powinien zbić gorączkę. – Podał lekarstwo, a potem tlen. W ramionach doświadczonego pediatry Matt w końcu trochę się uspokoił. – Kiedy planujecie wrócić do Virgin River?

– Chcieliśmy wyjechać jutro po południu – odparł Paul.

– Wolałbym, żebyście zostali, aż się upewnimy, że Matt wraca do zdrowia. Lepiej, żeby nic mu się nie stało po drodze. Kilka godzin leżenia na plecach na tylnym siedzeniu samochodu na pewno zaostrzy przebieg choroby. Krup atakuje nocą, więc liczcie się z brakiem snu. Możecie zostać do wtorku?

– Zrobimy, co tylko powiesz – oświadczył Paul, obejmując Vanni.

– No dobrze, o ile nie będziecie musieli go przywieźć wcześniej, pozwólcie, że obejrzę go we wtorek rano. Jeśli w płucach będzie okej, będziecie mogli wyjechać. Jak wrócicie do Virgin River, niech go obejrzy Dok Mullins. Wyleczył pewnie setki krupów. Paul i Vanni spojrzeli po sobie, po czym Paul powiedział:

– Jezu, Cameron, nic nie wiesz. Niby skąd... Dok Mullins zmarł przed miesiącem.

– Mój Boże... Co się stało?

– Znalazła go Mel. Leżał twarzą do ziemi w laboratorium. Próbowwała go reanimować, ale bez powodzenia. Emma, córka Mel, leżała obok niego, jak gdyby trzymał ją, kiedy dostał zawału.

– Jezu. To straszne. A jak Emma?

– Na szczęście dobrze.

– Jak sobie radzicie?

– Średnio. Mel stara się, jak może. Jej kuzynka, Shelby, która zamieszkała na pewien czas w mieście, pomaga jej przy dzieciach, pacjentach i w robocie papierkowej. Doktorzy Stone i Hudson z Grace Valley przyjmują tych, których Mel nie zdoła obsłużyć. Mel ciężko to przeżyła, byli z Dokiem bardzo związani. A już to przeglądanie jego rzeczy... Wiesz, szpargały i dokumenty gromadzone ponad czterdzieści lat. Jest przepracowana i zdruzgotana, a Emma nawet nie skończyła pół roczku.

– Przynajmniej ma Shelby – wtrąciła Vanessa. – Tyle że ona kiedyś wyjedzie, wspominała, że kończą jej się wakacje, myśli o studiach. Cameron, przepraszam, że nie pomyśleliśmy, żeby do ciebie przedzwonić.

– Cóż, słabo go znałem. Spotkałem się z nim tylko raz, pogadaliśmy z godzinkę. Zrobił na mnie wielkie wrażenie. Od razu się wiedziało, że to znakomity lekarz. Cholera, to wielka strata dla Virgin River. – Matt zasnął w jego ramionach, oddychał równo, a dzięki tlenowi znacznie mniej kasłał. – Przykro mi.

– Mel dała ogłoszenie, że poszukujemy lekarza, ale kto by chciał przyjechać do takiej miejsciny? Nie mam pojęcia, ile płacą, wiem tylko, że Mel i Jack dostają od wielu pacjentów zapłatę w naturze, wino, mięso i tak dalej.

– Brzmi nieźle. – Cameron zachichotał. – Serio. To na pewno lepsze niż użeranie się z firmami ubezpieczeniowymi. Paul też się roześmiał.

– W Virgin River to najlepsza ekonomia, bo niewielu płaci zdrowotne. Cameron osłuchał Mattiego, po czym powiedział:

– Trochę lepiej. Złóżcie ode mnie kondolencje Mel. Dok był zrzęda, ale na pewno miał złote serce. A co tam u was? – spytał z uśmiechem.

– Dobrze – odparł Paul. – Budujemy się w Virgin River. – Pocałował żonę w skroń. – Vanni, mam nadzieję, sądzi, że nie pomyliła się co do mnie. Uśmiechnęła się do niego.

– Nadal mieszkamy z ojcem, ale dom będzie gotowy przed świętami. Tata przekazał nam część swojej ziemi, więc będziemy mieszkali blisko niego, ale nie za blisko.

– Czyli znakomicie.

– Myślimy o drugim dziecku – dodała.

– Słusznie. Nie warto z tym zanadto zwlekać, to oczywiste.

– Paige zeszłego lata urodziła córeczkę, a Brie ma termin na Gwiazdkę.

– Całe przedszkole – podsumował rozbawiony Cameron.

- Słyszałam, że Virgin River to płodne miejsce – wesoło skomentowała Vanni.
- Chodzisz na ryby? – zapytał Paul.
- Od dawna nie robiłem nic innego poza pracą – odpowiedział Cameron.
- No to przyjedź do nas, powędkujemy – zaproponował Paul. – Zrób sobie parę dni wolnego. Zabiorę cię na łososie i jesiotry.
- Super. Dużo wędkujesz?
- Za mało. Mam mnóstwo pracy na budowach, ale jak przyjedziesz, znajdę parę wolnych ranków albo wyślę z tobą Jacka. Wykorzysta każdą wymówkę, byle wyrwać się nad rzekę.
- Pomyślę o tym. – Odłączył dziecku tlen. – Vanesso, więc jeszcze raz: tylko czyste płyny, nieważne, jak bardzo będzie marudził. Jeśli nie pokonamy biegunki i choroby górnych dróg oddechowych, to nam się odwodni. I dużo pary.
- Okej. – Odebrała synka. – Ile jesteście ci winni?
- Daj spokój... No dobra, dzień nad rzeką.
- Umowa stoi. – Paul z uśmiechem wyciągnął rękę. – Dzięki, stary. Bardzo nam pomogłeś.
- Cieszę się, że do mnie zadzwoniliście.

Cameron Michaels nie uprzedził nikogo o swojej wizycie w Virgin River. Miał akurat wolne trzy dni i po prostu ruszył w drogę. Najpierw pojechał do przychodni, gdzie zastał Mel przy komputerze.

- Cześć – powiedział.
- Cześć. – Wstała zza biurka. – Co cię tu sprowadza?
- Nie wiem, czy Paul i Vanni wspominali, ale niedawno dowiedziałem się o Doku. Mam wolne, więc pomyślałem sobie, że złożę kondolencje osobiście.
- Dzięki. Bardzo za nim tęsknimy.
- Jak poszukiwania nowego lekarza? – zapytał.
- Zero ofert, ale dopiero zaczęliśmy szukać. Choć to niełatwa sprawa. Hope od wielu lat próbowała znaleźć kogoś Dokowi do pomocy, ale bez powodzenia. Mówiąc szczerze, gdyby nie wyjątkowe okoliczności, też bym nie brała Virgin River pod uwagę.

– A... jeśli mogę spytać... jakie okoliczności?

– Coś się zdarzyło w moim życiu. Kawy?

– Chętnie – odparł z uśmiechem. – Usiądź, zaraz wracam.

Shelby w kuchni sortowała dokumenty, a dzieci spały, jedno w kojcu, drugie w przenośnym łóżeczku. Mel nalała kawę i zawołała ją. Usiedli w gabinecie Doka, żeby nie obudzić maluchów. Po dokonaniu prezentacji powiedziała:

– Shelby już do znudzenia zna całą tę historię. Pracowałam w szpitalu w Los Angeles, a kiedy poznałam Jacka, byłam wdową. Mój mąż był lekarzem w pogotowiu. Gdy zginął, mieliśmy za sobą wiele lat wspólnej pracy. Chciałam zacząć wszystko od nowa, z daleka od Los Angeles. Znalazłam adres przychodni w Virgin River i wysłałam CV. Przyjechałam zupełnie w ciemno.

– I okazało się, że jest idealnie? – wszedł jej w słowo Cameron.

– Przeciwnie. Miałam błędne wyobrażenie o tym mieście. Płaca okazała się mizerna, budynek, który stał się moim domem, miał tylko jedną zaletę, a mianowicie mieszkałam w nim za darmo. Po prostu rudera. Ale kiedy odwróciłam się na pięcie, by stąd uciec, przed drzwiami przychodni zobaczyłam porzucone dziecko. Zostałam więc na jakiś czas. I szybko się przywiązałam do tych ludzi, do tej okolicy. I zakochałam się w Jacku. Wrosłam w Virgin River, tu jest moje miejsce, jestem tutejsza. Służba zdrowia działa tu zupełnie inaczej niż w wielkim mieście, jakbyś opiekował się rodziną. Ci ludzie to moi przyjaciele. No i jeśli Jack chce tu mieszkać, to ja też.

– Więcej szczegółów? Albo może najkrócej scharakteryzuj pracę wiejskiego lekarza.

– Najważniejsze to pomysłowość i elastyczność, młody człowieku – odparła ze śmiechem. – Najczęściej jesteś zdany tylko na siebie, choć oczywiście w cięższych przypadkach współpracujemy ze szpitalami. Przydałby się pediatra, co, Shelby?

– Ja cię kręcę, jak mówi Mel. To miasto dzieci.

– Wątpię, żebyśmy znaleźli nowego lekarza, a to spędza mi sen z powiek. Nie chcę być jedynym kołem ratunkowym tych ludzi, w razie gdyby stało się coś poważnego, choćby, odpukać, groźny wypadek na szosie – powiedziała Mel. – Albo na polowaniu. Ale tutaj lekarz się nie dorobi. Wielu pacjentów zamiast gotówką płaci tym, co wyhodują na farmie albo winem. Więcej jedzenia, niż zdołam zjeść, mniej gotówki, niżby się przydało. Napisałam do hrabstwa wniosek o dofinansowanie ubezpieczenia od błędów lekarskich. Przynajmniej



na razie hrabstwo płaci moją składkę, bo nawet urzędnicy rozumieją, jakie to ważne, gdy w takim miejscu mieszka i pracuje dyplomowana położna. Dok, nie uwierzysz, nie miał żadnego ubezpieczenia. Nigdy nikt go nie pozwał, nigdy nikomu nie musiał płacić. Wychodził z założenia, że jeśli ktoś się na niego wnerwi i wysadzi go z siodła, to trudno. – Wzruszyła ramionami. – Mam nadzieję, że jeśli znajdzie się kandydat, hrabstwo podejmie odpowiednie kroki. Nawiązałam kontakt ze szkołami medycznymi i zaoferowałam miejsce dla młodego lekarza rodzinnego, który miałby ochotę przenieść się na wieś. Mogłoby odbyć staż pod okiem Johna Stone’a albo June Hudson, więc jeśli znasz kogoś...

– Możliwe – odparł. – Popytam.

– Nie wiem, co zrobię, kiedy odejdzie Shelby. Gdy Cameron spojrział na nią, powiedziała:

– Pracuję tu tymczasowo. Przez kilka lat opiekowałam się matką chorą na stwardnienie zanikowe boczne, a tymczasem, zanim pójdę na studia, mieszkam u wuja Walta.

– Walta Bootha? – zapytał Cameron.

– Mhm. Jestem kuzynką Vanni.

– Z Bodega Bay, prawda? No tak, słyszałem twoje nazwisko. Wspomniała o tobie Vanessa albo Paul.

– Serio? Znasz ich?

– Owszem. Mili ludzie – odparł krótko.

– Mogłabym dłużej pomagać Mel, ale rozesłałam papiery do szkół pielęgniarstwa. Opiekując się matką, wiele się nauczyłam, więc to naturalna decyzja. Choć wiem, że nie będzie łatwo. Mam bardzo długą przerwę w nauce, nigdy też nie pracowałam na etacie.

– Ale te twoje dłonie to czyste złoto – powiedziała Mel, łapiąc Shelby za rękę.

– Powodzenia – rzucił Cameron. – Jak sobie radzisz z pacjentami, Mel?

– Wielu odsyłam do Grace Valley, poza tym June lub John wpadają tu na kilka godzin i przyjmują pacjentów.

– To wspaniałe miejsce do życia – stwierdził.

– Tak, piękne, ale żeby żyć, trzeba na to życie zarobić. Co cię sprowadza poza kondolencjami?

– Podczas wizyty w Grants Pass zachorował synek Vanni. Paul zaproponował mi dzień nad rzeką w ramach zapłaty za moje usługi. Sęk w tym, że nie uprzedziłem ich o przyjeździe. Pomyślałem, że najpierw wpadnę do ciebie.

– Słyszałam o krupie Mattiego – powiedziała Mel.

– Na szczęście antybiotyki pomogły. Jest szansa na obchód po przychodni?

– Jasne. To bardzo funkcjonalny kącik – odparła z dumą Mel. – Proszę tędy, panie doktorze. – Otworzyła lodówkę i pokazała, że krwi i osocza mają tyle co jedzenia. Bardzo go to rozbawiło. Shelby wróciła do papierów, a Mel oprowadziła Camerona po gabinecie i pokoju zabiegowym. W dawnym biurze Doka w kącie stały pudła. – Jego rzeczy osobiste – wyjaśniła Mel. – Książki i zapiski wysyłam do biblioteki jego uczelni. Chodź na górę. – Pokazała jedyną salę szpitalną w mieście, przestronną łazienkę i dawną sypialnię Doka, pustą i świeżo odmalowaną. – Jego meble miały prawie tyle samo lat co on. Oddałam je, zamierzam kupić nowe. Jeśli nie znajdziemy lekarza, przynajmniej będę miała się gdzie przespać, kiedy trzeba będzie odebrać poród.

– Słusznie. Jak ci się udaje wiązać koniec z końcem?

– Och, nie jest tak źle. Jack ma wojskową emeryturę, a bar, choć to żadne kokosy, jednak przynosi pewne zyski. Poza tym mam oszczędności, rezerwę na bankowym procencie. Nie pracuję już na etacie, bo dzięki hojności Doka zostałam właścicielką przychodni. Dostałam ją za darmo i bez żadnych obciążeń. Nieubezpieczeni pacjenci zwykle pokrywają koszty laboratorium, rentgena i leków, a od czasu do czasu trafia się parę dolarów. Za niektórych płaci opieka socjalna. Miejscowi potrafią się odwdzińczyć i starają się, jak mogą. W kartkach świątecznych często znajdujemy pieniądze. Najważniejsze, że nie tracimy. Sprzęt też jest opłacony. Kiedy Jack otworzył bar, Dok mógł w nim jadać za darmo. Jack już taki jest. Jak strażacy gasili las, jak była policja, strażnicy leśni, ktokolwiek, to Jack zawsze wydawał im posiłki za darmo. Zastępca szeryfa i jego chłopcy też czasem wpadają na gratisowy obiad. Odwiedza nas funkcjonariusz drogówki. Jack i Proboszcz służą każdemu, kto służy miastu. Cameron ze śmiechem pokręcił głową.

– Jakim sposobem stać was na to?

– To dziwna gospodarka, ale jednak działa – odparła rozbawiona Mel. – Kiedy pacjenci płacą w naturze, wszystko wędruje do kuchni Proboszcza. Zresztą ludzie przynoszą nam produkty nie tylko wtedy, gdy są chorzy. Cały czas się dzielą. Nie wiem, może traktują to jako zaliczkę. Parę kilo jabłek, trochę owoców leśnych, torba pomidorów, fasolka, drób... Proboszcz piecze to wszystko, robi słoiki, mrozi. Zdarza się nawet pół cielaka albo zapas śmietanki. Jack ma wszystko, czego mu trzeba. – Nagle spoważniała. – Kiedy

przyjechałam tu po raz pierwszy, Jack był dla mnie zwykłym właścicielem knajpy, ale szybko zorientowałam się, że jest kimś więcej. Potrafi wszystko po trochu, a to zreperować samochód, a to zrobić coś w domu. Zawsze, zanim pojedzie na zakupy, wypyta najpierw babcie i młode matki, czy czegoś im nie trzeba. A kiedy akurat mam poród, Jack nie śpi całą noc i czuwa, żeby niczego mi nie zabrakło. Nie znoszę, kiedy poluje, ale kiedy już zapoluje, mamy najlepszą sarninę na świecie. Większość ryb, które dostaniesz w barze, Jack i Proboszcz, a może nawet Mike, złapali osobiście. – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, życie tu jest proste. Virgin River chyba bardziej przypomina komunę niż miasto. Ale Jack... Zapytaj kogokolwiek, Jack jest jej sercem.

– Założę się, że gdybym zapytał, usłyszałbym, że to ty nim jesteś – powiedział z uśmiechem.

– Staram się. Kobiety to moja specjalność.

– Szybko zakochałaś się w tym miejscu.

– Opłacało się. Odchodząc ze szpitala w Los Angeles, dostałam czek na ładną sumkę. Dobrze mi się tam pracowało, ale to strasznie drogie miasto, więc pieniądze z odprawy na długo by nie wystarczyły. Nie oczekuję więcej od przychodni, byle zapewniła skromne, godne życie. No i tutaj czuję się bardziej spełniona zawodowo. Ci ludzie naprawdę mnie potrzebują. Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

– Znalazłaś swoje miejsce – powiedział w końcu.

– Owszem. I mam tu wszystko... z wyjątkiem lekarza – dodała z uśmiechem.

– Naprawdę go potrzebujemy. To małe miasteczko, ale leży w pewnej izolacji od większych ośrodków i wymaga stałej opieki medycznej.

– Zaczynam ci zazdrościć.

– I wiesz, wcale ci się nie dziwię. Tu jest zupełnie inne życie.

– Wyobrażam sobie. Słuchaj, powinienem już jechać do Boothów. Daj im znać, że jestem. Zjesz dzisiaj kolację w barze?

– Będę o piątej. Wpadnę na godzinę. Akurat polują na ptaki wodne, więc Jack siedzi do późna i muszę kłaść dzieci do łóżka.

– To do piątej – rzucił Cameron. – Raz jeszcze przykro mi z powodu twojej straty.

– Dzięki. Był upierdliwy, ale tęsknię za nim jak diabli.

Cameron pojechał do domu Boothów, ale nikogo w nim nie zastał. Zajrzał do stajni, a potem ruszył na budowę, gdzie panował rozgardiasz. Po desce wszedł przez główne wejście i zobaczył Paula, który stał pośrodku wielkiego pomieszczenia. Wsparł dłonie na biodrach i rozglądał się po prawie skończonym pokoju.

– Cześć – powiedział Cameron.

– Cam! – Paul się odwrócił. – Co tu robisz?

– Miałem wolne. Przyjechałem złożyć kondolencje Mel. Wiem, że się nie zapowiedziałem, więc zwalniam cię z obietnicy wypadu na ryby. Paul wyciągnął rękę.

– Przestań. Znajdę dla ciebie ranek.

– Poważnie, nie przejmuj się, mamy dość czasu. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

– Jasne, stary. Co ci leży na sercu?

– Zamierzam podjąć szaloną decyzję, dopiero wtedy, gdy zyskasz absolutną pewność, że nie ma to nic wspólnego z Vanessą.

Dzieci drzemały w przychodni, Shelby siedziała przy barze i sączyła wodę sodową, a Mel przycupnęła na schodkach. Bruce przyniósł pocztę.

– Jakies próbki dla szpitala Valley? – zapytał Mel.

– Nie – odparła, przeglądając koperty.

– Super. To wcześniej skończę. Miłego dnia.

Mel wstała, poprawiła sweter i weszła do budynku. Wprawdzie słońce mocno świeciło, jednak było przejmująco zimno. Znalazła list od Camerona Michaela i otworzyła go. Pomyślała, że przysłał list z kondolencjami albo podziękowania, bo był facetem z klasą. Wyjęła z koperty plik zszytych kartek. Na górze, kursywą, widniało: Curriculum Vitae Camerona Michaela, doktora medycyny, specjalisty w zakresie medycyny rodzinnej, pediatrii. Zamarła. Przeczytała jego referencje. Miał wiele lat doświadczenia, był wymarzoną kandydatem na stanowisko lekarza w Virgin River. Ledwie otrząsnęła się z szoku, a już wykręcała numer biura Camerona w Grants Pass. Kiedy odebrał, wypaliła prosto z mostu:

– Czyś ty zgłupiał?

- Być może – odparł ze śmiechem. – By się upewnić, czy faktycznie jestem przy zdrowych zmysłach, daję sobie maksimum rok, choć z pewnością już po kilku miesiącach będę wiedział, czy to jest to. W ten sposób nie zostaniesz na lodzie. Zrezygnowałem z prowadzenia gabinetu.
- Przecież masz tam dom, znajomych...
- Nienawidzę mojego domu, już wystawiłem go na sprzedaż. Nawet jeśli tu wrócę, znajdę coś zupełnie innego.
- A przyjaciele? Rodzina? No wiesz, ktoś wyjątkowy... Nie ma w twoim życiu żadnej kobiety?
- Mel, nic mnie tu nie trzyma. No i mogę przywieźć własne meble.
- Rozmawialiśmy o płacy...
- To nie jest moje główne zmartwienie. Będę mieszkał w przychodni, jadał w barze. I wiem, że pensja będzie uczciwa.
- Jasny gwint. To się dzieje naprawdę?
- Mel, zrozum, potrzebuję odmiany. Przynajmniej na jakiś czas, o ile nie na stałe. Jeśli według ciebie posiadam odpowiednie kwalifikacje, to widzimy się po świętach. Zaniemówiła. W końcu wydusiła:
- Ho, ho, ho. Odpowiedział jej wybuch śmiechu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zimny, wietrzny listopad na jedną sobotę przybrał wiosenną aurę. Był to idealny dzień dla Luke'a na pracę na świeżym powietrzu wokół domków. Albo na coś innego. Wciągnął skórzane ochraniacze na spodnie, narzucił starą, znoszoną skórzaną kurtkę na sweter i dopilnował, żeby Art miał co robić przez cały dzień. Shelby powinna mieć dziś wolne. Było jeszcze wcześniej, kiedy na harleyu zajechał pod dom generała. Podszedł do drzwi z kaskiem w ręku. Otworzyła mu Shelby. Była ubrana w dżinsy i sweter, na bosaka, nieuczesana.

- Masz ochotę dla odmiany przejechać się na moim rumaku? – zapytał. – Akurat dzisiaj jest ciepło.
- Na tym? – spytała, zerkając na harleya.
- Tylko ty i ja. Co powiesz?
- To bezpieczne? – Uśmiechnęła się lekko.

- Będę jechał ostrożnie. - Podał jej kask. - Tylko włóż kurtkę, coś na szyję, grube buty i rękawice. No i mogłabyś związać włosy.
  - Jasne. Zaczekaj w domu, nim będę gotowa. Gdy wszedł do środka, rozejrzył się ciekawie. Był pod wrażeniem. Generał zrobił kawał dobrej roboty, wyszykował sobie świetną rezydencję na emeryckie lata. Luke usłyszał marudzenie dziecka, jakieś domowe odgłosy. Podeszedł do wielkiego okna, z którego rozciągał się widok na posiadłość. Zobaczył konie w zagrodzie, a nieco dalej dom, który Paul szykował dla swojej rodziny. Jak zwykle na budowie panował bałagan, ale widać było, że prace zbliżają się ku końcowi. Na niewielkim wzniesieniu w pobliżu stajni dostrzegł coś, co wyglądało jak nagrobek.
  - Dzień dobry, Luke. Odwrócił się i zobaczył Vanesę opierającą niemowlę na biodrze.
  - Cześć. Niedługo przeprowadzka, prawda? - wskazał głową za okno.
  - Mamy nadzieję, że skończymy przed świętami. Powinieneś przyjrzeć się z bliska. Paul to geniusz.
  - Tak zrobię.
  - A jak twój dom?
  - Lepiej, niż sądziłem. Zabieram Shelby na przejażdżkę harleyem. Generał nie będzie miał nic przeciwko, prawda?
  - Hej, jest już dużą dziewczynką!
  - Gotowa - oznajmiła Shelby, wchodząc do pokoju. Włożyła jasnobrazową zamszową kurtkę z frędzlami po wewnętrznej stronie rękawów. - Nie będzie mi w tym za zimno, co?
  - W porządku. - Wyglądała diabelnie ładnie. - A frędzle zatrzepocą na wietrze - dodał z uśmiechem. Shelby spojrzała na Vanesę.
  - Nie wiem, kiedy wrócę. Mam nadzieję, że nie będę potrzebna.
  - Idź, idź, ciężko pracowałaś. Baw się dobrze. Uważaj, żebyś nie spadła.
- Raczej: żebyś nie wpadła, pomyślał Luke, uśmiechając się pod nosem. Schowała warkocz pod kask i usiadła za Lukiem. Pojechali w stronę autostrady, potem przez sekwojowy las, gdzie nagle zrobiło się zimno, następnie skalistymi wzgórzami w pełnym słońcu dotarli na pagórki, gdzie pasły się owce. Jazda na motorze upajała Luke'a, ostry wiatr odświeżał go i napełniał energią. Podobał mu się dotyk drobnych ramion Shelby oplecionych wokół niego. Czasem opierała głowę na jego plecach, kiedy

jechali polami, mijając winnice, zimą leżące odłogiem, i sady ogołocone z owoców. Wzgórza ubrane były w brązy, ale z nadejściem wiosny zakwitną zielenią. Kiedy zrobi się cieplej, zabierze ją na wybrzeże i przewiezie skalistymi cyplami nad samym oceanem. Tylko czy Shelby nadal tu będzie wiosną? I czy on będzie tutaj? Mieli za sobą godzinną przejażdżkę, kiedy Luke zaczął wspinać się motorem gruntową drogą wijącą się wokół niewielkiego wzniesienia, na którym pasły się krowy. Na szczycie zatrzymał się, zsiadł z motoru i postawił harleya na stopce. Zdjęli kaski, po czym Luke usiadł na motorze i zapatrzył się na Shelby. Policzki miała zaróżowione od jazdy. Gdy zobaczył błysk w jej wzroku, przyciągnął ją do siebie, pocałował. Poddała mu się bez wahania. Ostatnio, poza kilkoma skradzionymi pocałunkami przed barem Jacka, brakowało im takich okazji. Od śmierci Doka Shelby non stop była zajęta.

– Jak ci się podoba mój harley? – zapytał.

– Super.

– Lubisz ostrą jazdę?

– Zawsze byłam ostrożna – odparła ze śmiechem – ale jest okej.

– Staralem się, żeby nie było za szybko – powiedział zachrypniętym głosem. Przesunął dłoń po jej plecach, gładząc warkocz. Znowu pocałował ją żarliwie. Wsunęła dłonie pod jego kurtkę, gorąco oddając pocałunek. Nie odrywając od niej ust, wciągnął ją na kolana. Tak bardzo jej pragnął. – Shelby – szepnął. – Musimy porozmawiać.

– Jasne. – Uśmiechnęła się. – Czekam na to. Na rozmowę.

– Słuchaj, ja nie żartuję. Nie angażuj się w związek ze mną. Nigdy nie można było na mnie polegać, jeśli chodzi o kobiety. Bywa, że nie panuję nad sobą. Boże, naprawdę nie chcę cię zranić.

– Luke, czy znowu próbujesz mnie wystraszyć?

– Tak. I ostrzec cię. Bądź rozsądna, Shelby. Jesteś młoda, słodka, a ja... no cóż, nieodpowiedzialny, napalony drań. Popelnisz błąd, zadając się ze mną.

– Ależ Luke, ja już się z tobą zadaję. Tak samo jak ty ze mną.

– Jestem w Virgin tylko tymczasowo. Nie będę tu mieszkał.

– Ja też nie. O to chodzi?

– Nie jestem dla ciebie dobrą partią. – Westchnął ciężko. – Zmieniam kobiety jak rękawiczki.

- Sypiasz teraz z kimś? Od tak dawna nie był z kobietą, że z trudem potrafił sobie przypomnieć ostatni raz. Już sama tego świadomość sprawiła, że poczuł, jak mocno wciąż go uwodzicielski urok Shelby.
- Myślę tylko o jednej. Mój umysł jest jak pocisk. Jeśli nie zejdziesz mi z drogi, mogę zrobić coś, za co mnie znienawidzisz. A potem twój wuj Walt mnie zastrzeli. Zachichotała.
- Zawsze ostrzegasz swoje kobiety, żeby się z tobą nie zadawały, zanim je pożresz?
- Nigdy. Bo tak bym żadnej nie miał. Ale z tobą jest inaczej. Ty musisz się zakochać, czuję to. A ja się nie zakochuję. Nie wiąże się, nie zapuszczam korzeni.
- Wiesz co, Luke? – powiedziała z uśmiechem. – Chyba bardziej przejmujesz się tym, że możesz się we mnie zakochać, niż tym, że stanie się na odwrót.
- No widzisz, nie powinnaś tak myśleć...
- Chyba, tak powiedziałam. Nie oczekuję tego od ciebie.
- Nie?
- Zamierzam podróżować, a potem studiować. Ty naprawisz swoje domki, potem je sprzedasz. Wyraziłeś się jasno. Ostrzegałeś mnie setki razy. A teraz ja ostrzegam ciebie.
- Masz ochotę na przelotny romans? Z kimś takim jak ja? Takim dziadkiem? Gdy się roześmiała, miał ochotę nią potrząsnąć.
- Luke, jesteś taki stary, że tylko patrzeć, a już nie będziesz musiał nikogo przed sobą ostrzegać – rzuciła kpiąco, a gdy przyciągnął ją mocniej i żarliwie spojrzał w oczy, dodała: – Pomyłka. Jeszcze nie jesteś całkiem stary. – Pocałowała go.
- Traktujesz to zbyt lekko. Mam kiepską kartotekę. Byłem z wieloma kobietami, z żadną na dłużej.
- To straszne, Luke. Wiem, jaki niebezpieczny z ciebie typ – odparła z komiczną powagą. – Ale jakoś nie mam ochoty zniechęcić się do ciebie. Lubię, jak mnie całujesz. – Poruszyła biodrami. – A to...? Mmm. O tym nie wiem, co sądzić. Znów ją pocałował. I znowu objęła go mocno. Smakowała tak cudownie, że niemal stracił zmysły. Przy całej tej gadce o kobietach, ile ich miał i że nigdy przy żadnej nie wytrwał, nie umiał sobie przypomnieć, żeby z którąś czuł coś takiego. Owszem, niektóre podniecały go jak diabli, ale to, co czuł przy Shelby, było tak intensywne, że tracił rozum. Po prostu



odlatywał. Trzymała go mocno, mruzczała słodko, pieszczotami sprawiała, że przechodziły go dreszcze. Po jej nieśmiałości nie pozostał nawet ślad.

– Cholera, Shelby – mruknął. – Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

– Ostrzegałeś i ostrzegałeś, i ostrzegałeś... – Zachichotała.

– Powinnaś znaleźć sobie poważnego faceta, który będzie o ciebie dbał i tak dalej. A nie kogoś takiego jak ja.

– Może kiedyś. Teraz mam do ciebie tylko jedną prośbę: żadnych innych kobiet. Niczego więcej nie chcę. Nie mam ochoty dołączać do haremu. Możesz mi to obiecać?

– Nie muszę, bo tak jest. Jesteś jedyną kobietą, jakiej pragnę. I to naprawdę mocno, do diabła.

– Całkiem niezła nowina. – Delikatnie przesunęła palcami po jego zarośniętej twarzy.

– Lepiej się zastanów.

– O niczym innym nie myślę. Wiesz o tym.

– No dobrze. – Splótł z nią dłonie. – Posłuchaj, masz dwie opcje. Wybierz mądrze. Albo odwożę cię do domu, albo jedziemy do mnie. Bo albo musimy z tym skończyć tu i teraz, albo wreszcie mieć to za sobą. Pocałowała go, po czym szepnęła:

– Więc miejmy już to za sobą.

Luke zatrzymał się przed domem. Gdy zdjęli kaski, pocałował Shelby, wziął w ramiona, zaniósł do środka, od razu do sypialni. Działał jak w transie. Myślał jedynie o tym, że wkrótce zostanie uleczony. Kiedy już ją posiadzie, pozbędzie się szaleństwa. Lecz mimo desperacji, obiecał sobie, że rozegra to jak należy, powoli, delikatnie, nie jak napalony dzikus... którym w istocie był. Ma być słodko, nieśpiesznie, tak bardzo, że Shelby zemdleje z rozkoszy. Wtedy, i tylko wtedy, będzie wyleczony. Posadził ją delikatnie na łóżku. Zdjął swoją i jej kurtkę, rozpiął ochraniacze i zszuł buty. Klęknął przed Shelby, pomógł jej pozbyć się butów i zdjął jej sweter przez głowę, całując przy tym jej piersi i szyję. Trzęsła się, więc wziął ją w ramiona, upominając samego siebie, żeby się nie śpieszyć. Musiała być pewna, że nic jej nie grozi. Pozbawił ją stanika, a potem ożywił jej sutki językiem. Delikatnie pchnął ją na łóżko, po czym rozpiął jej spodnie i zsunął szarpnięciem. I oto miał przed sobą niewiarygodnie piękną i nagą kobietę, osłoniętą jedynie maleńkim

skrawkiem przezroczystego materiału wokół bioder. Błyskawicznie pozbył się swojego ubrania i został w samych bokserkach. Nachylił się nad Shelby i zasypał ją pocałunkami, układając się na niej, łącząc spragnione ciała w dotyku.

– Masz jakieś dziesięć sekund, żeby zmienić zdanie – powiedział, patrząc jej w oczy. Ona jednak tylko się uśmiechnęła. – Na pewno? – zapytał, nie wiedząc, jak by się zachował, gdyby jednak starała się go powstrzymać. Czy zdołałby okiełznać swoją dziką naturę?

– Masz prezerwatywę? – zapytała.

– Oczywiście.

– No to na pewno. Pozbył się bokserek i wyjął prezerwatywę z szafki nocnej. Przemknęło mu przez myśl, że nie wie, po co je tam trzyma, skoro nie sprowadza kobiet do domu. Nigdy nie lubił, kiedy przychodziły do jego gniazda. Lecz Shelby tu była i uważał to za całkiem naturalne.

W rekordowym czasie wciągnął gumkę, dalej jednak zachowywał się z umiarem, narzucając sobie powolne tempo. Zdjął z Shelby majteczki, przesunął dłonią po jej brzuchu, po wzgórku, pieścił ją tak, by narastała w niej rozkosz. Gdy tak się stało, jego palce nabierały śmiałości, wsuwały się coraz głębiej. Wreszcie Shelby jęknęła i napała na jego dłoń, podejmując erotyczną pogoń za spełnieniem. Była wilgotna, gotowa. I on też był gotów. Tylko spokojnie, upomniał się. Myśl o niej. Delikatnie połączył się z Shelby, po chwili wsunął się głębiej. Podniosła biodra, lecz mimo to napotkał opór. Pchnął mocniej, nadal jednak ostrożnie, lecz wciąż to samo. Czyżby jednak nie była gotowa? Spojrzał jej w oczy.

– Kochanie, boli? Jesteś strasznie ciasna.

– Nie szkodzi – szepnęła. Właśnie że szkodzi. Próbował mocniej ją pobudzić, czuł jednak, że Shelby naprawdę jest gotowa. Lecz coś było nie tak, dlatego się wzbraniał. Przecież to powinno jakby samo się rozegrać, nic na siłę.

– W porządku, Luke. Zrób to.

– Coś jest nie tak, Shelby.

– Wszystko w porządku. To mój pierwszy raz – wyszeptała. Cofnął się instynktownie.

– Ale to niemożliwe. – Był i zdumiony, i oszołomiony. – Przecież masz dwadzieścia pięć lat! Tylko skinęła głową, przymykając powieki. Z jej oczu spłynęły krople łez. Poczł ból w sercu. Jak to możliwe, że kobieta tak piękna i seksowna nadal jest dziewicą? Scałował jej łzy.

- Shelby, tak nie może być.
- Jest dobrze – szepnęła. – Już czas. Chcę, żebyś to był ty.
- Boże, nie rozumiesz? Już płaczesz przeze mnie, a jeszcze nic nie zrobiłem.
- Luke, ja naprawdę jestem gotowa. – Wsunęła między nich dłoń, śmiało dotknęła Luke'a. – Lata na to czekałam. Proszę, nie każ mi czekać dłużej. Kiedy się dowiedział, że jest nietknięta, zwolnił, tak naprawdę nie był w stanie zdobyć się na cokolwiek. Ale pragnął jej jak szalony. Potem wszystko sobie wyjaśnia, a teraz musi zadbać, żeby poszło jak należy, pamiętając, że Shelby jest niewinna.
- W porządku, kochanie. – Pocałował ją. – Zrobię to, jak trzeba. Żeby było ci dobrze. Zaufaj mi, dobrze?
- Dobrze, Luke.

Nie był ekspertem od dziewic, wiedział jednak, że Shelby powinna maksymalnie się rozluźnić, by ból był mniejszy. Dlatego wzmógł pieszczoty, jego dłonie i usta wyczyniały cuda. Shelby była słodka i odurzająca, a przy tym coraz bardziej śmiała, coraz pewniejsza swej kobiecości. Gdy usta Luke'a dotarły do jej najbardziej intymnego miejsca, zareagowała gwałtownie, pożądliwie, aż wreszcie krzyknęła spazmatycznie, porwana przez orgazm. Ścisnęła Luke'a kolanami, a jej wyzwolenie zdało się trwać w nieskończoność. On zaś całował ją namiętnie, aż wreszcie opadła bez sił. Będzie musiała dojść do siebie, ale Luke wiedział, że jest na właściwej drodze.

- Lepiej? – spytał szeptem.
- Daj mi resztę... daj.
- Powoli, kochanie. Nie trzeba się śpieszyć.

Podarował jej kilka pocałunków, zanim jego palce znów powędrowały w dół. Zaskoczyło go to, że jego cel uległ całkowitej odmianie. Początkowo nie mógł się doczekać, żeby uwolnić się od niezaspokojonego pragnienia, ale teraz pragnął sprawić, by pamiętała tę chwilę, by było jej dobrze, zwłaszcza że to jej pierwszy raz. Znów zaczął ją pieścić, wywoływał w niej gwałtowne, miłosne reakcje, by całkowicie przemieniła się z nieświadomej swego ciała dziewczyny w pełną gotowości na największe przeżycia kobiety. A potem wszedł w nią delikatnie, powoli, zarazem jednak zawłaszczająco. Opór był słabszy, Shelby cudownie gotowa. Jednak Luke wciąż się kontrolował, by Shelby przywykła do tego, że jest w niej, a potem... Zobaczył, jak jej twarz rozjaśnia szeroki uśmiech zadowolenia.

- Powinnaś była mi powiedzieć – mruknął.
- Uciekłybyś, gdzie pieprz rośnie.
- Lepiej bym się przygotował.
- Jest dobrze, Luke. Chce poznać wszystko. Pokaż mi. Zaczął się poruszać, wchodził głęboko, nieśpiesznie, patrząc na słodko uśmiechniętą Shelby. Położył dłonie na jej biodrach.
- Kochanie, przesuń się odrobinę. Razem poszukajmy, jak będzie najlepiej, dopasujmy się do siebie. Zrozumiała, w czym rzecz, i nagle stało się inaczej, już nie tak słodko, bezpiecznie, ale za to jeszcze cudowniej. Odrzuciła głowę i szepnęła:
  - O Boże, o Boże...
  - Tak, Shelby, właśnie o to chodzi. – Dopasował tempo do jej ruchów. – Kochanie, już wiesz, na czym to polega.
  - Tak, Luke, tak...
  - Boli?
  - Nie... Mocniej, Luke, mocniej! Nabierali tempa, gdzieś znikła delikatność, zastąpiona przez dziką żądzę. Wykrzykiwali swoje imiona, spleceni w miłosnym tańcu, ich ciała nabrały niezwykłej mocy, połączone, napierające na siebie. Wreszcie Shelby zaalała potężna fala. To był wszechogarniający żywioł, który uniósł ją w najtajniejszą krainę kochanków. Z furją natarła na Luke'a i ścisnęła go nogami. Zaślepiła ją rozkosz, z omdlewającą zachłannością przyjmowała kolejne spazmy orgazmu. Usłyszał, że Luke coś krzyknął, i poczuła, jak rozlewa się w niej jego ciepło. Choć był to jej pierwszy raz, wiedziała, że przeżyła coś absolutnie wyjątkowego. I on to samo czuł. Nigdy dotąd nie spotkało go nic podobnego. Wtuleni w siebie, powoli wracali do rzeczywistości. Zniknęło napięcie, Luke poczuł fizyczną ulgę, ale nie był do końca zaspokojony. Chciał zostać przy Shelby. Wiedział, że znalazł się tam, gdzie jeszcze nikt nie był. Nie umiał sobie wyobrazić słodsze miejsce. To, co zwykle robił, by udowodnić, że wie, jak należy traktować kobietę i przed, i w trakcie seksu, i potem, teraz robił nie z wyrachowania, nie dlatego, że tak należy, ale z potrzeby serca. Tak działo się po raz pierwszy w jego życiu, strasznie dotąd pustym, jak wreszcie zrozumiał. Nie potrafił oderwać się od Shelby. Tulenie jej, całowanie, dotykanie było dobre i właściwe. Nie wyobrażał sobie, by mieli rozłączyć się, rozstać. Wtedy by utracił wszystko, co ma jakkolwiek wartość. Gdy Shelby westchnęła, zrozumiał, że zbyt długo na niej leży i zaczyna jej ciążyć. Niechętnie wysunął

się z niej, położył na boku i wsparty na ręce patrzył na Shelby, bawiąc się jej włosami.

– Jak to się miało do twoich oczekiwań? – spytał.

– O rany... – Roześmiała się. – Teraz już wiem, o czym mówiły dziewczyny. Było lepiej, niż sobie wyobrażałam.

– Okej, powiedzmy, że ci wierzę, że nigdy nie uprawiałaś seksu, ale nie przekonasz mnie, że nigdy nie przeżyłaś orgazmu. Chłopcy, gdy tylko dojrzeją...

– Hm, no tak... Ale tego nie da się porównać. Wow. Jego usta odnalazły jej szyję, ramię, ucho.

– Musisz mi pomóc zrozumieć.

– To nie jest ciekawe, Luke. Zresztą domyślasz się. To przez mamę. Zachorowała, kiedy miałam osiemnaście lat. Zawsze byłam przy niej. – Wzruszyła ramionami. – Trochę wychodziłam z przyjaciółmi, ale właściwie nie spotykałam się z chłopakami. Owszem, umówiłam się kilka razy na randki, ale było nudno, nijako. A przez ostatnie dwa lata pomagałam mamie dotrzeć do końca. Późno się rozkręcam, co? Spojrzał na nią i pokręcił głową.

– Nie wiem, jak to możliwe. – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Czy wszyscy w Bodega Bay to ślepcy? Straciłem rozum, jak tylko cię zobaczyłem. Powinni dobijać się do ciebie drzwiami i...

– To dla mnie nowy świat, Luke. – Poglądziła go po twarzy. – Ten powiew wolności, swobodny wiatr, który nie zna granic. – Uśmiechnęła się. – To, że wreszcie mogę myśleć tylko o sobie, marzyć, planować. I flirtować z mężczyzną... Niebezpiecznym mężczyzną. – Uśmiech zniknął. – Gdybym nadal musiała się zamartwiać, jak czuje się mama, coś takiego nie mogłoby się zdarzyć.

– Shelby, dla mnie to też coś nowego. Nie planowałem, że tak to się potoczy.

– Czyżby? Byłam pewna, że tak zareagujesz, więc nie wspominałam ci o tym aż do ostatniej chwili.

– To nie w moim stylu. Istnieje setka powodów, dla których nie powinienem leżeć z tobą w łóżku nasycony miłością. – Pocałował jej skroń. – Sto jeden, skoro jesteś dziewicą.

– Byłam. Nikomu na to nie pozwoliłam, wszelkie zapędy tłumiałam w zarodku, jeśli już ktoś zdradzał takie intencje, a ty... – Pokręciła głową.

– Co ja?

– Cóż, niewiele wiem o facetach, ale byłam pewna, że seksowny z ciebie łobuz. – Uśmiechnęła się. – I że matka natura zadbała o to, by kobiecie było z tobą dobrze, lepiej, niż z większością innych facetów. Luke, naprawdę jesteś niesamowity. Zawsze słyszałam, że pierwszy raz to mała atrakcja. A tu proszę, było rewelacyjnie.

– Gdybym wiedział, pewnie bym się wycofał.

– Cóż to byłaby za strata. Wszystko poszło super.

– Tak, super. Cholera, nigdy wcześniej tego nie robiłem.

– Czego?

– Mam trzydzieści osiem lat, a ty jesteś moją pierwszą dziewczyną. Dlaczego płakałaś?

– Bo to takie żenujące. Mieć tyle lat i...

– Och, kochanie. – Ucałował jej przymknięte oczy. – To było słodkie. Słodsze niż wszystko inne.

Położył się na plecach i spojrzał w sufit. Jego umysł wypełniły szalone myśli, przede wszystkim taka, że nie potrafił sobie wyobrazić z nią innego mężczyzny. Nigdy wcześniej nie miał tak zaborczych myśli. Nie wiedział, czy sprawiła to sama Shelby, czy to, że nikogo przed nim nie miała.

– Będę z tobą szczery – powiedział. – Jestem wstrząśnięty.

– Zauważyłam – odparła ze śmiechem.

– Mówię poważnie, Shelby. Znów cię pragnę. Nie wychodźmy z łóżka. Przewróciła się na brzuch i wsparła łokciami.

– Kiedyś będę musiała wrócić do domu, bo wreszcie zaczną mnie szukać.

– Zastrzele każdego, kto dotknie tych drzwi. Nie ruszaj się stąd. Zaraz wracam. – Zsunął się z łóżka i poszedł do łazienki pozbyć się prezerwatywy. Kiedy wrócił, Shelby po raz pierwszy zobaczyła nagiego mężczyznę w całej okazałości. Uśmiechnęła się. Był piękny. Poczuli się niesamowicie, uświadomiwszy sobie, że zbliżyli się do siebie cudowny, pałający pożądaniem facet. Wyciągnął się obok niej i przysunął ją do siebie.

– Jak się czujesz? Tam, na dole?

– Pełna.

– Jest trochę krwi.

- Normalka. Nie ma się czym przejmować.
- Boli? Pokręciła przecząco głową, czując zarazem, że Luke nie skłamał, gdy powiedział: „Znów cię pragnę”.
- Wypuścisz mnie stąd? – zapytała z rozbawieniem. Pocałował ją i szepnął:
- Nieprędko. Ale obiecuję, nie pożałujesz.

Luke odwiózł ją do domu pikapem. Kiedy zatrzymał się przed domem generała, nachyliła się do niego, a on musnął palcami jej twarz, a potem pocałował. Wiedział, że wszyscy domyślą się prawdy. Shelby została naznaczona jego miłością. Policzki płonęły, wargi były spuchnięte i czerwone od pocałunków. A on? Wystarczyło spojrzeć w jego oczy, by wiedzieć, że jeszcze nigdy nie kochał się tak namiętnie.

- Lepiej pochowaj broń i ostre przedmioty – szepnął.
- Przesadzasz. Jestem dorosła.
- Kiedy się znowu zobaczymy?
- Wkrótce.
- Spędziłbym z tobą cały miesiąc. W pozycji horyzontalnej. Roześmiała się.
- Luke, ależ ty jesteś romantyczny – mruknęła rozbawiona, cmoknęła go w usta i wysiadła.

Szczęśliwie nikogo nie zauważyła, bo nie chciała trafić w sam środek kolacji w towarzystwie Vanni, Paula i wuja generała. W kuchni nic się nie działo. Pomyślała, że pewnie wszyscy pojechali do Jacka. Poszła do swojego pokoju, zdjęła kurtkę i buty i padła na łóżko. Rozmarzonym wzrokiem wpatrywała się w sufit. Dziesięć minut później do jej pokoju zajrzała zaspana Vanessa.

- Tak mi się wydawało, że kogoś słyszałam – powiedziała.
- Myślałam, że nikogo nie ma.
- Mhm. – Vanni ziewnęła. – Matt ucina sobie wyjątkowo długą drzemkę, a ja razem z nim. – Potarła oczy. – Oho... Stało się.
- I raz, i drugi, i trzeci – ze śmiechem potwierdziła Shelby. Vanni przysiadła na łóżku.
- Witaj w klubie. Jak się czujesz?

- Jakbym całe popołudnie uprawiała seks i dopiero odkryła, jaką naprawdę Bozia mnie stworzyła. Muszę wziąć długą kąpiel.
- Było dobrze?
- Nie do opisania. Do tej pory nie czułam, że żyłam. Vanni, on był dla mnie taki dobry...
- Chyba się nie zakochujesz, co? Bo mam wrażenie, że Luke jest dość chłodny.
- No tak, strzelił mi wykład. Nie lubi się wiązać i tak dalej. - Roześmiała się.
- Nie przejmuję się tym.
- Och, kochanie, właśnie tego się bałam. Nie wiem, czy jesteś na to gotowa.
- A co, wolałabyś, żebym była dziewicą na wieki wieków amen? Przeboleję, jeśli Luke mnie rzuci, ale powiem ci, że nie zachowywał się jak facet, który zamierza złamać mi serce. Który w ogóle byłby do tego zdolny. A nawet jeśli, to i ty, i ja mamy za sobą dużo gorsze przeżycia.
- Racja. Rozumiem z tego, że dobrze cię potraktował.
- Tylko nikomu tego nie mów, bo to zrujnuje jego reputację, ale jest najśłodszy mężczyzną, jakiego znam. Nie do wiary, ale on się boi, że wuj Walt go zastrzeli!
- Gdy ledwie dorosłam, wszyscy chłopcy bali się ojca, i tak już zostało - skomentowała rozbawiona Vanni, przypominając sobie, że Paul też bał się generała.
- Gdzie wszyscy? - zapytała Shelby.
- Paul jeszcze nie wrócił z pracy, a gdzie jest tata, tylko Bóg raczy wiedzieć. Zrobię kolację. A ty co zamierzasz?
- Wezmę długą kąpiel. - Usiadła na łóżku. - A potem tam wracam.
- Już? - Nic na to nie poradzę, po prostu muszę. Z tobą i Paulem jest mi dobrze, ale chcę być z Lukiem. Myślisz, że wuj Walt będzie się gniewał?
- Nie martw się, pewnie w ogóle nie wróci do domu, najwcześniej rano. - Vanni pokręciła głową. - Ale musisz coś wiedzieć. Tata wzbudza respekt i tak dalej, ale w takich sytuacjach potrafi się zachować. Nic nie mówił, kiedy Paul przemykał się do mnie. Idź, jeśli chcesz. Ja się zajmę resztą.
- Dzięki, Vanni.



Musiała wrócić. Nie dla seksu, bo na razie miała dość. Chciała wiedzieć, jak Luke ją przyjmie. Ucieszy się? A może już z nią skończył, przynajmniej na dzisiaj? Intrygował ją jego świat. Luke ostrzegł, żeby na niego nie liczyła, a potem potraktował jak królową. Nie obiecał, że ją pokocha, ale mówił czułe, pełne miłości słowa. Że jest piękna, że nigdy czegoś takiego nie przeżył, że nie chce jej wypuścić z rąk. Czyżby mówił jedno, a myślał co innego? Wymoczywszy się w wannie, zeszła na dół. Vanni stała przy kuchni, a Matt siedział w foteliku. Paul przy stole czytał gazetę, ale gdy zerknął na Shelby, najpierw uśmiechnął się jak zwykle na powitanie, lecz wyraz jego twarzy szybko się zmienił. Paul był zaskoczony, ale nie tylko. W jego oczach rozbłysło zrozumienie. Cóż, Shelby po prostu promieniała. Podeszła do stojaka z winem, wybrała butelkę i spojrzała na Vanni.

– Mogę? – spytała.

– Jasne.

– No to już mnie nie ma. Nie czekajcie na mnie.

– Shelby. – Paul wstał od stołu, podszedł bliżej i położył dłoń na jej ramieniu.

– Pamiętaj, że gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek, zawsze możesz do mnie zadzwonić. – Pocałował ją w czoło.

– Wow. Trudno tu coś utrzymać w tajemnicy.

– A czy ktoś coś powiedział? – spytał Paul. – Co prawda, nie musiał.

– Czy ktokolwiek ostrzegł Vanni, kiedy zakradałaś się nocą do jej łóżka? –

zapytała łagodnie. – Paul, on jest wspaniały, a ja nie jestem naiwna.

Rozumiem, jaki to człowiek. – Wzruszyła ramionami. – Ma w sobie to wszystko, czego teraz pragnę. Jest dla mnie bardzo dobry.

– Oby. Powiedz mu, że jakby co, to osobiście się z nim policzę.

– Chyba nie będę musiała mu tego mówić. – Pocałowała go w policzek. –

Lecę. Wreszcie mam faceta. – Może nie na długo, dodała w myśli. Ale dobrze jest, jak jest.

Okej, teraz mi głupio, pomyślał Luke. Odwiózł ją do domu około czwartej. Niechętnie, bardzo niechętnie. Nie był gotów wypuścić jej z rąk. Nie wyleczył się z niej, pragnął Shelby jeszcze bardziej niż przedtem. I nie chodziło tylko o cudowne ciało i wspaniały seks. Pragnął jej całej, uśmiechu, delikatności, tego, co mówiła, myślała i czuła. Sam siebie przekonywał, że nie powinien angażować się w związek z kobietą tak niewinną, a tu okazało się, że sam nie był gotów na tak wielką dawkę emocji. Za każdym razem, gdy przypominał

sobie, jak szeptała: „Pokaż mi, Luke. Chcę wiedzieć, co ci sprawia przyjemność”, ogarniało go wszechwładne pożądanie. Nie wybrał się do knajpy na piwo. Nie miał ochoty na towarzystwo, chyba że Shelby, więc lepiej mu było u siebie. Poszedł do domku Arta i pomógł mu przyrządzić kurczaka z kluskami i warzywami. Porozmawiali o planach na następny dzień, a potem Luke zaszył się w swoich czterech ścianach. Coś zjadł, wypił piwo, wziął prysznic, wciąż jednak buzowały w nim wspomnienia szalonych, cudownych chwil z Shelby. Nigdy wcześniej tak się nie czuł. Nigdy. W samych spodniach, bez koszuli i butów, usiadł na sofie w salonie naprzeciwko kominka, położył stopy na pufie i popijał piwo, rozmyślając o boskim ciele Shelby, jej pełnych ustach, o tym, jak się kochali. Ostrzegł ją, że złamie jej serce? Mówił, że nie potrafi się zakochać? Jezu, ale był głupi, sądząc, że nigdy nie znajdzie się taka kobieta, z którą pragnąłby się związać. Że zawsze tylko robi swoje i było miło, ale żegnaj. Usłyszał odgłos silnika, światła samochodu omiotły okna od frontu. Wstał, zbierając się w sobie. Był pewny, że przyjechał Walt, by rozprawić się z nim za Shelby. Usłyszał ciche pukanie do drzwi. Kiedy je otworzył, w progu stała ona. Miała plecak przewieszony przez ramię, a na ustach kuszący uśmiech.

– Jesteś – powiedziała.

– A gdzie myślałaś, że będę? – Chwycił ją w ramiona.

– Nie wiem. W barze? Na podrywie?

– Kochanie, tak mnie wymęczyłaś, że nie mam już siły na podryw. – Noga zamknęła drzwi.

– Chyba nie powinnam była wracać?

– A to czemu?

– Co za dużo, to niezdrowo. Wiesz, trochę mnie boli i takie tam... Pocałował ją delikatnie, po czym powiedział:

– Posiedzimy, pogadamy, przytulimy się. Na jakiś czas musisz dać sobie spokój, prawda? Przykro mi, że cię boli.

– Nic nie zawiniłeś, Luke. Byłeś ostrożny. Po prostu to coś nowego dla mnie. Ale mam ochotę pobyć jeszcze w twoich objęciach. – Z uśmiechem mocno wtuliła się w niego. I właśnie w tym momencie Luke uświadomił sobie, że zakochał się w Shelby.

– A twoja rodzina? Wiedzą, gdzie jesteś?

– Tak, powiedziałam im, że u ciebie. Na noc, jeśli będziesz chciał, żebym została. Odsunął ją od siebie, zmarszczył brwi.

- Powiedziałaś im?
- Mhm. Coś nie tak?
- Nie dbam o to, kto o nas się dowie, ale ty...?
- Nikomu nie musiałam mówić. Paulowi i Vanni wystarczyło jedno spojrzenie. Powiedzieli, żebym uważała. Wszyscy myślą, że jestem delikatniutka, a ty straszny drań. Nie jestem. – Uśmiechnęła się. – I ty też nie. – Zdjęła plecak i położyła go na blacie.
- Źle się zachowałem wobec ciebie, Shelby. Próbowałem cię odepchnąć, przestraszyć. Przepraszam. Pokręciła głową.
- To nie tak, Luke. Ja podjęłam decyzję. Nie zorientowałeś się? Zaczęło mu świtać.
- Kiedy konkretnie?
- Nie od razu. Musiałam cię trochę poznać, wyczuć, co i jak. No i jeszcze ten pas na narzędzia. – Zachichotała.
- Takie było moje zadanie, prawda?
- Owszem, Luke. To musiał być ktoś doświadczony, komu nie mogłabym się oprzeć.
- Czasami nie myślę. Potrafię być nieczuły. Nie dbam o uczucia. Nie bałaś się, że cię skrzywdzę?
- Ani przez chwilę, uwierz. Aha, przyniosłam wino.
- Należę ci. Ja muszę dokończyć piwo. – Powiesił kurtkę Shelby na krześle, a potem zaczął rozpinać jej koszulę. – Chodźmy do łóżka.
- Nie żartowałam, Luke. Przesadziłam. No widzisz, nie powinnam była przychodzić...
- Chcę cię poczuć przy sobie. Chcę cię dotykać. Nie zrobię nic takiego, co sprawi ci ból. – Pocałował ją. – To pewnie potrwa parę dni, a ja chcę być wtedy przy tobie.
- Nie będzie cię kusilo? Naga w łóżku?
- Nie... No, będzie, ale wytrzymam. Jesteś dla mnie ważna. Zadbam o ciebie.
- Pocałował jej piersi.
- Boże, Luke... Ty też mnie kusisz.

– Spokojnie, kochanie – powiedział z uśmiechem. – Wiem, co z tym zrobić. – Pokierował nią do sypialni. – Przyniosę wino.

Luke miał niesłychanie intensywny sen. Jego ciało drżało szalonym rytmem, bo kobieta we śnie bawiła się nim. Był blisko orgazmu, i to tak potężnego, że pewnie wszystko wokół by się zatrzęsło. Obudził go własny jęk... i nagle uświadomił sobie, że to wcale nie jest sen. Zobaczył włosy koloru miodu i wydyszał:

– Shelby! – Złapał ją za ramiona i pociągnął w górę. – Chodź tutaj. Co ty wyprawiasz?

– Bolało?

– Czy bolało? Słodki Jezu!

– Nigdy tego nie robiłam, więc nie byłam pewna...

– To czemu zrobiłaś to teraz?

– Wiesz, nigdy dotąd nie spałam obok faceta. Nie dawałeś mi zasnąć, bo wbijałeś się w plecy. – Uśmiechnęła się. – Ty się nie wahasz, kiedy zajmujesz się mną...

– Shelby, wiesz, do czego prawie doprowadziłaś? Poglądziła go po piersi, ugryzła w wargę.

– Luke, może i jestem niedoświadczona, ale głupia na pewno nie.

– Kochanie...

– Było źle? Powiedz mi co i jak.

– Źle? Prawie skończyłem we śnie!

– Czyli że było dobrze.

– Nie musisz tego robić. To wszystko jest dla ciebie nowe.

– Okazuje się, że dawać ci rozkosz jest tak samo fajnie, jak brać ją od ciebie.

– Pocałowała go. – Spokojnie. – Zsunęła się w dół, ustami musnęła Luke'a po brzuchu, aż zadrżał, a potem znów podjęła przerwane dzieło. W ciągu zaledwie jednego dnia jego życie zmieniło się nie do poznania. Nie zasługiwał na tę kobietę, tak szczerą i jasną, tak zupełnie pozbawioną egoizmu. I wtedy doszedł. I poczuł łzy w kącikach oczu. Shelby, słodka, piękna, dobra Shelby... Położyła się na nim.

– Widzę, że ci się spodobało.

- Boże... - Wciąż dochodził do siebie. - Umarłem i trafiłem do nieba.
- Aż tak?
- Nie tylko to. Wszystko. To wyjątkowy dzień.
- Wydawało mi się, że przeżyłeś mnóstwo takich dni.
- Nigdy, kochanie, nigdy. Boję się, że zaraz się obudzę. - Pocałował ją głęboko.
- W takim razie ja się zdrzemnę - odparła rozbawiona. - Luke, dziękuję ci - szepnęła po chwili. - Było wspaniale. Przytul mnie. Chcę zasnąć w twoich ramionach. Zrobił, jak prosiła, po chwili usłyszał jej równy oddech. Przesunął dłońią po jej plecach, ułożył się, by im obojgu było wygodnie. To najlepsze, co mi się do tej pory w życiu przytrafiło, pomyślał. Obym tego nie schrzanił.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wczesnym rankiem Walt poszedł do stajni, gdzie zastał Shelby, która czyściła boks. Bardzo się zdziwił na jej widok, po czym rzucił radośnie:

– Dzień dobry. Jak długo tu jesteś?

– Najwyżej pół godziny. Poranek taki piękny, więc postanowiłam zrobić coś pożytecznego. Potem wezmę prysznic i zjem śniadanie. Zmarszczył brwi.

– Shelby, tej nocy nie spędziłaś w domu.

– Mówisz o poranku, prawda? Bo w nocy ciebie też nie było.

– Shelby...

– Byłam z Lukiem. Żebyś się nie martwił, uprzedziłam o tym Vanni.

– Całą noc?

– Całą noc. – Z dumą uniosła brodę. Gdy generał milczał, łypiąc na nią spod gęstych brwi, oparła się na łopacie i śmiało spojrzała mu w oczy. – Chcesz mi o czymś powiedzieć?

– Przejdźmy się. Porozmawiamy.

– Nie, wujku. Mam robotę. Ale mogę ci poświęcić kilka minut, żebyś zrzucił, co ci leży na sercu.

– Nie wiem, od czego zacząć. – Raptem złagodniał. – Shelby, kochanie...

– Walt – zaczęła, celowo pomijając „wuja”. – Pozwól, że pomogę, bo tak będzie szybciej. Lubię go. Jest dla mnie bardzo miły. Nie zrobiłam niczego pochopnie, przemyślałam to. Nie wątpię, że jest dobrym człowiekiem. Wiem, że wygląda na niebezpiecznego twardziela, jak wielu w tym mieście, ale przy mnie jest inny, czuły, troskliwy. I bardzo się boi, jak zareagujesz.

– To nie tak, że go nie lubię, po prostu go nie znam. Tyle że znam takich jak Luke, bo nimi dowodziłem.

– Chcesz powiedzieć: takich jak ty i Luke. Żołnierzy, którzy są wysyłani na wojny, walczą w bitwach, nie pozwalają sobie na wyrzuty sumienia. – Przerwała na moment. – Możesz podziękować Vanni, bo już o tym rozmawialiśmy, o żołnierzach, ich szkoleniu, życiu, o tej irytującej, zuchwałej manierze, którą przyswaja się w wojsku. Ty też trochę taki jesteś, prawda, wuju? Ukrywasz czułość? Jesteś twardy i nieustępliwy, nie pozwalasz sobie na wyrzuty sumienia, kiedy zrobisz coś źle? – Podeszła bliżej. – Kiedy dorastałam, spędziłam z tobą mnóstwo czasu. Widziałam, jak rekruci trzęsą portkami, kiedy ich mijasz, ale z drugiej strony ciocię Peg

i Vanni zawsze traktowałeś jak najdroższy skarb. Luke, tak samo jak ty, ma w sobie łagodność.

– Obiecałem twojej matce, że będę cię strzegł...

– I tak jest, wujku. Na pewno czułbyś się lepiej, gdybym siedziała w domu i czekała, aż zjawi się jakiś świetnie ułożony absolwent dobrej uczelni i poprosi cię o pozwolenie zabrania mnie na przejażdżkę. – Uśmiechnęła się lekko. – Dzięki Bogu, nie tak to wygląda. Luke Riordan pociągał mnie od samego początku, i to z wzajemnością. Wuju Walcie, ostro się zaromansowałam. Wreszcie tak się stało. Długo na to czekałam i wybacz, ale nie czuję się winna, bo ty tak chcesz. Doceniam twoją troskę, ale to moje życie, moje decyzje, moje sprawy. Oho, pomyślał Walt, walcząc z chęcią cofnięcia się przed napierającą Shelby.

– Ale ja tylko... Kochanie, po prostu zależy mi na tym, żebyś była szczęśliwa... Nie chcę, żeby ktoś cię skrzywdził... Zrobiła kolejny krok i śmiało spojrzała mu w oczy.

– Myślałeś, że zachowam czystość do małżeństwa? – zapytała, unosząc brwi.

– Wiele można o mnie powiedzieć, ale chyba nie to, że jestem głupcem. Staroświeckim głupcem. – Zabrzmiało to, jakby się tłumaczył. – Ani to, że myślę nierealnie – dodał niepewnie. Roześmiała się z tego jego zagubienia, po czym powiedziała z powagą:

– Wcale nie jestem przekonana, że Luke mnie skrzywdzi, choć nie to jest najważniejsze. Nie wiem, czy to rozumiesz, ale cieszę się, że wreszcie mogłam się z kimś związać, rzucić się w szalony romans. – Spoważniała jeszcze bardziej. – Dlaczego wszyscy mają mnie za głupią, naiwną gąskę? Wydaje się wam, że tych pięć lat to była kaszka z mlekiem? Albo że było mi tak łatwo spędzić noc z upragnionym mężczyzną, gdy wiedziałam, że w domu nadopiekuńczy wuj już ładuje broń? Wiedz, że nawet jeśli Luke złamie mi serce, to i tak nie będzie to się mogło równać z tym, co przeżyłam przez ostatnich pięć lat. – Przymknęła na moment oczy. – Aż wreszcie zaczęłam nowe życie, poznaję coś nowego. Nie pozwolę, byś mnie tego pozbawił. Mam prawo!

– A twoje plany? – zapytał. – Podróż? Szkoła? Nowe życie?

– Głupio, że w ogóle pytasz – skwitowała. – Kobieta nie musi wybierać między związkiem a edukacją. Z niczego nie muszę rezygnować.

– Nie zamierzam cię niczego pozbawiać – powiedział po chwili, dotykając jej warkocza. – Nie uważam cię za głupią, przekonałem się też, że potrafisz być

twarda, ale muszę się upewnić, że wiesz, co robisz. Takie przygody czasem źle się kończą.

– I co z tego, wuju? Nie będę pierwsza. Vanni mówiła, że setki razy miała złamane serce.

– Które leczyła z pomocą matki, a ty masz tylko mnie.

– Nie jesteś taki zły. – Uśmiechnęła się lekko.

– Po prostu uważaj na siebie, okej? – Dotknął jej policzka. – Ciągłe zapominam, jak silną masz wolę. Luke pożałuje, że wdał się z tobą w ten...

– Romans – odpowiedziała. – Nie wierzę, że masz z tym taki problem. Walt, spotykam się z kimś, tak samo jak ty. Nie jest żonaty ani nie jest księdzem, nic z tych rzeczy. – Uniosła brwi. – Każdy w tej rodzinie kogoś ma, nawet Tom, który ledwie skończył osiemnaście lat. Nie chcę się wyróżniać.

– Ale się wyróżniasz – odparł z uśmiechem. – Jesteś lepsza.

– E tam. Chcę być normalna. To jak, będziesz grzeczny?

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Założyła ręce na piersi.

– Ależ wiesz, i to doskonale.

– Shelby, muszę mieć pewność, że wszystko z tobą w porządku Jesteś dorosła. Jeśli zdecydowałaś tak, a nie inaczej, to mam nadzieję, że wyjdzie ci to na zdrowie. – Pocałował ją w czoło. – Spędzisz dziś noc w domu?

– Mówiąc szczerze, to mam nadzieję, że nie. Dam ci znać.

Luke stał akurat na drabinie i zeszkrobywał farbę z domku numer trzy, kiedy samochód generała zatrzymał się przed jego domem. Spodziewał się tego, nie wiedział tylko, kiedy to nastąpi. Powoli zszedł z drabiny, włożył koszulę i szmatą przetarł spoconą twarz.

– Luke – powiedział generał, nie wyciągając ręki na powitanie.

– Sir.

– Od kilku dni moja siostrzenica wraca do domu nad ranem.

– Sir, nie jest pan uzbrojony, prawda?

– Wiem, gdzie była. Postąpiła na tyle rozważnie, by poinformować rodzinę, gdzie się udaje. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.



– Bardzo proszę, sir. – Luke miał nadzieję, że nie widać, jak bardzo jest zdenerwowany. Oczywiście nie bał się, że generał go zastrzeli. Chodziło o coś innego. Walt Booth mógł przekonać Shelby, że popełnia wielki błąd.

– Spędza z tobą każdą noc – powiedział Walt. – Przestała jeździć konno, a prawdziwy jeździec nigdy nie porzuca swojego wierzchowca, chyba że okoliczności są wyjątkowe. Co mam o tym myśleć? Luke umknął wzrokiem.

– Sir, muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie byłem tak skrępowany...

– Mówi, że dokuczają jej plecy.

– Więc pewnie taka jest prawda...

– Żebyśmy się zrozumieli. Owszem, Shelby bywa nieśmiała i niepewna siebie, ale dominującą cechą jej charakteru jest piekielny upór. Robi, co chce. Zawsze tak było. Kiedy już coś postanowi, to przesądzone. Wiele razy próbowałem ją przekonać, żeby nie rezygnowała z własnego życia, poświęcając się opiece nad matką. Midge mogła przecież pójść do domu opieki, przynajmniej pod koniec. Ale nic nie wskórałem, bo Shelby postanowiła inaczej. – Pokręcił głową. – To nie jest tak, że cię nie lubię, ale myślę, że wcale nie jest dobrze, że Shelby zadaje się z tobą.

– Sir, ja tego nie chciałem, ale jak pan słusznie zauważył, ona jest strasznie uparta.

– No właśnie, w tym rzecz. Nie mogę cię oskarżyć, że ją zmusiłeś i wykorzystałeś. Widziałem, że wpadłeś jej w oko i wzięła cię na celownik.

– Ma pan rację.

– Cóż, stało się. Shelby wyraziła się jasno: zamierza spędzić trochę czasu pod twoim dachem. A wtedy, Riordan, lepiej, żebyś okazał się dżentelmenem.

– Absolutnie, generale.

– Ciekawi mnie, jakie masz plany w związku z moją siostrzenicą.

– Z całym szacunkiem, sir, ale nie powinienem rozmawiać z panem o jakichkolwiek planach, dopóki nie omówię ich z Shelby. Nie chcę być niedelikatny, ale Shelby i ja dopiero co się...

– Wystarczy – powiedział generał, unosząc dłoń. – Wiem, co powiesz. Luke odetchnął głęboko.

– Chciałem powiedzieć, że dopiero się poznajemy. Sir, zapewne posunęliśmy się dalej, niżby chciał ojciec lub wuj takiej dziewczyny, ale musi pan wiedzieć, że traktuję Shelby z szacunkiem. Dbam, żeby była bezpieczna.

- Oby taka była prawda. Kocham tę dziewczynę. Jest wyjątkowa.
- Tak, proszę pana. Wyjątkowa.
- Wiesz, synu, nie jestem ignorantem, jeśli chodzi o związki. Mam dwoje dzieci, które przeszły niejedno. Moja córka jest młodą kobietą, a już zaznała wdowieństwa. Ten grób, pomyślał Luke. Musi wypytać o to Shelby. Był przekonany, że Paul jest pierwszym mężem Vanessy. – Rozumiem, że nie zawsze wszystko się układa – powiedział Walt. – Nie jestem naiwny i wiem, że czasem coś się nie ułoży jak należy. To, co jest między wami, albo przetrwa, albo nie. Czas pokaże. Ale jeśli ją skrzywdzisz... Wiesz, o czym mówię?
- Nie jestem pewien – odparł Luke, marszcząc brwi.
- Zrobisz jej coś złego, uderzysz, zdradzisz...
- Boże drogi! – gwałtownie przerwał mu Luke. – O czym pan, do diabła, mówi? Za kogo pan mnie ma?
- Cóż, nie znajduję podstaw, by cię o cokolwiek podejrzewać – Walt wzruszył ramionami – ale wierz mi, widziałem niejedno. Miałem pod sobą różnych ludzi. Mam nadzieję, że się rozumiemy.
- Oczywiście, że się rozumiemy! Żadnej kobiecie nie zrobiłbym czegoś takiego! Jezu!
- To dobrze. Bobym cię zabił.
- A ja musiałbym panu na to pozwolić! – rzucił rozzłoszczony Luke. – Gdybym okazał się takim draniem... Z całym szacunkiem, ale nie każdy generał jest wzorem cnót...
- Musiałem wyjaśnić parę spraw.
- Udało się panu. – Podrapał się po karku.
- Nie przyszedłem tutaj, by cię nakłaniać, żebyś przestał się widywać z moją siostrzenicą. Ponieważ jej matka niedawno zmarła, staram się opiekować Shelby, może trochę zbyt gorliwie jak na jej oczekiwania. Musisz jednak wiedzieć, że znam swoje granice.
- Ja też – zapewnił Luke.
- No to chyba wszystko jasne. – Ruszył do samochodu. Luke pomyślał, jak by się czuł, gdyby musiał oddać Shelby innemu.
- Sir! – Kiedy generał się odwrócił, Luke powiedział: – Skoro już sobie porozmawialiśmy i uznaliśmy, że dobro Shelby dla nas obu jest najważniejsze, musi pan czegoś się dowiedzieć. Shelby mogła trafić lepiej,

wiemy o tym. Nie skusiłem jej, przeciwnie, unikałem, zniechęcałem. Szczerze jej mówiłem, że nie jestem najlepszą partią i nie szukam stałego związku. Shelby nie miała z tym problemu. Odnoszę się do niej z szacunkiem, daję to wszystko, co mogę dać najlepszemu. I nie musi pan szykować na mnie kolta, bo moja matka pierwsza by mnie zabiła, gdyby się dowiedziała, że źle potraktowałem kobietę. Uderzyłem, złożyłem obietnice, a potem wykorzystałem i zdradziłem, takie rzeczy. A gdyby spudłowała, wyręczyliby ją bracia.

– To dobrze – powiedział generał, leciutko się uśmiechając. – Rodzina się przydaje.

– Może i jestem draniem, ale cywilizowanym draniem. – Luke wyciągnął rękę.  
– Chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Przynajmniej dla Shelby. Walt zawahał się, ale w końcu uściśnął wyciągniętą dłoń.

– Zachowuj się jak należy – powiedział.

– Tak jest, sir. Pan też.

Wieczorem, po całym dniu pracy w domkach letniskowych, Luke wrócił do domu, rozpałił w kominku i poszedł wziąć prysznic. Kiedy się wycierał, usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Owinął się w pasie ręcznikiem, wyszedł z łazienki i ujrzał Shelby.

– Wow! – Otaksowała go wzrokiem. – Co za wyczucie!

– Co tam masz? – Spojrzał na trzymaną przez nią torbę.

– Wstąpiłam do baru i wzięłam coś do jedzenia, żebyśmy nie musieli wychodzić. Jestem zmęczona. Mam placek, więc Art, jeśli miałby ochotę, mógłby zjeść z nami deser.

– Na pewno nie odmówi takiego przysmaku. Spojrzała niżej i roześmiała się.

– Luke, nawet nie zdążyłam zdjąć kurtki, a ty już zwarty i gotowy.

– No to zdejmij ją. Kolacja może poczekać? Odstawiła torbę na stół, zrzuciła kurtkę i podeszła do niego.

– To był długi, męczący dzień, same maluchy i schorowani dorośli. Dasz mi chwilę, żebym się odświeżyła? Musnął jej usta.

– Jasne. Wyminęła go i zrzucając z siebie ubranie, poszła do łazienki.

Luke zajrzał do torby z kolacją. Wyjął placek i wstawił go do lodówki, a potem włożył nos do torby i powąchał. Pachniało znakomicie, ale cóż,

każde danie Proboszcza było fantastyczne. Nakrył do stołu i otworzył dwa piwa. Usłyszał szum wody w wannie. Poszedł do łazienki, czując damskie kosmetyki. Kilka dni wcześniej Shelby przyniosła swoje szampony, balsamy i tak dalej. Powiedział, żeby je zostawiła. Nigdy wcześniej nie zaproponował tego kobiecie. Zwykle w takich sytuacjach czuł się jak usidlony, ale tym razem wrażenie było pozytywne, jak gdyby pragnął zatrzymać ją na dłużej, a pozostawione kosmetyki dawały gwarancję, że Shelby tak prędko nie ucieknie. Wszedł akurat w momencie, kiedy kładła się w wannie. Długie włosy miała spięte na czubku głowy. Mógłby przynieść piwo i porozmawiać z Shelby, gdy będzie się myła, lecz zaraz wpadł na lepszy pomysł. Zdjął ręcznik i wszedł do wanny.

– Ej, bo porozlewasz! – zaprotestowała rozbawiona Shelby.

– Za mała ta wanna – narzekał, bo kran wbijał mu się w plecy. Ułożył nogi przy biodrach Shelby, a jej nogi ułożył tak, by maksymalnie przysunąć ją do siebie.

– Luke, jesteś wariat! – krzyknęła ze śmiechem.

– Do tego niecierpliwy. – Pocałował jej szyję. – Ledwie mogę wytrzymać dzień bez ciebie.

– Jeszcze się nie odświeżyłam.

– Pomogę ci. – Wziął mydło i przesunął nim po ramionach Shelby, po plecach, piersiach, pod pachami. Bardzo mu się to spodobało. Na koniec spłukał pianę. – Chcę ci coś powiedzieć.

– Znowu pogadanka? Kolejne warunki?

– Nie. Zaraz po naszej pierwszej nocy pojechałem do przychodni w Eurece i zrobiłem sobie badania. Tak dla absolutnej pewności, bo wiedziałem, że jestem okej. Zależy mi, byś wiedziała, że mimo bujnej przeszłości jestem zdrowy.

– Aha. – Przywarła do niego. – To miło.

– Chcę, żebyś była zupełnie bezpieczna, skoro przede mną nikt...

– Dzięki.

– Odebrałem już wyniki. Teraz, w wannie, nie mam prezerwatywy. A to druga sprawa...

– Biorę pigułki.

– Nie mówiłaś.

- Wybacz, myślałam raczej o sobie.
- To dobrze, Shelby... – Urwał na moment. – Aha, jeszcze jedno. Twój wuj był u mnie.
- Słucham? Nie powinien był... Co powiedział?
- Że wie, gdzie spędzasz noce. I że nie podoba mu się, że przestałaś jeździć konno.
- O Jezu...
- Uwierz, to była najgorsza chwila w moim życiu.
- Przykro mi, Luke. Też jestem zła. Porozmawiam z nim...
- Nie ma takiej potrzeby. Dogadaliśmy się.
- Jak?
- No cóż, nie kajałem się przed panem generałem, nie tłumaczyłem się z tego, co dzieje się między nami, a on zagroził mi poważnymi konsekwencjami, gdybym zrobił ci coś złego, do czegokolwiek zmusił lub uderzył. Wtedy stwierdziłem, że jestem cywilizowanym człowiekiem. No i na koniec podaliśmy sobie ręce.
- Boże... Już sobie porozmawialiśmy z wujem. Nalegał, bym była ostrożna, a ja odparłam, że nie uda mu się mnie zniechęcić. Obiecał się nie wtrącać, a w każdym razie miał być... – uśmiechnęła się lekko – grzecznym generałem.
- Rany, postawiłaś mu się? Broniłaś mnie?
- Dziwi cię to? Że potrafię się postawić? Boże, dlaczego wszyscy mają mnie za idiotkę!
- Daj spokój, to nie tak. Walt chciał się upewnić, że jesteś ze mną bezpieczna.
- Powiedziałaś mu prawdę? Że nie jestem? Że jesteś niebezpieczny, okrutny i bezwzględny w stosunku do kobiet? – zapytała z rozbawieniem, kłując jego usta.
- Nikt nie musi wiedzieć, prawda? Że byłem pierwszym, który...
- Czemu? – Odchyliła się do tyłu. – Dlaczego ma to być tajemnica?
- Wolałbym, żeby był nasza, twój i mój, sekret. Bo to takie wyjątkowe. – Uśmiechnął się. – Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem... A już trochę przeżyłem.

- Ja też nie.
- Nigdy nie byłem z kimś takim jak ty. Jesteś niesamowita. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Bawisz się mną. Ja nigdy tak nie postępuję.
- Widzisz? Próbowałam cię ostrzec. Może to ja powinnam była wygłosić ci pogadankę.
- Fakt, nie przewidziałem tego. General dopytywał, jakie mam plany wobec ciebie. Odpowiedziałem, że najpierw muszę porozmawiać z tobą.
- Luke, nie powinieneś kłamać...
- Nie skłamałem. W tej chwili mam taki plan: kochać się z tobą, aż będziesz błagała o litość.
- Oj, ale to na dziś. Za dwa tygodnie znudzisz się mną. Pamiętaj, że ty się nie angażujesz. Przesunął dłonią po jej piersiach i dalej w dół, pod wodę.
- Jak tam?
- W porządku.
- Nie boli? Kuracja działa?
- Tak, panie doktorze. Nie wiedziałam, że potrafię funkcjonować przy tak małej ilości snu, ale nawet mi się to podoba. - Roześmiała się. - Bardziej niż sądziłam. No i nigdy bym nie pomyślała, że codziennie będę wracała po jeszcze. Ale jestem, co?
- Jesteś, jesteś, i taka bądź. Zniosę to. - Pomasażował ją delikatnie.
- Mmm... - zamruczała.
  
- Mmm - mruknął Luke, kiedy zdyszana i zaspokojona Shelby zauważyła, że trzeba będzie wytrzeć podłogę w łazience.
- Co ludzie powiedzą? - spytała z uśmiechem. - Dumny pilot śmigłowca, wzór męstwa i męskości, tapla się w kąpieli z bąbelkami.
- Więc lepiej im nie mów, bo inaczej spotka cię kara.
- Kara... To może być ciekawe. - Zachichotała. - Nigdy nie wiadomo, co wymyślisz. Późną nocą, po kolacji i upojnym relaksie przed kominkiem, Luke leżał w łóżku, podpierając głowę ręką, i wpatrywał się w śpiącą Shelby. Leżała skulona, odwrócona do niego plecami. Widział jej profil. Wyglądała tak ufnie, spokojna i zadowolona, upojona seksem. Od chwili, gdy ją ujrzał,

wiedział, że jest niebezpieczna, ale nie miał pojęcia, jak bardzo. Rozbuchała w nim emocje, które, jak sądził, miał pod kontrolą, i kompletnie się w niej zatracił. Uwielbiał ją. Nie mógł znieść myśli, że to, co ich łączy, mogłoby się skończyć. Kiedyś, gdy był znacznie młodszy, czuł coś niemal równie głębokiego i intensywnego. Miał dwadzieścia cztery lata, kiedy poznał piękną, kruczowłosą Felicię. W jej ramionach czuł, że żyje. Nigdy wcześniej nie doznawał tak intensywnych emocji. Był zdumiony własną namiętnością, na której unosił się jak na falach oceanu. Kochał Felicię całym sobą, jednak po roku musiał wyjechać na misję. Do Somalii. W najgorszych chwilach wyryty w pamięci obraz ukochanej pomagał mu przetrwać, dawał mu cel, powód, by walczyć. Przysięgał Felicii na własne życie, gotów był kochać ją do śmierci. Gdy wrócił do domu, okazało się, że wszystko było kłamstwem. Nigdy nie była jego. Zdradzała go jeszcze przed wyjazdem. Zerwała z nim pierwszego dnia po powrocie. Paskudne, gorzkie rozstanie, które zostawiło po sobie ropiejące piętno. Powiedzieć, że pękło mu serce, to zbyt mało. Przez kolejne dwa lata ból był tak dotkliwy, że Luke'a niewiele dzieliło od śmierci. A kiedy wreszcie ustał, Luke stwierdził, że jest pusty w środku. Dlatego powziął decyzję, że już nigdy więcej. Od tej chwili traktował kontakty z kobietami jak zawody sportowe. Nie zamierzał wystawiać się na ból. Teraz jednak leżała przy nim delikatna, słodka kobieta. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, powiedzieć, jak bardzo ją kocha, i jak wiele jest w stanie zrobić, byle tylko ją uszczęśliwić. Ale nie robi tego. To zbyt ryzykowne. Druga taka przygoda mogłaby go zabić. Nie odda jej serca. Sęk w tym, że chcąc nie chcąc, już to zrobił.

Walt Booth od niemal pół roku przyglądał się postępom prac w domu Muriel. Oczywiście próbował jej pomagać, ale ponieważ lubiła wszystko robić sama, a potem się przechwalać, że sama poradziła sobie z zadaniem, to przestał. Przyglądając się jej podczas pracy, doszedł do pewnego wniosku. Otóż wybebeszanie budynku, a potem gruntowne modernizowanie jest co prawda kosztowne, ale stosunkowo łatwe. Takich domów jak jego jest na kopy. Potrzeba tylko pieniędzy i fachowca. Natomiast to, co robiła Muriel, a mianowicie przywracanie budynkowi jego dawnej świetności, było dziełem sztuki. To prawda, że Muriel nie zamierzała rezygnować z nowoczesnych udogodnień. Nie chciała korzystać z patykowatych kanap ani sypiać na stuletnim materacu. Nie mogła się też doczekać, aż zainstaluje telewizor z płaskim ekranem, sprzęt grający i odtwarzacz DVD. Lecz wszystko to będzie ukryte w zabytkowych szafach. Była połowa listopada. Pewnego dnia zadzwoniła do niego i spytała:

– Co porabiasz?

- Bawię się w niańkę, bo Vanni pojechała do miasta. Dlaczego pytasz?
- Chcę, żebyś do mnie przyjechał. Najszybciej, jak to możliwe. Nigdy nie musiała prosić go dwa razy. Kiedy zajechał na jej podwórze, czekała na progu domu, przestępując z nogi na nogę. Było mroźno, więc dłonie schowała w kieszeniach, a z jej ust buchały kłęby pary.
- Co się stało? – zapytał, wysiadłszy z auta. Uśmiechnęła się promiennie.
- Walt, nic się nie stało poza tym, że... skończone! Górę wykończyła już dwa miesiące wcześniej, ale nie miała ochoty przenosić się do pustego domu, skoro w baraku mieszkało jej się całkiem dobrze. No i pracowała dalej.
- Gotowy?
- Tak. Otworzyła drzwi wejściowe. Znaleźli się od razu w salonie. Był to farmerski dom, bez tych udziwnionych korytarzy. Zaślniła podłoga z ciemnych desek, listwy przypodłogowe i podsufitowe miały identyczny kolor. Muriel potrzebowała pomocy Walta, żeby podnieść najcięższe fragmenty listew, ale zamocowała je już sama. Ściany były pomalowane na zielono. Poręcz zabejcowano i polakierowano na kolor pasujący do listew, zaś ściana, wzdłuż której wznosiły się otwarte schody, miała kolor ciemnego beżu, kontrastując z jasnobieżowym sufitem. Na wprost, przez orzechowy łuk, wchodziło się do jadalni w tych samych kolorach co salon. W oknach wisiały przezroczyste, koronkowe firanki zebrane po bokach. Kominiek miał oryginalny, gruby gzyms z ciemnego drewna. Kuchnia była jasnożółta, po części wyłożona tapetą w staroświeckie żółte róże. Muriel zostawiła stare szafki i blaty, jedynie je wyszlifowała i pomalowała. Zdemonstrowała rozpadające się drzwiczki i zamontowała na ich miejscu panele z ciemnego szkła. Zlew i sprzęty kuchenne lśniły bielą i nowością. Muriel wyszlifowała i pomalowała ramy okienne, a także odnowiła żyrandole w kuchni i jadalni. Z kuchni prowadziły drzwi do piwnicy i spiżarni.
- Jesteś niesamowita – podsumował Walt. Piętro okazało się równie imponujące. Lśniące podłogi, trzy sypialnie, każda w innym kolorze, łazienka, choć trochę za mała i tylko jedna na piętrze, też była piękna. Wszystko, każdy detal, który zachował się z dawnych lat, został wypolerowany, zabejcowany i polakierowany.
- Tu będzie mój pokój – powiedziała Muriel. – Zaraz przy schodach. Kupiłam narzuty, mam też stare poduchy, które zbieram od lat. Kupiłam kołdry w kwiaty i pasujące prześcieradła, aż dziesięć, na zapas. Przy schodach zamierzam powiesić fotografie rodziców i dziadków. Mam indiańskie korzenie, a nawet, nie uwierzysz, zdjęcia plemiennych przodków. No i jeszcze kilka starych akwareli, które kupiłam dawno temu i zachowałam właśnie na taką chwilę. Z uśmiechem pokręcił głową, po czym skomentował:



- Właśnie tak powinna mieszkać kobieta nominowana do Oscara.
- Phi. Ja to nie tylko Oscary, chociaż wnerwia mnie, że żadnego nie dostałam. - Objęła go w pasie. - Mam jeszcze trochę mebli. Panowie od przeprowadzki przyjeżdżają jutro. Zostaniesz ze mną, kiedy łóżko już będzie stało na swoim miejscu?
- Och, z radością zostanę z tobą w tej kwiatowej sypialni. A jeśli kiedykolwiek pozbędę się dzieciaków z domu, to zostaniesz ze mną w mojej wielkiej, męskiej sypialni z łazienką i ogromnym prysznicem bez drzwi.
- Zgoda.
- Muriel, ten dom... Zupełnie się nie spodziewałem. Masz talent. Jestem pod ogromnym wrażeniem, wierz mi. I jestem z ciebie dumny.
- Dziękuję, sama jestem z siebie dumna. Powinniśmy napić się drinka i wypalić cygaro.
- O cygarach nie pomyślałem...
- Spokojna głowa. Kupiłam buteleczkę i pudełko cygar. Włączę światła w całym domu. Usiądziemy przy baraku, zamarzniemy na śmierć, napijemy się szkockiej, wypalimy kubańczyka i pogapimy się na dom.
- Kubańczyka? Kupiłaś hawańskie cygara?
- Owszem. - Zachichotała. - Po przeprowadzce urządzę parapetówę. Myślisz, że ktoś przyjdzie?
- Hej, przecież jesteś Muriel St. Claire. Całe miasto się tu zwali.
- Serio? - Spojrzała na niego zaskoczona. - Byłoby cudownie. - Zmarkotniała. - Tylko co ja ugotuję?

Stworzyli prawdziwy miłosny związek. Shelby spała u Luke'a niemal każdej nocy, wcześniej zaczynając dzień. Najpierw zaglądała do stajni, żeby pomóc przy koniach, czasem przejechać się albo zjeść śniadanie z wujem, wziąć prysznic i ciuchy na zmianę. Następnie jechała do miasta i odciążała Mel w pracy w przychodni, czasami też opiekowała się dziećmi. Luke podziwiał, jak dużo ma w sobie energii. Luke z Artem ciężko pracowali w domkach. Art okazał się przydatnym pomocnikiem. Nie umiał co prawda dobrze gotować, więc przygrzewał gotowe dania w mikrofalówce, czasami też jadał kolację z Lukiem i Shelby. Dbał o higienę osobistą, prał ubranie, ścielił łóżko. Innymi słowy, wziął się za siebie. Mimo swoich ograniczeń mógł mieszkać samodzielnie, jednak tylko wtedy, gdy w pobliżu był ktoś, kto pomoże

w trudniejszych sprawach, a także od czasu do czasu przypomni o podstawowych czynnościach. Luke obiecał Artowi, że kiedy skończą prace nad domkami, zostanie ich dozorcą. Będzie musiał dbać o wywóz śmieci, czystość i porządek, a ewentualne naprawy będą wykonywać razem.

– Tęsknisz za przyjaciółmi z domu opieki? – zapytał Luke.

– Tęsknię za Nettą i Payne’em. – Wzruszył ramionami. – I za mamą – dodał z uśmiechem. – Ale podoba mi się tu, nad rzeką. Podoba mi się dom, gdzie nie muszę się zapisywać na pralkę.

– Robisz dla mnie świetną robotę, Art. Dziękuję.

– Proszę bardzo, Luke. – Promieniał dumą.

Pod koniec dnia Shelby albo spotykała się z Lukiem u Jacka, albo wstępowała tylko po kolację i od razu do niego jechała. Widzieli się każdego dnia. Przeszali się kryć, już wszyscy wiedzieli, że są parą. Tego Luke nie planował, nie przewidział, lecz nieuniknioną ceną za to, że każdego wieczoru może trzymać Shelby w ramionach, była jawność. Zresztą nie okazała się aż tak dokuczliwa, bo ludzie niespecjalnie komentowali ich związek, choć romans między delikatną, uroczą i drobną siostrzenicą generała a posępnym i małowównym weteranem wojennym powinien do tego prowokować. Jednak ten związek w swoisty sposób jakby ukoronował panującą w okolicy tendencję, dlatego nagle zaczęło krążyć mnóstwo dowcipów o cudownych właściwościach wody w rzece Virgin. W ostatnich latach do miasteczka przyjechało wielu mężczyzn obarczonych bagażem trudnych przeżyć. Poszukiwali ciszy, spokoju i samotności, a to popracować trochę, a to zapolować czy powędrować, no i rozkoszować się kawalerskim stanem, bez żadnych zobowiązań. No i jakoś tak się stało, że każdy z tych samotników został okiełznany przez kobietę z wszelkimi tej zmiany konsekwencjami. A miało się tak dziać z powodu cudownych właściwości rzeki Virgin. Luke niby tylko się śmiał i znosił bez komentarza takie żarty, lecz w duchu czuł dziwną satysfakcję, że łączy go z Shelby taki właśnie związek. Cieszył się, że może publicznie ją obejmować, nie muszą się już cichcem całować przed barem. Shelby rozluźniała go tak bardzo, że nie miał powodów do narzekań. Kiedy dla wszystkich stało się jasne, że Luke i Shelby są razem, nadszedł czas, by Virgin River poznało Artę, a Art nowych przyjaciół. Choć mieszkał w domku już dwa miesiące, wiedzieli o nim tylko Shelby i Paul, których o zachowanie tajemnicy poprosił Luke, sam zaś śledził informacje w gazetach, radiu i telewizji, szukając wzmianki o poszukiwanym Arcie. Jednak do tej pory niczego nie znalazł. Art uwielbiał Shelby. Zawsze kiedy pracowała krócej, a pogoda była ładna, przyjeżdżała na koniu, prowadząc ze sobą Plenty, i sadzała Artę na jej grzbiecie. Widok podekscytowanego Artę, który cieszył się jak dziecko, zawsze rozbawiał Luke’a. Zaczął zabierać go do

baru, by napić się czegoś zimnego, a czasami na kolację z Shelby. Przyjęto go bardzo ciepło. Patrząc na uradowanego Artę siedzącego w siodle, Luke pomyślał o innych rozrywkach dla niego i kupił mu wędkę oraz resztę wyposażenia. Nauczył go podstawowych technik, ale prawdziwym wyzwaniem okazało się zarzucanie. Szczęśliwie Art nie zniechęcał się tak łatwo, przeciwnie, uwielbiał uczyć się nowych rzeczy, nawet jeśli szło to opornie. Virgin płynęła blisko, mógł więc wędkować, kiedy nie miał nic innego do roboty. Luke z zadowoleniem patrzył, jak uśmiechnięty Art właśnie zmierza nad rzekę. Muriel St. Claire urządziła dla całego miasteczka imprezę, na której Luke, Shelby i Art też oczywiście się zjawili. Dom został przebudowany, a raczej odrestaurowany, jak mawiał generał. I miał rację, bo budynek wyglądał jak nowy, tyle że postawiony ponad sto lat temu. Można by pomyśleć, że czas nagle się cofnął. Nawet rodzinne zdjęcia wyglądały na stare jak świat. Poza kanapą i fotelem wszystko było z dawnych lat, również wielka zabytkowa szafa, w której ukryto telewizor. Luke był pod wrażeniem ogromu pracy, jaką Muriel włożyła w dom, ale niektóre kobiety spodziewały się czegoś bardziej w hollywoodzkim stylu. Większość z nich posiadała stare meble przekazywane z pokolenia na pokolenie. Oczywiście, ich meble nie zostały odnowione, nie przywrócono im dawnej świetności, jak zrobiła to Muriel. Panie wołały zawiesić oko na nowocześniejszych sprzętach. Interesowało je zresztą głównie to, czy spotykała się z Clintem Eastwoodem lub Jackiem Nicholsonem. Kiedy odparła, że właściwie prawie ich nie знаła, chociaż grali razem, poczuły się zawiedzione. Muriel St. Clair nie pasowała do typowego wizerunku słynnej hollywoodzkiej aktorki. Stroniła od prowokacji, unikała plotek, nie gwiazdorzyła. Przez jej dom przewinęła się przynajmniej setka ludzi, a ona uroczym uśmiechem kwitowała komentarze, że wołała starą farmę od marmurowego pałacu w Beverly Hills. Luke nie wiedział, że jego matka aż tak bardzo celebrowała święta. Traktował życie ot tak, po prostu, nie poświęcał uczuciom zbyt wiele uwagi. Dlatego gdy zadzwonił do matki i powiedział, że nie zdoła przyjechać do Phoenix na Święto Dziękczynienia, zdziwiło go, jak bardzo jest zawiedziona. Okazało się przy tym, że w tym roku zjawi się tylko Sean. Colin był w Iraku, Paddy na morzu, a Aiden wziął dyżur, żeby mieć wolne na Gwiazdkę. Matka bardzo narzekała, nie widziała przecież Luke'a od sierpnia. Opowiedział jej o swoim pracowniku, na co Maureen Riordan kazała mu zabrać Artę ze sobą.

– Raczej nie dam rady, mamo – odparł. – On uciekł z domu opieki, bo go prześladowano. Nie łamię prawa, udzielając mu schronienia, ale chyba nie powinienem wywozić go poza granice stanu, dopóki coś się nie wyjaśni. To tylko jeden raz, zobaczymy się na święta. Bardzo proszę, nie narzekaj.

– Nie narzekam – powiedziała.

– Ależ tak. – Roześmiał się. – Bez końca.

- Nie chcę, żebyś był sam w Święto Dziękczynienia.
- Mamo, poradzę sobie. Nie martw się. Nie będzie sam. Wybierał się do domu generała i zabierał ze sobą Arta. Zaproszenie przyszło za pośrednictwem Shelby. Zaproszenie... Wiedział, że to rozkaz. Wolałby nie wplątywać się jeszcze bardziej w sprawy rodziny generała, ale nie było sposobu, by się wymigać. W miasteczkach takich jak Virgin River wzajemne relacje powstają jakby same z siebie, czy tego chcesz, czy nie. Nawet luźna znajomość to już znajomość, a gdy jest się blisko z kimś, to i z całą jego rodziną. Od tego nie ma ucieczki. Pomyślał jednak zaraz, że nie ma się czym przejmować. Zwykła świąteczna kolacja, nic więcej. Art był mile widziany, a Luke lubił generała i Haggertych. Gdyby Shelby była jego siostrzenicą, zachowywałby się podobnie jak generał. Owszem, można mówić o pewnym wścibstwie, jednak rodzina uszanowała jej wybór, a jego traktowała jak należy. Kiedy już wszystko ułożył sobie w głowie i pogodził się ze stanem rzeczy, w jego spokojne dumania wdarł się telefon od Seana.
- Migasz się od indyka – z miejsca zaatakował. – Co jest grane? Przecież nie mieszkasz tak daleko.
- Mam tu pewne sprawy – odparł Luke. – Wytłumaczyłem mamie, że ani nie mogę zostawić Arta, ani zabrać go ze sobą.
- Słyszałem. To jedyny powód?
- A jaki jeszcze?
- Hm... Więc zapewne się ucieszysz, jak ci powiem, że przyjeżdżam z mamą do Virgin River.
- Że co? – wrzasnął Luke do słuchawki po chwili milczenia. – Cholera, dlaczego?
- Bo nie chcesz przyjechać do Phoenix, a nasza mama chce koniecznie sprawdzić, czy sobie radzisz i nad czym tak pracujesz. I poznać twojego pracownika. I dziewczynę.
- Nie zrobisz mi tego – odezwał się Luke z groźbą w głosie.
- Skoro ty nie możesz, to my możemy. Przecież bardzo cię to ucieszyło, prawda? – Sean zarechotał.
- Boże. Nie będziecie mieli gdzie spać. W mieście nie ma hotelu.
- Ty kłamliwy draniu. Takie to są twoje uczucia rodzinne? Przecież masz dwie dodatkowe sypialnie i sześć domków letniskowych, które remontujesz

od trzech miesięcy. A nawet jeśli, to w Fortunie mają motel. Mama wymaga tylko łóżka, czystej pościeli i żeby nie było szcurków.

– Super. Przyjedźcie – powiedział Luke. – Ukręcę ci łeb.

– Co jest? Nie chcesz, żeby mama poznała dziewczynę i Arta?

– Nogi ci z dupy powyrywam!

– Będziemy we wtorek po południu – ze śmiechem odparł Sean. – Tylko kup dużego indyka. Luke stał jak zamurowany. Czuł rosnący gniew. Bez pożegnania przerwał połączenie. Pomijając dwuletni epizod z Felicią, kiedy był uziemiony, wiódł szalone życie. Latał na śmigłowcach, zabawiał się z panienkami, lubił pójść w tango. Bracia byli tacy jak on. Być może dostali to w spadku po ojcu, który ożenił się dopiero w wieku trzydziestu dwóch lat. Jak na tamte czasy był osobą bardzo dojrzałą, kiedy wreszcie założył rodzinę i spłodził pięciu synów. Pięciu rozbrykanych Irlandczyków. Jedyne, czego nie ośmielili się zrobić, to zaprosić kochanki do rodzinnego domu, w którym mieszkała matka.

– Mam trzydzieści osiem lat. Cztery razy byłem na wojnie – powiedział do siebie, przemierzając salon w tę i z powrotem. – To moje cztery ściany, a mama będzie tu gościem. Może się nie zgadzać, odmawiać zdrowaśki, ale to moja sprawa. Powiem jej wszystko, pomyślał po chwili. Wszystko, od kiedy skończyłem pięć lat, o każdej kobiecie, co do której matka roila jakieś plany, każdą tajemnicę, o nocy spędzonej w areszcie, o przyłapaniu in flagranti z córką wicedyrektora liceum... Wszystko, mandaty i romanse. Tak działa typowa dysfunkcyjna irlandzka rodzinka. Wymienia się sekretami. Mógł zachować się tak, jak oczekiwała pruderyjna, świętoszkowata matka, to znaczy grzecznie i kulturalnie, co uważał za bezsensowne sztywniactwo, albo machnie na to ręką i robi po swojemu. A później wyjaśni Shelby, skąd się wzięły te wszystkie opowieści matki. Łącznie z historią Felicii.

Jednak Luke bardzo się pomylił w ocenie matki. Nie była pruderyjna świętoszką, bo zbyt wiele przeżyła. Była piękną, stateczną sześćdziesięciolatką, od siedmiu lat wdową, kobietą samotną i bez reszty oddaną synom, którzy wybrali karierę wojskową. Nadal farbowała włosy na jasnoczerwono, jak w czasach młodości. Może to jakiś sygnał? Czasem Luke myślał, że byłoby lepiej, gdyby matka znalazła sobie kogoś, przestała być samotna... i już tak bardzo nie zajmowała się dorosłymi synami, ich prywatnym życie. Maureen Riordan była bystra, zażywna i zabawna. Nie czuła strachu. Choć żarliwie wyznawała katolicką wiarę, zdarzało się, że myślała i działała całkiem po swojemu. Kiedy po urodzeniu piątego syna ksiądz powiedział jej, żeby miała wiarę i nie stosowała środków antykoncepcyjnych, bo Watykan tego zakazuje, usłyszał od niej coś takiego,

czego nigdy nikomu nie powtórzył. No i szóste dziecko nie pojawiło się na tym bożym świecie. W sumie nie miała aż tak wielu wad, tylko ten sztywny zestaw katolickich reguł, które jednak potrafiła złamać, gdy uznała, że taka jest wyższa konieczność. Aha, i jeszcze to wieczne narzekanie, że synowie nie pożenili się i nie spłodzili wnucząt. Luke, Colin, Aiden, Sean, Patrick, od trzydziestu ośmiu do trzydziestu lat. Sami kawalerowie. Maureen powoli stawała się zdesperowana. Istniało między nimi niepisane rodzinne prawo, wywalczone również mocą pięści, że nikt nie opowiadał wstydliwych lub rodzinnych sekretów osobom z zewnątrz. Luke uznawał opowieść o łamiącej katolickie nakazy matce i zgorszonym księdzu za zabawną, ona jednak nie, jako że dla wierzącej kobiety nie była to łatwa decyzja. Cóż, umowa to umowa, pomyślał Luke. Uciszy mamę, szanując jej zasady i nie rozprowadając historii z jej życia. I nie sypiając z Shelby podczas wizyty matki. Czyli pięć nocy z rzędu. Zabije Seana.

- Shelby? – zaczął Luke, gdy spoczywała w jego ramionach po kolejnej erotycznej ekscytacji. – Jest problem ze Świętem Dziękczynienia.
- Hm? – mruknęła prawie przez sen. Odetchnął głęboko.
- Sean przyjeżdża. Z moją matką.
- To cudownie – odparła z uśmiechem, unosząc głowę.
- Niekoniecznie – powiedział smutno.
- O co chodzi, Luke? Chętnie poznam twoją mamę.
- No tak, ale... Ona jest dość staroświecka...
- Okej – rzuciła wesoło. – A wuj Walt to co, luzak? Dwa talerze więcej i już. Będzie fajnie. Sztywny wuj i staroświecka... Jak ma na imię twoja mama?
- Maureen. Nie zrobimy tego. Nie posadzimy ich razem, jakby byli jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Wiesz, co o tym myślę. Będą oczekiwania. To nie może tak być...
- Przestań z tą swoją paranoją. – Wciąż była rozbawiona. – Przecież to nie zaręczyny, tylko Święto Dziękczynienia. Spędzamy je z tymi, na których nam zależy. Bierzesz ze sobą Artę i to niczego nie zmienia. Boże, Luke, rozchmurz się.
- Wcale mi się nie podoba, że nasze rodziny się spotkają. Ty mnie zaakceptowałaś, jaki jestem, ale twój wuj? Wiem, że moja matka tego nie zrozumie.

- Rany, to ich problem. Znam cię dość dobrze, chociaż starasz się być tajemniczy.
- Tak? Mimo wszystko... nie podoba mi się to.
- Wiem. Chciałeś poderwać dziewczynę z miasteczka, wskoczyć z nią raz do łóżka, a potem trzymać na dystans, żeby przypadkiem nie zaburzyła twojego życia. Przykro mi, ale mieszkamy w tej samej miejscinie i mamy tych samych znajomych. To nie metropolia, gdzie można zachować anonimowość.
- Hm... – Sam o tym niedawno myślał.
- Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko się rozluźnisz – dodała. – Słuchaj, a twoja matka przysłaby do nas, gdyby miała do wyboru kolację z tobą, twoim bratem i Artem? Przez chwilę milczał, a potem odparł z kwaśną miną:
- Tak. Z chęcią.
- Ach, rozumiem. – Zachichotała. – Boisz się, że mnie polubi.
- Shelby, przestań. Wiesz, jaki mam z tym problem.
- Problem to masz z matką, bo akurat ja nie sprawiłam ci kłopotu. Oboje wiedzieliśmy, w co się pakujemy. Ja mam swoje plany, ty masz swoje, a to jest tylko tymczasowe. Nie tak mówiłeś? Tymczasowe. No i wszystko gra. Rozmawiamy o dwóch rodzinach, które spotkają się podczas świątecznej kolacji. – Uśmiechnęła się. – Lubię Seana. Jest słodki.
- To tępy buc.
- No tak! – Roześmiała się. – Luke, będzie tylko jeden problem.
- Jaki?
- Nie będę mogła z tobą sypiać, kiedy twoja matka tu będzie.
- Nie?
- Przykro mi. – Wzruszyła ramionami. – Może to staroświeckie, ale tak już mam. To twoja matka. Nie będę mogła cię odwiedzać. Mam nadzieję, że rozumiesz.
- Ale Shelby, oni wiedzą, że my... wiesz.
- To nie to samo. Po prostu odpada, gdy oni będą pod tym samym dachem. Może gdybyśmy faktycznie razem mieszkali, wiesz, ten sam adres, prawdziwy dom i tak dalej, ale my tylko randkujemy i uprawiamy seks. Nie ma takiej możliwości, żebym to robiła, gdy twoja matka będzie w domu.

- Jeśli nie możesz...
- Przykro mi, ale to kwestia szacunku. I tyle.
- Przyjeżdża tu na pięć dni i nocy. Pięć – powtórzył.
- Nieźle... Kiedy wróci do siebie, będziesz ostro napalony. Poproszę Mel, żeby ci przepisała coś na uspokojenie, bo inaczej zwariujesz.
- Tego chcesz? Rozłaki na pięć nocy?
- Luke, będzie tak i kropka. Mamy swoje zasady. Zrelaksuj się. To tylko kolacja. Będzie fajnie.
- Jasne... Fajnie jak diabli – mruknął. Istniały powody, dla których nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, by wyjaśnić, dlaczego też nigdy nie przekroczy pewnej granicy, kiedy matka jest w domu. Jednym z nich było to, że nie chciał wyjść na maminsynka. Poza tym był zdumiony, że Shelby nie wykorzystwała okazji, aby nakłonić go do poważniejszej deklaracji, która zmieniłaby charakter ich związku. Cóż, nie tak to powinno wyglądać. Kobiety tak się nie zachowują. Shelby jest zbyt wyluzowana, zbyt lekko to traktuje. Jakby nie była w nim zakochana do szaleństwa. Świadomie odpuściła okazję, by go usidlić.

Muriel i Walt spędzili cały dzień, jeżdżąc po górach, zaglądając na wyprzedaże i do sklepów ze starociami. Nigdy czegoś takiego nie robił. Nigdy nie gotował dla kobiety, nigdy nie pomagał jej odnawiać domu. Przeglądając gazetę z Garberville, Muriel powiedziała:

- O, mają wyprzedaż staroci, niedaleko, nie więcej niż kilometr...
- Niby co takiego znajdziesz na wyprzedaży?
- Tłumaczyłam ci już sto razy. Nigdy nie wiadomo. Kiedyś kupiłam sosnową komódkę zrobioną przez stolarza sto pięćdziesiąt lat temu!
- Przecież nie potrzebujesz więcej mebli.
- Ale ja tak lubię! Jedne kobiety piją martini, a inne kupują stare meble.
- Już pijesz martini.
- Mam wiele zainteresowań – odparła z godnością, uśmiechając się przy tym. Walt zjechał na pobocze i spojrzął na nią.
- Muriel, czy ktoś cię zaprosił na Święto Dziękczynienia?



- Parę osób.
- Wyjeżdżasz na południe?
- Jeszcze nie wiem. Odezwało się kilkoro przyjaciół.
- Jakich przyjaciół, jeśli można wiedzieć?
- Nie znasz, Walt.
- A jednak...
- Susan Sarandon przysłała zaproszenie. Uwielbiam jej rodzinę. Cudowne dzieciaki. George zarezerwował stoliki w miłej restauracji...
- George?
- Clooney. Bardzo miły człowiek. Obecnie w związku i ciut dla mnie za młody. Spotyka się z trzydziestolatką, której mogłabym być matką. Poznałam George'a wiele lat temu przez jego ciotkę Rosemary. I dzwonił Ed Asner, mój stary znajomy. Urządza spotkanie rodzinne. I oczywiście Mason chciałby, żebym spędziła święto z nim, jego czwartą żoną, dorosłymi dziećmi oraz wnukami. - Zachichotała. - Ale jesteśmy nowocześni, co? Były mąż non stop zaprasza byłą żonę. Zwłaszcza uwielbia moich dwadzieścia procent. - Roześmiała się na jego skonsternowaną minę. - Prowizja, Walt. Tyle zarabia, jeśli pracuję.
- Aha. Więc gdzie się wybierasz?
- Jeszcze nie wiem. Czemu pytasz? Widać było, że to go krępuje. Odwrócił wzrok.
- Przyjmujemy Luke'a Riordana i jego rodzinę. Byłoby cudownie, gdybyś zechciała do nas dołączyć.
- Walt?
- Co? - Znów spojrzał na nią.
- Masz nadzieję, że odmówię?
- Dlaczego?
- Bo nawet nie patrzyłeś mi w oczy.
- Och, przepraszam. Bo wiesz, mówiłaś, żebyśmy nie traktowali tego za poważnie.
- Niby kiedy tak powiedziałam? - zapytała ze śmiechem.

– Kiedy stwierdziłaś, że miałaś pięciu mężów i skończyłaś z tym. Mniej więcej tak. Rozbawiona położyła dłoń na jego udzie.

– Walt, wiele musiałoby się wydarzyć, żebym znów pomyślała o wyjściu za mąż. Małżeństwa dały mi w kość. Mówię „Tak”, i zaraz potem bajka zamienia się w koszmar, a seksowny facet w zwierzę albo kompletnego kretyna. Jakby klątwa wisiała nade mną, fatalne przeznaczenie. Nikomu tego nie życzę. Ale nie unikam dobrego związku. A to, co jest między nami, zanoszi się na całkiem niezły związek. Chętnie zjem z tobą kolację w Święto Dziękczynienia, ale ponieważ oboje znamy swoje możliwości, więc zajmę się sprzątaniami, okej?

– Serio? – Uniósł brwi.

– Czemu pytasz?

– Bo ani nie jestem George’em, ani Susan.

– Ani Edem, który jest dla mnie wyjątkową osobą. Ale niejaki Walt Booth też jest dla mnie kimś ważnym. Tylko uwaga! Ludzie pomyślą, że my tak na poważnie.

– Nie chcę cię wystraszyć, Muriel – odparł z ciepłym uśmiechem – ale dla mnie to coś poważnego. Dobry związek? Tego mi trzeba. No i jeszcze porządnej zmywarki.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy Sean i Maureen przyjechali we wtorek późnym popołudniem, Luke już na nich czekał. Wysprzątał cały dom, chociaż do zrobienia wiele jeszcze zostało i prace były w pełnym toku. Matkę umieścił w swoim pokoju, a Seana na piętrze. Ponieważ w drugiej sypialni na górze nie było jeszcze mebli, sam prześpi się na kanapie. Przyniósł drewno do komika, włożył wino do lodówki i przygotował steki do upieczenia na grillu. Powiedział Shelby, że pozna Maureen w środę wieczorem, ponieważ najpierw chce spędzić z matką trochę czasu. Lecz prawdziwy powód był inny. Mógł poprosić Shelby, żeby przyjechała zaraz po pracy we wtorek, ale zostałyby to odebrane jako zbyt ni pośpiech, a Maureen nie potrzebowała dodatkowej zachęty. Z jednej strony irytowało go to wproszenie się, ale z drugiej cieszył się z odwiedzin matki. Uznał, że za dwa dni radość mu przejdzie, ale teraz, kiedy wysiadła z suwa Seana, był szczęśliwy. Do diabła, w ogóle nie wyglądała na tę swoją sześćdziesiątkę ani na kobietę, która przesiedziała pół życia w domu, wychowując piątkę wymagających ciąglej uwagi chłopców. Wyglądała szykownie nawet w dżinsach, wysokich butach i skórzanej kurtce. Rozweselił go jej szeroki uśmiech, rozczuliło ciepłe, promienne spojrzenie zielonych oczu.

- Luke! Kochanie! – Wbiegła po schodkach i chwyciła syna w objęcia.
- Jak się masz, mamó? – spytał, tuląc ją mocno.
- Nie mogłam się doczekać. – Odsunęła go od siebie. – Świetnie wyglądasz. Bałam się, że schudniesz, zmizerniejesz.
- A niby czemu? – Kątem oka zobaczył, jak Sean mocuje się z walizkami. – Jezu, na jak długo przyjechaliście?
- Tylko do niedzieli, ale nie wiedziałam, co ze sobą wziąć.
- Więc wzięłaś wszystko?
- No, chałupę zostawiłam – odparła wesoło. – Gdzie Art? Gdzie Shelby?
- Shelby?
- Sean mi o niej opowiedział. Ładniutka i młodziutka, jedyna siostrzenica generała, świetnie jeździ konno, zwariowała na twoim punkcie i tak dalej.
- Mamó, nie ma jej tutaj. Jest u siebie. Poprosiłem, żeby przyjechała jutro wieczorem, wtedy się poznacie. Jesteśmy zaproszeni do jej wuja na kolację w Święto Dziękczynienia.
- Och... – Była wyraźnie zawiedziona. – Myślałam, że coś ci ugotuję.

- Nie ma sprawy – odparł z nadzieją. – Na pewno zrozumieją, w końcu widzimy się tak rzadko.
- Nie wygłupiaj się. Mam mnóstwo czasu, żeby ci nagotować. Co powinniśmy ze sobą wziąć na kolację do rodziny Shelby? Zmarszczył brwi. Radość minie chyba jednak trochę szybciej.
- Wino. Kupiłem.
- Musimy wziąć coś jeszcze. Placek, fasolkę, pieczywo, cokolwiek.
- Zajmę się bagażami, mam.
- Dobrze, a potem oprowadź mnie po tym pięknym miejscu. Luke zszedł do samochodu, a matka poszła do domu, żeby się rozejrzeć. Dla Maureen istniał jeden plus wynikający z posiadania pięciu rozpieranych energią chłopaków i pełnego wigoru męża, a mianowicie, choć oczywiście cały dom był na jej głowie, to odpadły jej najcięższe prace fizyczne, jak mycie okien czy dźwiganie zakupów lub bagaży. W tej właśnie chwili Sean wyjmował z samochodu walizki. Nie jedną walizkę, która bez trudu pomieściłaby rzeczy potrzebne na niecały tydzień, ale kilka.
- Jakby płynęła w cholerny rejs – skomentował rozbawiony Sean.
- Twoja śmierć będzie powolna i bolesna – rzucił mściwie Luke.
- Oj, daj spokój! Co cię ugryzło? Miałeś dość czasu, żeby się z tym przespać. Widzisz, jak bardzo się cieszy.
- Dlaczego powiedziałeś jej o Shelby? Przecież nawet nie wiesz, co się między nami dzieje. Zapomniałeś, jak się trzyma mordę na kłódkę?
- Zaraz, zaraz, pilotuję samolot szpiegowski, więc wiem wszystko. – Roześmiał się pogodnie. – A mówiąc tak całkiem poważnie, powiedziałem mamie o Shelby, żeby cię wnerwić. – Bawił się coraz lepiej. – Braciszku, czy dobrze usłyszałem? Idziemy do generała na kolację?
- Posłuchaj mnie uważnie, bo jeśli to spieprzysz, to naprawdę cię ukatrupię. Shelby jest dla mnie zbyt młoda i niedoświadczona, a gdyby popatrzeć z drugiej strony, to ja jestem dla niej za stary. W każdym razie to nie jest poważny związek, taki z przyszłością, do tego wujowi Shelby bardzo się nie spodobało, że ona mnie lubi. Dlatego morda w kubel, w ogóle się nie odzywaj, jasne?
- Rany, ale stałeś się drażliwy. Robi się gorąco, co? Gdzie Art?
- W domku. Pójdę po niego, jak tylko uporamy się z walizkami. – Podniósł dwie. – Jezus, co ona tam zapakowała?

- Zamierza wypaść jak najlepiej przed twoimi przyjaciółmi. Mogłeś tego uniknąć, przyjeżdżając na dwa dni do Phoenix.
- Ciebie od lat próbuję unikać, ale jesteś jak upierdliwy rzep – kwaśno odparł Luke. – To był twój pomysł. Nie wnerwiał mnie.
- Jeszcze chwila i cofniemy się o dwadzieścia lat. Naprawdę masz ochotę na łomot? Nie róbmy jej tego, ona naprawdę się tobą przejmuje. Ja nie, ale ona tak.
- Ech. – Luke dźwignął jeszcze dwie torby. – Postaw to w moim pokoju. Ty śpisz na górze. Idę po Arta. Poszedł do domku, zapukał i otworzył drzwi. Art siedział na brzegu łóżka i czekał. Umył się, zaczesał przerzedzoną czuprynę do tyłu i włożył nowe spodnie, które kupił mu Luke. Sprawiał wrażenie przerażonego.
- Art? – odezwał się Luke.
- Są już?
- Są. Gotów, żeby się przywitać? Wstał nerwowo, wytarł dłonie o spodnie i zbyt gorliwie skinał głową.
- O co chodzi? To tylko Sean i moja matka. Znasz Seana, przecież się dogadaliście. Martwi cię coś? – Gdy gwałtownie pokręcił głową, Luke podszedł do niego. – Strasznie się czymś przejmujesz. O co chodzi?
- O nic. Wziąłem prysznic. Nie zjadłem kanapek, jak mówiłeś. Luke się uśmiechnął. Art uwielbiał kanapki z mortadela.
- Wyglądasz świetnie. Chciałem, żebyś zgłodniał przed kolacją, a gdybyś napchał się kanapkami, na nic nie miałbyś ochoty. Zjesz z nami stek.
- Stek jest twardy. Jadłem. Nie używam noża za dobrze, bo rzadko to robię, a stek jest za duży. Mam dużą głowę, ale małe usta. Stan tak powiedział.
- Nie martw się, pomogę ci. Dasz sobie radę z nożem, przecież z narzędziami nieźle ci idzie. Pokroimy stek tak, żeby zmieścił się do ust. A teraz chodź, moja matka chce cię poznać, już pytała o ciebie.
- Mojej mamy nie ma.
- Wiem, Art. Polubisz moją. Ona już cię lubi.
- Nie jestem taki jak inni.
- Powiedziałem jej, że masz zespół Downa. Moja mama wie, co to za choroba. Jeden z naszych znajomych też się z nią urodził. Jesteś świetny, nikogo nie zawiedziesz. Ona cię polubi.

– Myślisz?

– Tym tak bardzo się przejmujesz? Będzie dobrze, Art, moja matka jest bardzo miła dla wszystkich. No, może oprócz synów... – dodał zgryźliwie. – No, rusz się, miejmy to za sobą. Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś był tak zdenerwowany, wystraszony.

– Wziąłem prysznic. I nie zjadłem kanapek. Tylko jedną.

– Nie szkodzi – powiedział rozbawiony Luke. – Byłeś głodny, a człowiek je, kiedy zgłodnieje. Czyli wszystko gra.

– Wiem... Wiem. – Wykręcił ręce.

– Jezu, chodź już. Przecież to nie królowa angielska. Spokojnie. Art szedł powoli. Luke musiał przystanąć i poczekać na niego kilka razy, a przecież nie było daleko. Kiedy otwierał drzwi, Sean i Maureen zabierali się do degustacji wina.

– Witaj – powiedziała Maureen pogodnie. – Ty pewnie jesteś Art. – Gdy stanął niepewnie w drzwiach i przytaknął kiwnięciem głowy, umykając wzrokiem, dodała: – Tak się cieszę, że mogę cię w końcu poznać. Mam nadzieję, że jesteś głodny, bo jak powiedział mi Sean, jedziemy do baru Jacka. Luke łypnął na brata. Plan, by ukazać związek z Shelby jako niezobowiązujący, przelotny, mógł lec w gruzach. Sean tylko wzruszył ramionami.

– Lubię Jacka – odezwał się wreszcie Art.

– Kupiłem steki – wtrącił Luke. – Myślałem, że zostaniemy w domu. Maureen wyszła z kuchni i podeszła do Arta.

– Steki zaczekają, najpierw miasto. Wstydzisz się, co, Art? – spytała go łagodnie, a gdy skinął głową, uśmiechnęła się przyjaźnie. – Mnie nie musisz się wstydzić. Bardzo się cieszyłam na nasze spotkanie. Luke mówił, że bardzo mu pomagasz.

– Pani nie jest królową angielską – powiedział Art, podnosząc głowę. Maureen posłała Luke'owi swoje słynne miażdżące spojrzenie. Bezwarunkowo przywoływała nim do porządku synów, którzy wiele lat temu nadali mu dość długą i wielce wymowną nazwę: „Tylko mi tu, kurwa, nie podskakuj”, choć oczywiście Maureen nigdy w życiu nie wypowiedziała słowa na k.

– Prawie, Art, prawie. Mam więc nadzieję, że będziesz grzeczny i miły. – Gdy potakująco kiwnął głową, dodała: – Ależ oczywiście wiem, że będziesz. No dobrze, to jak chcesz się przywitać z mamą Luke'a? Podasz mi rękę czy się wyściskamy? – Gdy stał zakłopotany, Maureen serdecznie go objęła. –

Cudownie, że pomagasz Luke'owi. Cieszę się, że cię poznałam. Kiedy go puściła, powiedział:

– Mojej mamy nie ma.

– Umarła? – zapytała łagodnie Maureen, na co potakująco skinął głową. – Tak mi przykro. Więc tym bardziej potrzebujesz maminego uścisku. – Uśmiechnęła się. – No, jeszcze jeden. – Tym razem odwzajemnił uścisk. Luke uśmiechnął się pod nosem, chociaż cały czas próbował akcentować, jak bardzo irytuje go ten najazd na jego prywatne terytorium.

Akurat to, co uszczęśliwiłoby każdego faceta, czy też, mówiąc precyzyjniej, normalnego faceta, okazało się dla Luke'a wyjątkowo trudne do przełknięcia. Szybko jednak stało się oczywiste, że Maureen podbiła wszystkich. Nie tylko Shelby i jej rodzinę, ale w ogóle całe miasteczko. Oczywiście nie poznała wszystkich mieszkańców Virgin River, ale spędziła czas z ludźmi, których Luke uważał za swoich przyjaciół, no i fama się rozeszła. Nie tylko zrobiła na nich wrażenie, ale ukazała Luke'a w jak najlepszym świetle. Zaczęło się od kolacji u Jacka. Shelby, która nie miała nic lepszego do roboty, skoro miłosa noc odpadała, też wieczorem pojawiła się w barze, więc Maureen poznała ją wcześniej, niż to zaplanował Luke. Shelby rozpromieniła się, aż poczuł wyrzuty sumienia. Sean wyściskał ją na powitanie, jakby byli starymi kumplami, a potem przedstawił ją matce. Cóż, taki już był, bezpośredni i towarzyski. W barze zjawił się również generał w towarzystwie słynnej Muriel, więc zjedli kolację w ich towarzystwie, a także z Mel i Jackiem oraz Brie i Mikiem. Maureen sporo czasu spędziła też na pogawędce z Proboszczem i Paige. Oczywiście cały czas kołysała w ramionach ich maleństwo. Luke zajrzał po nią do kuchni, ale go przegoniła, utyskując, że ma piątkę zdrowych, przystojnych synów, a zero wnuków. Maureen miała talent do nawiązywania znajomości. Przy niej ludzie się rozluźniali, ona zaś ujmowała ich swoim sposobem bycia. Choćby teraz pilnowała, by Art był blisko niej, okazywała mu zainteresowanie i przyjazny szacunek, dzięki czemu nabierał pewności siebie. Rozśmieszała generała, zjednywała sobie sympatię Mel i Brie, komplementowała Shelby, błyskawicznie zaprzyjaźniła się z Muriel. Ukradkowe zerknięcie na generała zdradziło Luke'owi, że dzięki matce rodzina Riordanów zyskała w jego oczach wiele punktów. Następnego dnia zjedli kolację w rodzinnym gronie poszerzonym o Arta i Shelby. Głównym daniem były steki, którymi wzgardzono wczorajszego wieczoru. Podczas ogólnej pogawędki o tym i owym Luke wreszcie czegoś się dowiedział o najbliższych Shelby. Jakoś dotąd nie mieli czasu na takie opowieści. Jej wuj generał owdowiał niedługo przed emeryturą. Mieli z żoną mnóstwo planów, kiedy Walt Booth już zakończy służbę. Tragedię przeżyła też córka

generała i siostra cioteczna Shelby, Vanessa. Matt, jej pierwszy mąż, służył w piechocie morskiej i zginął w Bagdadzie. Paul był jego najlepszym przyjacielem, opiekował się więc owdowiałą ciężarną Vanessą. Był przy porodzie, w jakimś sensie zastępując zmarłego przyjaciela, a po niedługim czasie wyznał Vanessie miłość. Kochał ją od pierwszego wejrzenia, lecz to Matt został jej mężem. Paul skrzętnie ukrywał swoje uczucia, małżeństwo przyjaciela było dla niego świętością, jednak tragiczna śmierć Matta zmieniła wszystko. Vanessa, Paul i synek jego najlepszego przyjaciela stali się rodziną. Shelby opowiedziała o tym, jak Mel przyjechała do Virgin River po śmierci pierwszego męża, sage Brie i Mike'a, a także jak to się stało, że zaprzysięgły kawaler i samotnik Proboszcz pokochał i związał się z Paige oraz stał się wspaniałym ojcem dla jej syna z pierwszego, fatalnego małżeństwa. Obecnie rodzina rozrosła się do czterech osób. Maureen była zachwycona opowieściami o przyjaciółach Luke'a. Ciekawe, że Luke tych historii dotąd nie znał, jednak mężczyźni inaczej dzielą się sekretami niż kobiety. Święto Dziękczynienia u generała okazało się sukcesem. Maureen poznała resztę rodziny, było dużo śmiechu, a historie rodzinne były na ogół zabawne, ale w żaden sposób nie krępowały nikogo. Luke był dumny z matki. Okazała się duszą towarzystwa, pełna energii, elegancka i zabawna, a kiedy trzeba, współczująca. Trudno było w niej poznać twardą i zasadniczą matkę i panią domu, jaką była przez bardzo długie lata, zapewne dzięki temu Riordanowie przetrwali jako rodzina, a w każdym razie taka rodzina. Uważny obserwator doszedłby bowiem do wniosku, że towarzyska i swobodna Maureen Riordan wobec swoich synów nadal jest bardzo zasadnicza i wymagająca. Do Luke'a dotarło, że dzięki matce zyskał wiarygodność. Owszem, już wcześniej został zaakceptowany, jednak z pewnym znakiem zapytania, jako że dla Boothów pozostawał pewną tajemnicą. Wiedzieli o nim tyle, co i inni mieszkańcy miasteczka. Były żołnierz, człowiek skryty o samotniczych skłonnościach, do którego niełatwo się zbliżyć, ale zainteresowany kobietami. Niby coś, ale jednak niewiele. Komuś takiemu nie do końca się ufa. Lecz oto zjawiała się Maureen i nagle Luke stał się ukochanym synkiem, wspaniałomyślnym człowiekiem, który opiekuje się Artem, bezpieczną przystanią dla Shelby, osobą, po której należy się spodziewać samego dobra i szlachetnych uczynków. To, jak postrzegali go generał i Paul, zaczęło się powoli, lecz zauważalnie, zmieniać. Teraz traktowali go niemal jak członka rodziny, jak kogoś, komu się po prostu ufa. Każdy na jego miejscu poczułby ulgę i byłby wdzięczny matce, jednak dla Luke'a oznaczało to komplikacje. Martwiły go oczekiwania Shelby wobec ich związku, miał to niby pod kontrolą, jednak teraz wiele się zmieniło. W każdym razie nie wiedział, jak odnieść się do oczekiwań rodziny Shelby i całego miasta, które zaczęło postrzegać go jako godnego zaufania mężczyznę o uczciwych zamiarach. Siedział milczący i ponury. Chciał, żeby Maureen i Sean pojechali sobie, przestali zawadzać w kontaktach z Shelby. Ukradli mu tyle czasu, tyle nocy... Nie mógł się



doczekać, kiedy znów weźmie ją w ramiona, a potem... Wreszcie nadszedł niedzielny poranek. Zjedli śniadanie, po czym Art poszedł na ryby. Walizki były już spakowane. Sean odwiezie matkę na lotnisko w Sacramento i ruszy do bazy lotniczej w Beale, gdzie stacjonował. Luke wziął kubek kawy i wyszedł na schody. Słońce pięknie świeciło, jednak było dość zimno. Wkrótce dołączyła do niego Maureen. Miała na sobie kurtkę i też popijała kawę.

– Gotowa? – zapytał Luke.

– Tak. Sean bierze prysznic, będzie gotowy za kwadrans. Czasu mamy niewiele, ale chciałabym z tobą porozmawiać. Dotąd jakoś nie było okazji.

– Byliśmy razem całych pięć dni. – Wzruszył ramionami. – To niemal rekord.

– Luke, od Felicii minęło dużo czasu – powiedziała łagodnie.

– Jasne, że dużo. Przebolelałem.

– Felicia postępowała fatalnie, lecz należy raczej do wyjątków, a nie do większości. Nie powinieneś zakładać, że tak wygląda każdy związek tylko dlatego, że jakaś kobieta źle cię potraktowała. Luke milczał, choć miał wielką ochotę wykrzyknąć: „O czym ty mówisz, mamu? Źle mnie potraktowała? Felicia wmawiała mi, że jest ze mną w ciąży, ale kiedy wróciłem z wojny, okazało się, że dziecko nie jest moje!”. – Shelby to wspaniała młoda kobieta – mówiła dalej Maureen. – Dobrze wam razem.

– Mamu...

– Nie chodzi tylko o nią. To oczywiste, że ona cię kocha. Ale ty... Jak tylko znajdzie się przy tobie, od razu łagodniejesz i rozluźniasz się. Ginie gdzieś ta gburowata maska, stajesz się ciepły i czuły. Shelby jest jakby dla ciebie stworzona, wydobywa to, co w tobie najlepsze. Połączyło was coś wyjątkowego.

– Ona ma dwadzieścia pięć lat.

– A jakie to ma znaczenie? – Maureen pokręciła głową. – Liczy się tylko, jak się do siebie odnosicie, jak czujecie się razem.

– Czegoś nie rozumiesz, mamu. Shelby w porównaniu ze mną nie tylko jest bardzo młoda, ale ma też niewielkie doświadczenie. Opiekowała się matką, zrezygnowała z życia. W pewnym sensie wciąż jeszcze jest dzieckiem.

– Znam historię jej matki. – Maureen przerwała na moment. – Posłuchaj, Luke, Shelby nie jest dzieckiem. Aby zachować się tak jak ona, i to przez długie lata, potrzeba dojrzałości i odwagi. Nie ma doświadczenia

z mężczyznami, ale i tak doskonale wie, co to prawdziwe życie. Twój wiek nie ma dla niej znaczenia.

– Ale kiedyś zaczniesz mieć. Jestem stary. Kiedy ona będzie w moim obecnym wieku, skończę już pięćdziesiątkę z okładem. W pewnym momencie uświadomi sobie, że związała się ze starcem.

– Pięćdziesiątkę? – ze śmiechem skwitowała Maureen. – Ile bym dała, żeby znów mieć tyle. Co za piękny wiek! – Spoważniała, patrząc uważnie na Luke'a. – Wysłałam za twojego ojca, gdy miałam dwadzieścia trzy lata, i mimo sporej różnicy wieku nigdy nie uważałam, by był dla mnie zbyt stary. Przeciwnie, pod wieloma względami czułam się przy nim lepiej niż inne szczęśliwe mężatki przy swych mężach. Był dojrzałym, solidnym, stabilnym partnerem, a to dzięki temu, że miał odpowiednie doświadczenie życiowe i nabytą przez lata pewność siebie. Albo inaczej: wiedział, co w życiu jest naprawdę ważne. A efekt był taki, że czułam się przy nim dobrze, bo on był dla mnie dobry.

– Mamo, ale ja się nie żenię. Każde z nas pójdzie swoją drogą. Shelby nastawia się na karierę, chce mieć młodego męża i rodzinę.

– Wiesz o tym?

– Jasne, że wiem. Sądzisz, że nie rozmawialiśmy? Powiedzieliśmy sobie wyraźnie, czego oczekujemy. Ja nie chcę ani żony, ani dzieci... Maureen milczała przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała:

– Kiedyś chciałeś.

– Przeszło mi. – Próbował się uśmiechnąć, ale tylko syknął gniewnie.

– Zastanów się. To, jak żyjesz, od kiedy opuściła cię Felicia, nie przyniosło ci ukojenia. To zrozumiałe, że unikałeś ryzyka, skoro zostałeś zraniony, ale na Boga, przecież minęło już trzynaście lat! Jeśli poznasz tę właściwą kobietę, nie zakładaj, że pójdzie wam źle tylko dlatego, że kiedyś nie udał ci się związek. Luke, Shelby w niczym nie przypomina Felicii. W niczym. Luke odwrócił głowę, upił kawy i powiedział:

– Dziękuję, mamo. Zapamiętam.

– Zerwanie z Shelby zabolę tak samo, jak odrzucenie przez Felicię. To też zapamiętaj.

– Wiesz co, chyba nie ja tutaj z góry coś zakładam – rzucił niecierpliwie. – Czemu sądzisz, że każdy pragnie udanego małżeństwa i gromadki dzieci? Byłem szczęśliwy przez ostatnie lata. Podejmowałem wyzwania, i odnosiłem

sukcesy, a przy tym dobrze się bawiłem, poznałem świetnych ludzi, przeżyłem kilka związków...

– Drepczesz w miejscu, synu. Odhaczasz lata. Nie żyjesz naprawdę. Luke, w życiu chodzi o coś więcej. Mam nadzieję, że przejrzysz na oczy. Właśnie masz doskonałą okazję, by się przekonać, że możesz to mieć. Po zakończeniu służby dostałeś emeryturę, chociaż nawet nie przekroczyłeś jeszcze czterdziestki. To dobre bytowe zabezpieczenie. Do tego jesteś zdrowy, mądry, spełniony... i masz dobrą kobietę, która jest ci oddana. Nie ma powodu, dla którego miałbyś zostać sam przez resztę życia. Jeszcze nie jest zbyt późno. Gdy mówiła, spojrzał w jej łagodne oczy, ale potem odwrócił głowę. Nie chciał się klócić. Patrzył na to inaczej – dla niego już było za późno. Widział młodą, piękną kobietę, która teraz pragnie z nim być, mieć dzieci, lecz kiedyś się obudzi i stwierdzi, że właściwie niczego nie przeżyła. Zamieniła łożę boleści swojej matki na Luke'a. Nadal będzie młoda, piękna i pełna życia... i będzie żałowała, że nie poszukała dalej i nie znalazła kogoś, kto miałby jej więcej do zaoferowania. Maureen się myliła. Jeśli tak się stanie, jeśli Shelby da mu te lata tylko po to, by w końcu się ocknąć i odejść, wówczas zaboli bardziej. O wiele bardziej. Mówiła cicho do jego pleców:

– Posłuchaj, nie mam pojęcia, co opętało Felicię i dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Z tobą mogła mieć wszystko. Niełatwo znaleźć mężczyznę, który wie, czego chce, i każdego dnia dąży do tego. Była głupia i krótkowzroczna. Poddała się impulsowi. Może myślała, że to, co robi, ma sens, a przecież, powtarzam, mogła mieć wszystko. Jednak odeszła od dobrego człowieka, zrezygnowała z dobrego życia i przyszłości. Luke odwrócił się. W jego oczach płonął gniew.

– Przestań – syknął. – Nie musisz mi tego przypominać. Wiem doskonale, że Shelby jest inna niż Felicia.

– Nie mówię o Shelby, ale o tobie. Tym razem to ty będziesz tym zakochanym, który pod wpływem bezsensownego impulsu z wszystkiego rezygnuje. Zastanów się, Luke. Nie odrzucaj szansy na szczęście. Zapewne jedynej, bo drugiej możesz już nie mieć.

– Przestań – powtórzył łagodniej, niemal błagalnie.

– Zbyt długo kurczowo trzymałeś się tej złości – mimo to mówiła dalej. – Czas zacząć żyć tak, jak zawsze chciałeś. Spojrzeli sobie w oczy. Mijały długie sekundy. A potem w drzwiach stanął roześmiany Sean.

– No to co? Gotowa do drogi? Otrząsnęli się w ułamku sekundy.

– Tak, oczywiście – powiedziała Maureen, oddając kubek Seanowi. – Pozwól tylko, że pójde pożegnać się z Artem.

– To chodźmy do niego – powiedział Sean. – A potem ruszamy.

Luke zaczął przy samochodzie, aż wrócili. Na twarzy matki widniał szeroki uśmiech, zielone oczy błyszczały.

– Luke, kochanie, było cudownie. Bardzo mi się podobają te domki i twój dom, miasteczko, znajomi. Gdybyś postanowił tu zostać, na pewno by ci się spodobało. – Pocałowała go w policzek. – Dziękuję za wszystko. Odezwę się.

– Byle szybko – odparł Luke. – Sean, jedź ostrożnie. Dowieź ją w jednym kawałku.

Słowa matki dały Luke'owi wiele do myślenia. Wiedział, do czego zmierzała. Nawet był skłonny częściowo przyznać jej rację, nie rozumiała jednak, że nawet gdyby sam zdobył się na takie ryzyko, to nie mógł postawić Shelby przed takim wyzwaniem. W przeciwieństwie do niego była młoda i niedoświadczona, gdy on przeżył tak wiele, odnosząc przy tym ciężkie rany, i przywykł do ukrywania uczuć. Mógł popracować nad jednym z domków, ale postanowił się poobijać. Nawet nie musiał zmywać po śniadaniu, bo matka już to zrobiła. Uprał pościel i ręczniki. Wyszedł na schody, a potem wrócił do środka. Przez okno ujrzał Artę, który wracał znad rzeki. Machnął do Luke'a, wszedł do swojego domku i zaraz wrócił nad rzekę. Przerwa na lunch? Przeszło mu przez myśl, że mógłby dokupić Artowi sprzętu, kamizelkę, kosz na ryby, fikuśną czapkę wędkarza. Bardzo kochał matkę. Darzył ją ogromnym szacunkiem. Bolało, że ją zawiódł. Ale przecież nie chodziło o to, czego Luke pragnął. Pragnienia, marzenia... A tu chodziło o coś innego, po prostu o przeżycie. Dlaczego nie potrafiła tego zrozumieć? Drażniła go tymi swoimi teoriami. Skąd się wzięły w jej głowie? Dlaczego je propagowała? No tak, historia jej życia... Maureen była inna niż typowe kobiety z jej pokolenia. Poważnie rozważała wstąpienie do zakonu. Luke widział jej zdjęcia z młodości. Była piękną dziewczyną, a z zasłyszanych opowieści wiedział, że miała niesamowite powodzenie. Jednak Maureen, która serio traktowała nakazy wiary, ani na milimetr nie odstąpiła przed ślubem od swej pruderyjnej natury. Choć sama oczywiście nie mówiła o takich sprawach, ojcu Luke'a wyrwało się kiedyś, że matka zawsze była czysta jak łąka. Kontekst wypowiedzi był oczywisty: dwudziestotrzyletnia dziewica. Do niedawna Luke'a zupełnie nie interesowały takie kobiety. Jednak Shelby to całkiem inna bajka. Była dziewczyną nie dlatego, że czekała na księcia z bajki, ale z braku okazji. Właśnie tego było jej teraz trzeba: okazji, możliwości. Edukacja, kariera, doświadczenie oraz, owszem, kilku partnerów więcej, aby mogła zdecydować, co jest dla niej najlepsze. Niedobrze, żeby młoda, inteligentna kobieta, ciekawa życia i wdzięczna za wszystko, co w nim dobre, utknęła w pierwszym z brzegu związku. To, że Luke był pierwszy, nie

oznaczało, że najlepszy. Boże, gdzie mu do najlepszego... Mimo to w głębi ducha miał nieśmiałą nadzieję, że fantastyczne rojenia matki staną się prawdą. Że faktycznie człowiek przypadkiem spotyka tę właściwą osobę, zatracą się w niej, nie marnuje choćby chwili. A potem kolejne lata i dziesięciolecia zamieniają się w festiwal miłości. Niestety, Luke czerpał nie tylko z własnych złych doświadczeń. Niewielu z jego znajomych miało naprawdę udane małżeństwa, inni tkwili w czymś bardzo średnim lub po prostu marnym, a ilu z nich kobiety oszukały, zdradziły, a po ostatecznym rozpadzie związku pozostawiły z niczym? Ponieważ był twardzielem, to rzecz jasna nie wdawał się w rozmowy o uczuciach z innymi twardzielami, ale zdarzyło mu się pocieszyć paru młodych, zrozpaczonych żołnierzy, kiedy przeżywali utraconą miłość. Tych samych mężczyzn, którzy z podniesionym czołem rzucali się w krwawą batalię, kobiety, które nie umiały dotrzymać obietnicy, sprowadzały do parteru. Matka nie wie, o czym mówi. Nie rozumie go. Chce dobrze, chce jak najlepiej, to rozumiała, tyle że kieruje się złudzeniami.

Nagle zobaczył samochód Shelby. Podjechała pod jego dom. Było wczesne popołudnie, a wiedziała, że Maureen i Sean mają wyjechać rano. Więc się zjawiała. Wstał z krzesła ustawionego na ganku i patrzył, jak wysiada z auta z rozwianym włosom, tak jak lubił. Miała na sobie obcisłe dżinsy, wysokie buty i bezrękawnik narzucony na golf. Stała przy wozie i uśmiechnęła się. Mogła zaczekać, aż Luke przyjedzie do Jacka lub telefonicznie powiadomi, że droga wolna. Ale nie chciała czekać.

– Gdzie Art? – spytała.

– Łowi ryby.

– To dobrze – odparła z uśmiechem. Natychmiast zapomniał o tym wszystkim, czym łamał sobie głowę. Odpowiedział uśmiechem i nawet nie poczuł, jak spływa z niego napięcie, tylko roześmiał się wesoło, swobodnie. Shelby wbiegła po schodkach, zarzuciła Luke'owi ręce na szyję, oplótła się wokół niego nogami i wpiła w jego usta. Zasmakował w jej pocałunku. Nie był w stanie się poruszyć, ponieważ wszystko to, co dla niego ważne, trzymał właśnie w ramionach.

– Powoli, kochanie, powoli – szepnął, napawając się chwilą.

– Okej... Choć trochę mi się śpieszy.

– Mhm...

– Luke, nie mogę się doczekać.

– Tak... – Zaniósł ją do sypialni, opadli na łóżko.

- Nie mogłam się wyrwać wcześniej – powiedziała, pracując nad jego ubraniem. Luke oczywiście rozbierał ją. – Poza tym nie byłam pewna, kiedy...
- Och, już. – Uciszył ją pocałunkiem.
- Buty, Luke. – Zachichotała. – Musimy zdjąć buty.
- Niech raz będzie inaczej – powiedział rozbawiony. – Zdejmijmy spodnie i włożmy buty z powrotem.
- Lepiej nie, bo komuś stanie się krzywda. Szybciej.
- Pali się, kochanie? – Po co pytał, skoro też był napalony jak diabli.
- O rany. – Skubnęła go w usta. – Buty. Zajmij się butami. Błysnęło mu w oczach coś diabelskiego, prawdziwy szatański uśmieszek. Bardzo powoli ściągnął buty najpierw sobie, potem jej. Shelby doprowadzona do dzikiego szału, tak, to niezły pomysł. Złapał ją za nadgarstki, uniósł jej ręce wysoko nad głowę, a potem, powoli oczywiście, zaczął całować jej brzuch, piersi, szyję, brodę.
- Proszę cię! – ponagliła ze śmiechem.
- Czegoś potrzebujesz? – drażnił się z nią.
- Chodziłam napalona cały dzień. Czekałam, aż będziemy sami. Niby od niechcienia rozpiął jej spodnie i wsunął dłoń.
- Luke! – awanturowała się. – Pobawimy się później! Puścił ręce Shelby, ściągnął jej stanik i spodnie, a potem sam się rozebrał.
- Wytrzymam może dwie minuty – powiedział.
- To o połowę dłużej niż ja. Wszedł w nią w mgnieniu oka. Była strasznie wygłodniała, stała się jednym wielkim pożądaniem. Oplotła Luke'a nogami i prawie natychmiast wstrząsnął ją potężny orgazm. Dołączył do niej, czując ogromną ulgę. Wypłynęły z niego całe nagromadzone przez tydzień napięcie, zmartwienie, zwątpienie i paranoja. Nie chciałby być gdzie indziej. Potem nastąpiła część, którą wyjątkowo polubił, to znaczy trzymał Shelby w ramionach, gdy wracała do rzeczywistości, zarumieniona, szczęśliwa, spełniona. Roześmiała się cicho.
- To żenujące – powiedziała. – Coś ty ze mną zrobił?
- Nic, czego ty nie zrobiłaś ze mną. Tęskniłem za tobą.
- Ja za tobą też, ale to był dobry tydzień. Myślę, że za krótko ze sobą jesteśmy, żeby przeżywać takie rozstania.

- Każdej nocy nienawidziłem matki – powiedział, wysuwając się z Shelby.
- E tam. Jest świetna. Masz szczęście, że ją masz. Położył się na boku i przyciągnął ją do siebie. Nagle z rozbawieniem pomyślał, że więcej się dowiedział o Shelby, słuchając jej rozmów z jego matką, niż wtedy, gdy był z nią, gdy płynęły ich intymne i intensywnie przeżywane godziny. Zabawne? Trochę mu to jednak przeszkadzało.
- Opowiedz mi o swojej matce – poprosił.
- Była fantastyczna. Gdyby żyła, na pewno nasze mamy by się polubiły. Zanim zachorowała, tryskała energią. Była piękna, kiedyś pokażę ci zdjęcia. Zawsze była bardzo zapracowana. Musiała, bo ojciec odszedł, nim się urodziłam. Wuj Walt bardzo pomógł, ale mimo wszystko... Chociaż pracowała na pełny etat, zawsze była na każdym szkolnym koncercie albo meczu, w którym brałam udział. Miała czas, żeby przyjmować moje koleżanki. Byłyśmy kumpelkami. Wszyscy dokoła nie znosili swoich matek, wiecznie z nimi walczyli, a my chodziłyśmy razem do kina i na zakupy. Strasznie się cieszę, że mogłyśmy to robić, bo wiesz, to nie jest typowe.
- Wiem. – Odgarnął jej włosy z czoła.
- Tak? Walczyłeś z rodzicami?
- Mam czterech braci. Każdy walczył z każdym. Nadal ze sobą walczymy.
- Ech, jak możesz tak mówić. Sean jest taki słodki...
- Przestań tak go cukrzyć. Sprawia same kłopoty. Opowiedz mi coś jeszcze.
- Na pewno? To nudne.
- Dla mnie nie.
- No dobrze. Kiedy mama musiała zwolnić tempo i coraz bardziej mnie potrzebowała, nie mogłyśmy już wychodzić tak często, ale i tak się dobrze bawiłyśmy. Obie uwielbiałyśmy książki. Czasem czytałam jej do późna w nocy, a już szczególnie „Przeminęło z wiatrem” i „Annę Kareninę”. Kilka razy wracałyśmy do tych powieści. Uwielbiałyśmy stare, pokomplikowane romanse. Oglądałyśmy babskie filmy i płakałyśmy na nich. A potem rozmawiałyśmy o tym, jakie głupstwa popełniły dziewczyny, a chłopcy co zrobili dobrze, a co było nie na miejscu. Fantazjowałyśmy o idealnych facetach. Wiesz, byłyśmy do siebie podobne także i w tym, że żadna z nas nie natrafiła na swój ideał, choć próbowałyśmy zdiagnozować, kto to taki. – Uśmiechnęła się. – Zastanawiałyśmy się, co powinien powiedzieć facet, żeby pod dziewczyną ugięły się kolana. Wiesz, jak teksty Jerry’ego Maguire’a.

- Kto to taki?
- Grał go Tom Cruise.
- Niski.
- Ja też jestem niska.
- I co on takiego powiedział?
- Dzięki tobie czuję się kompletny. Luke uniósł brwi.
- Serio? Co to znaczy?
- Że mnie dopełniasz. No wiesz, że bez ciebie nie jestem do końca sobą.
- Aha... Nigdy bym czegoś takiego nie wymyślił. Roześmiała się, po czym dodała:
- Wymyślałyśmy własne teksty. I gadałyśmy o idealnym facecie.
- Ciekawe... Więc jak wyglądał ten twój ideał?
- Zupełnie inaczej niż ty. Ale potem się zmienił i stał się tobą...
- A idealny tekst?
- E, to głupie...
- Powiedz, chciałbym wiedzieć.
- To tylko taki wymyślony tekst. Nie możesz go ukraść, bo to już nie byłoby to samo. Ale jeśli go użyjesz w stosunku do innej kobiety, powiem wujowi Waltowi, że zrobiłeś mi coś okropnego, a wtedy cię zabije.
- Shelby, leżymy nadzy i właśnie uprawialiśmy niesamowity seks, więc w takiej chwili nie próbuj grozić mi śmiercią. Gdzie twoje maniery? No, mów. Milczała przez chwilę, wahała się, wreszcie powiedziała cicho:
- Jesteś wszystkim, czego potrzebuję do szczęścia. – Podniosła głowę i z niepewnym uśmiechem spojrzała mu w oczy. – Taki tekst. Pisanie scenariuszy albo romansów było kiedyś na mojej liście marzeń. Pogłaskał ją po miodowych włosach, pocałował w skroń.
- Shelby – powiedział cicho. – Myślę, że jesteś wszystkim, czego potrzebuję do szczęścia. Długo na niego patrzyła, wreszcie jej oczy rozbłysły.
- Hej, w mojej fantazji on to mówi bez „myślę”. – Uśmiechnęła się. – To jak, mama cię przekonała, żebyś przyjechał do Phoenix na święta? Powiedziała, że spróbuje.



– Może pojedę. Na dwa dni. Nie wytrzymam kolejnych pięciu. Prawie mnie wykończyłaś po tej przerwie. Wiesz, że z nieśmiałej dziewczicy zmieniłaś się w wampa? Shelby, wyszłaś ze skorupy.

– Może to ty mnie z niej wydobyłeś?

– Widać byłaś gotowa.

– Och, byłam. – Położyła mu dłoń na policzku. – Na ciebie.

Była sobota po Święcie Dziękczynienia. Walt nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w środku dnia leżał w łóżku z nagą kobietą. Gdy był młodym oficerem, służba była tak absorbująca, że po prostu nie miał na to czasu, i tak już zostało aż do emerytury. Poza tym szybko został ojcem, a dziecko w domu to całkiem inne życie. Po jakimś czasie pojawiło się zresztą drugie, i kiedy na przykład próbowali z Peg zabawić się razem pod prysznicem, któraś z pociech waliła do drzwi i krzyczała: „Co wy tam robicie?”. Poważny wiek z pewnością ma swoje zalety, pomyślał rozbawiony.

– Coś śmiesznego? – mruknęła Muriel.

– Tak. Ty i ja. Popołudniowy seks. Psy śpiące przy łóżku. Muriel, to jest dobre. Cieszę się, że nie zamontowałaś lustra w suficie. Roześmiała się.

– Ja też – odparła ze śmiechem. – Nie warto się zastanawiać, jak wyglądamy.

– Może nie tak jak kiedyś, ale ty nadal masz ciało młodej dziewczyny. Naprawdę.

– Wiesz, co najbardziej w tobie lubię? Twoją inteligencję. Bo chociaż jesteś kłamcą, to wiesz, co powiedzieć.

– Posłuchaj, może nie powinienem tego mówić, ale i tak powiem. Nie uprawiałem seksu od śmierci Peg. Dopiero z tobą. Podniosła głowę.

– Walt, ja nie uprawiałam seksu, jeszcze zanim umarła twoja Peg.

– Poważnie? – Nie zdołał ukryć zdziwienia. – To niesamowite. Jesteś stworzona do seksu.

– Hm... – Zmarszczyła brwi. – Nie obrażę się tylko dlatego, że zapewne w tych słowach był ukryty komplement.

– Mówię serio. Jesteś cudowną kochanką. Partnerką. Nie spoufalam się zanadto, prawda? Z tą partnerką?

– Jeszcze nie przekraczasz granicy, ale zbliżasz się do niej.

- Chyba nie myślisz o nas jako o niezobowiązującym związku...
- Nie, Walt. Niezobowiązująca może być pogawędka albo wizyta. Intymność to... Gdy zadzwonił telefon, przetoczyła się na plecy, żeby odebrać, lecz Walt złapał ją za ramię.
- Intymność to co?
- To coś bardzo, bardzo miłego – odparła z uśmiechem. – Mogę odebrać?
- Umiera ktoś z rodziny albo przyjaciół?
- O ile mi wiadomo, to nie.
- No to może byśmy...
- Walt, odbieram telefon! – powiedziała, wyswabadzając się. – Halo?... Cześć, Jack, co się dzieje?... Serio? Nazywa się Mason?... Tak, możesz mu przekazać wskazówki, to mój agent. I dzięki, że najpierw zapytałeś. To miło z twojej strony. Wiesz, to mógł być ktokolwiek. – Z westchnieniem spojrzała na Walta.
- Facet w śmiesznym kapeluszu, który jeździ bentleyem, zjawił się u Jacka i zapytał, gdzie mieszkam. Mason.
- Co on tu robi?
- Skąd mam wiedzieć? Pewnie ma jakiś niezwykły pomysł albo scenariusz i uznał, że jeśli przyciśnie mnie osobiście, to coś da. Nie da.
- Dlaczego powiedziałaś Jackowi, żeby go tu skierował?
- No dobra, posłuchaj. Mason jest upierdliwy, myśli wyłącznie o mojej karierze, którą próbuję zakończyć, ale przez ponad trzydzieści pięć lat był moim dobrym, oddanym przyjacielem i...
- I jest byłym mężem – dodał Walt.
- W ogóle o tym nie pamiętamy. Naprawdę jestem mu coś winna. Kilka razy wyciągał mnie z opresji. Owszem, czasami zapala się do tandetnych projektów, ale gdy tylko coś jest nie tak z moją karierą, staje w mojej obronie jak lew. A teraz ubierzmy się i bądźmy dla niego mili, okej?
- A może przywitajmy go w naszych urodzinowych strojach, żeby wiedział, co jest między nami?
- To byłoby okrutne. Tylko tobie chcę się tak pokazywać. Bądź dla niego uprzejmy, proszę cię. Pozbędziemy się go znacznie szybciej, jeśli rozegram to po mojemu.
- Idę pod prysznic.

– Daj spokój. To zbyt oczywiste, nie sądzisz? – powiedziała, wciągając dzinsy.

– Kiedy zapyta, kto bierze prysznic, odpowiesz: Walt, mój niekoniecznie niezobowiązujący, niezalegalizowany partner, który nie podda się bez walki.

– Jak chcesz. – Rozbawiona machnęła ręką. – Ale ubierz się, zanim zejdiesz. Dziesięć minut później Muriel wpuściła do domu Masona. Gdy uścisnęła go na powitanie, zaczął rozplýwać się w zachwytach nad jej urodą, chociaż nie miała makijażu. Był od niej niższy, miał na sobie kaszmirową sportową kurtkę, buty od Gucciego i bordowy beret na łysej czaszce. Brodę przyprószyła mu siwizna, błękitne oczy były odrobinę zbyt żywe. Albo Mason taki już był, albo wziął trochę cracku. Gdy Muriel podawała mu herbatę, w kuchni pojawił się Walt.

– Mason, chciałabym przedstawić ci Walta Bootha, mojego...

– Partnera. – Wyciągnął dłoń, łypiąc na Muriel spod uniesionych brwi. Pokręciła głową i zachichotała.

– Walt, to mój sąsiad i przyjaciel. Bardzo dobry przyjaciel. – Gdy wziął piwo z lodówki, zaznaczając mową ciała, że nie jest w tym domu tylko gościem, a Mason się sprężył, Muriel powiedziała: – No dobrze, darujmy sobie to napięcie. Mason, co tak ważnego się dzieje, że osobiście pofatygowałeś się do Virgin River?

– Miałem nadzieję, że przyjedziesz na Święto Dziękczynienia. Byłaby okazja, by spokojnie porozmawiać, ale skoro miałaś inne plany... No dobra, mam oscarowy scenariusz, został napisany specjalnie dla ciebie. To komedia romantyczna, ale z poważnym wątkiem. Jack Nicholson chce z tobą zagrać. Tylko z tobą. Jest gotów pójść na ustępstwa, jeśli się zgodzisz, albo w ogóle rezygnuje. To twoja chwila, Muriel. Wiem, że przysyłałem ci dużo śmieci, które konsekwentnie odrzucałaś, ale ten scenariusz musisz uważnie przeczytać. Producenci celują w trzech najbardziej oscarowych reżyserów. Zapadła martwa cisza. Muriel wiedziała, że jej milczenie zmroziło Walta. Pewnie już przywykł, że z miejsca odmawiała, uznał to za normę.

– Przywiozłeś tekst?

– Tak. Przeczytaj go i błagam, przynajmniej porozmawiaj z nimi. Nieważne, co myślisz o powrocie na plan. Jeśli pozwolę ci to odrzucić bez zastanowienia, to powinni mnie zamknąć za sabotaż albo oszustwo.

– No dobrze, Mason. – Wstała. – Chodź, rozpakujesz się w gościnnym domku. Walt, zaraz wracam. Tędy, Mason. Zaprowadziła go do swojego dawnego lokum i wróciła po dziesięć minut, niosąc scenariusz. Walt siedział przy stole i czekał. Bez zbędnych wstępów powiedziała:

– Zwykle to wygląda tak: projekt mi się podoba, więc wyrażam zgodę. Potem Nicholson i reżyser znikają, a nam zostaje ktokolwiek bądź. Kiedy jeszcze pracowałam, mogłam sobie pozwolić na takie ryzyko, bo zawsze w końcu udawało się uratować porządny scenariusz. Lecz teraz jest inaczej. To prawda, nawet jeszcze nie zaczęłam czytać – pomachała scenariuszem – ale na sto procent nie zostawię ani moich koni, ani domu, ani ciebie dla czegoś, co jest patykiem na wodzie pisane. Rozumiesz mnie, Walt?

– On zostaje? – brzmiała odpowiedź.

Mason Fielding przenocował, a następnego dnia przed południem był już w drodze powrotnej do Los Angeles. Wczesnym popołudniem Walt podjechał na Liberty pod dom Muriel i zaczął czekać, aż osiodła Sweety, swoją srokatą klaczkę. Buff musiał zostać, ale Luce pognała przodem, tratując szlak wzdłuż rzeki, aż wreszcie Muriel gwizdnęła świrdrująco, co przywołało labradora do porządku. Powietrze było zimne. Z nozdrzy koni buchały kłęby pary. Śnieg jeszcze nie spadł, ale jeśli wiatr nawieje chmury, to było wystarczająco mroźno, żeby świat przykrył się białą kołdrą.

– Czytałaś scenariusz? – spytał Walt.

– Mhm. Dwa razy.

– Aż dwa?

– To jeszcze nie scenopis, tylko sto trzydzieści pięć stron dialogów.

– Dobry?

– Bardzo. Tu i tam bym trochę pozmieniała, ale tak czy inaczej jest świetny. Autorka robi postępy. Wszyscy oczekiwali po niej właśnie czegoś takiego.

– Po niej?

– A tak, scenariusz napisała kobieta. To będzie dopiero jej drugi film. Pierwszy zebrał bardzo przychylne recenzje. Zaczynała jako dramaturg, debiutowała w bardzo młodym wieku. – Uśmiechnęła się. – Podobnie jak ja. Cóż, jesteśmy rówieśnicami.

– Ten scenariusz naprawdę jest aż tak dobry, że warto się zastanowić?

– Na tyle dobry, że warto zastanowić się nad rozmowami. Jeszcze nie odpowiedziałam Masonowi.

– Zastanowić się nad rozmowami? Co to znaczy?

– Spotkanie szefów, dogadanie szczegółów, obsada, gwiazdy, reżyserzy, i tak dalej.

– Czy to oznacza powrót do Los Angeles?

– Może nie. Rozmowy zwykle nie wymagają obecności aktorów i reżyserów na miejscu. Wystarczy połączenie konferencyjne. Ten scenariusz, jeśli zostanie dobrze zrealizowany, przemieni się w znakomity film, ale gdy reżyser popełni jakiś błąd w założeniu lub aktorzy zostaną źle dobrani, wtedy będziemy mieli następną przeciętną hollywoodzką produkcję.

– Dużo jest takich scenariuszy?

– Tak naprawdę to niewiele i od razu wiadomo, co z nich powinno wyjść. Chodzi o prawdziwy potencjał, a ten go ma. Ale najbardziej podoba mi się to, że mogłabym zagrać samą siebie.

– Samą... siebie? – spytał niepewnie.

– Prosta kobietę, która mieszka na wsi i ma w nosie Hollywood. Odnoszę wrażenie, że w scenariuszu znalazły się elementy autobiograficzne. To historia pisarki, która nie cierpi tej naszej amerykańskiej „fabryki snów” i mieszka na starej farmie z końmi, psami, kozami. Ponieważ ma talent, odwiedza ją pewien aktor z prośbą o scenariusz, który zwieńczy jego karierę. Zwieńczy, bo aktor ma już swoje lata, więc pośpiech jest wskazany, póki nie będzie za późno. Nie mają ze sobą nic wspólnego, a zarazem wszystko, a ich relacje komplikują się coraz bardziej, gdy aktor i pisarka wspólnie pracują nad scenariuszem. Bywa zabawnie, ale też sentymentalnie i wzruszająco. Miejscami nawet namiętne. Dużo emocji. Zero fikuśnej bielizny i biżuterii.

– Jak rozumiem, zastanawiasz się nad tym.

– Nic na to nie poradzę. Zawsze widziałam siebie w takich rolach, tyle że do takiej produkcji trzeba szczególnej ekipy, nie tylko fachowej, co oczywiste, ale wyjątkowo wrażliwej, a takich ludzi zawsze trudno dobrać. To film o przemianie. Coś jak „Nad złotym stawem”, tylko z ciut młodszymi bohaterami.

– Czyli co, klękajcie narody? Gwiazdka wraca na wielki ekran? Spojrzała na niego zdumiona i urażona, po czym ściągnęła cugle. Walt poszedł w jej ślady i konie zatrzymały się obok siebie.

– Wyjašnjmy coś sobie – powiedziała Muriel zdecydowanym tonem. – Nie jestem starzejącą się gwiazdką, która tracąc urodę, traci wszystko. I nie zastanawiam się nad powrotem. Byłam, jestem i do śmierci będę aktorką, nawet jeśli już nic nie zagram. To poważny zawód, to poważna praca. Artystyczne wyzwanie. Niestety naprawdę dobre role, dobre scenariusze

zdarzają się rzadko. Walt, powtarzam, nie jestem starzejącą się gwiazdką, tylko zawodową artystką, która graniem zarabia na życie. To niełatwa praca, lecz ja wdarłam się tak wysoko, że moje honoraria są satysfakcjonujące. Że nie wspomnę jeszcze o czymś. O poczuciu dumy, jeśli zagram naprawdę dobrze.

– Odpuść mi, Muriel. Niewiele wiem o twojej branży. No i nie powiedziałem, że jesteś starzejącą się gwiazdką.

– Ale pomyślałeś.

– Tego mi nie udowodnisz.

– Oj, Walt... – Głośno westchnęła, jakby decydując się na coś.

– Hm. Wydaje mi się, że jednak bardzo chcesz to zrobić. Prawda, Muriel?

– Podobnie jak bohaterka – odparła po długiej chwili milczenia – też nie chcę stąd wyjeżdżać. – Spojrzała na Walta. – Nie chcę cię opuszczać. Proszę, zawsze o tym pamiętaj, jeśli wyjadę z Virgin River kręcić ten film.

– A niech mnie... – Uśmiechnął się.

– Podbiłam ci ego, co?

– Nie o to chodzi, Muriel. Miałem *deujav vu*. Pewnie niewiele wiesz o wojsku, ale to naprawdę zupełnie inna rzeczywistość. Za każdym szkoleniem, awansem albo przydziałem idzie nowe zobowiązanie. Zanim awansujesz z kapitana na majora, oddajesz się armii na następne cztery lata. Jak pójdziesz na kurs pilotażu, masz kolejne cztery lata wyjęte z życiorysu.

– Rozumiem. A to *deujav vu*?

– Pierwszych dwadzieścia lat odsłużyłem, jak by to rzec, bez zastanowienia. Peg poznałem, gdy w wojsku byłem już osiem lat, a po dwudziestu mogłem przejść na emeryturę generalską. Vanni miała jedenaście lat, a Toma nawet jeszcze nie było w planach. Miałem potencjał, mogłem zajść dalej, ale tak samo jak w twoim scenariuszu w każdej chwili wszystko mogło się rozpaść, gdyby pojawili się niewłaściwi gracze. Mogłem pójść na całość. Mało tego, moje zadania stawały się coraz bardziej skomplikowane, rozumiesz, Pentagon, strefy wojenne, attacheu wojskowy. Zawsze kiedy miałem podjąć taką decyzję, siadałem z Peg i tłumaczyłem, o jaką stawkę chodzi. I całkowicie szczerze mówiłem, jakich poświęceń wymaga to zadanie. Poświęceń dotyczących nie tylko mnie, ale całej rodziny. I zawsze kończyłem słowami: „Mogę się zatrzymać w tej chwili i być szczęśliwy. Jeśli powiesz, żebym się wycofał, zrobię to”. Muriel słuchała w ponurym milczeniu. Ona nie

dała mu takiego wyboru. Lubiła życie, jakie teraz wiodła, ale zdecydowała samodzielnie.

– Peg była niezależną kobietą, ale pod pewnymi względami skazana była na mnie, co zresztą było całkiem naturalne. Potrzebowała mnie jako partnera, ojca jej dzieci, żywiciela rodziny. Ja zaś potrzebowałem jej. W końcu zawsze mówiła: „Powinieneś zaspokajać ambicję. Jedź, dokąd musisz, rób, co dobre, a my zawsze będziemy cię wspierać”. Ani razu nie sprawiła, że pożałowałem decyzji, choć wiem, że nieraz było jej ciężko.

– Musiała być wyjątkową kobietą – po chwili zadumy powiedziała Muriel.

– Owszem, była. – Ujął dłoń Muriel. – Ty też jesteś wyjątkowa. Nadeszła moja kolej. Musisz zaspokajać swoją ambicję. To oczywiste, że wolałbym być przy tobie, to jednak zły pomysł. Zostanę tutaj i z dumą będę cię dopingował. Spojrzała na niego z miłością, chociaż żadne z nich nie wypowiedziało słowa „kocham”. Zadrżały jej usta. Mężczyźni mówili jej czułe słówka, komplementowali urodę i inteligencję, ale żaden z nich nie powiedział czegoś takiego. Zamrugła, a potem rzekła:

– Hej, Muriel, przestań, nie płacz. Przynajmniej dopóki reżyser nie powie: „Płacz!”. Korzystając z tego, że konie stały spokojnie obok siebie, roześmiany Walt objął Muriel, po czym spytał:

– Będziesz goła?

– Tylko troszeczkę. Przeszkadza ci to?

– Nie tak jak myślisz – odparł z diabelskim uśmiechem.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dwa tygodnie po Świącie Dziękczynienia upłynęły w Virgin River pod znakiem gorączki większej niż zwykle. Zaczęło się od ustawienia ogromnej choinki między barem a dawnym kościołem. Ponieważ miasto dopiero po raz drugi zdecydowało się na taki gest, więc było to dla wszystkich ważne wydarzenie. Przydała się każda para rąk do ścięcia drzewa, przetransportowania go do miasta, ustawienia i przybrania światłami najwyższych gałęzi, do czego wypożyczono podnośnik. Drzewo przyozdobiono czerwienią, bielą i błękitem, obwieszono złotymi gwiazdami i udekorowano emblematami jednostek wojskowych. Chodziło o to, żeby uhonorować tych, którzy stoją na straży pokoju. Kiedy Luke zobaczył choinkę, uznał, że dobrze trafił. Po raz pierwszy od lat poczuł, że naprawdę jest u siebie. Wkrótce po ustawieniu drzewka ukończono budowę trzech nowych domów i trzy rodziny mogły przenieść się jeszcze przed Gwiazdką. Luke zaoferował swoją pomoc. Proboszcza i Paige należało przenieść z powrotem do części mieszkalnej za barem, znacznie teraz większej. Następnie Paul przeniósł swoją rodzinę do nowego domu za stajniami generała. I wreszcie Valenzuelowie wprowadzili się do nowego domu tuż obok Sheridanów. Brie zwracała na siebie uwagę, gorączkowo przygotowując się do dwóch ważnych wydarzeń: przeprowadzki i porodu. Inni pilnowali, żeby się nie przemęczała. Mike Valenzuela zawsze pozostawał w zasięgu głosu żony, a Jack nie spuszczał siostrzyczki z oka.

Do świąt było już blisko, ledwie dwa tygodnie. Brie właśnie wkładała ostatnią rzecz do ostatniej szuflady, kiedy poczuła bóle porodowe. Jack był tak podekscytowany, jakby to rodził się jego potomek. Każdemu, kto wchodził do baru, mówił, że Brie rodzi. Mike informował go na bieżąco. Kto słyszał o barmanie zdającym relację z rozwarcia i częstotliwości skurczów? Sprawy nabrały tempa, a Luke pozwolił wciągnąć się szaleństwu. Shelby opiekowała się maleństwami Mel. To pewnie dobrze, pomyślał Luke, że miejscowa położna towarzyszy Brie w szpitalu. Był akurat w barze, kiedy gruchnęła wiadomość, że Brie weszła w ostatnią fazę porodu. Knajpa ożyła.

– Mel mówi, że już blisko – powiedział Jack. – Jedziemy! Luke nie wiedział, co się dzieje. Zamierzał wymknąć się po cichu, ale Proboszcz zawołał go do kuchni i zaczął wydawać polecenia:

– Pomóż mi to spakować. Weźmiesz jedzenie, a ja pomogę Paige uporać się z dziećmi. Jack zabierze alkohol i cygara. Paige, zadzwoń do Paula i Vanni i powiedz, że to już. Niech przekażą generałowi. Luke nie miał wyjścia, jak tylko robić, co mu przykazano. Spakował do kartonu to, co Proboszcz wyjął z lodówki i spiżarni: mięso na grilla, drożdżówki, chipsy, marynaty, sałatki, placek. Dorzucił doprawione filety z łososia, przygotowane



do upieczenia z ryżem i groszkiem, także sałatkę i wielki sernik. Zobaczył biegnącego Jacka, który taszczył skrzynkę alkoholu i opakowanie cygar.

– Do zobaczenia na miejscu – rzucił Proboszcz.

– To znaczy gdzie?

– U Brie i Mike’a. Robimy imprezę.

– Co?

– Brie rodzi – tłumaczył cierpliwie Proboszcz. – Pojedziemy do nich, kiedy pojawi się dziecko, o ile to nie będzie środek nocy. Ale ponieważ dopiero co się przeprowadzili, to nie wiem, co mają w lodówce.

– Zaraz, zaraz – odparł Luke. – Przecież ona jest w szpitalu.

– Nie – odpowiedział Proboszcz, jakby zdumiony słowami Luke’a. – Rodzi w domu, z pomocą Mel i doktora Stone’a. Ale dość tego gadania. Pojechali więc. Luke przez całą drogę myślał: Oby tylko nie kazali mi podejść za blisko. Postanowił, że niedługo tam zabawi. Ten cały ambaras z dzieckiem nie był jego bajką. Dom był już pełen ludzi. Vanni i Paige siedziały w salonie z maluchami, jedno w huśtawce, dwa w kojcu, młody Christopher na sofie oglądał kreskówkę, Jack trzymał Davida na rękach i stał w kuchni pełnej mężczyzn, Proboszcz rozstawiał patelnie na kuchence, generał mieszał drinki, a Paul rozkładał talerze, sztućce i serwetki. Luke postawił wielkie pudło z jedzeniem i oznajmił, że będzie uciekał.

– Co ty, nigdzie nie pójdziesz – powiedział Jack. – Moja siostra rodzi pierwsze dziecko. Trzeba się cieszyć.

– No nie – odparł Luke – nie przepadam za dziećmi. Już to przerabialiśmy. Nie bardzo wiem, co z nimi robić.

– Na miłość boską, a co niby masz do roboty? – roześmiał się Jack. – Poza tym, co dobrze umiesz. Przecież wiesz, jak się je, podnosi szklankę i ciągnie cygaro, nie? Drużyna porodowa zajmie się brudną robotą.

– Nie powinno tu być trochę ciszej? I mniej ludzi?

– Będziemy cicho, nikt nie zamierza wchodzić w drogę. – Proboszcz wręczył Jackowi butelkę dla Davida. – Rozdzielisz łóżeczko. Powiedz: dobranoc, David. – Chłopiec przyssał się do butelki, oparł główkę na ramieniu Jacka i poruszał pucułowatymi paluszkami jednej rączki, drugą trzymając butelkę.

– A jeśli ona...

– Jeśli ona co?

– Będzie krzyczała albo co – wyjaśnił Luke z niesmakiem. Jack położył wolną rękę na ramieniu Luke’a.

– Widzisz, a jednak dobrze, że tu jesteś. Czas, żebyś dowiedział się czegoś o życiu. Może ciebie też to czeka.

– Nie ma takiej opcji. Jestem na to za stary. Omiotły go męskie spojrzenia, rozległ się stłumiony śmiech.

– Czyżby? – powiedział Jack. – Nie mów hop, stary. Miałem ponad czterdziestkę, kiedy Mel zaciążyła. Wszyscy tu jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, z wyjątkiem Proboszcza, bo to jeszcze gówniarz, chociaż wygląda starzej niż reszta. Walt podał Luke’owi drinka.

– Ja miałem czterdzieści cztery, kiedy urodził się Tom. I nadal nieźle się trzymam.

– Będziesz musiał znaleźć lepszą wymówkę – powiedział Jack. – Ale zmieniając temat, chciałbym cię o coś zapytać.

– Tak?

– Mam pewien problem. Otóż zwykle jeździmy na święta do Sacramento, ale ponieważ w mieście nie ma lekarza, a Brie właśnie rodzi, tym razem to moja rodzina przyjeżdża do mnie, a nie na odwrót. Trochę ich jest. Przygotowałem domek gościnny dla taty i mam dwa pokoje, w których upchniemy dzieciaki. No i jak wiesz, rodzi się nowy Valenzuela, więc należy się spodziewać najazdu Meksykanów. Rodzina Mike’a jest większa niż moja. Mówiąc krótko, brakuje nam miejsca. Powiedz, jak twoje chatki? Mógłbyś którąś wynająć? Luke uniósł brwi. A to niespodzianka.

– Powiem ci, co mam. Teoretycznie nadają się do zamieszkania, tyle że wyposażenie wprawdzie przyjechało, ale jeszcze nie jest zamontowane. Trzeba pomalować wewnątrz i zamówić meble. Dzięki Paulowi są już nowe dachy, okna i drzwi. Szafki i blaty w kuchni też już mam, ale jeszcze nie wykończyłem listew przypodłogowych. Wstawiłem nowe bojłery.

– Jeśli będziesz miał kogoś do pomocy przy malowaniu i wyposażeniu, to myślisz, że uda ci się ukończyć ze dwa domki do świąt?

– O ile szybko dostarczą meble. Tylko Jack, nawet jeśli mi pomożesz, to będzie niezły zachrzan. Paul włączył się do rozmowy.

– A skąd mają przywieźć meble? Może odebrałbym je autem firmowym?

– Z Eureka. Łóżka, rozkładane sofy, ławy, fotele i tak dalej.

– Zajmiemy się tym – stwierdził Jack. – Byłoby super, gdyby się udało, bo jak nie, to będziemy musieli ich porozwieszać na drzewach. Zaraz wracam. – Zabrał Davida do łóżeczka.

W kuchni zjawiała się Shelby i posłała Luke’owi słodki, trochę tajemniczy uśmiech.

– Nie wiedziałam, że tu będziesz – powiedziała.

– Ja też nie. Zwróciła się do pozostałych:

– Mel mówi, że już niedługo. Mówi też, żebyście się nie urzęnęli.

– Przecież nigdy się nie upijamy na pępowinach – rzucił Proboszcz z oburzeniem. A potem spojrzał przez ramię i dodał: – Z wyjątkiem Paula. Uchlał się po narodzinach Mattiego, ale to całkiem inna bajka. Luke skupił się na roześmianej twarzy Shelby.

– A ty co tu robisz? – spytał.

– Pomagam przy dzieciach Mel, ale ponieważ teraz siedzą z nimi Vanni i Paige, to mogę sobie popatrzeć. Brie mówi, że to jej nie przeszkadza. Nigdy jeszcze nie widziałam porodu.

– Ciekawi cię to?

– Jasne. – Cmoknęła go w policzek. – Do zobaczenia później.

Luke szybko wychylił pierwszego drinka i właśnie pracował nad kolejnym przy wtórze żartów i przyciszonych śmiechów, kiedy do pokoju wszedł Mike, niosąc maleńkie zawiniątko w różowym kocyku. Najpierw poszedł do kobiet. Podczas gdy one uśmiechały się, cmokały i zachwycaly się, mężczyźni tłumnie wylegli z kuchni, żeby przekonać się, co takiego przyniósł Mike. Jego mina wyrażała zmęczenie, a zarazem euforię, czyli reagował jak typowy facet, który właśnie pomógł żonie przy narodzinach ich pierwszego dziecka. Uśmiechał się szeroko, oczy mu błyszczały. Wtedy Luke zaczął sobie przypominać. To zdarzyło się tak dawno temu i było głęboko ukryte. Podeszedł do Mike’a i maleństwa. Uśmiechnął się, delikatnie odchylając różowy kocyk, żeby przyjrzeć się córce Mike’a.

– Gratulacje, stary – usłyszał swój głos.

Kiedy Felicia poinformowała go o dziecku, początkowo była wściekła. To nie było zaplanowane, nie była gotowa. Lecz on czuł, jak rośnie w nim duma. Zakazała mu komukolwiek mówić, nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział, zanim sama nie oswoi się z tą myślą. W tamtym czasie z jego ludźmi łączyła go tak silna więź, że nie sposób było dochować tajemnicy,

zwłaszcza takiej. Powiedział im więc. Pogratulowali, trochę go spili i odwieźli do domu. Wbrew temu, czego życzyła sobie Felicia, Luke zadzwonił do rodziców i braci. Rozpierała go męska duma, życie nabrało nowego znaczenia. Nawet nie próbował zrozumieć zachowania Felicii. Był młodym ogierem, który właśnie spłodził dziecko, a ona była w ciąży, więc cóż tu do rozumienia? Znosił jej nastroje, wytrzymywał ataki złości na cały świat, był cierpliwy. Obserwował, jak dziecko rosło w jej łonie. Powiedziała mu, że to będzie chłopiec. I zaraz potem, może minęło kilka sekund, najwyżej pół minuty, zadzwonił telefon. Somalia. Misja miała być krótka, bo chodziło o utrzymanie pokoju. Zamanifestują swoją obecność razem z piechotą morską i szybko wracają do domu. Czuł, że może wszystko, ponieważ czekała na niego jego kobieta. I jego syn. Euforia nie opuszczała go przez długi czas. Założył, że każdy mężczyzna czuje coś takiego w takiej chwili. Ale w Somalii zrobiło się paskudnie. Ofiary w Mogadiszu, cudem tak mało. Kiedy wrócił do domu, jego wzrok od razu spoczął na wielkim brzuchu żony. Powinien był wpierw spojrzeć jej w oczy, ale nie umiał się powstrzymać.

– Ono nie jest twoje – oznajmiła na powitanie, nawet bez „witaj”, bez „dzień dobry”. – Nie chciałam ci tego mówić, gdy byłeś na misji. Z nami koniec. Odchodzę. Wyjeżdżam z ojcem dziecka. Przykro mi, że tak wyszło. Trzeba było się nie chwalić. Mówiłam. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie leży jego wina. To, że dał się ponieść dumie? Z początku pomyślał, że Felicia żartuje. Taki chory żart. A potem że to pomyłka, bo kiedy miałyby znaleźć czas na innego mężczyznę? Przecież wciąż się kochali. W końcu stwierdził, że nie mogła mu tego zrobić, nie teraz, kiedy uwielbiał ją każdą komórką ciała. Miał ochotę zabić. Może ją. Albo ojca dziecka, którym okazał się oficer z jego jednostki, mężczyzna, którego rozkazów musiał słuchać. Mężczyzna, który był z nim w Somalii, doskonale wiedząc, że Luke z radością oczekuje na narodziny dziecka, które nie jest jego. Miesiące zlewały mu się w jedną szarą masę, bo pił, dużo pił, unikał ludzi, wdawał się w bójki, zagrzebywał się w mrocznej samotności i życzył sobie śmierci. Zanim przypomniał sobie skandal, wstyd, że wyszedł na kompletnego idiotę, zanim wygrzebał z pamięci współczucie i litość, poczuł na ramieniu dłoń.

– I jak? – spytał Jack, przywołując go do rzeczywistości. – Widziałeś kiedy coś tak słodkiego? Luke stłumił wspomnienia. Przez trzynaście lat uczył się tej sztuki, spychania pamięci pod wodę, żeby utonęła. Uśmiechnął się.

– Niezła czuprynka – powiedział.

Przypomniał sobie, jak poczuł się szczęśliwy, kiedy wreszcie nadszedł rozkaz przeniesienia i w końcu mógł wyrwać się z kręgu Felicii i jej nowego partnera. Miał szczęście, że jego kariera wojskowego nie legła wtedy w gruzach, bo w pewnym momencie stracił nad sobą panowanie i kilka razy stanął przed

komisją dyscyplinarną. Wziąwszy pod uwagę, że w Somalii wslawił się bohaterstwem, po czym wrócił do domu, do ciężarnej żony, która oznajmiła, że go opuszcza, dowódcy okazali wyrozumiałość. Przeniesienie było jego drugą szansą, okazją, by się pozbierać.

Czuł się wykończony, miał ochotę wyjść z domu Valenzuelów, ale mężczyźni naciskali, otaczali go, zmuszali do wspólnego świętowania. Kiedy Luke myślni krążył w przeszłości, zjawiała się Muriel St. Claire i dołączyła do tłumu. Zaczęły krążyć przekąski i plotki. W końcu wypchnięto go na ganek, gdzie palono cygara. Muriel wybrała towarzystwo mężczyzn. Paliła i piła, śmiała się razem z nimi. Gdyby w domu było więcej kobiet, pewnie zaczęłyby rozmawiać o ciąży, porodach i tak dalej, ale niewiele o tym mówiono. Jack przyjął swojego synka na tym świecie, Proboszcz prawie zemdłał, kiedy Paige rodziła. Jack przeżył jeszcze bardziej traumatyczne chwile, gdy Mel niemal przyplącała życiem urodzenie córki. Do pałacego towarzystwa dołączył doktor Stone i rozmowa zeszła na Luke'a i jego domki letniskowe, na to, ile pracy trzeba w nie włożyć, żeby były gotowe na przyjęcie Sheridanów i Valenzuelów. Luke zerknął na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że już prawie północ. Mijały godziny, a on szybował w przeszłości, niezbyt świadomy, co się dokoła dzieje. Obok niego pojawiła się Shelby.

– Piękna, co? Objął ją i roześmiał się.

– Shelby, dzieci są jak szczeniaki, nie ma brzydkiego. – Zgasił cygaro w popielniczce. – Jadę do domu.

– Ja też już nie jestem potrzebna. Masz ochotę na towarzystwo? Ścisnął jej ramię. Tego właśnie potrzebował. Shelby w cudowny sposób potrafiła sprawić, że przy niej wszystko było w porządku.

– Mowa.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jack Sheridan widać znacznie poważniej traktował potrzebę dodatkowej przestrzeni dla swoich gości, niż zdawało się Luke'owi, ponieważ już dzień po narodzinach dziecka Brie zjawił się z samego rana w towarzystwie Paula i szóstki mężczyzn. Odgłos silników trzech zbliżających się pikapów wywabił Luke'a z domku letniskowego numer dwa.

– Oho, stawiamy stodołę – skomentował z uśmiechem.

– Tylko powiedz gdzie – odparł Jack. Najpierw Luke pokazał im domek Arta, który był już wykończony. Luke nie był specem od wystroju wnętrz, ale umiejętnie dobrał meble, sprzęty i kolor ścian. Art miał nowe pojedyncze łóżko, stół i cztery krzesła oraz duży fotel, sofę i lampę do czytania. W kuchni znajdowały się kuchenka, mikrofalówka i mała lodówka, która wpasowała się pod blat. W oknach zamontowano drewniane żaluzje, a na podłodze położono dywanik we wzorki. Art miał do dyspozycji naczynia, garnki, pościel i ręczniki. Duża łazienka pomieściła niewielką pralkę, suszarkę i szafkę. Mężczyźni popatrzyli, rzucili jakieś komentarze, pokiwali głowami.

– Wyszło bardzo ładnie – stwierdził Jack. – Niezła robota.

– Nie jestem fachowcem, ale przyznasz, że wyglądają lepiej, niż kiedy je kupiłem. Pokazał też częściowo wykończony domek. Miał nowe listwy, farbę i sprzęty, na razie tylko tyle. Na koniec zaprezentował, jak wygląda domek w stanie surowym. Pośrodku stały niezamontowane sprzęty, żaluzje spoczywały w opakowaniach, dywany były zwinięte, a na płachtach folii spoczywały wiadra z farbą.

– Wygląda na łatwą robotę – uznał Paul. – Dwa dni. Może cztery, jeśli trzeba będzie coś dokupić.

– Cztery dni? – powtórzył zdumiony Luke.

– To tylko przestawianie i kosmetyka. A my jesteśmy szybcy. Robimy to częściej niż ty.

– Mam tylko dwie folie, bo do tej pory malowałem sam, ewentualnie z Artem.

– Żaden problem. Jesteśmy przygotowani. Nawet wzięliśmy listwy, w razie gdyby ci zabrakło. Dobra, jeśli nie boisz się, że coś tu spieprzymy, to możesz już ruszać do Eureka i przypilnować dostawy mebli oraz dokupić to, czego jeszcze potrzebujesz.

– Mam wam zostawić całą robotę? – zdziwił się Luke. – Nie mógłbym tego zrobić.

– Poczekaj, aż zobaczysz moją rodzinę. I Valenzuelów – powiedział Jack. – No, jedź już. Kup pościel i ręczniki. Luke zastanowił się chwilę. To prawda, miał w Eurece parę spraw do załatwienia. Czas najwyższy zająć się Artem, legalizacją jego zatrudnienia, a także domem opieki, w którym mieszkał. By naprawdę móc mu pomóc, musiał poznać jego przeszłość. A kupowanie pościeli, poduszek, ręczników i naczyń nie zajmie przecież aż tak dużo czasu.

– Na pewno? Przypilnujcie Arta, w razie gdyby zbyt się nakręcił tym zamieszaniem? Już taki jest, że aż za bardzo lubi pomagać.

– Jasne, spokojna głowa. Gdzie on jest?

– Jeśli nie ma go tutaj, to znaczy, że poszedł nad rzekę – odparł z uśmiechem. – Od kiedy kupiłem mu wędkę, jest mniej skory do pomocy, ale przynajmniej w zamrażarce mamy pełno ryb. Przyniosę ci trochę do baru.

– Nigdy nie odmawiamy – odparł Jack, taszcząc drabinę z samochodu. Luke przez chwilę patrzył, jak ekipa rozładowuje skrzynki z narzędziami, drabiny, folię, pędzle i wałki, a potem poszedł nad rzekę.

– Cześć, Art – rzucił. – Biorą?

– Biorą. – Zarzucił wędkę.

– Jack i Paul przyjechali z ekipą, żeby popracować przy domkach. Gdybyś chciał, to możesz im trochę pomóc.

– Oni chcą?

– Jasne, ale musisz się ich słuchać, żeby nie przeszkadzać, okej?

– Okej – odpowiedział uszczęśliwiony.

– Jadę do Eureka na zakupy. Potrzebujesz czegoś? Pokręcił głową, potem powiedział:

– Może dużo pomogę Jackowi i Paulowi.

– Na pewno. Chodź, odprowadzę cię. Art lubił towarzystwo ludzi, zwłaszcza takich, którzy traktowali go z szacunkiem, i zawsze, kiedy widział kogoś przy pracy, chętnie, acz nieśmiało, proponował pomoc, choć niektóre czynności wykonywał dość nieporadnie.

Luke’owi załadowanie dwóch pełnych wózków w sklepie zajęło nie więcej niż dwie godziny. Chciał jak najprędzej wyjść z supermarketu, bo w planach miał jeszcze odwiedzić w pewnym niewielkim spożywczaku. Starał się nie roztrząsać z Artem przeszłości, ale odbył z nim kilka rozmów i uzyskał dość informacji, by domyślić się, o jaki sklep chodzi. Griffin’s Grocery na Simmons

Street. Sklep nie wyglądał źle, może był trochę zapuszczony. Luke rozejrzał się i wziął wózek. Po chwili już wiedział, że pakowacz ma zespół Downa, a kobieta przy chłodniach, której zadał kilka pytań, również jest niepełnosprawna umysłowo. Zwrócił uwagę na jej plakietkę z imieniem. Nazywała się Netta. To za nią tęsknił Art.

– Kto tu jest kierownikiem? – zapytał Luke.

– E... e... Stan.

– A gdzie znajduje Stana? Wzruszyła ramionami.

– Może na... zapleczu? Zanim Luke miał okazję ruszyć na poszukiwania, za jego plecami stanął pracownik sklepu i zapytał:

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Chciałbym porozmawiać z kierownikiem. – Luke błysnął uśmiechem. – Ta pani mówi, że nazywa się Stan. Facet miał około trzydziestki, czysty, zadbany, miał na sobie zielony fartuch. Odwzajemnił uśmiech.

– Jestem zastępcą kierownika. O co chodzi?

– No cóż – zaczął Luke. – Właśnie kupiłem niewielki lokal w Clear River. Ot, taki sklepik, mniejszy niż ten. Rzecz w tym, że krucho u mnie z funduszami. To niezła okazja, bo nie mają tam innego sklepu spożywczego – perorował, nie wiedząc, czy faktycznie w Clear River nie ma sklepu. – Zamierzam zatrudnić parę osób na pełen etat i kilka na pół. Zależy mi na utrzymaniu jak najniższych kosztów. Zaciekawili mnie pracownicy waszego sklepu. Są mili i pracowici. I niepełnosprawni. Ciekawi mnie, gdzie ich znaleźliście. Mężczyzna przybrał maskę obojętności.

– To rzeczywiście potrzebny panu Stan, bo to jego pomysł. Jego siostra prowadzi dom opieki, a on daje tym ludziom pracę. Ale lepiej niech się pan zastanowi. Bywają frustrujący, kiedy się zatną. W sumie dobrze mi się z nimi pracuje, ale... – Pokręcił głową ze smutkiem, już nie udawał obojętności. – Niektórym to przeszkadza.

– Mój młodszy brat ma zespół Downa – skłamał Luke. – Wiem, z czym to się je.

– Ma pan do nich cierpliwość?

– O tak – odparł ze śmiechem. – Teraz ma prawdziwą pracę. Cieszy się, że może pokierować własnym życiem. Nigdy nie bierze wolnego, zajmuje się domem, pieniądze odkłada do banku. Prawdziwy skarb!



– Na początek praca nie może być zbyt skomplikowana. Pakowanie, rozpakowywanie dostawy, sprzątanie. Czasami nawet układanie towaru na półkach bywa zbyt trudne.

– Każdy umie co innego. To gdzie znajdę Stana?

– Proszę za mną. Luke z zaskoczeniem stwierdził, że Stan jest młodym człowiekiem przed trzydziestką. Był niewysoki, znacznie niższy od Arta, ale wyglądał na zadziornego. Spojrzał na Luke'a podejrzliwym wzrokiem. Cóż, podejrzliwi najczęściej bywają ci, którzy spodziewają się kłopotów. Wygląd Stana w pierwszej chwili go zmylił, zaraz jednak pomyślał, że Art nigdy nie oddałby ciosu, więc przegrałby z każdym. Przy tym Art nigdy nie kłamie, więc było oczywiste, że to Stan go pobił. Raz jeszcze, najbardziej przekonująco, jak tylko się dało, sprzedał bajeczkę o własnym sklepie. Odpuścił informację o bracie z zespołem Downa, a skupił się na ciężkiej pracy, płacy minimalnej, obowiązkowości, kłopotach z dopięciem budżetu. Stan ze zrozumieniem kiwał głową, na koniec jednak powiedział:

– Niestety, nie mogę panu pomóc. Eureka leży daleko od Clear River, a te dzieciaki nie potrafią prowadzić. To nie są dzieciaki, pomyślał Luke, ale nadal się uśmiechał. Zaproponował Stanowi piwo, przy którym będą mogli porozmawiać o branży, skoro nie stanowią dla siebie konkurencji. Stan chętnie się zgodził, bo akurat miał przerwę. Kiedy wychodzili, Stan nikomu nie powiedział ani słowa, nawet nie zaszczycił pracowników spojrzeniem. Nazwanie Stana brutalnym ćwokiem byłoby bliskie prawdy, tyle że zbyt proste, bo nie sprawiał wrażenia głupca. Luke chciał się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło między nim a Artem, a także dlaczego jego zniknięcie nie zostało zgłoszone. Przy piwie Stanowi zaczął rozwiązywać się język.

– Moja siostra prowadzi dom opieki dla tych psycholi. Pomagam jej, zatrudniając ich w sklepie. Mają co robić i nie muszą siedzieć w domu.

– Sprawiają jakieś kłopoty? – zapytał Luke.

– Wpieniają mnie jak cholera. No bo ile razy można tłumaczyć? I pokazywać? Ale ma pan rację co do jednego. Są tani i obowiązkowi. Może ktoś w Clear River też założy taki dom? To nie takie trudne. Musi być czysto, no i dobrze wyszykowane pod inspekcję. Luke wyobraził sobie niekompetentną osobę, która prowadzi dom opieki wyłącznie dla pieniędzy. Poczuł złość.

– Dałoby się zrobić – powiedział. – Mam byłą żonę, której wiecznie brakuje gotówki...

– To jest to. Niech sama na siebie zarobi.

– Może mógłbym porozmawiać z pana siostrą? Myśli pan, że będzie chciała się podzielić doświadczeniami?

– Czemu nie? Co ma innego do roboty, skoro wszystkie psycholki są w pracy? – Dał Luke’owi adres. – To blisko. Powiedz pan, że ja pana przysyłam.

– Wielkie dzięki.

Podrzucił Stana do sklepu i pojechał pod wskazany adres. Kiedy zapukał do drzwi, bardzo się zdziwił, ponieważ Shirl, siostra Stana, była od niego jeszcze młodsza, sporo jej brakowało do trzydziestki. Kiedy więc zdobyła odpowiednie wykształcenie i doświadczenie, by prowadzić taki zakład? Miała na sobie krótką spódniczkę i sweter w serek z pokaznym dekoltem. Kruczoczarne włosy rozjaśniła różowymi pasemkami i oczywiście żuła gumę. Zdecydowanie nie wyglądała na Matkę Teresę. Za jej plecami dostrzegł wnętrze małego, zabałaganionego domu wyposażonego w stare, zniszczone meble. Art wyglądał na bezdomnego, ale tak naprawdę był po prostu brudny, zaś jego ubranie pamiętało lepsze czasy. Shirl nie marnowała pieniędzy na ciuchy dla swoich podopiecznych.

– Cześć – rzucił Luke, wyciągnął portfel, otworzył go i błyskawicznie zamknął, machając jej przed nosem jak jakiś waźniak. – Szukam Arta.

– Arta? – Zrobiła krok do tyłu. – Kogo?

– Arta Cleary’ego.

– E... chyba jest w pracy...

– Byłem tam. Nie ma go. Zmarszczyła brwi.

– To ty jesteś ten, co opowiadał mojemu bratu o sklepie? – spytała zdezorientowana. – Bo dzwonił i...

– Tak naprawdę to jestem z agencji. – Wzruszył ramionami. – Szukam Arta. To tylko wizyta kontrolna. Z dokumentów wynika, że od dawna nie miał wizyty.

– Okej, okej – odparła, wyciągając przed siebie dłonie. – Niezłe wycucie. Uciekł. Dziś rano. Powiedział, że jedzie do... swojej ciotki w Redding. Jest bardzo stara. Dzwoniłam, nikt nie odpowiada. Niektórzy to straszne prostaki. Właśnie miałam dzwonić do opieki społecznej, ale Art na pewno złapał stopa i wkrótce stawi się u ciotki. Dałam mu szansę, żeby się zameldował. Nie chcę, żeby wpakował się w tarapaty. Co mi zrobisz? Wlepisz mandat? Okej, kłamstwo numer jeden, pomyślał Luke. Art od dwóch miesięcy mieszka w Virgin River.

– Wiesz co? – odezwał się Luke. – Spróbuj dodzwonić się do ciotki. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej dla Arta. I dla ciebie, co? – Puścił oko.

– No tak. – Uśmiechnęła się.

– Zapisz mi adres tej ciotki i jej numer telefonu, dobra? Jak go znajdę, to go odstawię, zanim ktokolwiek się połapie.

– Nie macie jej adresu? Przecież to najbliższa rodzina.

– Tak będzie szybciej. Mówiąc szczerze, mam ciekawsze rzeczy do roboty niż szukanie jakiegoś tam Arta. Ale muszę. – Pomyślał o tym, jak wielu mieszkańców domu musiało uciec, podczas gdy Stan i Shirl inkasowali do własnej kieszeni dotację z opieki społecznej. Co się działo z wypłatą ze sklepu? Czy Stan sam zabierał kasę, ograbiając niepełnosprawnych pracowników? – Coś wymyślę. Będzie trochę papierkowej roboty. Spokojna głowa. Dobrze, że w ogóle chciałaś ich przyjąć. Przydają cię, co?

– Ba!

– Zajmę się tym i odezwę do ciebie. Nie musisz nic robić. – Uniósł brwi. – Nie chcemy, żeby wpakował się w kłopoty.

– Racja. Może wejdiesz? Napijesz się kawy albo... czegoś?

– Dzięki, ale trochę mi się śpieszy. Zostawił Shirl i wsiadł do auta wyładowanego zakupami. Postanowił, że nie będzie ryzykował i poprosi Mike'a i Brie o pomoc. Zaczeka do świąt, pozwoli Valenzuelom nacieszyć się maleństwem i rodziną, a potem wyłuszczy im sprawę domu opieki i pracy Arta. Powiedzą mu, co powinien zrobić, żeby Art mógł z nim zamieszkać. A jeśli nie będzie to możliwe, dopilnuje, żeby kolejny dom opieki okazał się bezpiecznym miejscem. Brie i Mike dzięki prawniczemu i policyjnemu doświadczeniu przynajmniej nim pokierują. Miał też zamiar donieść na Stana i Shirl, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za osoby niepełnosprawne i doili państwową kasę. Luke stwierdził, że będzie musiał wyjechać do matki na dwa świąteczne dni. Jeśli tego nie zrobi, Virgin River przeżyje najazd Bóg wie ilu Riordanów, a tego by nie zdzierzył. A zjawiając się w Phoenix, przypodoba się matce i udobrucha braci. Jednak przed wyjazdem musiał się upewnić, czy wszystko jest dobrze zorganizowane. Miał nadzieję, że Jack i Mike zapewnią swoim rodzinom, czego im będzie trzeba, ponieważ Arta nie wolno było obarczać odpowiedzialnością za gości. Sam Art zaś z pewnością da sobie radę przez dwa dni, choć Luke czuł się źle, opuszczając go na jakiś czas. Poprosił więc Shelby i generała, żeby przygarnęli Arta na świąteczną kolację, wręczyli mu prezenty od Luke'a i w ogóle dali mu odczuć, że należy do rodziny. Wiedział, że z radością spełnią jego prośbę. Shelby. Rozpaczliwie szukał dla niej prezentu. Chciał dać jej do zrozumienia, że jest

dla niego kimś ważnym, ale nie umiał wymyślić nic odpowiedniego. Miał wrażenie, że spodobałoby się coś krzykliwego i błyszczącego, ale nie był jeszcze na to gotowy. Kobiety postrzegają prezent w postaci biżuterii jako pierwszy krok do ożenku, a podarunek w rodzaju swetra wysyła z kolei sygnał, że obdarowującemu nie zależy. Wybrnął więc w inny sposób. Nigdy wcześniej nie wydał tak dużo na żadną kobietę, łącznie z matką. Kupił Shelby wyjątkowe, warte sześćset dolarów ręcznie robione buty ze skóry strusia. Rozwahał jeszcze siodło, ale uznał buty za bardziej osobiste. Wymienili się prezentami tuż przed jego wyjazdem. Kiedy otworzyła pudełko i zobaczyła buty, rozplakała się. Czując na sobie jej pocałunki, cieszył się, że trafił z prezentem. Wziął ją w ramiona i roześmiał się.

– Nigdy nie widziałem, jak płaczesz.

– Ech, rok temu zobaczyłbyś więcej łez...

– Ale to są łzy szczęścia. Dowód, że się spisałem.

– I to bardzo. Te buty są niesamowite. Niczym moja skóra. Mogłabym w nich spać.

– Ale wtedy zrobiłabyś komuś krzywdę – przypomniał ze śmiechem. Podarowała mu skórzaną kurtkę, niemal tak samo drogą, i tak samo osobistą.

– Nie musisz jej często nosić. Wiem, jak uwielbiasz tę starą pilotkę. Poza tym seksownie w niej wyglądasz. Ta jest na te nieliczne okazje, kiedy będziesz musiał się wystroić. Zapytał ją o plany, które miała przed śmiercią Doka i zanim zaczęła pracować w przychodni. Odparła, że złożyła papiery na Uniwersytet Stanforda, Uniwersytet Karoliny Południowej, Uniwersytet Kalifornijski w Davis i Uniwersytet Stanowy w San Francisco. Jednak dopiero zbliżała się Gwiazdka, do września było jeszcze mnóstwo czasu.

– Wysłałam też dokumenty na Uniwersytet Stanowy Humboldta. To niedaleko. Może jednak tu zostanę? Mają świetne studia licencjackie dla pielęgniarek. Powinien powiedzieć, jak bardzo się cieszy, i że chciałby, aby tu została. Ale coś ścisnęło mu gardło i zdołał jedynie wykrztusić:

– Pomyślałaś o wszystkim, kochanie.

Na święta do Phoenix zjechało tylko trzech braci. Luke miał zostać najkrócej.

– Wiecie, Art plus domki pełne gości. Nie mogę siedzieć zbyt długo.

– No i Shelby – dodała matka, przygotowując ajerkoniak. Luke milczał. Maureen i Sean często wspominali o Shelby, on jednak uparcie tego nie komentował. Riordanowie tradycyjnie spędzali święta. Biesiadowali, chodzili do kościoła, dbali o to, by było przyjaźnie i wesoło. Najpierw Colin zadzwonił z bazy nad Zatoką Perską, a potem Paddy z pokładu statku. W Wigilię chłopcy zabronili Maureen gotować, choć lubiła to jak nic na świecie. Zabrali ją do restauracji w Scottsdale, a potem na bilard. Poszli na pasterkę. Maureen promieniała w otoczeniu synów, chwaliła się nimi przed przyjaciółkami, księdzem i siostrami.

– Pójdę do piekła – mruknął Luke do Aiden. – Przyjąłem komunię, chociaż nie byłem w kościele od ostatniej wizyty u mamy.

– Ja też – odparł Aiden.

– I ja – dorzucił Sean.

Roześmieli się tak głośno, że aż Maureen posłała im karcące spojrzenie. Kiedy dorośli, zmienili tradycję i zaczęli otwierać prezenty zaraz po pasterce. Lecz prezenty zeszły na dalszy plan, skoro wreszcie mogli wyciągnąć buteleczkę czegoś mocniejszego. Matce sprawili hojne prezenty. Luke podarował jej kupon upominkowy do stoiska Chanel u Dillarda. Aiden uzupełnił jej kolekcję drogą rzeźbą firmy Lladró. Sean kupił jej nowego iPhone'a. Siebie nawzajem bracia uszczęśliwili skromnymi podarkami. Luke dostał prenumeratę magazynu o motorach i paskudny sweter. Sean sprezentował Aidenowi prenumeratę „Penthouse'u”.

– Co to ma być? – poirytował się Aiden. Miał trzydzieści cztery lata, służył w marynarce jako lekarz ginekolog, leczył zarówno kobiety na służbie, jak i żony marynarzy. Nie miał partnerki.

– Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, jak wyglądają kobiety, kiedy nie są z wizytą u babskiego lekarza.

– Cudnie. Jak mam ci dziękować? Luke kupił dla braci po prostu koszule. Prezent Maureen dla jej synów przebił jednak wszystkie pozostałe.

– To do Camelback Spa – powiedziała z dumą, wręczając im koperty. – W pierwszy dzień świąt mają otwarte od jedenastej do trzeciej. Zapisalam was. Musiałam to zrobić miesiąc wcześniej. Kiedy będę piekła indyka, wy pójdziecie na masaże, maseczki, manikiur i tak dalej. Spojrzeli po sobie, po czym odparli chórem:

– Dziękuję, mam, to cudowne.

– Myślicie, że to nie dla facetów, wiem o tym, ale spróbujcie. Na pewno wam się spodoba! W pierwszy dzień świąt, kiedy Maureen piekła indyka, Aiden,

Luke i Sean znaleźli otwarty bar i utopili poczucie winy, że odpuścili sobie maseczki, manikiur i tak dalej. Gdy wrócili do domu, matka rozplątywała się w zachwytach nad ich odświeżonym wyglądem.

Kolacja pierwszego dnia świąt była jak zawsze doskonała. Maureen uwielbiała dbać o rodzinę, a ponieważ synowie ewidentnie się przejedli, była w siódmym niebie. Luke miał wyjechać pierwszy już następnego dnia rano. Do domu, do Virgin River. Im było bliżej końca ostatniego dnia z matką i braćmi, tym popadał w głębszą zadumę. Myślał o tym, co powiedział Shelby, a mianowicie że z nowym rokiem zacznie wcielać swoje plany w życie. Kiedy wreszcie wszyscy położyli się do łóżek, zrobił sobie drinka i usiadł w pograżonym w półmroku salonie. Znalazł go Aiden i dołączył do niego, też oczywiście z drinkiem. Usiadł naprzeciwko Luke'a. Aiden kiedyś był żonaty. Krótko to trwało, w czasie stażu, i okazało się kompletnym niewypałem. Rozczarowanie zabolowało, lecz szybko podjął decyzję o zakończeniu związku. Jednak wyplątywanie się z małżeństwa okazało się tak żmudne, że po wszystkim czuł jedynie ulgę.

– No – odezwał się Aiden. – To możemy porozmawiać.

– O czym?

– A o tym, że wyglądasz jak zboląły pies. Shelby, zgadza się?

– E tam – odparł Luke, biorąc drinka. – To nic poważnego.

– Czyli nie ma nic wspólnego z bezsensownością i twoim nastrojem? Jakies problemy z domkami letniskowymi? Coś nie tak w miasteczku? Twój pracownik?

– Aiden, nic mnie nie gnębi, może poza tym, że od pół roku urabiam ręce po łokcie, starając się doprowadzić te domki do stanu używalności.

– Dwadzieścia pięć lat. Tak mówią mama i Sean. Piękna.

– Sean to idiota, który wtrąca się w cudze sprawy. To tylko dziewczyna.

– Dziewczyna, przez którą się spinasz.

– Dzięki. – Wstał gwałtownie. – Sam nie wyglądasz lepiej. Idę się położyć. – Wylał resztę drinka.

– Zaczekaj – powiedział Aiden. – Zrób następnego. Daj mi dziesięć minut, okej? Chyba mogę ci zadać parę pytań? Nie jestem Seanem, nie będę ci truł dupy. Milczysz, a ja jestem ciekawy. Luke pomyślał chwilę, po czym poszedł do kuchni i nalał sobie pół szklaneczki. Wrócił, usiadł i oparł łokcie na kolanach.

- Co? – mruknął.
- Okej, rozluźnij się – rzucił ze śmiechem Aiden. – Tylko dziewczyna? Nic poważnego?
- Zgadza się. Miejscowa, no, w pewnym sensie, bo przyjechała w odwiedziny do rodziny i niedługo wyjeżdża.
- Tego nie wiedziałem. Wydawało mi się, że tam mieszka.
- To długa wizyta. Zeszłej wiosny zmarła jej matka. Shelby przyjechała na kilka miesięcy do wuja, a potem chce podróżować, pójść na studia i takie tam.
- Ale... jeśli myślisz, że to na poważnie, to nie ma powodów, by tego nie ciągnąć.
- To nie jest na poważnie – wycedził Luke przez zaciśnięte zęby.
- Okej, dotarło. A ona co o tym myśli? Dla niej to też nie jest nic poważnego?
- Ma swoje plany. Nie usidliłem jej, Aiden. Dałem jej wyraźnie do zrozumienia, że nie interesuje mnie zakładanie rodzinki. Nie jestem dla niej odpowiednią partią, to usłyszała ode mnie, i jeszcze to, że mogła trafić lepiej. Kiedy jestem z kobietą, wiem, jak ją traktować. Jeśli szuka czegoś na stałe, to zły adres. Proste.
- Nigdy?
- Nigdy? A co to w ogóle znaczy? Po prostu żadnego z nas to nie interesuje.
- Akurat... Bo wiesz, akurat mnie to interesuje. Sean mówi, że świetnie się bawi. A ja? Ja chciałbym mieć żonę i rodzinę.
- Przecież próbowałeś. – Luke oparł się na sofie. Rozluźnił się, skoro zmienili temat i przeszli na Aiden.
- To prawda, próbowałem, i to bardzo. Porażka, sam to wiesz. Ale tym razem znajdę kobietę, która nie jest stuknięta i nie faszeruje się prochami. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Tak to jest, jak ignorujesz objawy, bo w łóżku jesteś jak cudotwórca, aż jej się przestawia w głowie. – Wzruszył ramionami. – Cały czas szukam.
- Niezła była – skwitował Luke z uśmiechem.
- O tak.
- Ale cholernie stuknięta.

- Koszmarnie stuknięta – zgodził się Aiden. – Ale ta twoja Shelby... Dwadzieścia pięć lat, podobno piękna i słodka jak miód.
- Pieprzony Sean – mruknął Luke.
- Nie Sean. Mama.
- Prawie to samo. Wiesz, jaka ona jest. Od zawsze prowadzi kampanię pod hasłem „małżeństwo i wnuki”.
- To jak, nie jest słodka? – prowokacyjnie dopytywał Aiden.
- Słodsza niż miód – przyznał Luke. – Ale to skomplikowana sprawa. Jej matka chorowała na stwardnienie zanikowe boczne, a Shelby długie lata się nią opiekowała, aż do śmierci. W ogóle nie poznała życia. Rzuciła szkołę, prawie nie wychodziła z domu. Myślała, że czytanie matce i wspólne oglądanie filmów na DVD to najlepsza rozrywka. Od pół roku odzyskała wolność, ale nie jest jej łatwo, dlatego przyjechała do wuja. Wiesz, powinna wziąć się w garść, ogarnąć to wszystko. Długie lata przez dwadzieścia cztery godziny na dobę opiekowała się matką, to było całe jej życie, a teraz musi zadbać tylko o siebie. Brak jej doświadczenia. Przypomina więźnia na zwolnieniu warunkowym.
- Jezu... Mama o tym wie?
- Jasne, że tak. Dużo rozmawiały, niestety. Mama ją uwielbia. Miałaby ochotę wziąć ją pod swoje skrzydła. – Pokręcił głową. – Ale to fatalny pomysł.
- Dużo przeszła. Jak jej idzie? Ten okres przejściowy?
- Chyba dobrze. – Wzruszył ramionami. – No, bardzo dobrze. Nigdy byś się nie domyślił, przez co przeszła.
- Nie rozumiem, w czym problem. Nie miała dość pieniędzy, żeby zorganizować opiekę dla matki?
- To nie tak. Pieniądzy miała dość. Wuj cały czas ją wspomagał, był gotów opłacić dom opieki dla siostry. Ale Shelby nie pozwoliła. Była mocno związana z matką. Mówi, że były najlepszymi przyjaciółkami. Aiden dumiał przez chwilę, wreszcie powiedział:
- Wiesz co? To niesamowita młoda kobieta.
- Owszem. Do tego ma doskonale maniery. W ogóle nie widać, że spędziła lata w zamknięciu. No i ten jej upór...
- Siła – dodał Aiden. – Poświęcenie.



– Tak, trzeba mnóstwo siły, by przetrwać to wszystko. Jest silna, a zarazem delikatna. – Luke wreszcie się uśmiechnął. – Chyba że zobaczysz ją na koniu. Waży pięćdziesiąt kilogramów, a na koniu śmiga jak Annie Oakley. Aiden przez chwilę powoli sączył drinka, po czym spytał cicho:

– Co zamierzasz zrobić?

– Nic.

– Nic?

– Ona musi... nadgonić. Pożyć. Pamiętasz, jak po latach spędzonych w murach uczelni wreszcie przypomniałeś sobie, że istnieje prawdziwe życie? I co zrobiłeś?

– Ożeniłem się z wariatką.

– Shelby podjęła słuszną i chwalebną decyzję. Zaopiekowała się matką, oddała jej i cały swój czas, i całą siebie. Ale teraz powinna wreszcie zacząć żyć. Wróci do college'u, mówi, że chce zostać pielęgniarką, ale założy się, że będzie lekarzem. Cicha, ale piekielnie inteligentna. Ma pieniądze po sprzedaży domu, więc może sobie pojeździć po świecie i opłacić studia. A świat warto zobaczyć, prawda?

– Mam nadzieję, że trafi do lepszych miejsc niż my – ze śmiechem skomentował Aiden. – Ty zwiedziłeś głównie pustynię, a ja morze...

– Liczy się doświadczenie. Jest młoda, ma czas. Powiem ci coś. Shelby jest tak piękna, że faceci będą się o nią zabijali. Nie zawsze tak było. W liceum krępowała ją nieśmiałość, spotykała się z kilkoma chłopakami, ale nic poważnego się nie działo. Potem zahartowała się, uporała z nieśmiałością i mężnie walczyła o matkę z lekarzami i towarzystwami ubezpieczeniowymi. – Oczy lśniły mu dumą. – Jest gotowa. To jej czas. On pozwala jej odejść, pomyślał Aiden. Dla jej dobra, chociaż to go zabija.

– Słuchaj... a jeśli ona zostanie u wuja? Rozumiesz, na stałe.

– Nie robi tego. – Luke machnął ręką. – Zmarnowałyby szansę.

– No dobra, rozumiem. Ale jeśli?

– Posłuchaj, przyznaję, że dobrze mi z tym. Całe to uganianie się za kobietami już mnie znużyło, więc ucieszyłem się, że w sąsiedztwie trafił mi się taki kasek. Starzeję się, lubię wygodę. W Virgin River jest bar, do którego wieczorem schodzą się miejscowi, naprawdę dobrzy ludzie. Mają doskonałe jedzenie i ani razu nie słyszałem, żeby ktoś włączył szafę grającą. Wciągnęli mnie w swoje towarzystwo. Przestały mnie interesować hałaśliwe, zadymione

knajpy z puszczałskimi pannami. Wiesz, popracować, skoczyć na piwko do Jacka, popolować, połowić... Mówię ci, to idealne życie. Musisz do mnie przyjechać. Aiden zadumał się, po czym powiedział:

- Ile trzeba mieć lat, żeby uznać to za idealne życie?
- Jakieś trzydzieści osiem. - Luke roześmiał się. - W tym dwadzieścia w armii i cztery wojny za sobą. Zamierzam na jakiś czas osiąść w jednym miejscu. Może znajdę tam pracę dla pilota, nie wiem, w ratownictwie.
- Myślisz, że też bym pasował do małego miasteczka?
- Jest tam położna, którą miejscowi uwielbiają. Miałbyś niezłą konkurencję.
- Chodzi mi o to, czy komuś nieco młodszemu spodobałoby się takie życie. Czy raczej koniecznie trzeba być takim starym, zrędlwym pierdzielem.
- Dzięki, braciszku - ze złością mruknął Luke, doskonale rozumiejąc przesłanie.
- Sądzisz, że młoda kobieta wybrałaby takie życie zamiast doktoratu albo podróży dokoła świata? - spytał Aiden.
- Owszem, to możliwe, choćby taka Shelby. Tyle że najpóźniej po dwóch latach dotarłoby do niej, że zrezygnowała z prawdziwego życia i utknęła. No i szlag by wszystko trafił.
- Tylko przypuszczasz, nic nie wiesz na pewno. Luke, mówimy o wyjątkowej, oddanej, upartej, silnej i energicznej kobiecie, która swoje przeszła i która wie, czego chce.
- Skłamałeś, braciszku. Powiedziałeś, że jesteś tylko trochę ciekaw, a robisz mi prawdziwe przesłuchanie.
- Jakie są szanse, że ponownie trafisz na kogoś takiego jak ona, kiedy już Shelby wyjedzie z Virgin River? O ile pozwolisz jej wyjechać.
- Nie o to chodzi. - Luke wstał. - Idę spać.

W pierwszy dzień świąt po południu Shelby stała oparta o ogrodzenie i patrzyła, jak jej kuzyn Tom pilnuje Arta, który siedział na grzbiecie Chico. Art, jak tylko go zobaczył, od razu chciał go dosiąść, choć Chico był dla niego za ostrym koniem. Tom zgodził się pomóc. Jak skończą, Shelby odwiezie Arta do domku, a Tom wyruszy do miasta na poszukiwania swojej dziewczyny. Aż podskoczyła, kiedy poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Końskie kopyta

zagłuszyły kroki Vanni. Shelby odwróciła się do niej, a potem z powrotem, błyskawicznie wycierając policzki.

– Daj spokój – powiedziała Vanni. – Nie udawaj. Coś się wydarzyło pomiędzy tobą a Lukiem.

– Nic. Naprawdę. Vanni zmusiła ją, by się odwróciła.

– Coś się stało – powtórzyła. – Pokłóciliście się?

– Nie, nic z tych rzeczy. Chodzi o to, że...

– O co, kochanie? W oczach Shelby znów pojawiły się łzy.

– O rany, tęsknię za nim. – Wzruszyła ramionami.

– To tylko dwa dni, kochanie...

– Wiem. – Pociągnęła nosem. – Gdyby chociaż zadzwonił i życzył mi wesołych świąt, ale nawet się nie odezwał. Kocha mnie, jakbym była dla niego wszystkim, ale nigdy mi tego nie mówi. Dlaczego, Vanni?

– Kochanie – otarła jej łzę – nie znam Luke’a tak dobrze jak ty.

– Jakby starał się mnie trzymać na dystans...

– Powiedziałaś, że nie będziesz płakała.

– Wcale nie. Powiedziałam, że jeśli doprowadzi mnie to łez, to sobie z tym poradzę. Nadal niczego nie żałuję.

– Boli, co?

– Chyba jestem tak naiwna, jak wszyscy myśleli. – Odetchnęła głęboko. – Zakochałam się w nim, chociaż nie chciałam.

– Och, kochanie. – Vanni ją przytuliła. Shelby oparła głowę na jej ramieniu.

– Trudno będzie z niego zrezygnować. – Uśmiechnęła się smętnie. – Będzie trudno, ale... przeżyję. Bo jaki mam wybór? Gdybym mogła, zrobiłabym drugi raz to samo.

Dzień po świętach, kiedy Walt opiekował się dziećmi, żeby Vanni mogła wytapetować ściany w nowym domu, do Muriel przyjechała Shelby. Zastukała i usłyszała poruszenie wśród psów. Po chwili gospodyni z promiennym uśmiechem otworzyła drzwi.

– Mogę dostać filiżankę kawy? – zapytała Shelby.

- Jasne. Wejdz. Wszystko w porządku?
- Nie do końca. Chodzi o to, że muszę pogadać z kimś, kto nie należy do rodziny. O Luke'u.
- Rany... Co za zaszczyt! Obstawiałabym, że jeśli już, to pójdziesz do Mel. Jesteście blisko.
- Tak, tylko że ona ma w mieście liczną rodzinę. Oczywiście jest dyskretna, ale... Po prostu liczę na to, że powiesz mi o mężczyznach coś, czego jeszcze nie wiem.
- Na początek musisz wiedzieć, że wprowadzić miałam pięciu mężów, lecz i tak nie rozgryzłam, o co tak naprawdę w tym chodzi – uprzedziła Muriel w drodze do kuchni. – To nie moja wina, przysięgam, ale...
- Nie wiem, może byłam głupia – stwierdziła Shelby.
- Och, milion razy zarzucałam sobie głupotę. Jestem ekspertem – odparła rozbawiona Muriel, nalewając kawę. – Powiedz, co się dzieje. Słowa nie pisnę. Zwłaszcza Waltowi. Szybko opowiedziała całą historię: poznała go, zakochała się w nim, przystała na warunek zero zobowiązań, bo miała swoje plany, i tak było w porządku. Lecz teraz zapragnęła czegoś więcej, ale Luke stanął w miejscu, a ona cierpi.
- Kiedy powiedział, że nie chce zapuszczać korzeni, nie interesują go małżeństwo, rodzina i te sprawy, uznałam, że to mi odpowiada. Cóż, odpowiadało. Muriel, on ani razu nie skłamał. Nie oszukał mnie, traktował jak skarb. Ale coś się zmieniło. Chcę podróżować, pójść do szkoły, ale pragnę też całej reszty, partnera, rodziny, bezpieczeństwa w związku z człowiekiem, któremu mogę zaufać. Nie chcę faceta, który rzuci mnie akurat wtedy, kiedy dojdę do wniosku, że nie potrafię bez niego żyć.
- Och, kochanie, też pragnęłam tego wszystkiego.
- Naprawdę?
- Tak, ale się nie udało. Mam nadzieję, że tobie się uda.
- Przecież miałaś taką karierę!
- To prawda, pod tym względem dopisało mi szczęście. – Ujęła dłonie Shelby.
- Mam dla ciebie złe wiadomości, moja droga. Po pierwsze sama nie zmienisz człowieka. Jeśli sam się nie zmieni, to masz pecha. Po drugie, zawsze pragnij tego, czego naprawdę pragniesz. Rozumiesz?
- Staram się iść na kompromis...

– Shelby, związek składa się z wielu kompromisów. Uczysz się żyć z męskimi ciuchami rzuconymi na podłogę zaraz obok kosza na bieliznę, pastą do zębów na lustrze; trzymasz język za zębami, kiedy on jeździ w kółko, bo przecież nie zapyta o drogę. Ale jeśli chodzi o to, co czujesz w głębi duszy, o pragnienia i potrzeby, które uczynią twoje życie pełnym... Tu nie ma mowy o kompromisach.

– Nie?

– Owszem, Shelby. Możesz się zmusić, aby to dalej ciągnąć. Możesz nawet zmusić jego. Ale przyszłość będzie naznaczona goryczą. Nie warto.

– Ty tak zrobiłaś? Powiedziałaś „stop”? I co, żałujesz teraz... że jesteś sama?

– Nie jestem sama – odparła cierpliwie Muriel. – Żyję na własny rachunek, a to co innego. Poza tym mam cudowne grono przyjaciół. To lepsze niż mieć mężczyznę, który do mnie nie pasuje, choćby nawet mi się wydawało, że go kocham. Uwierz mi.

– Oczywiście. Uwielbiam, jak patrzysz na te sprawy – stwierdziła Shelby. Muriel się roześmiała.

– Dużo ćwiczyłam. Co wcale mnie nie cieszy. Przegadały sporo czasu o życiu Shelby, o życiu Muriel. Shelby ze zdumieniem stwierdziła, że ma coś wspólnego z filmową gwiazdą. Dwie godziny później zapytała:

– Co mam zrobić?

– Och, sama będziesz wiedziała. Tylko nie śpiesz się, kochanie. Ale też nie czekaj zbyt długo. Nadejdzie taka chwila, w której uznasz, że czas zadbać o siebie. Shelby, nie musisz rezygnować z marzeń. Nie zadowolaj się resztkami. Nigdy.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Spędziwszy miło święta w Portlandzie z rodzicami, bratem i siostrą i ich rodzinami, Cameron Michaels pojechał do Virgin River, ciągnąc za sobą przyczepę wyładowaną książkami, meblami, ubraniami, komputerem, telewizorem i sprzętem stereo. Zamienił porsche na suwa z napędem na cztery koła, żeby swobodnie się poruszać po górach i dolinach. Kiedy zajechał przed dom Doka, wyszła do niego Mel.

– Witam, doktorze. – Była cała w skowronkach. Za jej plecami pojawiła się Shelby.

– Cześć, Cameron – rzuciła. – Jak droga?

– Nieźle. Tu przynajmniej świeci słońce. W Portlandzie mokro i paskudnie.

– Zostaw na razie przyczepę – powiedziała Mel. – Wezmę małą i idę do Jacka. Potem chłopaki pomogą ci się rozładować. Dzisiaj przenocujesz u nas, póki nie wyszukujemy pokoju. Shelby wróciła do środka.

– Nie chciałbym się narzucać – powiedział Cameron.

– Wyjaśnijmy sobie coś – wesoło odparła Mel. – Przyjeżdżasz pracować w moim mieście za psie pieniądze i nie chcesz się narzucać? Dzisiaj śpisz u nas, a jutro zobaczymy. Zgoda? Wróciła Shelby z Emmą na rękach. Trzymała w dłoni klucze do przychodni, a przez ramię miała przerzuconą kurtkę Mel.

– A gdzie mały? – spytał Cameron.

– Z tatą. To jak, wszystko załatwiłeś? Jakieś problemy?

– Poszło jak po maśle. W ciągu trzech dni wpłynęła oferta kupna domu. Sprzedałem większość mebli, resztę oddałem na przechowanie. Zamieniłem sportowy wóz na suwa. I spędziłem święta z rodziną. Ruszyli w stronę baru.

– Jak się zapatrują na twój pomysł? – zapytała Shelby.

– Sądzą, że do reszty zwariowałem – odparł pogodnie. – Może i tak. Ale co tam...

– Naprawdę nie rozumiem, czemu to robisz.

– Z tego samego powodu co ty.

– Raczej nie. Ja miałam złamane serce. Musiałam uciec w jakieś ciche i spokojne miejsce, żeby się pozbierać, побыć w samotności. Choć nie tak całkiem.

- Z tego samego powodu co ty - powtórzył.
- Czekaj no. - Zatrzymała się. - Jak widzę, szykuje się dłuższa opowieść.
- Któregoś wieczoru spijemy się i porównamy nasze historie. Co ty na to? Pociągnęła go za rękaw.
- To nie ma nic wspólnego z żadną naszą, hm, wspólną znajomą, prawda?
- Nie, Mel. Nie chodzi o Vanessę. - Gdy Shelby otworzyła szeroko oczy, Cameron zwrócił się do niej: - Zanim Paul zmadrzeł i powiedział Vanni, jak bardzo ją kocha, spotkałem się z nią dwa razy. To wszystko, zaledwie dwie randki. Rozczarowała mnie, wybierając innego. Ale nie złamała mi serca. Spokojnie.
- Uff - mruknęła Mel. - Już się martwiłam. Wiesz, w miasteczku krążą plotki, ale nie aż takie!
- Będzie nieźle - powiedział z uśmiechem. Cameron nie zdziwił się na widok wielu samochodów zaparkowanych przed barem, ale przecież nie wiedział, jak wygląda Virgin River poza sezonem. Między styczniem a czerwcem niewiele się działo, głównie padało, nie było polowań, raczej nie chodzono na ryby. Kiedy wszedł do środka, tłum zebrany w knajpie głośno go przywitał. Jack wyszedł zza baru i krzyknął:
- Zapraszamy, doktorze. Witamy.

Potem podszedł Paul z wyciągniętą ręką i Vanni z pocałunkiem w policzek, a na koniec serdecznie objął go Walt. Proboszcz prawie złamał mu żebra, Paige przywitała go przyjaźnie, podeszli Mike i Brie z nowo narodzoną córeczką. Nie minęło wiele czasu, gdy poznał resztę. Zimne piwo z beczki znalazło się w jego dłoni, a przed nim wylądował wybór smacznych dań. Poklepywaniom i uściskom nie było końca. W tłumie wypatrzył June Hudson i Johna Stone'a, którzy pełnili dyżur na telefon. Ojciec June, doktor Hudson, zaproponował wizytę i pogadankę o pracy wiejskiego lekarza, a także wyprawę nad rzekę.

- Poćwiczmy moczenie kija, zanim na poważnie weźmiesz się do wędkarstwa
- powiedział.

Cameron jadł, pił, poznawał ludzi i po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł się jak ktoś, kto należy do prawdziwej społeczności. Miało to bardzo osobisty i bardzo ważny wymiar. W tłumie nie znalazł zbyt wielu samotnych osób, ale nie zdołowało go to tak bardzo, jak bardzo dobijały go kolacje w towarzystwie żonatych partnerów. Poczul się częścią większej całości, choć brakowało mu drugiej połówki, z którą mógłby to uczucie przeżywać. Wreszcie tłum zaczął się przerzedzać, koło dziewiątej zrobiło się prawie pusto. Wyszli ostatni

goście, raz jeszcze wyrażając swoją wdzięczność, serdecznie witając w mieście i życząc powodzenia. Zostali tylko Jack, Proboszcz i Cam.

– Zwykle pijemy po kieliszku przed zamknięciem. Odwiozę cię, jeśli będziesz miał ochotę na jeszcze jednego.

– Jasne – odparł Cameron. – Jack, to było świetne, co zrobiłeś.

– Ja niczego nie zrobiłem. – Rozlał starą, dobrą whisky. – Tak to jest, kiedy wieść się rozniesie. To było zupełnie spontaniczne.

– Ci ludzie są wspaniali.

– Nie mają zbyt dużo pieniędzy, nie są obcy, nie czytali klasyków, w każdym razie większość z nich, ale to miejsce ma duszę. Nie dorobisz się na nich, ale poznasz wartość przyjaźni i wdzięczności. Nigdy nie będziesz ani głodny, ani samotny. Tym żyje miasto. Spodoba ci się.

– Nigdy nie czułem się niedoceniany w pracy, ale to jest czymś całkiem nowym. – Podniósł szklaneczkę. – Za nowy początek.

– Za pomyślność – powiedział Jack.

– Cieszę cię, że to zrobiłem. – Cameron wypił do dna.

– Sporo ryzykowałeś, doktorze – zauważył Proboszcz.

– A ty? – spytał Cam.

– Nic a nic. Kiedy zobaczyłem, co tu Jack urządził, nie musiałem się długo zastanawiać.

– To widać. Dziękuję, że daliście mi szansę.

Luke wyciągnął Shelby z imprezy powitalnej Camerona, gdy tylko tłum zaczął się przередzać. Luke pojechał z Artem, a Shelby swoim wozem. Gdy dotarli na miejsce, Shelby najpierw poszła z Artem do domku, żeby sprawdzić, czy niczego mu nie brakuje.

– W porządku, Art? – spytała.

– Bardzo. – Uśmiechnął się.

– Karaluchy pod poduchy.

– A szczypawki do zabawki – odpowiedział jak zwykle.

– Nie zapomnij o modlitwie.



- Nigdy nie zapominam.
- I o umyciu zębów.
- Nigdy nie zapominam. A potem poszła do Luke'a, który stał na ganku.
- Myślałem, że to ja uratowałem mu skórę, ale on uwielbia ciebie – powiedział z uśmiechem.
- Lubi, nic więcej. – Uśmiechnęła się, gdy ją przytulił. – Musisz wreszcie z kimś o nim porozmawiać. Na pewno nikt nie będzie miał nic przeciwko, że tu mieszka, o ile jest zdrowy i bezpieczny.
- Już zacząłem działać w tym kierunku. Znalazłem miejsce, z którego uciekł. Nic przyjemnego, uwierz. Porozmawiam z Mikiem i Brie, jak go stamtąd wyrwać. – Pocałował ją.
- Chcesz go tu zatrzymać?
- Przecież go nie adoptuję. – Wzruszył ramionami. – Dam mu dach nad głową i coś do roboty. Nie powinien pracować dla kogoś, kto go bije. – Zaprowadził ją do środka.
- Ale będziesz za niego odpowiedzialny, tak?
- Shelby, to nic wielkiego. Art nie wymaga dużo uwagi, a tu jest bezpiecznie.
- A kiedy sprzedasz domki i się wyprowadzisz, to co wtedy?
- Jeśli tak się stanie, znajdę mu dobre lokum. Takie, którego będę pewny.
- Nie obawiasz się, że go zranisz?
- Wiem, że jest wrażliwy i muszę być delikatny. Będę się tym martwił, kiedy przyjdzie pora.

Znała go od paru miesięcy, od dwóch bardzo blisko, co było dla niej emocjonujące. To, jak się odnaleźli, było wprost niesamowite. Aż przechodził ją dreszcz, gdy o tym myślała. Nie żałowała czasu, który poświęciła na czekanie, ponieważ teraz była pewna, że z żadnym innym mężczyzną nie czułaby się tak jak z nim. Dla niej to był cud. Los postawił na jej drodze idealnego mężczyznę. Gdy jej dotykał, wiedziała, że on czuje to samo. Ale prócz tego nie dawał żadnych innych oznak. Po seksie tulił ją czule. Nie przestawał całować, dotykać i pieścić. Czarował ją tą swoją czułością, zaangażowaniem, a jednocześnie nie dawał do zrozumienia, że jest zakochany. Jak mu się to udawało? Cóż, gdyby wiedziała, być może odeszłaby bez bólu. Ułożyła się na nim i popatrzyła mu w oczy.

– Mamy w mieście nowego lekarza, więc Mel już nie będzie potrzebowała mojej pomocy. Siedzę tu od sierpnia. Mam coraz mniej do roboty.

Pieszczotliwie przesunął dłonią po jej plecach, mówiąc ze śmiechem:

– Ja ci zajmę czas. Spojrzała mu głęboko w oczy. Tak pełna miłości do niego. Jak mógł nie wiedzieć. Nie powie mu pierwsza, że go kocha. Nie poprosi go o to, duma jej nie pozwoli. Ale da mu szansę.

– Wszystkie dokumenty wysłane, pozostaje tylko czekać. Pamiętaj, że złożyłam nawet na Uniwersytecie Humboldta, w razie gdybyś stwierdził, że nie możesz beze mnie żyć. Mają świetny program studiów.

– Założę się, że istnieje wiele znakomitych programów, prawda? Skinęła głową i skoncentrowała się na telepatii. Powiedz to, pomyślała. Powiedz, że mnie kochasz i pragniesz, bym została. Z tobą.

– Ten jest równie dobry jak na innych uczelniach. Zamiast odpowiedzieć, objął ją mocniej i przetoczył się tak, że znalazła się pod nim. Złożył na jej ustach głęboki, namiętny pocałunek. Zaczął pracować dłońmi, wzniecając w niej pożądanie. Westchnęła zawiedziona i poddała mu się, wiedząc w głębi duszy, że więcej z niego nie wyciągnie.

Pierwszego stycznia Abby zadzwoniła do Vanessy z domu swoich rodziców w Seattle.

– Cześć, co powiesz na to, bym cię wkrótce odwiedziła? – spytała.

– Super. Ale masz wycucie! Właśnie przeprowadziliśmy się do nowego domu i zostało jeszcze sporo do zrobienia, więc w przerwach między wycieczkami na wybrzeże i wyprawami do sklepu mogłabyś mi pomóc.

– Z wielką chęcią. Więc kiedy mogę przyjechać?

– Kiedy tylko zechcesz.

– No to szykuj pokój gościnny. Będę za kilka dni. W dniu wyjazdu Abby ucałowała rodziców i ruszyła na południe. Jak tylko wsiadła do auta, mięśnie jej brzucha rozluźniły się i poczuła, jak wypełnia spodnie z gumką. Miała ze sobą przenośną lodówkę pełną jedzenia i picia. Wczesnym wieczorem minęła dom generała, skręciła za stajnię i podjechała pod nowy dom. Zatrąbiła i wysiadła. Roześmiana Vanessa wyszła ją przywitać, ale kiedy Abby ruszyła w jej stronę, zatrzymała się i szeroko otworzyła oczy. Abby lekko pogładziła się po zaokrąglonym brzuszku. Vanessa, otrząsnąwszy się z szoku, objęła ją i powiedziała z uśmiechem:

- Nie mówiłaś, że nie będziesz sama.
- Źle ze mną...
- Lepiej chodź do środka, kochanie. Widzę, że chcesz o czymś porozmawiać. Vanni akurat piekła coś smacznego. Matt pełzał po podłodze w salonie i próbował wstawać, trzymając się mebli. Paula jeszcze nie było, najpewniej wstąpił do baru na piwo.
- Czemu mi nie powiedziałaś? - spytała Vanni.
- No bo się wstydziłam. To raz. A dwa, że wpadłam po uszy. Jedyne osoby, które wiedzą o mojej ciąży, są rodzice i lekarz. No i teraz ty.
- Wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko, ale długo nie utrzymasz tego w tajemnicy.
- Na ślubie Nikki i Joego wszystkie wiedziałyście, że kroi się rozwód. Nie byłam w stanie o tym rozmawiać, ale małżeństwo z Rossem rozpadło się dużo wcześniej. Jeśli śledzisz brukowce, to wiesz, że kiedy się rozwiedliśmy, on od ponad pół roku mieszkał z inną.
- Tak mi przykro, kochanie. Nie czytam brukowców.
- Nie powinnam była zwlekać z rozwodem, tylko od razu podpisać papiery, kiedy mnie o to poprosił. - Roześmiała się gorzko. - Nie, jego prawnik. Nieprzyjemny typ, wydzwaniał co tydzień. Pozwalałam, żeby się nagrywał na sekretarkę. Od Rossa już od roku nie miałam żadnych wieści. Nie pytaj, dlaczego czekałam, ale wcale nie chciałam, żeby wrócił. To był szok, nie umiałam z tym dojść do ładu, pozbierać się. Byłam taka głupia, że za niego wyszłam. Myślałam, że go znam. Jak tylko po ślubie wróciłam do Los Angeles, podpisałam papiery, a po miesiącu byłam już wolna.
- I bardzo dobrze.
- Och, jasne, że tak. Wiesz, że poznaliśmy się, kiedy on był właśnie na odwyku? Przez chwilę było cudownie. Był słodki, czarujący, codziennie chodził na spotkania. Ale sześć tygodni po ślubie pojechał w trasę i znowu zaczął brać. Schrzaniłam sprawę, Vanni, bo podpisałam umowę przedmałżeńską, taką prostą jak drut. Jeśli będę mu wierna w czasie trwania małżeństwa, w przypadku rozwodu należą mi się alimenty. Nie było czego się bać. - Przerwała na moment. - Tyle że jego prawnik pokazał mi rachunki. Chodziło o karty kredytowe, o których nawet nie wiedziałam. No i okazało się, że mam dług. Tysiące, dziesiątki tysięcy dolarów. Potrzebowałam tych alimentów, żeby spłacić moją część tego długu. Długu Rossa.
- To gnojek - powiedziała Vanni. - Nie powinnaś czuć wyrzutów sumienia.

– Bo nie czuję. – Pogłaskała się po brzuchu. – To się stało tuż przed podpisaniem papierów, zanim się rozwiodłam. Nieważne, że on już wtedy mieszkał z inną.

– Kto jest ojcem? – spytała delikatnie Vanni.

– Wybacz, ale nie potrafię o tym rozmawiać. To był jeden raz, z nieznajomym. Czuję, cudownym nieznajomym. Gdybym nie zaszła w ciążę, skontaktowałabym się z nim, by lepiej go poznać. Bez pośpiechu, mnóstwo czasu, by się zastanowić, przekonać, czy to ten właściwy. Zupełnie inaczej niż z Rossem. Ale teraz to zbyt duże ryzyko. Od razu by wiedział, że jest ojcem. I co, gdyby okazało się, że wcale nie jest takim wspaniałym człowiekiem? Vanni, wiem o nim tylko tyle, że tej jednej nocy był dla mnie dobry. Jezu, Ross był dla mnie miły znacznie dłużej i zobacz, jak się skończyło. Nie mogę ryzykować. Nie mogę narażać dzieci.

– Dzieci?

– Tak... – Umknęła wzrokiem. – Właśnie się dowiedziałam. Bliźniaki.

– Jasny gwint.

– Właśnie. Dlatego tak się poszerzyłam.

– No więc... jaki masz plan?

– Muszę się gdzieś zaszyć, dopóki dzieci nie podrosną. Przynajmniej kilka miesięcy. Kiedy już się urodzą, żaden z prawników Rossa nie oskarży mnie o złamanie umowy i nie zażąda zwrotu alimentów, ale jeśli ktoś odkryje, że jestem w ciąży, prawnicy zdobędą nakaz sądowy i będę musiała poddać się badaniom, żeby określić, kiedy nastąpiło poczęcie. Niecały miesiąc przed rozwodem. Strasznie się boję, że tak się stanie, a jak wtedy spłacę długi?

– Pytałaś kogoś? Ginekologa?

– Tak. Można ustalić datę poczęcia na podstawie wyników badań prenatalnych. Muszę zniknąć, póki nie spłacę długów i póki nie przestanę odbierać alimentów. Dzieci podrosną, a prawnicy Rossa stracą zainteresowanie... Chyba.

– A co z pracą?

– Wzięłam rok bezpłatnego urlopu w liniach lotniczych i zamierzam coś wynająć. Zmieniam oficjalny adres, korespondencja będzie kierowana do Seattle. Mama odbierze pocztę i prześle ją do mnie. Ma też upoważnienie do mojego konta, będzie mi przekazywała pieniądze. Jeszcze tylko sześć

miesiący, no, coś koło tego. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Nie chcę jego pieniędzy, ale co innego mogę zrobić, skoro muszę spłacić te długi...

– Absolutnie nie wolno ci czuć się winną! – Vanni ujęła ją za rękę. – Dobry Boże, przecież on cię zdradzał, kłamał, ćpał...

– Tak, ale ja zaszłam w ciążę...

– Zapomnij o wynajmowaniu mieszkania. Zostaniesz z nami.

– O nie, nie mogę...

– Nie pozwolę, byś była sama w ciąży! I to z bliźniętami! Paul też na to nie pozwoli! Pomożemy ci przez to przejść. Mamy świetną położną. Poznałaś Mel na ślubie Nikki. W Grace Valley przyjmuje ginekolog, a w naszej przychodni właśnie zaczął pracować pediatra, zresztą mój stary znajomy. Zobaczysz, wszystko się ułoży. Abby rozplakała się na dobre, kryjąc twarz w dłoniach. Vanni otoczyła ją troskliwym ramieniem.

– W porządku – szepnęła. – Nie płacz. Urodzimy te dzieci. – Matt podpełzł do Abby, podciągnął się na jej kolanie i zaczął klepać ją po udzie, gaworząc. – Zapamiętaj, nie płaczemy z powodu dzieci.

– Boże, Vanni. Nie wiedziałam, co robić. Nie powinnam być w ciąży, i to z dwójką! Ale ja chcę je urodzić. Tak bardzo tego pragnę!

Abby urządziła się u Paula i Vanni i po raz pierwszy od wielu tygodni poczuła się naprawdę bezpieczna. Nadal jednak nie była gotowa, by poznać mieszkańców miasta. Kiedy gospodarze od czasu do czasu jeździli do Virgin River na kolację u Jacka, odmawiała. Wciąż czuła się skrępowana i wstydziła się wystąpić jako samotna kobieta w ciąży, choć w obecnych czasach wcale nie było to czymś niezwykłym ani skandalicznym. W połowie stycznia wypadł termin badania prenatalnego, umówiła się więc z Mel Sheridan. Nadszedł czas zastanowić się nad porodem i regularnie się badać. Za opiekę medyczną Abby zamierzała płacić gotówką jak ktoś, kto nie ma ubezpieczenia. Tak było bezpieczniej ze względu na prawników Rossa. Jak przepowiedziała Vanni, po wizycie była pod wrażeniem profesjonalizmu Mel.

– Samotna matka, co? Trudne wyzwanie, ale masz szczęście. Bliźnięta, zdrowa jak ryba, przyjaciele. Czego więcej trzeba?

– Trochę się denerwuję porodem.

– Co potem? Opieka i praca?

– Jak trochę podrosną, pojedę do rodziców. Mama mi pomoże, czeka na mnie niecierpliwie.

– Dobry plan. Z pomocą rodziny powinno się udać. Co do porodu, to albo przyjmie go doktor John Stone z Grace Valley w szpitalu Valley, albo ja z pomocą doktora. Nie podaję znieczulenia, ale to są bliźniaki, więc będą mniejsze niż dzieci z pojedynczej ciąży. Powinno pójść szybciej. No i wcześniej. Będziemy cię monitorować na USG. Gdyby potrzebne było cesarskie cięcie, mamy Johna Stone'a. Jest świetny. Jakby tego było mało, pracuje u nas doskonały pediatra. Wiesz, że Paul asystował przy narodzinach Mattiego?

– Słyszałam.

– To był cudowny poród. Urządziliśmy imprezę. Wszyscy się zebrali u generała. Paul myślał, że nie da rady, ale spisał się znakomicie.

– To będzie moje pierwsze i ostatnie doświadczenie tego rodzaju.

– Nie mów hop. Jesteś młoda i płodna. Masz jeszcze parę lat na zmianę zdania.

– Ta ciąża trochę mnie... zaskoczyła.

– Tak? – Mel roześmiała się. – Moje dwie też były niespodzianką, a jestem przecież profesjonalistką. Ubierz się, proszę. Abby czuła się naprawdę dobrze. Nawet pomyślała, że mogłaby wybrać się na miasto. Będzie dobrze, stwierdziła. Mieszkańcy Virgin River są mili i tolerancyjni. Mel była taką położną, jaką chciałyby mieć każda kobieta. Nie tylko świetnie знаła swój zawód, ale była ciepła, zabawna i urocza. Kiedy Abby wyszła z gabinetu, Mel czekała na nią przy recepcji z kartą w ręku.

– Wszystko wygląda dobrze, Abby. Masz dość witamin czy coś ci przepisać?

– Mam spory zapas od ginekologa.

– No to dobrze. W tym momencie w oczach Abby pojawiło się bezkresne zdumienie. Tak samo jak w oczach Camerona. Spojrzeli na siebie. Cameron siedział za biurkiem i sprawdzał coś na komputerze. Kiedy Abby przyszła do przychodni, miał akurat pacjenta, dlatego się nie spotkali. Mel zauważyła, że przyglądają się sobie, więc powiedziała:

– Abby, poznaj doktora Michaela. Cameron, to jest Abby MacCall.

– Witam. – Wstał.

– Miło mi poznać – odparła. Wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę. Z wahaniem podała mu dłoń.

– Abby... MacCall, tak?

- Tak. Cześć.
- Mieszkasz w Virgin River?
- Odwiedzam znajomych.
- Sam jestem tu nowy. Spodoba ci się.
- Hm... Ja tylko na krótko. Lepiej już pójdę.
- Do zobaczenia – powiedział do jej pleców.
- Jasne. – Prawie wybiegła na zewnątrz. Odprowadził ją wzrokiem, a gdy zamknęła za sobą drzwi, spojrzał na Mel.
- Myślałam, że zostanie tu aż do porodu. Dziwne – powiedziała.
- Tak, dziwne... Który miesiąc?
- Czwarty. A co? Na moment umknął wzrokiem, zaraz jednak spojrzał Mel w oczy.
- Znam ją, i to nawet całkiem nieźle, tyle że nie widziałem jej od... czterech miesięcy.
- Nie bardzo rozumiem.
- Od czterech miesięcy.
- Mów jaśniej. Milczał przez chwilę, wreszcie oznajmił:
- Wygląda na to, że jestem ojcem.
- O rany... – Mel tylko tyle zdołała powiedzieć.
- Gdzie mieszka?
- U Vanni i Paula.
- Mel, to moje dziecko.
- Dzieci. Bliźnięta.
- Uff... Więc tak to wygląda. – Włożył kurtkę, wziął torbę z instrumentami, która dla wiejskiego lekarza jest jakby przedłużeniem ręki. – Muszę się przejść. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Nie spodziewam się pacjentów.
- Zaczekaj, tylko chwilka. – Mel sięgnęła do pudła z lekami, wyjęła dwie duże buteleczki witamin i podała je Cameronowi. – Zawsze możesz powiedzieć, że przyjechałeś tylko po to, by dostarczyć leki...

– Dzięki, Mel. Przepraszam...

– Daj spokój, niby za co? – Popatrzyła na niego uważnie. – Dobrze zakładam, że nie łączy was... żaden związek?

– Niczego nie zakładaj. – Uśmiechnął się niewesoło. – Może tylko to, że... mamy problem. – I już go nie było.

Pukanie do drzwi wejściowych rozległo się dziesięć minut po tym, jak Abby wróciła od Mel. Nie zareagowała, tylko dalej pakowała walizkę. Nikogo więcej nie było w domu. Do pukania dołączył dzwonek, ale Abby go zignorowała. Zamiast przejmować się kolejną konfrontacją z Cameronem, zastanawiała się, jaką wymówkę poda Vanni. Nie była gotowa powiedzieć wprost: Facet, który mnie zapłodnił, mieszka w Virgin River. Gorączkowo myślała, dokąd pójść. Nikki i Joe w Grants Pass absolutnie odpadali, bo byli zbyt blisko, hm, miejsca poczęcia. No i Cameron wiedział, że Nikki jest jej przyjaciółką. Może więc jakieś anonimowe miasteczko na południu, gdzie nikogo nie znała? Pukanie ucichło, za to po chwili usłyszała:

– Nie musisz uciekać. Podskoczyła przerażona i odwróciła się gwałtownie.

– Jak tu wszedłeś?

– Może klucz pod doniczką? Też tam trzymam. Mało pomysłowe. Abby, już za późno na ucieczkę. Podniosła dumnie głowę, ale w jej oczach pojawiły się łzy. Położyła dłoń na brzuchu.

– Ja...

– Czego się boisz, Abby? Myślisz, że chcę cię skrzywdzić? Wiesz, że nie. Gdybym chciał to zrobić, w Oregonie miałem ku temu idealną okazję.

– Cameron, posłuchaj, to skomplikowane. Nie chcę tego bardziej gmatwać. Proszę. Wzruszył ramionami, włożył ręce do kieszeni i oparł się o framugę.

– Oświeć mnie. Powiedz, dlaczego tak cholernie się boisz, że twoje życie stanie się jeszcze bardziej skomplikowane. I na miłość boską, przestań się pakować. Nie jestem twoim wrogiem. Rzuciła się na łóżko i zaczęła rozpaczliwie płakać, ukrywając twarz w dłoniach. Ostrożnie, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, Cameron usiadł przy niej i objął ją.

– Nie powiem ani nie zrobię nic takiego, co cię zdenerwuje lub przestraszy – powiedział cicho. – Jeśli zależy ci na tym, by nikt nie dowiedział się o nas i o tamtej nocy, będę milczał.



- Nie chciałam, żeby to się stało. – Spojrzała na niego mokrymi od łez oczami.
- Wtedy, pod windą wcale na ciebie nie czekałam, tylko wracałam do mojego pokoju. Nie chciałam spędzić nocy z nieznajomym.
- Więc jak to się stało? Jakim cudem przyjaciółka Vanessy trafiła do mojego miasta?
- Wszystkie tam byliśmy, przyjechałyśmy na ślub Nikki. Joe to kumpel Paula. Nawet Mel i Jack byli na tym ślubie.
- Chyba żartujesz. Nie widziałem nikogo znajomego!
- Szkoda. – Pociągnęła nosem. – Zaoszczędzilibyśmy sobie kłopotów.
- Nie zmusiłem cię. To nie była zła noc, ani trochę. Wiesz przecież, że mnie było cudownie.
- To było gigantyczne nieporozumienie. Właśnie przeżyłam paskudny rozwód, łącznie ze zdjęciami w brukowcach.
- Wiem. Czytałem. Widziałem cię. Zaprażyłem drugiej szansy. Odwróciła się do niego, chwyciła w desperacji poły jego kurtki i powiedziała:
- Teraz, skoro wiesz, kim jestem, gdzie jestem i że jestem w ciąży, jeśli komukolwiek o tym powiesz, to się skończy dla mnie bardzo, bardzo źle. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo źle. Chciał usłyszeć całą prawdę, ale rozpoznał atak paniki. Gdyby zapędził Abby w koziego róg, znów by się od niego oddaliła.
- Tutaj nic ci nie grozi – powiedział ciepło. – Myślę, że nikt w Virgin River cię nie skojarzy.
- Ale ty skojarzyłeś. – Puściła kurtkę.
- No tak, ale ja cię szukałem. Jak widać, nie bez powodu.
- Przecież w ogóle cię nie znam!
- Mógłbym się spierać, ale niech będzie. Nie znasz mnie na tyle, by to cię uspokoiło, ale łatwo mnie sprawdzić. Zapewne dużo łatwiej niż ciebie. Ukrywasz się? Przed nim czy przede mną?
- W ogóle mi nie przyszło do głowy, bym miała ukrywać się przed tobą. Nawet nie wiedziałam, gdzie jesteś. Tylko że to naprawdę nie może się roznieść. Proszę, nie pytaj, dlaczego...
- Nieciekawa umowa, jak sądzę.
- Boże! Skąd wiesz?

- Czytałem w „People”.
- O mój Boże! Kto jeszcze o tym wie?
- Pewnie wszyscy, którzy czytają kolorowe magazyny, ale tutaj nikt się nie zorientuje, że chodzi o ciebie. Rozpoznałem twoją twarz na okładce i przeczytałem artykuł, bo byłem ciekaw szczegółów, lecz niewiele się dowiedziałem. Parę faktów, zresztą mało pochlebnych. Zostawił cię po kilku tygodniach małżeństwa, przeprowadził się do innej i wniósł o rozwód. Spekulowano, że sprawa się przeciąga z powodu umowy przedmałżeńskiej, ale nie wiem, o co dokładnie chodzi. Wiem tylko, że ten gnojek ożenił się z tobą, a potem cię zostawił. Co za idiota!
- Będę miała naprawdę poważne kłopoty, jeśli komukolwiek o tym powiesz.
- Okej. Nie wspomnę o tobie w liście do mamusi.
- Ale śmieszne. To poważna sprawa.
- Więc dobrze, porozmawiajmy poważnie. Nie jesteś moją pacjentką, ale cokolwiek wydarzy się w przychodni, zostaje w przychodni. Mel i ja mamy dostęp do kart pacjentów, a te chroni tajemnica. Nawet gdybym chciał o tobie poplotkować, to mi nie wolno, ale zawsze mogę porozmawiać z tobą. Mam wrażenie, że w tym wszystkim chodzi właśnie o mnie.
- Nie są twoje.
- Owszem, są – powiedział cierpliwie – ale bez paniki. Teraz interesuje mnie tylko to, żebyś była zdrowa. Nie będę naciskał. Rozumiem, jak musisz się czuć. Przygoda na jedną noc, wypadek przy pracy, nieplanowana ciąża. I Abby... przepraszam. To moja wina. To ja cię namówiłem, to ja miałem wypadek z prezerwatywą...
- Nie, to ja miałem wypadek z pigułkami. Brałam antybiotyki.
- No tak, to wszystko wyjaśnia. Nie wiedziałaś o przeciwwskazaniach?
- Chyba nikt mi nie powiedział, a nawet jeśli, to puściłam mimo uszu. – Gdy pociągnęła nosem, podał jej chusteczkę. – Wiesz, szykowałam się do ślubu przyjaciółki, podczas gdy moje małżeństwo leżało w gruzach. Stresujący czas. Nabawiłam się infekcji ucha. Serio, prawie nie słyszałam.
- Czemu więc tu jesteś?
- Do diabła, przecież i tak się dowiesz. – Wzruszyła ramionami. – Mam nadzieję, że mogę ci zaufać, bo jak nie...

- Chyba już ci to udowodniłem – powiedział łagodnie. – W każdym razie próbowałem.
- Tak, Ross też mi udowadniał. Przez dwa miesiące był najśłodszym facetem pod słońcem, potem ruszył w trasę i znów zaczął ćpać.
- Okej, punkt dla ciebie, tyle że nie mam z nim wiele wspólnego, co? Na przykład nie biorę narkotyków i raczej bywam wierny...
- Mówisz tak, ale ja nic o tobie nie wiem.
- Jak już mówiłem, łatwo mnie sprawdzić. Możesz zacząć od Vanni.
- Vanni? – spytała zaskoczona.
- Mhm. Matka jej pierwszego męża próbowała nas ze sobą swatać i nawet trochę randkowaliśmy, zanim pojawił się Paul. Przez kilka lat prowadziłem praktykę w Grants Pass, możesz popytać lekarzy. Zapytaj Mel, która mnie zatrudniła. Na razie na rok.
- Co ty tu właściwie robisz?
- Tutejszy lekarz niedawno zmarł. Ponieważ potrzebowali nowego, a ja lubię te okolice... Ale opowiedz mi o swoim problemie. Nie o ciąży, bo to żaden problem. Dlaczego się ukrywasz w Virgin River? Odetchnęła głęboko. Nie miała wyboru. Jeśli się dowie, co jest grane, to może będzie trzymał buzię na kłódkę. Opowiedziała mu więc o wszystkim.
- Abby, przecież to tylko pieniądze.
- Tylko pieniądze? Cała masa pieniędzy! I tak powinnam się cieszyć, że chodzi jedynie o długi z kart kredytowych. Gwiazda rocka potrafi zaszaleć.
- Posłuchaj mnie uważnie. To kwestie prawne, można je rozwiązać. Musimy się tylko zastanowić, jak to ugryźć...
- Przestań! To jest wyłącznie mój problem! Potrzebuję czasu. Nie przejął się umową i długiem. Owszem, Abby nie miała jak wykupić się z tego bałaganu, on też nie mógł za nią tego zrobić, bo choć coś tam miał na koncie, nie dysponował „całą masą” pieniędzy. Był za to przekonany, że można wypracować kompromis. Przede wszystkim należało przekonać matkę jego bliźniaków, że warto mu zaufać. Delikatnie położył dłoń na jej lekko zaokrąglonym brzuchu.
- Chodzisz do lekarza od początku ciąży? – Gdy przytaknęła, pytał dalej: – I co, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

- Dobrze. Skoro nie poroniłam przez ten stres, to chyba znaczy, że jestem w dobrej formie.
- Powinnaś była do mnie zadzwonić. Od razu bym ci pomógł.
- Bałam się odezwać do kogoś, kogo nie znam. Już raz bardzo się sparzyłam. Przecież możesz być jakimś wariatem.
- Mogę, ale nie jestem.
- Już niczego nie jestem pewna. Musisz mnie zrozumieć. Nie bierz tego do siebie, ale muszę być ostrożna, mam ku temu powody.
- W college'u trochę podpalałem trawkę – powiedział z uśmiechem. – Poza tym jestem raczej bezpieczny.
- Raczej...
- No tak. Czasami robię głupie rzeczy, na przykład porzucam kwitnącą praktykę i podejmuję pracę w miasteczku liczącym sześciuset mieszkańców, praktycznie za darmo, tylko dlatego, że tu jest cicho, czysto i ludzie cię doceniają. Rodzina uważa, że zwariowałem – dodał ze śmiechem. – Poza tym jednym ekscesem od okresu dojrzewania nie zanotowałem u siebie żadnych znaczących oznak zmiany osobowości.
- Kiedy cię zobaczyłam w przychodni, śmiertelnie mnie wystraszyłeś.
- Właśnie od tego musimy zacząć. Nie ma najmniejszego powodu, żebyś się mnie bała. Nie skrzywdzę cię. Bo niby czemu? Co bym zyskał? Chciałbym poznać cię lepiej. Już wtedy ci to powiedziałem, w Oregonie. Nie zamierzam zmarnować szansy, zachowując się bezwzględnie, czy zmuszać cię do czegokolwiek. – Uśmiechnął się. – Masz tę listę. Nie ma na niej punktu „i żeby mnie nie zmuszał”.
- Poza tym masz dobre maniery – powiedziała łagodnie. Wreszcie przestała unikać jego wzroku. Wyglądał inaczej niż tamtej nocy. Był ubrany w dżinsy, dżinsową koszulę i sznurowane buty.
- Abby, obiecaj mi, że nie uciekniesz. Zachowujmy się tak, jakbyśmy dopiero teraz się poznali. Nie musisz mówić Vanni, że jest inaczej. Będziemy się mijać w mieście, wpadać do baru Jacka, i tak dalej. To małe miasto, każdy wpada na każdego, wszyscy się znają. Jeśli od czasu do czasu zjemy razem kolację u Jacka czy spotkamy się z innej okazji, to może się zaprzyjaźnimy. Właśnie dlatego próbowałem się z tobą skontaktować. Żeby się z tobą zobaczyć. Dać nam szansę. – Uśmiechnął się. – Przecież podobam ci się. Wiesz, że tak jest.

– Jak wytłumaczysz zainteresowanie samotną, ciężarną kobietą? – spytała. Roześmiał się.

– Abby, spójrz w lustro – odparł z uśmiechem.

– Powinnam wyjechać, zanim zaczną się kłopoty.

– Nie, nie możesz tego zrobić – odparł zdecydowanym tonem. Nie chciał na nią naciskać, nie chciał mówić jej tego, co sama powinna wiedzieć. Skoro nosi pod sercem jego dzieci, to on poruszy niebo i ziemię, byle ją odnaleźć. – Pozwól, by z czasem wszystko się ułożyło. – Przerwał na moment. – Wiedz też, że mam w tym swój interes.

– Właśnie dlatego do ciebie nie zadzwoniłam. To mnie przeraża. Bo co, jeśli poznam cię lepiej i uznam, że nie jesteś takim mężczyzną, jakiego szukam? I że nie chcę, żebyś miał cokolwiek wspólnego z moimi dziećmi?

– Serio? – Uniósł brwi. – A co, jeśli uznam, że nie jesteś kobietą, której bym powierzył wychowanie moich dzieci? – W jej oczach pojawiło się zaskoczenie, a także strach. – To, że nie noszę ich w sobie i nie wydaję na świat, nie oznacza, że nie są moje.

– O Boże – jęknęła. Wstał, po czym pomógł wstać Abby. Przytulił ją, głaszcząc czule po plecach, póki się nie uspokoiła. Spojrzał jej głęboko w oczy, po czym powiedział cicho:

– Chcę, żebyś jedno zapamiętała. – Pocałował ją delikatnie, uśmiechnął się i znów pocałował. Po chwili raz jeszcze dotknął jej ust i Abby wreszcie rozchyliła wargi. Nie wiedział, kiedy znów będzie miał okazję to zrobić, dopilnował więc, by pocałunek trwał długo. – Ach – powiedział, odsunawszy się nieco – jednak pamiętasz. – I znów ją pocałował. – To dobry początek. Nie ma się czego bać. Możemy tylko zyskać. Zostawię cię teraz, żebyś mogła się spokojnie rozpakować.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Córeczka Valenzuelów, Ness, miała już prawie sześć tygodni, kiedy Luke zadzwonił do jej rodziców i zapytał, czy może wpaść z Artem. Art był cały podekscytowany. Wypucował się, włożył świeżo uprane ubranie oraz nową kurtkę i przez całą drogę wiercił się niecierpliwie.

– Spokojnie – powiedział Luke ze śmiechem. – Przecież znasz Mike’a i Brie, a mała to tylko dziecko.

– Nawet jej nie tknę – obiecał Art.

– Jeśli będziesz chciał jej dotknąć, musisz grzecznie poprosić o pozwolenie. Pamiętaj, że nie to nie.

– Okej.

– Przy dziecku powinniśmy się zachowywać cicho – dodał Luke. Luke poprosił Arta, by zaopiekował się prezentem opakowanym w błyszczący papier, różowe wstążeczki, mnóstwo ozdóbek i szydełkowe buciki doczepione do wstążki. Kiedy Mike otworzył drzwi, Art z dumą wręczył mu prezent, a właściwie wepchnął mu do rąk.

– Dzięki – rzucił Mike ze śmiechem. – Wejdźcie.

– Okej – powiedział Art. – Będę cicho. Mogę dotknąć? Dziecka.

– Takimi prośbami zajmuje się moja żona. Zwykle je spełnia. Zaraz ją zawołam.

Mike odstawił prezent na ławę i zniknął w drugim pomieszczeniu. Po chwili wyszła Brie. Na rękach trzymała okutane maleństwo.

– Witaj, Luke – powiedziała z uśmiechem. – Miło cię widzieć, Art. Jak się miewasz?

– Dobrze.

– Art, poznaj Ness. Ness, to jest Art.

– O – wydusił z zapartym tchem. – O.

– Śpi. Kiedy się obudzi, będzie płakała. I to jak.

– I to jak – potwierdził Mike. – Kiedy będzie miała piętnaście lat, zabije mnie tym wrzaskiem. Już teraz wrzeszczy jak zdrowa nastolatka. Potworne.

– Art, możesz ją potrzymać, jeśli chcesz. Przez chwilę stał jak porażony, ale potem wytarł ręce o spodnie i wyciągnął je przed siebie. – Nie – powiedziała

rozbawiona Brie. – Nie tak. Usiądź na fotelu bujanym i zdejmij kurtkę. Trzymaj ją o tak. – Gdy zademonstrowała, Art usadził się w fotelu i przygotował. Brie podała mu małą. – Tylko nie ściskaj, bo jest bardzo delikatna. Trzymaj ją w ten sposób. Przez chwilę patrzył na dziecko ze zdumieniem i podziwem, a potem spojrzał na Brie i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ona nic nie waży – odezwał się cicho.

– No, prawie nic. Trzeba się przyzwyczaić. – Usiadła tuż obok.

– Luke, podać ci coś do picia? – spytał Mike. – A tobie, Art, kiedy już skończysz trzymać Ness?

– Będę trzymał Ness – powiedział Art. A potem, bardzo cicho, dodał, mówiąc do małej: – Karaluchy pod poduchy. Luke'a zatkało. Art okazał tak wiele czułości dziecku, powtarzając słowa Shelby... Zaraz się jednak otrząsnął i powiedział:

– Nie, dzięki, Mike. Właściwie to przyszliśmy z Artem w pewnej sprawie. Potrzebujemy porady.

– Jasne. – Mike usiadł. – W czym możemy pomóc?

– Najpierw muszę wam opowiedzieć, jak się z Artem poznaliśmy. – Dotąd wszystkim mówił, że Art po prostu zjawiał się pewnego dnia w poszukiwaniu pracy. Teraz jednak opowiedział całą historię: o spaniu w domku, o podbitym oku, ucieczce, schronieniu w zamian za pomoc. Potem przeszedł do wizyty w Eurece, w sklepie spożywczym i domu opieki. – Art nie chce tam wracać, nie chce pracować dla Stana. A ja chcę, żeby został ze mną. To wspaniały kumpel i świetna pomoc. Wolałbym jednak nie złamać żadnych przepisów. Z tym właśnie przychodzę. Z kim powinniśmy porozmawiać i co zrobić, żeby wyszło dobrze?

– Hm, to skomplikowana sprawa – powiedział Mike.

– Jeśli będzie musiał wrócić do domu opieki, to na pewno nie do tego w Eurece. Osobiście dopilnuję, żeby trafił do najlepszego. Wolałbym jednak, żeby został w Virgin River, skoro tak dobrze się tu czuje. Brie z łagodnym uśmiechem spojrzała na Arta:

– Art, ile masz lat?

– Trzydzieści lat. Siedemnasty listopada. Mieliśmy tort, ja, Luke i Shelby.

- Zarabiałeś w sklepie spożywczym? – Gdy skinął głową, pytała dalej: – Podpisywałeś czek, żeby można było je spieniężyć? – Skinienie. – Podpisywałeś jakieś inne czek? – Skinienie. – Komu dawałeś czek?
- Shirley albo Stanowi.
- A oni dawali ci pieniądze? Skinął z uśmiechem i powiedział:
- Piętnaście dolarów co tydzień.
- Okej, Art. Posłuchaj, czy wiesz, czy masz kuratora? Zmarszczył brwi. Brie, była prokurator z Sacramento, a obecnie konsultantka w biurze prokuratora okręgowego hrabstwa Humboldt, spojrzała na zegarek i zwróciła się do Luke’a:
- Mogłabym zwrócić się z tym do prokuratora okręgowego, ale moim zdaniem wygląda to tak: Art ma trzydzieści lat, jest więc dorosły. Mógłby pobierać zasiłek, ponieważ jego rodzice nie żyją, a sam jest niepełnosprawny. Mógłby mieszkać w domu opieki, takim dotowanym przez państwo za pośrednictwem opieki społecznej. Jeśli nie pozostaje pod opieką kuratora, nie ma obowiązku mieszkania w takim domu. Jeżeli odejdzie z domu opieki, państwo przestanie łożyć na jego utrzymanie, ale nadal będzie otrzymywał pieniądze z zasiłku. Myślę, że prokurator okręgowy będzie mógł sprawdzić jego obecną sytuację. – Milczała przez chwilę. – Inna sprawa to jego praca. Tu przydałoby się śledztwo. Mogę zadzwonić do prokuratora. Masz ich nazwiska? Luke sięgnął do kieszeni i podał Brie kartkę ze wszystkimi danymi Shirley i Stana.
- Mike – powiedziała Brie. – Twoja kolej.
- Jasne. – Zaczekał, aż Brie wyjdzie z pokoju, po czym usiadł na krześle obok Arta, tak na wszelki wypadek, chociaż Art doskonale radził sobie z dzieckiem.
- Jak tam, Art? Twoje pierwsze dziecko?
- Aha. – Uśmiechnął się. – A twoje pierwsze dziecko?
- Najpierwsze. Nieźle nam wyszło to pierwsze, co?
- Bardzo nieźle. Podoba mi się, że włosy jej sterczą. – Popatrzył na Mike’a. – Mogę już zostać z Lukiem?
- Wszystko się dobrze ułoży. Zwróciliście się do właściwej osoby. Brie wie wszystko. Minęło dwadzieścia minut, a Art nadal nie znudził się trzymaniem Ness. Wróciła Brie.
- Jest dobrze. Art może mieszkać tam, gdzie ma ochotę. Będziesz musiał pojechać do opieki społecznej i zabrać jego papiery, a przede wszystkim świadectwo urodzenia i zaświadczenie o zasiłku, no i co tam jeszcze będzie.



Gdyby Art chciał podróżować samolotem, potrzebuje nowego dokumentu tożsamości. Wkrótce potem powinien zacząć dostawać zasilek. Jeśli chcesz, możesz się ubiegać o dofinansowanie za zakwaterowanie Arta...

– Nie ma takiej potrzeby – z miejsca odparł Luke.

– Zaraz, nie tak szybko. W ramach dofinansowania dostajesz ubezpieczenie zdrowotne na Arta, a to przecież bardzo ważne. Chyba że weźmiesz go na swoje utrzymanie, a wtedy obejmie go twoje wojskowe ubezpieczenie. Tak czy owak, będziesz musiał wybrać jedno lub drugie. Trochę roboty papierkowej i wszystko się wyprostuje. – Uśmiechnęła się. – Okej, dużo tej roboty.

– A co ze Stanem i Shirl? – spytał Luke, wstając.

– Zajmą się tym. Z reakcji prokuratora wywnioskowałam, że koniec imprezy.

– Rany – mruknął Luke. – Nie sądziłem, że to będzie takie proste.

– Tylko dlatego, że znam odpowiednich ludzi. – Poglaskała córeczkę po głowie, a potem pocałowała ją w czoło. Art natychmiast zrobił tak samo. – Witaj w Virgin River, Art – z uśmiechem powiedziała Brie.

Tego wieczoru Luke nie mógł się doczekać, aż powie Shelby, jak dzięki Brie wszystko szybko poszło.

– Czyli może u ciebie zostać już na zawsze? – spytała.

– Na zawsze to może nie, ale jak długo zechce.

– A kiedy sprzedasz domki, to co wtedy?

– Przynajmniej na razie tego nie planuję. – Wzruszył ramionami. – A nawet jeśli je sprzedam, to znajdę dla Arta bezpieczne miejsce.

– Jeśli... – Poczula cichą nadzieję.

– Wygląda na to, że się tu zadomowiłem – rzekł z uśmiechem. – Szok, prawdziwy szok. To zupełnie do mnie niepodobne. Do tej pory powinienem już dostać świra, a tu proszę...

– Wspominałeś o śmigłowcach. Szukałeś pracy?

– Rozmawiałem z kilkoma osobami. Jest parę ofert dla pilota. Agencja informacyjna z Dallas, helikopter ratowniczy w Georgii. Jeszcze nic nie postanowiłem. Zrezygnowałem ze służby dopiero pół roku temu. Nie ma co się śpieszyć. Teraz najważniejsze, żeby Art dobrze się czuł. Shelby nie odpowiedziała. Czekala, aż Luke powie coś o nich, o ich przyszłości. Że jest dla niego ważne, by między nimi dobrze się ułożyło. Że ma plany, w których jest miejsce dla obojga. Lecz on milczał, ponieważ nic się nie zmieniło.

– A na razie – powiedział – będę doglądał Arta. Nie jest zbyt absorbujący.

– No to świetnie. Mam nadzieję, że będziecie razem szczęśliwi. Miłość do Luke'a była dla Shelby niczym narkotyk. Nie bardzo wiedziała, jak długo jeszcze powinna ciągnąć tę znajomość ani jak ją skończyć, ale jedno było pewne: więcej nie mogła się po nim spodziewać, a to, co jej dawał, nie wystarczało, bo nie było w żaden sposób wiążące. Jednak dawał jej coś więcej niż tylko seks, a intymne chwile spędzone z Lukiem urzekaly ją, nie tylko zaspokajały fizycznie. Luke dawał jej szczerą przyjaźń i troszczył się o Shelby. Świadomość tego sprawiała, że czuła się bezpieczna. Sęk w tym, że skoro nie wyraził swojej miłości, nie wykazał się zaangażowaniem, pewnego dnia po prostu powie: Nie mam już serca tego dalej ciągnąć. A to ją zabije. Właśnie przed tym przestrzegała ją Muriel. I dała radę: gdy się coś takiego przeczuwa, czas pomyśleć nad kolejnym ruchem.

Aż do końca stycznia pogoda dopisywała, ale wraz z początkiem lutego z północy nadciągnęły ciężkie chmury, spowiły wzgórze i zesłały na ziemię deszcz i śnieg. Dni stały się krótkie i szare. Śnieg co prawda nie utrzymywał się długo, ale lód był zdradziecki. Na drogach było sporo wypadków spowodowanych oblodzeniem i kiepską widocznością. W Virgin River ludzie przemykali ulicami opatuleni po uszy. Pewnego popołudnia Shelby wybrała się do miasta, żeby porozmawiać z Mel, która już taka była, że zawsze okazywała współczucie, ale porad udzielała bez ogródek. Wuj Walt ostrzegł Shelby, żeby uważała na oblodzony asfalt. Przez całą drogę zastanawiała się, jak wyjaśnić, że nie stało się jej nic złego przy Luke'u, ale też nic dobrego. Luke gotów jest zadbać o Arta, ale o niej nie wspomniał choćby słowem. A ona tak bardzo chciała usłyszeć, że jest kochana. I nie był to wyraz zachłanności, życzeń ponad miarę. Mówiła sobie, że jak każdy człowiek ma prawo do szczęśliwej miłości. Zwolniła i zobaczyła na poboczu coś, co wyglądało na stertę śmieci. Ale gdy sterta poruszyła się, Shelby zobaczyła dziecko. Ktoś inny nadal leżał na ziemi. Wdusiła hamulec, opanowała lekki poślizg i zatrzymała się. Wskoczyła z auta i stanęła jak wryta. Mała dziewczynka, może sześćioletnia, stała obok nastoletniego chłopca, który siedział na ziemi, trzymając się za bark i wykrzywiając twarz z bólu. Miał rozciętą głowę, ramię zwisało pod nienaturalnym kątem. Dziewczynka płakała, w wielkich oczach był strach. Shelby uklękła przy nich i spytała:

– Co się stało?

– Autobus. – Chłopiec wskazał brodą w dół zbocza, gdzie o drzewo wspierał się wielki żółty autobus szkolny. Balansował niepewnie, w każdej chwili mógł runąć w dół, skosić napotkane drzewa, a na koniec roztrzaskać się o skaliste dno, od którego dzieliła go spora odległość.

- Boże święty. - Shelby nachyliła się nad chłopcem, który znów się skrzywił.
- W autobusie są dzieci?
- Pełno. Kiedy zjechał z drogi, zaczęliśmy wychodzić wyjściem awaryjnym. - Łzy spłynęły mu po policzku. - Zdażyłem wydostać tylko Mindy, zanim zjechał niżej. - Jęknął rozpaczliwie. - Wskoczyłem w biegu.
- Wspiąłeś się na górę?
- Tak. Spadnie, jeśli będą próbowali wyjść. Moja ręka... Wypadła ze stawu i strasznie boli. Trzeba mocno pociągnąć.
- Trzymaj się. - Podeszła do krawędzi, otoczyła usta dłońmi i krzyknęła najgłośniejszym głosem, jak potrafiła: - Nie ruszajcie się! Sprowadzę pomoc! - Pomogła chłopcu i dziewczynce wsiąść do samochodu.
- Może mi pani nastawić bark? - spytał chłopak. - Trzeba tylko...
- Za kilka minut będziemy w mieście. Trzymaj się, lekarz się tobą zajmie. Dasz radę. - Wyzerowała licznik, żeby wiedzieć, jak daleko od miasta doszło do wypadku. - Ile dzieci jest w autobusie?
- Nie wiem dokładnie - odparł chłopak. - Niektórzy nie przyszli do szkoły przez tę pogodę. Jakies dwadzieścioro. W większości młodsze.
- Wiesz, jak to się stało?
- Zarzuciło nami na lodzie. Myślałem, że się uda, ale tył autobusu poleciał w dół. Dobrze, że nas nie zmiażdżyło, mnie i Mindy. Wyszliśmy tyłem.
- Wiesz, czy jeszcze ktoś jest ranny?
- Jak już spadł, to nic więcej nie widziałem.
- Mindy? Jak z tobą? Jesteś ranna?
- Moje kolana. - Zachlipała. - Chcę do mamy!
- Kiedy to się stało? - spytała chłopca.
- Niedawno. Zaraz się pani zjawiała.
- Na szczęście. - Im bliżej miasta, tym więcej było piasku na szosie. Kiedy Shelby zobaczyła rodziców czekających na swoje pociechy, spanikowała. Siedzieli w autach przekonani, że autobus spóźnia się przez pogodę. Miała nadzieję, że nie zobaczą, jak wiezie ranne dzieci do przychodni na drugim końcu ulicy. Zatrzymała się przed wejściem. - Zostańcie, pójdę po lekarza. Wbiegła do środka. Natychmiast zjawili się Cameron i Mel. Shelby starała się panować nad głosem:

– Mam w samochodzie dwoje dzieci. Dziewczynkę, około sześciolletnią, trochę poobijaną, i chłopca, mniej więcej szesnastoletniego, z rozciętą głową i zwichniętym barkiem. Autobus szkolny wypadł z drogi. Siedem kilometrów i czterysta metrów na zachód. Dwadzieścioro dzieci jest uwięzionych w autobusie, który zawisł na drzewie i w każdej chwili może runąć w przepaść.

– Jezu – powiedziała Mel. – Dawaj je tutaj. – Pognała do drzwi. Shelby złapała ją za rękaw.

– Posłuchaj, na przystanku czekają rodzice. Jeśli się dowiedzą, że był wypadek, pojedą na miejsce i będą próbowali ratować dzieciaki. Autobus może spaść. Mel popatrzyła na Shelby i powiedziała z profesjonalnym spokojem:

– Dzwon na alarmowy, potem przekręć do Jacka. Będzie wiedział, co robić. Potem zadzwon do Connie ze sklepu i powiedz jej, że mamy sytuację kryzysową. Poproś, żeby tu przyszła, powoli, jak gdyby nigdy nic. Zajmiemy się dziećmi, które przywiozłaś, a potem zostawimy je z Connie i pojedziemy na miejsce. No, już. Shelby rzuciła się do telefonu.

Jack jako pierwszy zjawił się na miejscu wypadku, Proboszcz tuż za nim. Wyjął z auta liny i bloki i błyskawicznie przymocował je do drzew. Zszedł do uwięzionego autobusu. Zbocze było śliskie i pokryte warstewką śniegu, więc kilka razy zaliczył bliski kontakt z podłożem. Spojrzał w górę i zobaczył Proboszcza. Autobus miał zgaszony silnik. Wisiał oparty tyłem o pień grubego drzewa. W środku nikt się nie ruszał. Jack podszedł do okna kierowcy najbliżej, jak się dało, i powiedział spokojnym, opanowanym głosem:

– Molly, to ja, Jack Sheridan. – Okno powoli się otworzyło. Molly miała rozciętą brodę i wielki fioletowy siniak na czole. – Możesz dopilnować, żeby nikt się nie ruszał? Czekamy na pomoc.

– Nikt się nie rusza. Trochę się tu boimy, wiesz. Usłyszał ciche łkanie.

– Tak, wiem. Ktoś jest ranny?

– Nie mam pojęcia, jak z tyłem. Wszyscy mówią, że coś ich boli. Ale dajemy radę. Spojrzał na tył autobusu zawieszony na wielkiej sekwoi. Wyglądało to tak, jakby byle ruch mógł zachwiać pojazdem i posłać go w dół zbocza.

– Słuchaj, Molly. Autobus jest niestabilny. Kiepsko to wygląda. Najpierw trzeba go unieruchomić, a dopiero potem was wypuścimy. Rozumiesz? Schowała się i pewnym, opanowanym głosem powiedziała do dzieci:

– Nie możemy ruszyć choćby palcem, dopóki nie unieruchomią autobusu, żeby się nie ześliznął. Pomoc jest w drodze. Dajcie mi znać, że rozumiecie, ale nie ruszając palcem. Jack usłyszał ciche głosy dobiegające z kabiny.

– Molly, ile dzieci?

– Osiemnaścioro.

– Dobra, słuchaj, to może trochę potrwać. Zamknij okno, żeby ciepło nie uciekało. Zaczekam tutaj, dopóki nie przybędzie pomoc. Będzie dobrze. Uśmiechnęła się słabo.

– Okej.

Pokusa, by wydostać z autobusu jak najwięcej dzieci, była ogromna. A na samą myśl, że podczas gdy on będzie tkwił tu uczepiony na linie tuż obok autobusu, który wreszcie runie w dół i roztrzaska się, aż go skręcało. W takich sytuacjach, kiedy stawką jest ludzkie życie, zawsze najtrudniejsze jest czekanie. Czynny udział w akcji jest już łatwiejszy, przynajmniej pod względem psychicznym. Zresztą czasami działa się czysto instynktownie, kiedy ruchy wyprzedzają myśl. I tak jest lepiej. Nicnierobienie, czekanie na przybycie pomocy, to istna tortura. Jack przesunął się na prawo i oparł o pień drzewa. Zajrzał do środka autobusu. Było zimno jak jasna cholera. Miał nadzieję, że pomoc nadejdzie, zanim dzieciaki zamarzną na śmierć albo spadną w przepaść. Już nawet nie wiedział, co gorsze. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, kiedy w końcu usłyszał nadjeżdżające samochody.

– Prob, trzymaj wszystkich z daleka, poza ratownikami! – krzyknął. Niebo już ciemniało, zrobiło się jeszcze zimniej, wiatr przybrał na sile. Wreszcie po odgłosach Jack domyślił się, że przyjechał ciężki sprzęt. Pewnie wozy strażackie, pomyślał. Rozbłysły potężne reflektory, ktoś włączył wiertarkę udarową, a po chwili dwóch strażaków zjawiono się na krawędzi i zjechało w dół. Jeden ustawił się przy oknie po stronie kierowcy, drugi poświecił latarką i obejrzał podwozie. Trzeci mężczyzna, w ciężkim kombinezonie i wysokich buciorach, zjechał na grubej linie, po czym wszyscy trzej zabrali się do mocowania wielkich haków do osi autobusu. Jack zerknął na zegarek. Operacja zajęła im prawie pół godziny, kiedy wreszcie wyłonili się spod pojazdu. Jeden z nich zapytał Jacka:

– Dasz radę wciągnąć ze sobą na górę dziecko?

– Jasne. I mogę wrócić po następne.

– Damy znać. Ratownik podszedł do tylnej części autobusu i ostrożnie otworzył wyjście awaryjne. Pojazd drgnął, ale został na miejscu, utrzymywany przez linę. Strażak mówił głośno i wyraźnie:

– Posłuchajcie uważnie. Musicie robić to, co wam powiem. Autobus nadal jest niestabilny. Zabierzemy was stąd, jedno po drugim. Pojedynczo i powoli. Musimy zacząć od przodu, żeby nie odciążyć tyłu. Chcę, żebyście pojedynczo przeszli na tył, bardzo powoli i bardzo ostrożnie. Następna osoba niech przechodzi, kiedy poprzednia już będzie na zewnątrz. Czy wszyscy zrozumieli? Jeśli ktoś nie rozumie, niech zapyta teraz, zanim zaczniemy. Brak odpowiedzi. Jack oderwał się od drzewa i przysunął do strażaka.

– Okej, kierowco – krzyknął. – Ty jako pierwsza. Pokaż, jak trzeba to zrobić.

– Kierowca ostatni – odparła Molly. – Nie zostawię dzieciaków. Becky, ty pierwsza. Tobie nie trzeba dwa razy tłumaczyć. Potem Anna. Spokojnie, już prawie po wszystkim. Kiedy roztrzęsiona dziewczynka dotarła na tył autobusu, strażak chwycił ją i przekazał Jackowi.

– Złap mnie za szyję – szepnął Jack. – Już prawie jesteśmy w domu. Widok, który ujrzał, gdy razem z dziewczynką wyłonił się zza krawędzi urwiska, zdumiał go. Światłami, które swoim blaskiem zalały całą okolicę, były reflektory używane przez Paula na budowie. Lina, którą strażacy zamontowali przy autobusie, była uciepiona do wózka widłowego, dosłownie przyśrubowanego do asfaltu. Poza sprzętem ratowników, pełno było innych pojazdów: samochód sanitariuszy, wóz strażacki, karetka z Grace Valley z doktorami Stone'em i Hudson, hummer, a obok niego Mel, Cameron i Shelby. Zebrało się tak wielu ludzi, jakby przyszło całe miasteczko odgródzone od miejsca zdarzenia kordonem utworzonym przez zastępców szeryfa. Gdy tylko Jack postawił dziewczynkę na ziemi, rozległ się głośny aplauz. Cameron natychmiast zabrał małą na oględziny. Za plecami Jacka było kolejne dziecko, niesione przez ratownika, i znów jego pojawienie się nagrodzono brawami. Powoli, metodycznie wszystkich osiemnaścioro dzieci w wieku od sześciu do szesnastu lat wyniesiono z autobusu i dostarczono bezpiecznie na górę. Było jedno podejrzenie złamanego obojczyka, kilka ran głowy, mnóstwo zadrapań i siniaków, a także jeden poważny uraz głowy. Poszkodowanego błyskawicznie odwieziono do szpitala Valley. Jack podszedł do krawędzi i zobaczył, że w górę posuwa się już ostatnia osoba, Molly, którą wspierało dwóch ratowników. Podał jej dłoń i pomógł stanąć na nogach. Po brodzie płynęła jej strużka krwi. Miasteczko przywitało ją brawami. Spojrzała na Jacka ze łzami w oczach.

– Zwariowali? – spytała niskim głosem. – Myślałam, że wytarzają mnie w smole i posypią pierzem.

– Z powodu lodu?

– Przysięgam na Boga, że jechałam wolno, właśnie przez lód.

– Molly, udało ci się sprawić, że te dzieciaki przez dwie godziny nie poruszyły nawet palcem. Uratowałaś im życie.

– Uff... Nigdy tak się nie bałam.

– Ja też. – Przytulił ją mocno. – Ja też.

Luke pojechał do baru, mając nadzieję, że weźmie do domu kolację dla siebie, Arta i Shelby. Kiedy okazało się, że bar jest zamknięty, a ktoś powiedział mu o wypadku, jak wszyscy pojechał na miejsce. Został tam taki tłum, że nawet nie udało mu się przecisnąć bliżej. Stał więc za rodzicami uwięzionych dzieci i mieszkańcami miasteczka, patrząc z zaciekawieniem, jak zespół złożony z miejscowych, czyli z Paula i jego pracowników, Proboszcza, generała i Mike'a, pracuje razem z ratownikami. Zauważył, że w pewnym momencie Shelby, która stała obok Camerona i Mel, pobiegła z uratowanym dzieckiem do hummera, by je zbadać. Była w samym centrum zdarzeń, udzielała pierwszej pomocy, uspokajała płaczące dzieci i zdenerwowanych rodziców, była na każde zawołanie Mel, Camerona albo sanitariuszy. Zupełnie jakby przez całe życie nie robiła nic innego. W końcu, przestawszy na chłodzie ponad godzinę, Luke zobaczył, jak strażacy wyciągają autobus, ten sam, który ochlapał go, gdy po raz pierwszy zmierzał do miasta. Przysłuchiwał się rozmowom mieszkańców, którzy mówili, że Jack zszedł na dół na linie, by uspokoić Molly, która miała trudniejsze zadanie, musiała bowiem uspokoić gromadę dzieciaków, żeby nie kręciły się i nie próbowały samodzielnie wydostać z pojazdu. Najpierw Jack uściskał Molly, a potem Shelby zaprowadziła ją do karetki. Ludzie zaczęli się rozchodzić, niektórzy jechali ze swoimi dziećmi do szpitala, te zaś, które nie zostały ranne, zabierali do domu. Miejsce zdarzenia odgrodzono barierkami, a drogówka kierowała ruchem, wyznaczając objazd. Luke podszedł do Shelby. Właśnie pakowała sprzęt z powrotem do hummera.

– Cześć – odezwał się. – Co tam? Aż podskoczyła.

– Luke! Jak długo tu jesteś?

– Od godziny z hakiem. Kiedy przyjechałem, wszyscy już byli na miejscu. Nie mogłem się przebić. To dobrze, bo przynajmniej ci nie przeszkadzałem.

– Widziałeś, jak wisiał ten autobus?

– Nie chciałem podchodzić zbyt blisko. Dużo się działo.

– Jeszcze nie wyłączyli reflektorów. Powinieneś zobaczyć. Straszny widok.

– Mówią, że znalazłaś dwoje dzieci, które wyskoczyły, zanim autobus zsunął się w dół zbocza, i sprowadziłaś pomoc. Zanim Shelby zdażyła się odezwać, nadeszła Mel.

– Zgadza się – odpowiedziała za nią. – Byłbyś pod wrażeniem. Wszystko jak należy. Wiedziała, co i jak, była opanowana, wręcz spokojna. Wydajna, pewna siebie, profesjonalna. – Uśmiechnęła się. – Będzie świetną pielęgniarką. Powinieneś być z niej dumny.

– Przecież jestem – odparł Luke. – W ogóle nie czuję się zaskoczony. – Objął Shelby ramieniem. Ona zaś pomyślała: Boże, muszę coś z tym zrobić. Nie potrzebowała porady ani Mel, ani kogokolwiek innego. Dała Luke’owi wiele okazji, ale ani razu się nie zająknął, co do niej czuje, nie wyznał, że chciałby spędzić z nią resztę życia. Musi coś zrobić, zanim kompletnie się rozsypie. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Luke, daj mi skończyć. Pojadę z Mel i Cameronem do przychodni, posprzątam w aucie i uzupełnimy zapasy. Spotkamy się później.

– Płaczesz? – spytał łagodnie.

– Trochę mnie to przytłacza. Zmarszczył czoło, widząc jej błyszczące od łez oczy.

– Jasne. – Pocałował ją w czoło. – Nie śpiesz się.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kilka dni później wczesnym rankiem Shelby wybrała się do stajni. Nikt w rodzinie Boothów nie jeździł już konno, a samo chodzenie do stajni, by zająć się końmi i rozprężyć je na padoku, było torturą. Walt ustawił w siodlarni dzbanek do kawy, bo napój niesiony w kubku z domu do stajni po drodze stawał się chłodny. Chociaż stajnia była ogrzewana, Shelby miała na sobie grube rękawice, szalik, zamszą kurtkę i... buty ze strusia. Nosiła je cały czas. Gdy karmiła konie, Walt wszedł do stajni.

– Cześć, byłam pierwsza.

– Jak zwykle. Ale zimnica.

– To nie tropiki. Napijmy się kawy, póki konie jedzą. Mam ci coś do powiedzenia. Uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Kiedy przeszli do siodlarni, Shelby naląła dwa kubki kawy, do jednego dodając śmietankę i słodzik.

– Rozmawiałam z kimś z Uniwersytetu Stanowego w San Francisco. To jeszcze nieoficjalne, ale wygląda na to, że mnie przyjmą. Jeśli tak się stanie, jako wolny słuchacz mogę się zapisać na zajęcia letnie. To dobry pomysł, bo dzięki temu zyskam pewną przewagę. – Posłała mu szeroki uśmiech. – Nie wyjeżdżam daleko. Będę mogła was często odwiedzać.

– A co z Humboldtem? – spytał. – Wspominałaś, że...

– Myślę, że w San Francisco będzie mi lepiej. To jednak inny świat. – Uśmiechnęła się lekko. – Ot, choćby mają tam bogatsze życie towarzyskie.

– No tak, ale Humboldt jest na miejscu. Blisko tych, których kochasz.

– Wiem. Jest mi tu z wami cudownie, wujku, ale czas rozwinąć skrzydła. Zadumał się na moment, po czym powiedział:

– To dobra wiadomość, Shelby. – Podniósł kubek z kawą. – Twoje zdrowie.

– Dzięki. Niedługo wyjeżdżam, bo muszę znaleźć jakieś mieszkanie. Mają co prawda akademik, ale będę mogła z niego skorzystać dopiero jesienią, kiedy stanę się pełnoprawną studentką. Długo nad tym myślałam i doszłam do wniosku, że się do tego nie nadaję. Cóż, jestem o siedem lat starsza od przeciętnego studenta, ale to jeszcze nie koniec świata. – Uśmiechnęła się. – To dobrze, że muszę sobie poszukać jakiegoś mieszkania. Nowe otwarcie, nowy początek. A jak mi nie będzie pasowało, znajdę sobie inne. Może zrezygnuję z akademika, tylko podnajmę komuś pokój? Oczywiście jeśli trafi się ktoś odpowiedni. Rozumiesz, charakter, wiek, doświadczenie. – Znów się uśmiechnęła. – Dla was jestem młoda, a dla nich stara.

- Tak, oczywiście. Pochyliła głowę, ale zaraz ją podniosła.
- Wujku, chcę wyjechać naprawdę szybko. Oswoić się. Poznać ludzi. Przecież to rozumiesz.
- Co to znaczy: naprawdę szybko?
- Po prostu naprawdę szybko. Ale najpierw wyjadę na wakacje, które już dawno sobie obiecałam. Całe dwa tygodnie na plaży na Maui. – Roześmiała się. – Pogoda skutecznie mnie do tego natchnęła. Potrzebuję słońca!
- Zaszłujesz na wakacje. Kiedy zamierzasz wyjechać?
- Już, to znaczy za dwa dni. – Widziała, że wuja po prostu zatkało. – Wszystko przygotowane. Wiesz, że wszystko można załatwić przez internet? – Znów się zaśmiała. – Od biletów na samolot po hotel i wynajęcie samochodu.
- Tak, wiem o tym. – Zmarszczył czoło.
- No widzisz, a ja nigdzie nie wyjeżdżałam. Z wyjątkiem wakacji, kiedy przysyłałeś bilety, żebyśmy mogły do ciebie przyjechać. Jaka to łatwizna. Wklepać datę, podać numer karty kredytowej i...
- Shelby – przerwał jej generał. – O co chodzi? Zacisnęła usta, westchnęła, cicho, wreszcie odparła:
- Choć niby tego się nie czuje, ale minęło już pół roku, od kiedy tu przyjechałam. Czas ruszyć dalej.
- Rozumiem to, ale chcesz wyjechać tak nagle.
- Przepraszam, tak to musi wyglądać. Nie chciałam o niczym mówić, dopóki nie wykrystalizuje mi się pewien plan. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, wujku. Będę wpadała z wizytą, naprawdę.
- Ostatnio masz dziwny nastrój...
- Bo dużo się zastanawiałam. – Wzruszyła ramionami.
- Nie musisz mi tego mówić, ale czy przypadkiem Luke nie ma z tym czegoś wspólnego?
- Nie. Nie, oczywiście, że nie.
- Na pewno? Odwróciła głowę.
- Myślałam o różnych rzeczach i... – Spojrzała na niego. – Posłuchaj, kusi mnie, żeby zostać, może nawet na zawsze. Mogłabym tu mieszkać i podróżować, i chodzić na uczelnię... Ale to nie ma przyszłości. Tak, po

prostu nie ma, wujku. A ja myślę jak bokser. – Gdy spojrział na nią zdziwiony, dodała: – Chcę... nie, ja muszę wygrać.

– Shelby, czy on cię skrzywdził?

– Wręcz przeciwnie. Jest nam tak dobrze, że jeśli czegoś nie zrobię, to będzie trwało kolejnych sześć miesięcy, a może nawet sześć lat. Tyle że nigdy nie będzie tak, jak ja tego bym chciała. Luke się nie zmieni. Moje ubrania nadal będą wisiały w twojej szafie, a ja nadal większość nocy będę spędzała u Luke'a. Rozumiesz, w czym rzecz. Szukam czegoś bardziej... Walt zacisnął zęby, pokręcił głową i wycedził:

– Co za sukinsyn.

– Przestań – powiedziała stanowczo. – Dziwi cię to? Powiedzmy sobie szczerze: zabujałam się w Luke'u. Jest dla mnie cudowny i tak to może trwać i trwać... ale to droga donikąd. Nie zgodzę się na coś takiego, nie taki miałam plan.

– Aha... – Głęboko zadumany błędził wzrokiem, pociągając łyk kawy.

– Wujku, pamiętasz tę piosenkę? „Ja i pani Jones mamy się ku sobie...”. No więc to jest tak: „Ja i pan Riordan mamy się ku sobie...”. Ale z następnym mężczyzną nie tylko będziemy mieli się ku sobie, ale i znajdziemy siebie nawzajem. Rozumiesz? Potrzebuję czegoś więcej, tymczasem Luke od razu mnie uprzedził, że od niego tego nie dostanę. Mówiąc szczerze, nawet przez chwilę w to nie wątpiłam.

– Więc taka jest twoja decyzja?

– Ostateczna i nieodwołalna. Nawet jeszcze nie rozmawiałam z Lukiem. A do ciebie mam prośbę... Nie, to rozkaz, wujku generale. Nie traktuj go, jakby zrobił coś złego. Słyszysz? Albo będziesz miał ze mną do czynienia. Jasne?

– Jeśli tego chcesz.

– Tego chcę. – Roześmiała się. – Daj mu rok. Będzie żałował, że wypuścił mnie z rąk.

– Tak myślisz?

– Założę się. Znajdzie sobie zastępstwo, bo jest przystojny i potrafi być uroczy, tyle że żadna nie będzie taka jak ja. Ale kiedy już pomacham mu na do widzenia i zacznę nowe życie, dopiero wtedy będzie pluł sobie w brodę. Walt roześmiał się głośno.

– Twardzielka z ciebie.

- Ja to wiem, inni nie. Nie doceniasz mnie, wujku, a to błąd. I Luke’a też.
- Kochanie, ja tylko pragnę, żebyś była szczęśliwa. Jeśli dzięki tym planom taka się poczujesz, to masz moje poparcie. O ile on faktycznie cię nie skrzywdził.
- Nie skrzywdził. Był świetny. Ale ja chcę więcej, niż on może mi dać.
- To leć, szukaj tego. I powiedz, jak mogę pomóc.
- Pewnie. – Rozejrzała się. – Uwinę się z końmi w pięć minut. Idź poczytać gazetę.
- Na pewno? Mogę pomóc...
- Nie, już prawie skończyłam. Idź – powiedziała ze śmiechem, zabierając mu kubek. – Zajmę się wszystkim. Pocałował ją w czoło.
- Niesamowita z ciebie kobieta, Shelby. Jestem z ciebie dumny.
- Dzięki, wuju Walcie. To dużo dla mnie znaczy. Wyszedł ze stajni. Patrzyła, jak wspina się pod górę. Kiedy znalazł się wystarczająco daleko, kiedy była pewna, że nie zawróci, pozwoliła, by łzy spłynęły jej po policzkach. Poszła do Chico, przytuliła się do jego łba i zapłakała.

Luke właśnie wyjmował z piekarnika zapiekankę pasterską, którą przygotował Proboszcz, kiedy zobaczył błysk świateł samochodu. Wziął butelkę czerwonego wina ze stojaka i wyjął z szuflady korkociąg. Czekał, ale drzwi wejściowe nie otworzyły się. Patrzył niecierpliwie, a ponieważ wciąż nie nadchodziła, wyszedł do niej. Wóz stał przed schodami, ale Shelby nie było w środku. Pomyślał, że widocznie poszła zaprosić Arta na kolację, gdy zobaczył ją na ganku. Siedziała skulona na krześle, w zamszowej kurtce, grubym szaliku i z rękami w kieszeniach.

- Shelby, co tu robisz? – spytał zaskoczony. – Zamarzniesz.
- Właśnie miałam zapukać.
- Zapukać? – Roześmiał się. – Od kiedy to pukasz do drzwi?
- Luke, nie mogę dziś zostać.
- Słucham? – Podeszedł bliżej. – Shelby, co się dzieje? Nastawiłem...
- Posłuchaj, wiedziałam, że prędzej czy później to nastąpi, ale kiedy zdarzył się wypadek z autobusem, uświadomiłam sobie, że nastąpiła ta chwila. Chwila podejmowania decyzji. Wiem już na pewno, co chcę robić. Ratować życie.

Oczywiście wolałabym, by już nigdy żaden autobus nie stoczył się z drogi, ale gdy już tak się stanie, chcę nieść pomoc. Taki jest mój życiowy wybór. – Odetchnęła głęboko. – Luke, wiem, że ci na mnie zależy. Próbujesz to ukryć, ale to prawda.

– Oczywiście, że tak – powiedział, podchodząc o krok bliżej. Gdy podszedł, wstała.

– Pamiętasz, jak powiedziałam, że kiedyś chciałabym się zakochać? Ale że nie oczekuję tego samego od ciebie? Wtedy była to prawda, jednak później zakochałam się w tobie. Nie chciałam, ale stało się. Lecz ty nie odwzajemniłeś mojej miłości.

– Shelby, przecież kochałem cię każdej nocy, czasami więcej niż raz. Roześmiała się gorzko.

– Tak, tak, wiem. Przyłożyłeś się... Naprawdę nie rozumiesz, Luke, czego pragnę i potrzebuję? Pragnę usłyszeć, że mnie kochasz i chcesz ze mną spędzić życie. Potrzebuję czegoś więcej niż seks. Chociaż, mówiąc szczerze, szkoda mi z tego zrezygnować.

– Więc nie rezygnuj – powiedział, wyciągając do niej rękę.

– Muszę usłyszeć, że jesteś we mnie zakochany. Chcę mieć prawdziwego partnera, Luke. I rodzinę. Dziecko, przynajmniej jedno.

– Shelby, kochanie, przecież masz swoje plany. Szkoła, podróże, kariera zawodowa w służbach ratowniczych...

– Zgadza się, ale wiesz co? My, kobiety, nie musimy już wybierać pomiędzy edukacją, karierą a rodziną. To nowy świat, Luke. Mogę podróżować, uczyć się, a jednocześnie pielęgnować trwałą związek. Zupełnie jak mężczyzna. Spójrz na Mel. I na Brie. – Gdy tylko zwiesił głowę, mówiła dalej: – Nie musisz nic wyjaśniać, Luke, bo od początku było jasne, że ciebie to nie dotyczy. Sam zresztą tak powiedziałeś. Wyjeżdżam. Przyjechałam, żeby się pożegnać. Za dwa dni lecę na wakacje, na Maui. Jadę do San Francisco, bo stamtąd mam lot. Potem wracam i wynajmę mieszkanie. Może znajdę pracę na pół etatu i pochodzę na zajęcia jako wolny słuchacz. Chcą mnie przyjąć na tamtejszy uniwersytet.

– Shelby... – Wyciągnął do niej dłoń, a kiedy nie zareagowała, wyjął jej rękę z kieszeni i przyciągnął do siebie. – Zamarzam. Chodźmy do środka. Opowiesz mi o swoich planach.

– Nie, Luke. Chcę to załatwić szybko. Chcę, żebyś mnie zapamiętał jako silną, pewną siebie osobę. Pewnie lepiej niż mnie wychodzi mówienie ci do widzenia. Nie chcę się denerwować.

– Nigdy nie mówię do widzenia. – Wciągnął ją do domu, kopniakiem zamknął drzwi i złapał Shelby za ramiona. – Dlaczego tak nagle?

– Och, od pewnego czasu wiedziałam, że to nastąpi. To najlepsze, co mogę zrobić. Ale chcę ci coś powiedzieć. Że... to ważne... że niczego nie żałuję, Luke. Wiem, że nie dałam ci wyboru, bo tak się uparłam, że to ty masz być moim pierwszym mężczyzną, moją pierwszą miłością. I miałam rację, bo było doskonale. Na zawsze zapamiętam twoje ramiona, twoje usta... Dziękuję, Luke. Za to, że traktowałeś mnie tak, jak gdybyś mnie kochał. Wierzyłam w to.

– Co ty mówisz? Nie wrócisz? Nigdy?

– Będę odwiedzała rodzinę, ale tylko wtedy, kiedy zyskam pewność, że nie wejdziemy sobie w drogę. Rozumiem, że kiedy ja zrobię kolejny krok, ty zrobisz go również. Zanim się obejrzyysz, już następna dziewczyna zostawi w twojej łazience swój szampon...

– Nie każdemu pozwalam trzymać szampon w mojej łazience. – Przytulił ją. – Shelby, zdejmij kurtkę. Zostań ze mną chwilę.

– Nie, boję się, że jeśli zostanę choćby pięć minut dłużej, niż powinnam, to nie będę miała siły odejść. – Odsunęła się od niego. – Wiem, że byłeś ze mną szczery. Rozumiem to. Lubisz wolność i luz, nie pragniesz prawdziwego związku z kobietą, tego całego zamętu. Nie chcesz założyć rodziny. Nie ma sprawy, nie każdy musi. Wiedziałam o tym, lecz mimo to gdzieś tam kołatało we mnie: „On cię kocha i się zmieni”. Pomyślałam, że może jednak jesteś tym właściwym facetem, który powie co trzeba i zatrzyma mnie na zawsze... Poglaskał ją po głowie.

– Shelby, kochanie, mówiłem ci, że jeśli szukasz tego wszystkiego, to źle trafiłaś. Złożyłbym obietnicę, gdybym potrafił jej dotrzymać.

– Och, ciągle je składasz i dotrzymujesz. Zarzekałeś się, że nigdy nie zwiążesz się z kobietą, i proszę, sprawdziło się. Wydawało mi się, że odpowiedniej kobiecie uda się to zmienić, ale kiedy powiedziałeś mi, co zrobiłeś dla Arta, uzmysłowiłam sobie, że się oszukuję. Nie tylko zaopiekowałeś się nim, ale poświęciłeś się dla niego i dopilnowałeś, żeby już nigdy nie stała mu się krzywda. Wtedy już wiedziałam na pewno, że ciebie wcale nie przeraża poświęcenie. Ciebie przeraża życie ze mną. To jest to, czego nie potrafisz udźwignąć. Widać coś musi być nie tak. Może nie jestem warta ryzyka.

– Wszystko jest tak, Shelby. Wszystko. Tyle że ja jestem kiepską partią, a ty masz przed sobą cel... życiową misję. Widziałem cię na miejscu wypadku. Urodziłaś się, by pomagać ludziom. Powinnaś pójść w tę stronę, zobaczyć więcej świata. Shelby, twoje możliwości...

– Gdyby tylko o to chodziło, moglibyśmy nad tym popracować. Razem. Ty i ja. Tyle że... nie ma czegoś takiego jak „ty i ja”.

– Myślisz, że jesteś na to gotowa, ale to błąd. Przecież ty się dopiero co wyklulaś. Opuść gniazdo. Leć.

– Luke, przestań! Nie jestem pisklęciem. Przeżyłam coś, czego ty, mam nadzieję, nigdy nie przeżyjesz. Gdy o tym myślałam, dotarło do mnie, że przecież ty związałeś się z wieloma ludźmi: kolegami z wojska, braćmi, biznesowymi partnerami, przyjaciółmi. Ale dopiero kiedy pojawił się Art...

– Art to co innego, Shelby. On nie ma gdzie się podziać. Jeśli nie będę mógł się nim zająć, znajdę mu bezpieczne miejsce. To nie to samo, musisz o tym wiedzieć. A wojsko? Shelby, daj spokój, oni mieli mnie, a nie ja ich. Służba albo samowolka.

– Bzdury. Służba kiedyś się kończy. Chyba że przedłużysz kontrakt. Poświęciłeś się armii. Jestem z ciebie dumna, owszem, tak samo jak ze wszystkiego, co robisz, zwłaszcza dla Arta. Ale jeśli nie wyjadę, utknę tu na zawsze i nigdy nie usłyszę od ciebie tego, co chcę usłyszeć. To mi złamie serce. Pokręcił głową, spojrzał na nią zbolalym wzrokiem, ale nie puścił jej.

– Wiedziałem, że cię skrzywdzę, a przecież wcale tego nie chciałem. Shelby, chcę dla ciebie jak najlepiej.

– Wierzę ci. Naprawdę. Nie mógłbyś mnie tak kochać, gdyby ci nie zależało, gdybyś nie był szczery. Boli mnie tylko to, że tak trudno od ciebie odejść. A ja kocham cię tak bardzo. – Łza spłynęła jej po policzku. Wyrwała się z jego objęć. – Trzymaj się, Luke. Wiem, że będę o tobie myślała.

– A co z Artem? Nie powiesz mu, dokąd się wybierasz?

– Boże, nie mogę – powiedziała cicho. – Chyba bym się rozpadła na kawałki. Luke, proszę, powiedz to za mnie. Powiedz, że musiałam nagle wyjechać, ale na pewno napiszę. Proszę. – Odsuwała się od niego, więc przyciągnął ją z powrotem do siebie. Przytrzymał mocno i złożył na jej ustach gorący, desperacki pocałunek. Wbrew sobie otworzyła usta, pozwoliła na namiętny odruch. Całując ją, Luke czuł na języku smak łez Shelby. Gdy oderwał od niej usta, oparła się na jego ramieniu i rozplakała. Lecz tylko na chwilę, bo zaraz się odsunęła i szepnęła: – Żegnaj, Luke. Byłeś dla mnie wszystkim. Wszystkim, czego mi było trzeba. Przykro mi, że ja ci nie wystarczyłam. Może pewnego dnia spotkasz kogoś, komu się to uda. Kiedy wyszła, długo stał bez ruchu. Usłyszał silnik auta, zobaczył blask reflektorów. Słuchał oddalającego się pomruku. I nadal stał bez ruchu. Ze zwieszoną głową.

Mimo przejmującego zimna całkiem sporo osób miało odwagę mierzyć się z chłodem i wpadać do Jacka na kolację. Pewnego dnia Vanessa i Paul zabrali ze sobą Abby, a kiedy siedzieli już w barze, po zakończeniu pracy w przychodni zjawili się Cameron i Mel. Mike zrobił sobie przystanek na piwo, zanim, jak powiedział, wróci do domu, w którym córeczka drze się jak opętana. Walt zajął tylko po to, żeby odebrać zamówienie, i zaraz pojechał spędzić wieczór z Muriel. Vanessa ucieszyła się, kiedy Cameron usiadł obok Abby i zaczął z nią rozmawiać. Przez chwilę miała nadzieję, że może kiedyś tych dwoje... Ale potem zauważyła, jak on patrzy jej w oczy, a ona opuszcza powieki, prawie jak... zawstydzona. A przecież Abby nie należała do wstydliwych. Owszem, znalazła się w niepewnej sytuacji i zapewne nie miała głowy do zalotów samotnego mężczyzny, ale... Cameron nachylił się, szepnął jej coś do ucha, a ona uśmiechnęła się i pokiwała głową. Potem pod stolikiem dotknął jej uda, poklepał lekko, pocieszająco, i pogłaskał. Vanessa zmusiła się, by spojrzeć w drugą stronę.

Nikt z gości nie posiedział długo, bo pogoda była wyjątkowo paskudna. Nikt też nie zauważył, że Vanni jest wyjątkowo milcząco. Gdy wrócili do domu, położyła dziecko do łóżka, zaś Paul zasnął z książką na kolanach. Na palcach wyszła z pokoju. Okutana narzutą Abby siedziała w salonie przed kominkiem. Vanni podeszła i też wsunęła się pod narzutę.

– Nie możesz spać? – spytała Abby.

– Nie. Myślałam...

– O czym?

– O matematyce.

– No to ci nie pomogę. – Abby uśmiechnęła się. – Z matmy zawsze byłam kiepska.

– Wyszłaś z przyjęcia Nikki i Joego. Chociaż nie powiedziałaś żadnej z nas, że między tobą a Rossem się nie układa, wiedziałyśmy o tym, a także o tym, że jesteś w dołku. Myślałyśmy, że poszłaś do pokoju pocierpieć w samotności. Zastanawiałyśmy się, czy nie wyciągnąć cię stamtąd, ale stwierdziłyśmy, że skoro wolisz zostać sama, może nawet sobie popłakać, to niech tak będzie. – Urwała na moment. – Ale teraz myślę sobie, że może poznałaś kogoś w Grants Pass? Kogoś miłego i tak seksownego i przystojnego, że cię skusił. Kogoś, kogo znam.

– Vanni...

– Abby, to porządny człowiek. Powiem więcej, wyjątkowo porządny. Spotykaliśmy się krótko, a kiedy zorientował się, że jestem zakochana



w Paulu, nie tylko wycofał się jak na dżentelmena przystało, ale bardzo nam pomógł, i to nie raz.

– Vanni, ja go właściwie nie znam.

– Wiesz, mam znakomity pomysł – powiedziała z uśmiechem. – Spróbuj to nadrobić. I radziłabym się z tym pośpieszyć. Widzę, jak na siebie patrzycie, wiem, że coś się kroi. Nosisz w sobie jego dzieci, prawda? – Gdy Abby umknęła wzrokiem, Vanni znów się uśmiechnęła. – W najgorszym razie, to znaczy gdy nie zakochasz się w nim, przynajmniej pozwól mu, by był pełnoprawnym ojcem tych dzieci. On nie jest gnidą w stylu Rossa, tylko wręcz przeciwnie. Cameron jest wyjątkowo porządnym człowiekiem. To, co między wami zaszło, musiało wiele dla niego znaczyć. A to, że zostanie ojcem... – Zawiesiła głos, patrząc na Abby. Ta zaś milczała długo, wreszcie spytała:

– Myślisz, że wszyscy wiedzą?

– Ależ skąd, przecież nikt nie zna cię tak jak ja. Pamiętaj, że znam również Camerona, no i byłam w Grants Pass. Dlatego coś zaczęłam kojarzyć, ale tak naprawdę strzelałam. Abby, będziesz musiała coś z tym zrobić. Czy on wie?

– Od razu się domyślił, chociaż próbowałam tego uniknąć.

– Cóż, stało się. Tylko jak, na Boga?

– Banalna historyjka... – Abby wzruszyła ramionami. – Siedział sam w barze. Ja też tam byłam. Przegadaliśmy dwie godziny, dużo się śmialiśmy, no i powoli gęstniało wokół nas. Tak mną zakręciło, że poszłam z nim na górę. Wcale tego nie chciałam. Stało się.

– No nie wiem. Może to przeznaczenie? Co zamierzasz?

– Według niego nikogo nie zdziwi, jeśli się zaprzyjaźnimy, zbliżymy do siebie, zaczniemy razem się pokazywać. Vanni, musisz jednak coś zrozumieć. Nie zamierzam znowu związać się z kimś, kogo dobrze nie poznałam. To zajmie trochę czasu i może wcale nie skończyć się dobrze, chociaż bardzo byś chciała. Tamtej nocy spotkało się dwoje samotnych, rozgoryczonych życiem ludzi. Potrzebowaliśmy kilku godzin bliskości, swobodnej rozmowy, seksu. I tyle. Obawiam się, że wcale nie łączy nas zbyt wiele.

– Hm, na pewno coś się znajdzie...

Kiedy Walt przyjechał do Muriel, na spotkanie wyszły mu psy. Ale nie ich właścicielka. Siedziała przy stole w kuchni, przed nią leżał notes, obok stał kieliszek z winem.

– Przyniosłem klopsiki od Jacka. – Postawił torbę na stole. Podniosła głowę i patrząc na Walta, powiedziała:

– Chcę to zrobić. Wracam do Los Angeles. Do pracy. Tak naprawdę spodziewałem się tego. Scenariusz od razu ją zafascynował, a ponieważ wiedział, że nie zgodziłaby się na byle co, musiał to być tekst wart trudu i czasu. Podeszedł do szafki, wyjął szklanę i butelkę szkockiej, którą Muriel chomikowała na specjalne okazje, nalał sobie drinka i usiadł naprzeciwko niej.

– Mów.

– Powinnaś była powiedzieć ci o tym wcześniej, kiedy projekt zaczynał się klarować i coraz bardziej wyglądało na to, że może zostać zrealizowany. Ale staram się nie podniecać na zapas. Okazało się, że bardzo im zależy na moim udziale. W odwodzie mieli jeszcze Diane Keaton. Walt, to jest dobra rola. Wielka szansa.

– Więc dlaczego się nie cieszysz?

– Nie tak sobie wyobrażałam najbliższe pół roku. – Wzruszyła ramionami. – To będzie ciężka praca, kiedy już film trafi do kin, trzeba będzie go promować, a to też niełatwe. Nie da się tego zrobić tutaj. Muszę być w Los Angeles, a najpierw w Montanie, gdzie będziemy kręcić, całą wiosnę i początek lata przyszłego roku. Pociągnął drinka, a potem wziął ją za rękę.

– Muriel, już to przerabialiśmy. Jeśli uważasz, że ten film jest tego wart, masz moje poparcie. Jeżeli coś cię martwi, to niech to nie będę ja.

– Jutro wyjeżdżam na próby – oznajmiła z krzywym uśmiechem.

– Jutro? – spytał zdumiony. – Mój Boże! Nie powinnaś się pakować?

– Nie ma takiej potrzeby. Zabieram tylko kosmetyki. No i psy. Wymusiłam w kontrakcie opiekę nad nimi. Przyślą tutaj kogoś, zamieszka w domku gościnnym i będzie się opiekować końmi.

– Czemu nie potrzebujesz ubrań?

– Mam mieszkanie w Los Angeles, nieduże, ale przyjemne. Zostawiłam tam pełną szafę ubrań. Tutaj są na nic, a te, które noszę w tym domu, nie pasują tam. Planowałam, że sprzedam tamten apartament albo go wynajmę, ale teraz bardzo się przyda.

- Nigdy o nim nie mówiłaś. – Może i dobrze, bo gdyby wiedział, że Muriel ma drugi dom, pewnie mniej optymistycznie patrzyłby na szanse ich związku.
- Bo nie sądziłam, że będzie mi potrzebne. Może tylko do odwiedzin w Los Angeles.
- Muriel, czy psy będą dla ciebie stanowiły problem?
- Nie, już mówiłam, ktoś się nimi zajmie...
- Pozwól, że ja to zrobię. Końmi też.
- Walt, nie mogę cię prosić o coś takiego...
- Nie poprosiłaś, to ja poprosiłem. Cóż, moje pobudki są dość samolubne. Po prostu nie chcę, żeby ktoś inny mieszkał w tym baraku. A poza niańczeniem dzieci cóż innego mam do roboty? Shelby wyjechała, Vanni i Paul mieszkają u siebie. I tak codziennie zajmuję się końmi.
- Walt, to dużo pracy.
- Sam chcę. I pamiętaj, bez zobowiązań. Nie proponuję tego po to, żebyś była mi coś winna. Zresztą, kto wie? Może ten Jack Jakmutam okaże się facetem twoich marzeń.
- Już jesteś o niego zazdrosny?
- Jak cholera. – Nachylił się i zmarszczył gęste brwi. – To on spędzi z tobą najbliższe pół roku, a nie ja.
- Nie ma szans – powiedziała łagodnie. Walt pomyślał, że tak musiała się czuć Peg, kiedy on wyjeżdżał na długą misję. Jak gdyby istniała możliwość, że do niej nie wróci.
- To dla mnie coś nowego – odezwał się po chwili. – Rozstanie ze względu na pracę. Nie będzie łatwo, ale jakoś da się przeżyć. Podwieźć cię na lotnisko?
- Byłoby miło. Do Garberville. Przylecą po mnie prywatnym odrzutowcem.
- To też dla mnie coś nowego. – Uniósł brwi. – Chcesz klopsiki? A może wolisz, żebym cię zabrał na górę, zdarł z ciebie ubranie i porządnie się z tobą pożegnał?
- Klopsiki mogą poczekać na śniadanie – odparła z uśmiechem.
- Świetny pomysł. – Wstał i podał jej rękę. – Chodź, kochanie. To ostatnia szansa, żebyś poszalała przed Oscarem. O której masz lot?
- O której zdecyduje.

Następnego ranka Walt zawiózł ją na lotnisko w Garberville, gdzie już czekał na nią samolot. Pilot i steward w eleganckich strojach stali przy wejściu do kabiny. Prędko uwinęli się z bagażem Muriel, który składał się raptem z jednej niedużej walizki. Na pożegnanie obdarzyła Walta długim, namiętym pocałunkiem.

– Przyjadę, jak będę miała przerwę w zdjęciach.

– Muriel, przestań z tym żalem i smutkiem. Pragniesz tego, a ja chcę, żebyś to zrobiła. Jesteś dobra, dlatego dostałaś tę szansę. Pokaż im. Jeśli Jack Jakmutam będzie się do ciebie przystawiał, powiedz mu, żeby się gonił. Bo ty już masz faceta. Generała z ciężką pięścią. Roześmiała się.

– Powiem mu, powiem – powiedziała rozbawiona. – Walt Ciężka Pięść...  
Dzięki, że zajmiesz się zwierzakami. Wiele dla mnie znaczą.

– Dla mnie też, kochanie. Stał na przejmującym zimnie i patrzył, jak odrzutowiec odrywa się od płyty lotniska, a potem znika na niebie. A jeśli nie wróci? – pomyślał. Jeśli faktycznie zdobędzie tego Oscara, a potem dostanie następną propozycję, i następną? Przyleciał po nią odrzutowiec, a ona nawet nie mrugnęła okiem. To było jej życie. A ja sobie ubzdurałem, że mógłbym dla niej coś znaczyć, pomyślał. Czy to już koniec?

Mel usłyszała silnik samochodu, który zatrzymał się przed wejściem do przychodni, i pomyślała, że to Bruce przyjechał z pocztą i zabrać próbki do Valley. Wyszła na schodki, ale nie poznała zaparkowanego pikapu. Zmarszczyła czoło, kiedy zza kierownicy wysiadła nieznajoma kobieta, atrakcyjna, lekko po trzydziestce, z krótkimi, brązowymi włosami i zaróżowionymi policzkami. Spojrzała na Mel i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Cześć – powiedziała. Mel zmarszczyła brwi i odwzajemniła uśmiech.

– Witam. W czym mogę pomóc?

– Już to zrobiłaś. – Weszła po schodkach. Nosila lekki makijaż. Miała na sobie dzinsy, golf i bezrękawnik. Wtedy ją olśniło. Cheryl Chreighton! Jej przemiana była zdumiewająca. Raptem w kilka miesięcy cera odzyskała dawny blask, oczy zaślniły, zrzuciła kilkanaście kilogramów – pewnie w większości obrzęk alkoholniczki – i teraz była nie tylko czysta, ale zadbana i wręcz elegancka. Jej twarz zdobił szeroki uśmiech.

– O Boże.

– Zgadza się – powiedziała Cheryl. – To dzięki Niemu. I tobie.

- Spójrz na siebie – szepnęła Mel.
  - To dzięki tobie – powtórzyła Cheryl.
  - Nie, to wyłącznie twoja zasługa – podkreśliła Mel. – Ja tylko zadzwoniłam w parę miejsc. Wróciłaś do domu?
  - Nie. – Uśmiechnęła się smutno. – To nie jest dla mnie dobre miejsce. Dostałam pracę, mieszkam z paroma osobami. To nie do końca dom opieki, ale blisko, bo opiekujemy się sobą nawzajem. Praca też byle jaka, ale jak na razie wystarczy. – Umknęła wzrokiem. – Wątpię, żebym kiedykolwiek tu wróciła. – Odetchnęła głęboko, uniosła głowę, wyprostowała się. – Trudno byłoby mi żyć w mieście, w którym uchodziłam za miejscową pijacynę.
  - Wiesz, że to nie ma znaczenia. Ale ty potrzebujesz mityngów. Powrót do zdrowia bez tych spotkań to jak poważna operacja bez szwów.
  - Dobrze powiedziane. – Cheryl zachichotała.
  - Ile już czasu?
  - Sto dwadzieścia siedem dni. Nie liczę dnia, w którym mnie tam zawiozłaś. Nie opuszczam mityngów, chociaż już naprawdę nie ciągnie mnie do butelki. Ale nie chcę zaprzepaścić tego, co osiągnęłam, a tyle jeszcze przede mną. Spotkania mam każdego dnia, czasem nawet po dwa. Jeśli mam na nie chodzić do końca życia, trudno, niech tak będzie.
  - To dobrze – powiedziała z uśmiechem Mel. – To cudownie.
  - Muszę odwiedzić rodziców. Nie widziałam się z nimi od tamtego dnia...
  - Na pewno się ucieszą.
  - No nie wiem. – Cheryl wzruszyła ramionami. – Matka powiedziała, że cały ten odwyk to jedna wielka bzdura, a ojciec uważa, że nic złego się nie działo, skoro wydzielał wóde i, cytuję, „wszystko mam pod kontrolą”. To wiele wyjaśnia. Muszę się z nimi zobaczyć, ale nie zamierzam tu zostać. Zresztą nie przyjechałam sama. Jest ze mną moja mentorka.
- Mel pochyliła się i zobaczyła siedzącą w aucie siwowłosą kobietę, która do niej pomachała. Dobrze, pomyślała, że to ktoś dojrzały, kto zapewne ma za sobą wiele lat w trzeźwości.
- Chciałam też podziękować paru osobom, przeprosić... Całemu miastu nie zdołam, ale chociaż tobie, Dokowi, może Jackowi... Mel zadrżała. Uświadomiła sobie, że wyszła na schody bez kurtki. Poczuła ziaęb, a zarazem w jej oczach pojawiły się łzy.

- Cheryl, mój Boże, tak mi przykro. Ktoś powinien był się z tobą skontaktować. Dok zmarł nagle w październiku zeszłego roku. Nie znamy przyczyny. Prawdopodobnie serce. Albo wylew.
- Dok nie żyje? Jezu...
- Przykro mi. – Mel mrugnęła i łza potoczyła się po policzku. – Tak się cieszył, że postanowiłaś się leczyć. Byłby z ciebie dumny.
- Zawsze był dla mnie taki dobry. – Pokręciła głową. – Co prawda nie pamiętam, czy wyrzodziłam ci jakąś krzywdę, ale chciałabym...
- Nie wyrzodziłaś – odparła szybko Mel. – Byłaś bardzo miła. Kiedyś zaproponowałaś, że popilnujesz mi dziecka. I posprzątałaś tę paskudną budę, którą dostałam od Hope McCrea jako darmowe lokum.
- Nie pamiętam tego o niańczeniu...
- Musisz mi uwierzyć na słowo.
- Dzięki – powiedziała Cheryl. – Ale Jack... Wiem, że założyłam mu za skórę. Powinnam do niego pójść i powiedzieć, że przepraszam?
- Tak będzie właściwie, chociaż dobrze wiem, że nie chowa urazy. Ucieszy się, jak pokażesz mu się trzeźwa i zdrowa.
- Jesteś pewna?
- Tak, Cheryl.
- Ciebie też muszę jednak przeprosić. Kiedyś przystawiałam się do Jacka. Ale wiesz, to przez gorzałę. Nie jestem stuknięta. – Uśmiechnęła się. – Nie bardziej niż przeciętna pijaczka.
- To musiało się zdarzyć, zanim go poznałam, więc nie musisz przepraszać. Jack na pewno zrozumie. Nie masz pojęcia, jak się ucieszy, kiedy zobaczy, że wychodzisz na prostą. Nie powiedziałam mu, że trafiłaś do ośrodka.
- Nie? – spytała zdumiona Cheryl. – Myślałam, że całe miasto o tym wie!
- Ani ja, ani... Dok... nie pisnęliśmy słówka. Tajemnica lekarska.
- Wow. Tego się nie spodziewałam.
- No to już wiesz. Prawdę mówiąc, nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek o tym rozmawiał. Wiesz, nie po raz pierwszy zniknęłaś. Przez dłuższą chwilę w milczeniu patrzyły na siebie.

– Dziękuję ci. Zrobiłaś dla mnie coś wielkiego. Mel poczuła ucisk w żołądku. Jeszcze trochę, a całkiem się rozklei. To samo powiedział jej Dok! Tak bardzo by się ucieszył, gdyby zobaczył tę nową Cheryl, tak odmienioną, atrakcyjną, dobrze się wysławiającą. Mel lubiła myśleć, że Dok patrzy na nią z wysoka.

– To naprawdę wspaniale, że się udało. Jestem z ciebie dumna. Idź do Jacka i rodziców, pogadajcie sobie. Wpadniesz czasem?

– Jasne. Jeśli chcesz.

– Chcę. Byłoby nam miło.

Kiedy Mel wróciła do przychodni, poszła do biura Doka, które dzieliła teraz z Camem. Nie było żadnych pacjentów, dzieci uciwały sobie drzemkę, a Cam wyjechał w jakiejś sprawie. Była więc sama. Rozpłakała się. Płakała z radości, że Cheryl wyszła na prostą, i z tęsknoty za Dokiem. Stary zrzęda byłby zachwycony, że jedna z jego „owieczek” na lepsze odmieniła swoje życie. Boże, Cheryl – zupełnie nowa osoba, młoda, bystra, atrakcyjna, wreszcie miała szansę na udane życie. Jej przemiana była bardzo inspirująca. Mel długo siedziała zadumana, aż znów usłyszała silnik samochodu i ponownie pomyślała, że to zapewne Bruce z pocztą. Otarła łzy i wyszła na schodki. Faktycznie, Bruce. Wręczył jej plik listów.

– Jakieś próbki? – spytał.

– Nie dzisiaj.

– Super. To kończę wcześniej. Kiedy odjechał, Mel spojrzała na bar Jacka. Wszedł, obejmując Cheryl. Zatrzymali się, uścisnęli, a potem Cheryl zbiegła do czekającego na nią auta. Pikap wycofał się powoli. Jack stał na schodkach baru, patrząc na swoją żonę. Nawet z takiej odległości widziała czułość malującą się w jego uśmiechu, dumę i wdzięczność. Cheryl opowiedziała mu o wszystkim. Uniósł dłoń. I Mel uniosła swoją.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Gdy Aiden Riordan zatrzymał samochód i zatrąbił, w drzwiach ukazał się zaskoczony i wymizerowany Luke.

– Co tu ty, do diabła, robisz?

– Od dziesięciu dni nie odbierasz telefonu! – rzucił gniewnie Aiden. – Za to sekretarkę masz na medal.

– Telefon nie działa. – Luke zniknął w środku. Aiden przewrócił oczami, zmełł w ustach przekleństwo i poszedł za bratem. Rozejrzał się, ściągając skórzane rękawiczki. Luke siedział na kanapie i patrzył na niego wściekłym wzrokiem spod krzaczastych brwi.

– Ładnie. – Aiden podszedł do telefonu, obejrzał go i podłączył do gniazdka.

– Pożałujesz – powiedział Luke.

– Czemu? Telefon się urywa?

– Nie mam ochoty z nikim gadać, łącznie z tobą.

– No to masz pecha, bo właśnie przyjechałem. – Poszedł do kuchni, wyjął z lodówki piwo, wrócił do salonu i usiadł, nawet nie zdejmując kurtki. – Zostawiła cię, tak?

– O czym ty mówisz?

– O Shelby, tej cud-miód paniencie. Zostawiła cię, więc się podłamałeś. – Pociągnął z butelki, a gdy Luke tylko wymownie na niego patrzył, dodał: – Zostawiła cię, masz doła i uważasz, że życie jest do dupy. Musiałem osobiście się pofatygować i sprawdzić, czy nie zastanę tu twojego trupa, a ty nawet nie raczysz współpracować. Nie mówiąc o gościnności.

– Nikt cię nie prosił.

– Jezu, wiem przecież! Boże broń, żeby pierworodny okazał słabość albo o cokolwiek poprosił. Jesteś człowiekiem ze stali, co? Daj spokój. Spójrz na siebie. Zapaściłeś się.

– Dużo pracowałem.

– Akurat. Praca skończona. Powiedz, co się stało.

– Nic się nie stało. Cisza i spokój. Nie mam ochoty z nikim gadać. Tyle. Aiden uśmiechnął się ironicznie.



– Naprawdę mnie nie doceniasz, braciszku. Myślisz, że przyjechałbym do ciebie i próbował ratować ci życie, gdybym wcześniej się nie wywiedział, co i jak? Zadzwoiłem do baru, do którego tak lubisz wpadać, i w którym dawno cię już nie widzieli. Porozmawiałem z Jackiem, zdobyłem numer Walta Bootha i z nim też pogadałem. Oto co się stało: Shelby zrobiła sobie wakacje i opala się na Maui, a potem wyjeżdża do San Francisco i chce tam wynająć mieszkanie, chociaż zajęcia zaczyna dopiero za kilka miesięcy. Tak więc zniknęła stąd, a ja domyślałem się, dlaczego tak się stało. Odepchnąłeś ją od siebie. Nie powiedziałeś jej, co naprawdę do niej czujesz, bo uważasz, że dla Shelby nie wyniknęłoby z tego nic dobrego. Nadal sądzisz, że każda napotkana kobieta podłoży ci świnie. Nadal podejmujesz decyzje za innych. Po tym, jak się zachowałeś, ona jest pewna, że nie zależy ci na niej. Rzuciła ci wyzwanie i wyjechała. Daleko, braciszku. Najdalej, jak tylko mogła. Masz przechlapane. Luke łypnął na Aiden, po czym warknął:

– Zabiję cię, do ciężkiej cholery. Aiden z uśmiechem rozsiadł się wygodnie i upił piwa.

– Tak? Niby dlaczego?

– Zadzwoiłeś do generała? Rozmawiałeś z nim o mnie?

– Zgadza się. I z barmanem. Dzwonił do mnie Sean, do którego dzwoniła mama. Ciesz się, że Paddy i Colin są daleko, bo inaczej też by tu się zjawili. Nie wyłączaj telefonu, najwyżej powiedz, że jesteś zajęty i nie możesz rozmawiać. Co ty wyprawiasz?

– Ratować mi życie? – spytał Luke. – O czym ty gadasz?

– Posłuchaj, już to przerabialiśmy – z wielką powagą odparł Aiden. – Byliśmy młodzi, to prawda, okoliczności też były inne, ale wyobraź sobie, że widzisz starszego brata, którego podziwiasz najbardziej na świecie, jak potyka się i leci na łeb na szyję. Wystraszyłeś nas. Ale to już się nie powtórzy, nie pozwolimy na to.

– To nic poważnego. Shelby po prostu realizuje swoje plany. Chce podróżować i studiować. Ja się przyzwyczajam. Daj mi tydzień. Aiden wpatrywał się w niego przez chwilę, wreszcie skomentował lapidarnie:

– Gówno prawda. W tym momencie rozdzwonił się telefon.

– Widzisz? Cholera! Po coś to włączył? – ryknął Luke. Odebrał Aiden i od razu się uśmiechnął.

– Tak, mam, jestem u niego. Wszystko dobrze... Tak, zmierzyłem mu tętno, żyje... Tak, mam... Mam! Dopiero przyjechałem. Pozwól... Tak, mam. Cześć. – Zanim zdążył usiąść, telefon znów zadzwonił. Luke jęknął. Aiden

odebrał i tym razem. – Jezu, dopiero przyjechałem! Dajcie mi parę minut, dowiem się, o co chodzi. Tak, w porządku. Oddzwonię. Aiden wrócił na fotel i wziął niedokończony piwo.

– Widzisz? – syknął Luke.

– No tak, ale odłączyłeś telefon, dopiero kiedy zaczęliśmy się do ciebie dobijać. Nie raczyłeś nas powiadomić, że jesteś cały i zdrowy. A gdyby Shelby chciała zadzwonić, powiedzieć, że wszystko przemyślała i postanowiła zostać tutaj aż do rozpoczęcia zajęć?

– Nie zadzwoni.

– A gdyby jednak?

– To nie byłoby dla niej dobre. Aiden przez dłuższą chwilę siedział jak wmurowany. Potem na jego ustach pojawił się przebiegły uśmiech.

– Ech, stary – zaczął. – Odłączyłeś telefon, bo bałeś się, że za każdym razem, kiedy zadzwoni, będziesz myślał, że to ona.

– Chyba ci odbiło...

– Więc wolałeś, by pomyślała, że nie ma tu ciebie. Że dzień albo tydzień po tym, jak cię rzuciła, wzięłaś się w garść i ruszyłeś na poszukiwania panienek. Jezu, Luke. – Roześmiał się. – A gdyby postanowiła spędzić z tobą jeszcze z tydzień albo miesiąc? Albo gdyby dała ci trochę czasu, żebyś poradził sobie z problemami? Luke bezradnie pokręcił głową, po czym wyszedł do kuchni po piwo i zaraz wrócił.

– To byłaby zła decyzja.

– Okej, to już wiemy, co ci jest. Tęsknisz za nią. Porozmawiamy od razu, czy najpierw musimy obalić cały sześciopak? Bo wiesz, nie mogę więcej wypić. Tak naprawdę jestem na dyżurze pod telefonem...

– Już chyba wyjaśniłem – odparł poirytowany Luke. – To piękna, młoda dziewczyna. Metrykalnie ma dwadzieścia pięć lat, ale odejmij tych kilka, kiedy zajmowała się matką. W większości barów musiałyby się legitymować. Byłem jej pierwszym prawdziwym mężczyzną! Powinna pożyć! Doświadczyć życia! Nie wolno jej...

– ...ryzykować z tobą, żeby po paru latach przekonać się, że się pośpieszyła – dokończył Aiden. Luke machnął ręką, a potem rozmasował sobie kark.

– Ona nie jest gotowa na taki wybór, chociaż wydaje jej się inaczej.

– Bo ty nie byłeś?

– Jest za młoda!

– Bo ty byłeś? Luke nie odpowiedział, tylko odwrócił się do brata plecami. Aiden podszedł do niego i złapał za ramię. – Wcale nie byłeś zbyt młody, kiedy ożeniłeś się z Felicią. Nie byłeś naiwny ani niedoświadczony, kiedy miałeś dwadzieścia pięć lat. Niczego ci nie brakowało. Byłeś bystry, lojalny i wiedziałeś, co czujesz. Miałeś w sobie dość namiętności i poświęcenia, aby nie zmienić zdania. Oszukała cię kobieta, która do ciebie nie pasowała. Przykro mi, że tak się stało, ale musisz pamiętać, że to nie była twoja wina. Przestań się tym zadręczać. Nie zdradziłeś jej, to ona zdradziła ciebie.

– Nie wystarczyła. – Luke roześmiał się gorzko. – Tak mi powiedziała...

– Felicia?

– Shelby. Powiedziała, że mi nie wystarczyła...

– Rany – jęknął Aiden. – Dobra, słuchaj, nie ma sensu chlać i użalać się nad sobą. Pojedziemy coś zjeść, pogadamy spokojnie, bez wrzasków, a kiedy będę wiedział, że czujesz się lepiej i już nie odłączysz telefonu, wtedy dam ci spokój. – Gdy Luke skinął głową, spytał: – Chcesz pojechać do Jacka?

– Nie – odparł natychmiast Luke. – Jedźmy do Fortuny.

W Fortunie zjedli obiad w miłej restauracji położonej blisko rzeki. Zamówili to samo danie, co w rodzinie zdarzało się często. Aiden pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o problemie Luke'a, wiedział jednak doskonale, że gdyby spytał prosto z mostu, nic by nie osiągnął. Rozmawiali więc o mieście, o ludziach, o domkach letniskowych, o tym, co dalej z posiadłością. Pierwotny plan zakładał, że domki po remoncie zostaną korzystnie sprzedane, jednak teraz Luke rozważał inny wariant. Chciał dać sobie rok i sprawdzić, ile przyniesie wynajęcie domków na wakacje. W okolicach Virgin River nie było żadnego motelu ani pensjonatu, więc domki mogły wypełnić tę lukę, a przecież nie wymagały wielkiego zachodu. Gdyby pomysł wypalił, Luke chętnie by wykupił część Seana i zarządzał domkami jako jedyny właściciel. Był gotów zapuścić korzenie. Problem jedynie w tym, że śmiertelnie bał się poprosić kogoś takiego jak Shelby, by zrobiła to razem z nim. Bo mogłaby zmienić zdanie. A to by go zabiło.

– Co takiego ma w sobie Shelby? – bez ogródek spytał Aiden. – To nie w twoim stylu zadawać się z dziewczyną z sąsiedztwa, a do tego siostrzenicą generała.

– Co ma? Urodę. – Luke uśmiechnął się. – Pierwszego dnia pobytu w mieście natknąłem się na nią dwa razy. Myślałem, że ma nie więcej niż osiemnaście lat.

– Jedyna ładna dziewczyna w trzech hrabstwach?

– Nie wiem, bo jakbym oślepl na wszystkie inne, miałem przed oczami tylko ją. A może walnąłem się w głowę? No, rozumiesz, klapki na oczach. Owszem, mówiłem sobie, że nie powinienem tego robić, ale mogłem sobie mówić. Wiesz, jak to jest.

– Wiem. – Aiden naprawdę wiedział. Ożenił się, bo miał klapki na oczach. – I wtedy zaczęłaś tracić zainteresowanie?

– Co? – Milczał przez chwilę. – Nie traci się zainteresowania kimś takim jak Shelby. Nieważne, jak bardzo się starasz.

– Dawno czegoś takiego nie czułeś, prawda?

– Wiem, do czego zmierzasz – powiedział Luke, patrząc Aidenowi w oczy. – Nie chcę o tym gadać. Nie wnerwiał mnie. Potrzebuję czasu.

– Upadek był bolesny.

– Zdarza się. Ale dość już o tym.

– Chcę się upewnić, że będziesz w stanie żyć dalej i...

– ...nie oszaleć? Posłuchaj, Aiden, czegoś w życiu się nauczyłem. Jest źle i tak będzie, póki się nie polepszy. Zostawmy to tak.

– Szkoda, cholerna szkoda, że nie postąpiłeś inaczej. Istnieje pięćdziesiąt procent szans, że popełniłeś koszmarną pomyłkę. Że źle oceniłeś i siebie, i Shelby. Wygląda na to... nadal w proporcji pięćdziesiąt do pięćdziesięciu... że mogłeś być szczęśliwy do końca życia, ale schrzaniłeś sprawę. I teraz robisz to jedyne, co ci pozostało, a mianowicie próbujesz przeboleć rozstanie z Shelby.

– Właśnie w tym rzecz, Aiden. Pół na pół. Nigdy nie wiadomo, co wypadnie.

Następnego ranka, tuż po śniadaniu, Aiden wrzucił do auta torbę podróżną, uściskał bratu dłoń i powiedział:

– Leć za nią, Luke. Powiedz Shelby prawdę. Że jej pragniesz, choć cię to przeraża. Luke tylko się uśmiechnął.

– Dzięki, że przyjechałeś, Aiden. Wiem, że chcesz pomóc. Jedź ostrożnie.

Czas opuścić Maui. Wcale nie była pewna, czy ma ochotę wracać, i zastanawiała się nad wykupieniem jeszcze tygodnia wakacji przed wyjazdem do San Francisco. Nie wiedziała, czy odpoczynek i słońce jej pomagają, czy może lepiej byłoby podjąć nowe wyzwanie. U wuja załadowała wszystko do samochodu i pojechała do San Francisco, gdzie złapała lot na Hawaje. Nie będzie musiała wracać do Virgin River po rzeczy. Zostawiła auto na parkingu przy lotnisku. Niech czeka na kolejny krok właścicielki ku nowemu życiu, taki, który w ogóle jej nie interesował. Wysokie drzewa i góry wzywały ją, a miejska wrzawa wcale nie wydawała się pociągająca. Nie ma to jak ciche, czyste niebo i naturalne piękno. Brakowało jej koni. Starannie wybrała zakwaterowanie na wakacje – hotel na plaży z dobrą restauracją. Myślała, że pozwiedza wyspę, ale nie wyszło. Zamierzała dużo czytać, ale zbyt często odpływała myślami, by skupić się na lekturze. Matka nawet w najgorszych chwilach była w stanie czytać. Ucieczka w dobrą prozę przynosiła jej wytchnienie. Restauracja w hotelu okazała się wyjątkowa, ale Shelby i tak tęskniła za kuchnią Proboszcza, kominkiem, śmiechem przyjaciół, dotykiem kochanka. Z wyjątkiem śniadań większość posiłków dostarczano jej do pokoju. Czuła się samotna, ukrywała się za ciemnymi okularami. Codziennie chodziła na bardzo długie spacerunki po plaży. Siadywała na leżaku i chłoneła słońce. Czasami relaksowała się w kabinie plażowej z przymkniętymi oczami, jakby drzemała. Ale w środku krwawiła. Gdyby przyjrzeć jej się bliżej, można by ujrzeć łzy, które od czasu do czasu spływały po skroniach i tonęły we włosach. W obecności wuja i rodziny tak bardzo starała się nie rozkleić, że dopiero teraz dopadły ją prawdziwe emocje. Zaczęła płakać, gdy tylko koła samolotu oderwały się od ziemi, i wbrew sobie przepłakała połowę drogi na Hawaje. Na szczęście siedziała obok miłej starszej pani, która objęła ją i powiedziała:

- Och, kochanie, masz złamane serce, to widać. Nawet najlepsza powieść nie jest w stanie opisać, jak boli złamane serce. To śmierć, tym gorsza, że nikt nie umarł, chyba że uznać za śmierć koniec szczęścia.
- Piękny dzień – odezwał się jakiś mężczyzna. Spojrzała, kto usiadł obok niej. Na plaży stały dziesiątki wolnych leżaków, ale intruz wybrał akurat ten.
- Piękny – odparła cicho, demonstracyjnie odwracając głowę, by poczuł się zignorowany.
- Słyszałem, że tu wiecznie pada. Widziałaś jakiś deszcz?
- Proszę... Spałam.
- Wyśpisz się do kolacji? Chciałbym cię zaprosić. Odwróciła głowę, zsunęła okulary i powiedziała:
- Nie, dziękuję. – I znów się odwróciła.

- To może postawię ci drinka? Mai tai czy Krwawą Mary? Nie patrząc na niego, odparła:
- Mam się przenieść? Czy ty się przesiądziesz?
- Nie ma się co wstydzić, Shelby – powiedział wesoło.
- Skąd wiesz, jak mam na imię? – niemal wykrzyknęła. – Ktoś ci powiedział?
- Już była zupełnie rozbudzona. Ostatnie, czego potrzebowała, to poczucie zagrożenia. Była tu sama, a personel hotelu miał zadbać, by czuła się bezpieczna.
- Nie, bo znałem je wcześniej. Tylko spytałem, gdzie mogę cię znaleźć. Niechętnie tu udzielają informacji, ale wystarczyło, że cię opisałem.
- Zaraz... To kto ty jesteś? – spytała wrogo, nieufnie.
- Aiden Riordan. – Wyciągnął rękę. – Jak się masz? Powoli wyciągnęła dłoń. Był przystojny, ale nie przypominał ani Seana, ani Luke'a. Miał ciemne włosy, gęste czarne brwi, zielone oczy i miły uśmiech po matce.
- Lekarz?
- Ginekolog, mówiąc ściślej. Miło mi poznać.
- Co...? Na Boga, co ty tu robisz?
- Uznałem, że ktoś powinien wyjaśnić postępowanie Luke'a, oczywiście o ile takie karkołomne zadanie jest w ogóle wykonalne.
- Przysłał cię? – Wciąż w szoku, usiadła bokiem na leżaku, zwracając się ku Aidenowi. Zakopała stopy w piasku.
- Ależ nie – zaprzeczył rozbawiony Aiden. – Kiedy się dowie o mojej wizycie, nie będzie zadowolony, ujmując to delikatnie. – Spoważniał. – Shelby, być może tracę czas, ale przypuszczam, że nie wiesz o Luke'u pewnych bardzo ważnych rzeczy. Choć z drugiej strony pewnie wiesz o nim coś, o czym ja nawet nie chcę wiedzieć.
- Ale to... szaleństwo!
- Ba! Mamy w rodzinie krzykaczy, ale zwykle aż tak bardzo nie wtykamy nosa w sprawy braci. Tyle że przypadek Luke'a jest wyjątkowy.
- Dlaczego?
- Wspominał, że kiedy był młodszy, miał żonę? Długo milczała, przetrawiając tę informację, wreszcie powiedziała cicho:

– To trochę wyjaśnia...

– Niewiele, bo prawda jest jeszcze gorsza, niż zapewne myślisz. Słyszałem mnóstwo paskudnych opowieści o rozwodach, ale ponieważ rozwód Luke'a okazał się najpaskudniejszy z paskudnych, to jestem przekonany, że wspomnienie tamtych zdarzeń głęboko w nim utkwilo.

– Cóż, nie zaufał mi na tyle, by o tym opowiedzieć – powiedziała Shelby.

– To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. Próbował, bardzo się starał nie zbliżyć do ciebie. Na swoją zgubę. Powinnaś go zobaczyć. Wygląda jak żywy trup.

– Kiedy się z nim widziałeś?

– Dwa dni temu. I nie, nie powiedziałem mu, że zamierzam cię odnaleźć. Nie pochwaliby mojego pomysłu. No, wściekłyby się.

– Wszystko z nim w porządku? – spytała mocno przejęta.

– Jest w rozsypce. To twardy facet, więc pewnie się pozbiera, ale... Shelby, musimy porozmawiać. My, ty i ja. A potem co będzie, to będzie.

– Więc rozmawiamy. – Przymknęła oczy i powtórzyła cicho: – Co będzie, to będzie.

– Luke ożenił się, kiedy miał dwadzieścia cztery lata – zaczął Aiden. – Był świeżo upieczonym pilotem śmigłowca. Wziął ślub z dziewczyną, którą poznał w Alabamie, uroczą południową pięknością, która wywróciła jego świat do góry nogami. Spotkali się na paru randkach, od razu zaczęli snuć plany na przyszłość, a kilka miesięcy później pobrali się. No i Luke stał się najszcześniejszym facetem na świecie. Ponieważ był najstarszy z nas, więc wszyscy śledziliśmy jego poczynania. Chcieliśmy być tacy jak on, pewni siebie, dobrze przygotowani do życia. Chcieliśmy pójść do wojska, wyróżnić się, zdobyć tonę odznaczeń, awansować, poślubić najpiękniejszą dziewczynę pod słońcem, posmakować doskonałego życia pełnego wyzwania, przygód i namiętności.

– Ale coś poszło nie tak – wtrąciła.

– Zaraz, po kolei. Colin był w wojsku, stacjonował na drugim końcu Ameryki. Ja kończyłem studia licencjackie. Sean miał dopiero dziewiętnaście lat i uczył się w akademii sił powietrznych. Patrick chodził do liceum. A Luke spodziewał się dziecka. Pierwsze małżeństwo, pierwsze dziecko w rodzinie, syn. Luke był w siódmym niebie, szczęśliwy, zakochany, podekscytowany bliskim ojcostwem. A potem wysłali go do Somalii, do Mogadiszu. Widziałaś film „Helikopter w ogniu”?

– Tak, choć drugi raz na pewno nie obejrzę...

– Luke’a zestrzelili. Był ranny, ale to najdzielniejszy facet, jakiego znam. Somalia to był koszmar, wszystko poszło źle. Ale przeżył, zachował się jak bohater. Uratował ludzi, został odznaczony. Wrócił do domu najprędzej, jak tylko mógł, ponieważ lada moment miał się urodzić jego syn. Jeszcze miał przed oczami krwawą bitwę w Somalii, kiedy okazało się, że w Stanach czeka go kolejna. Ledwie przekroczył próg domu, gdy żona oznajmiła, że dziecko, które zostało poczęte kilka miesięcy przed wyjazdem Luke’a na wojnę, nie jest jego. Poderwał ją jakiś kapitan, zresztą jeden z przełożonych Luke’a, z którym poszedł na wojnę i którego rozkazów musiał słuchać. Zostawiła Luke’a i wyprowadziła się do ojca dziecka.

– Boże – szepnęła.

– Ten silny, twardy żołnierz został zdeptyany, upokorzony. Miał wtedy tyle lat co ty teraz. W jego jednostce ostro się zakotłowało. Oficer miał romans z żoną podwładnego. Nie chodziło tylko o rozwód, ale również o to, że cała ta historia została strasznie rozbuchana. Odezwały się głosy, że kapitanowi należy postawić zarzuty, przez co Luke wyszedł na idiotę, który sam nie potrafi bronić swojego honoru. Doprowadzało go to do furii. Do tego miał objawy stresu pourazowego – pamiątka z Somalii, żal po stracie kolegów, złamane serce, skandal, poniżenie, rozczarowanie. – Aiden odetchnął głęboko. – Myślał o samobójstwie.

– Luke? – spytała z niedowierzaniem. – Trudno mi to sobie wyobrazić. Złość, to rozumiem, ale...

– Szukał śmierci, choć nie robił tego w typowy sposób. Nie podciął sobie żył, nie nafaszerował się środkami nasennymi, nie strzelił sobie w łeb. – Aiden ciężko potarł twarz. – Luke poszedł jak tornado. Spił się, usiadł za kółkiem, pojechał, a właściwie poleciał, ale ktoś go wyratował. Wdawał się w bójki, zawsze chodził tam, gdzie wiedział, że może liczyć na obicie gęby przez kilku oprychów. Parę razy wylądował w szpitalu po pobiciu. Raz po rozwaleniu auta. Tobie by tego nie powiedział, ale mnie i owszem. Naprawdę chciał umrzeć.

– Nic dziwnego, że unika związków... – powiedziała po długiej chwili zadumy.

– Jest wiele przyczyn, które mogą doprowadzić mężczyznę do takiego stanu, a Luke’owi przytrafiły się wszystkie naraz. Shelby, nie chodziło tylko o nieudane małżeństwo, ale również o całą resztę. A już najbardziej o niewierną żonę. To go najmocniej zabolalo, zdrada. Wyjście na prostą zajęło mu dwa lata. Luke się zmienił. Stał się wyrachowany, wręcz cyniczny, przestał żyć, zaczął grać, że tak to ujmę. Brał, co mu wpadało w ręce, zmieniał kobiety jak rękawiczki, uwodził, był w tym naprawdę dobry, tyle że



to wszystko była gra, żadnej prawdy, żadnej szczerości. – Przerwał na moment. – Wyglądało to tak, jakby za nic nie potrafił zrezygnować z kobiet, dlatego tak o nie zabiegał, zarazem jednak odpuścił sobie wszelkie związki. Po prostu dusił je w zarodku.

– Posłuchaj... – Spojrzała na Aidenę. – To naprawdę dużo tłumaczy. Luke kiedyś mi powiedział, że się nie zakochuje, tylko pożera kobiety jak rekin płetwonurków.

– To całkiem w jego stylu – odparł z uśmiechem.

– Uwierzyłam mu. Pomyślałam, że dam sobie radę. Głupio sądziłam, że mnie potraktuje inaczej. To był błąd. – Przerwała na moment. – Pewnie wystraszyłam go całym tym gadaniem o dzieciach...

– Jakim gadaniem?

– Powiedziałam, że chcę mieć prawdziwego partnera i chociaż jedno dziecko. Na co usłyszałam, że z nim nie mam na to szans, ale wydawało mi się... – Wzruszyła ramionami.

– Mówi tak od tamtych zdarzeń i pewnie nawet w to uwierzył, tyle że... Shelby, kiedy dowiedział się o dziecku, był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Szkoda, że to stracił. Ale co naprawdę w nim się kłębi?

– Wymówił się wiekiem. Cóż, gdyby miał do mnie zaufanie, na pewno powiedziałby mi o małżeństwie, o swoich urazach i traumach, i dałby nam szansę...

– Starał się wyprzeć to z pamięci. Wygląda na to, że najpierw próbował chronić siebie, ale potem chodziło mu o ciebie. On ciebie chronił, Shelby.

– Mnie?

– Opowiedział mi o twojej matce, o tym, że nie zaznałaś prawdziwej wolności.

– Jesteś lekarzem, więc może zrozumiesz coś, czego Luke nie potrafił. To nie była ofiara. Nie byłam zakładniczką. Zrobiłam to, co chciałam zrobić. Byłyśmy z mamą bardzo blisko. Obcowanie z kimś, kto rozstaje się z tym światem, to wyjątkowe i bardzo osobiste doznanie. Z niczego nie zrezygnowałam, za to doświadczyłam czegoś niezwykłego.

– To wyjątkowe, co mówisz – powiedział ciepło, z podziwem.

– Wcale nie jestem wyjątkowa. Byłam w grupie wsparcia i wiele się nauczyłam.

– To był dla ciebie bardzo trudny rok, Shelby. Najpierw strata matki, a potem Luke... Oczy zaszyły jej wilgocia, ale trzymała się.

– Nie żałuję tego, co dałam i jej, i jemu, Aiden. Nic bym w tym nie zmieniła. Nie zostawiłabym matki pod opieką obcej osoby. I nic nie poradzę, że zakochałam się w Luke’u. – Uśmiechnęła się krzywo. – Od razu wiedziałam, że to on powinien być moją pierwszą miłością. Aiden delikatnie dotknął dłoni Shelby spoczywającej na jej kolanie.

– Zakładam, że nigdy wcześniej nie zakochałaś się w ten sposób.

– W ogóle nigdy nie byłam zakochana. Odizolowałam się zaraz po skończeniu liceum, a w szkolnych czasach byłam dość nieśmiała. Luke miał rację co do jednego. Niewiele przeżyłam pod tym względem. Mogłam trafić na niewrażliwego palanta, a trafiłam na Luke’a. Był dla mnie dobry, czuły, cudowny. Jakże mogłabym tego żałować? – Pokręciła głową. – Chociaż czuję ból, nie cofnęłabym tego, co się wydarzyło. Kiedy powiedział, że to, co się dzieje między nami, jest wyjątkowe i chciałby, żeby zostało wyłącznie między nami, pomyślałam, że dzięki mnie zmieni swój sposób myślenia i zaangażuje się...

– Wyłącznie między wami? – spytał Aiden, nim zdołał ugryźć się w język. Czuł, że dotyka zbyt intymnej kwestii.

– Bo był pierwszy. Najpierwszy – wyznała spontanicznie i opuściła głowę. – I czuję, że pozostanie jedynym. Na zawsze. Oszolomiony Aiden milczał. Tylko wpatrywał się w jej piękną twarz. Po tym wszystkim, co Luke przeszedł z żoną, trafił na czystą niewinność? Nic dziwnego, że tak go wzięło. Dotknął niemożliwego: poznał słodką, młodą kobietę, której mógł zaufać i która mogła należeć wyłącznie do niego.

– O rany – mruknął. – Nic dziwnego, że tak się porobiło.

– Możesz jaśniej?

– Ta dziewczyna, z którą Luke się ożenił, była, można powiedzieć, zaprzeczeniem dziewicy. Seksowna flirtiara. Lubiła zadawać się z facetami, nawet po ślubie nie przestała. Wyobraź sobie, Luke musiał pomyśleć, że skoro tamta go tak zraniła, to gdyby coś takiego przydarzyło mu się z tobą, toby go zabiło.

– Nie wierzę – pokręciła głową – że mógł tak o mnie pomyśleć...

– Chyba czas na Krwawą Mary – powiedział Aiden. – Przejdźmy się po plażę, a potem zjemy kolację, okej?

Kiedy rano Aiden pojechał na lotnisko, Shelby wyściskała go na pożegnanie jak starego kumpla. Przegadali całe popołudnie i wieczór, a potem przy świetle księżycy do późna siedzieli na plaży. Rozmawiali głównie o Luke'u i jego związku z Shelby, ale też o pozostałych braciach, o karierze Aiden – szkole medycznej, praktyce, służbie na statku, w bazach marynarki oraz w Camp Pendleton. Opowiedziała mu o swoim dzieciństwie, matce, rodzinie, miłości do gór, koni i ciszy panującej w Virgin River. Zaprzyjaźnili się.

– Przyszła mi do głowy dziwna myśl – powiedziała, kiedy już Aiden wsiadał do taksówki.

– Tak?

– Luke próbuje mnie uratować, pozwalając mi odejść. Nie chce, bym cokolwiek musiała poświęcić, z czegoś zrezygnować. Ale to przecież on jest w rozsypce. To on potrzebuje ratunku.

– No tak, racja. – Aiden roześmiał się, zaraz jednak spowaźniał. – Tyle że jest niemożliwe, by się do tego przyznał.

– Aiden, zadbaj o niego – poprosiła.

– Oczywiście. W każdym razie zrobię, co będę mógł. Pojedziesz teraz do San Francisco?

– Może zostanę tu jeszcze tydzień. Nigdzie mi się nie śpieszy. Po prostu musiałam wyrwać się z Virgin River, czułam przymus, by coś zrobić, nie stać w miejscu. Niesamowite, jak długo się zapomina.

– Shelby, nie chodzi o to, że się zapomina. Bo się nie da. Tylko człowiek przystosowuje się. Roześmiała się.

– Pewnie tak... – Uśmiechnęła się. – Dzięki, Aiden. Przeleciałeś taki kawał, żeby ze mną porozmawiać. Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne. I jak bardzo mi pomogło.

– Taką mam nadzieję, Shelby. Luke miał rację, mówiąc, że jesteś wyjątkowa. Powodzenia.

– Nawzajem.

Luke siedział przed kominkiem, słuchał jakiejś płyty i patrzył tępo przed siebie, kiedy dostrzegł w oknie odbicie reflektorów samochodu. Pogoda była pod psem, więc nie spodziewał się gości. Spojrzał na zegarek. Była dwudziesta. Jeśli to kolejny z braci albo, co gorsza, matka, to straci cierpliwość. Do diabła, przecież odbierał telefony. To prawda, że nie miał

ochoty na pogawędki, ale przynajmniej podnosił słuchawkę i wymieniał kilka zdań. Rozstanie z Shelby nadal bolało, ale robił postępy. Udawało mu się zasnąć... Otworzył drzwi i zobaczył znajomy samochód. Stała przed nim, opierając się o maskę, i mokła na lodowatym deszczu. Serce prawie wyskoczyło mu z piersi. Nie widział jej od trzech tygodni, a przez ten czas uczucia nie dawały mu spokoju. Nadal pragnął jej tak, że aż bolało.

– Nie powiedziałaś mi o Felicii! – krzyknęła.

– To było dawno temu – odpowiedział głośno. – Skąd o tym wiesz?

– Nieważne. Nie ufałaś mi?

– To się stało wiele lat temu. Nie miało znaczenia. – Wyszedł na ganek. – Nie wiedziałem, że przyjeżdżasz.

– Nikt nie wie, że tu jestem. Myślisz, że będę taka sama jak ona, prawda?

– Nie, wcale nie. A ty myślisz, że nie trafisz lepiej? Wzruszyła ramionami. Miała mokre włosy. Jej policzki lśniły.

– A jeśli tak się składa, że jesteś najlepszym facetem, na jakiego mnie stać? Gdzie popełniłam błąd? Przecież udowodniłam ci, że wiem, czego chcę. A może nie dotarło to do ciebie? Może uważasz, że jestem kapryśna? Lub zbyt młoda i głupia, by wiedzieć, że kogoś kocham?

– Nie jesteś głupia. Nigdy tak nie uważałem. Młoda... no, może.

– A co, myślałaś, że to taka cieleca miłość?

– Nie, absolutnie nie. Chodź, bo mokniesz.

– Najpierw musimy sobie coś wyjaśnić, a potem się zobaczy. Jeśli się nie dogadamy, pojedę do generała. Nie przenoszę się do San Francisco, nie chcę tam mieszkać. Nigdy nie mieszkałam w wielkim mieście, zresztą nie bardzo je lubię. Lubię za to Virgin River.

– To przynajmniej wejdź na ganek. Porozmawiamy. Jest mokro i zimno...

– Nie – powtórzyła z uporem. – Być może oczekiwałam zbyt wiele i za szybko, ale ty spodziewałaś się zbyt mało. Nie chcę, by dotykał mnie ktoś inny. Nigdy. Pragnę wyłącznie twojego dotyku, twoich rąk. Nie mógł się nie uśmiechnąć, gdy z królewską dumą i oślim uporem stała na deszczu.

– To dlaczego wyjechałaś? Nie miałem nic przeciwko dotykaniu cię.

– Bo chciałam się opalić. I myślałam, że mnie nie kochasz. Chcę czegoś więcej, Luke. Chcę wszystkiego. Chcę mieć dziecko. Nie musi być zaraz, ale chcę je mieć, przynajmniej jedno. I moje dziecko musi mieć ojca. Myślę, że

jestem jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochałeś. Chciałeś mnie od siebie odsunąć, bo przy mnie stawałeś się nerwowy. Wydawało mi się, że mi nie ufałeś, ale teraz myślę, że raczej nie ufasz samemu sobie. – Pokręciła głową.  
– Nie chcę takiego faceta. Potrzebuję mężczyzny silnego, pewnego siebie, który by stał przy mnie. Potrzebuję faceta, który nie boi się zaryzykować w imię ważnej sprawy.

– Ryzykowałem – powiedział. – Nie wystraszysz mnie. Wejdz na ganek.

– Nie. Dopóki nie powiesz, że jeśli mamy ze sobą być, to będzie to prawdziwy związek. Rodzina. Nie mam ochoty słuchać bzdur z gatunku: „Ja się nie angażuję”. To głupota, Luke. Masz czas, żeby się upewnić, ja jestem cierpliwa. Ale nie zamierzam z ciebie zrezygnować.

– Nie potrzebuję czasu. – Uśmiechnął się do niej. – Wiem, co czuję.

– Nadal to samo? Ciągłe „nic z tego nie będzie”?

– Okej, chyba będzie. A jeśli już będzie, to tylko z tobą. Po prostu wydawało mi się, że zasługujesz na coś więcej.

– Więcej niż to, czego zawsze pragnęłam najbardziej na świecie? Widzisz, jakie głupoty gadasz? Roześmiał się. Co za kobieta!

– Shelby, chodź tutaj. Nie muszę się zastanawiać. Jesteś tym najlepszym, co mi się przytrafiło w całym moim życiu. No chodź.

– Myślałam, że ci nie wystarczam, ale to nieprawda – powiedziała. – Nie możesz decydować, na co zasługuję – dodała. – Potrzebuję faceta, który będzie patrzył, jak rośnie we mnie jego dziecko, i czuł dumę. Miłość i dumę.

– No już, w porządku, Shelby. Kocham cię. Chodź do mnie.

– Za mało. Musisz powiedzieć coś, co mnie przekona, że warto zaryzykować. Przebyłam długą drogę. Stawiam na ciebie, na nas. Kocham cię, a ty kochasz mnie, i mam dość wykrętów. Powiedz wreszcie to, co trzeba. Spojrzał na nią i raptem jego uśmiech zniknął. Odetchnął głęboko i poczuł, jak łzy napływają mu do oczu.

– Shelby, jesteś wszystkim, czego potrzebuję do szczęścia – wyznał, nie kryjąc emocji. – Wszystkim, czego potrzebuję... – Widział, jak patrzy na niego zaskoczona, zdumiona. – Jesteś wszystkim. Diabelnie mnie to przeraża, ale chcę z tobą spędzić życie. Chcę tego co ty. Chcę tego natychmiast.

– Luke, o rany... – zdołała wyszeptać.

– Chcę tego wszystkiego, Shelby. Chcę dzięki tobie stać mocno na ziemi. Chcę, żebyś była matką moich dzieci. Moją najlepszą przyjaciółką, żoną

i kochanką. To trudne zadanie. – Zaczerpnął tchu. – Jeśli dasz radę, ja też podołam.

– Jesteś tego pewien?

– Czego, Shelby? Przeraza mnie, że zmienisz zdanie, tego jestem pewny. Jak i tego, że pragnę tego wszystkiego. O tak, kochanie, pewny jak diabli.

– Nie zmienię zdania – powiedziała cicho.

– Nie słyszę cię! – krzyknął. – Nie słyszę cię, bo stoisz na cholernym deszczu! Wbiegła po schodkach na ganek i wpadła w objęcia Luke’a. Podniósł ją i wpił się w jej usta. Rozplakała się, a on zignorował własną łzę, która spłynęła mu po policzku.

– Czy ja ci wystarczam? – spytała.

– Oczywiście, zawsze tak było. Tak bardzo cię pragnę. Nie chciałem, żebyś wyjeżdżała. Nie wiem, czy to wobec ciebie sprawiedliwe...

– Umówmy się, Luke, że to ja decyduję, co jest dla mnie sprawiedliwe, a ty co dla ciebie. Nie decydujemy jedno za drugie. Chodzi o to, żeby działać razem, a ty lubisz kontrolować...

– Mam wiele wad.

– Chcę tylko, żebyś mnie kochał tak, by wytrzymać ze mną całe życie. To nie musi być jutro, ale chcę, żebyś podjął decyzję...

– Jutro, dziś. Prawie umarłem, tracąc cię.

– O Boże... Będziesz mnie kochał wiecznie?

– Pewnie nawet dłużej. Wiesz, nie mam wyboru. Wytrzymasz? Odetchnęła głęboko.

– A założymy się?